

nieregularny

PULS

kwartalnik literacki

14 - 20



ZBIORY OŚRODKA KARTA

nieregularny

PULS

kwartalnik literacki

141-20

redagowali: Janusz Anderman,
Jacek Bierezin
/do nr 19/
Jan Chodakowski,
Tadeusz Kadenacy,
Bartosz Pietrzak,
Grzegorz Sowula,
Witold Sułkowski
oraz osłonkowie
redakcji, których
nazwisk nie ujawniamy





Copyright © by PULS publications

Wszystkie prawa zastrzeżone

Zezwolenie na przedruk lub tłumaczenie należy uzyskać zwracając się do: *The Secretary, PULS publications, BCM Box 697, London WC1N 3XX, United Kingdom.*

All rights reserved

Permission for reprint, translations and reproductions must be obtained in writing, from: The Secretary, PULS publications, BCM Box 697, London WC1N 3XX, United Kingdom.

Wszelką korespondencję prosimy kierować na ręce sekretarza redakcji. Materiałów nie zamówionych nie odsyłamy.

Przedstawiciel w USA:
Witold Sulkowski, 330 Lincoln Ave, Tacoma Park, Md. 20912

Przedstawiciel w Skandynawii:
Mirosław Ancypo, c/o Independent Polish Agency, Box 2113, 220 02 Lund 2, Sweden

ISSN 0143 5531

OD WYDAWCY

PULS jest jednym z dwu /obok ZAPISU/ najstarszych w Polsce niezależnych pism literacko-społecznych, jedynym zaś - które przetrwało wstrząs 13 Grudnia 1981 r. Zmienił się wprawdzie adres redakcji /obecnie PULS wydawany jest w Londynie/ ale duch pisma pozostał niezmieniony. Nadal jest ono dalekie od akademickiej powagi, nadal - nie stroniąc bynajmniej od głębokiej refleksji - unika jak ognia konsekwencji, jakie mogłyby wynikać ze słowa "najstarsze".

Na emigracji ukazało się już siedem numerów PULSU /nr 14-20/. Dokonany z nich poniższy wybór /niestety przedruk wszystkich zeszytów nie jest możliwy ze względów technicznych/ stawia sobie za cel nie tylko przypomnienie krajowemu czytelnikowi nazwy PULS, ale także ma stanowić łącznik pomiędzy numerami PULSU drukowanymi jeszcze w kraju, a tymi już zza kordonu.

SPIS TREŚCI

- 5 David Thoreau
Obywatelskie nieposłuszeństwo
- 6 Sławomir Mrożek
Trzy tydzień dziewięćset siedem
- 8 Jacek Bierozin
Wiersze
- 12 T.M.
Catery pierwsze dni
- 33 A.A.
Powiedzcie, że się nie poddałem
- 35 Poezja czasu wojny
- 49 Bronisław Wildstein
Czekanie
- 69 Bolesław Sulik
Edek
- 73 Sławomir Mrożek
Donosy
- 84 Roman Michał Lonc
Rakietka
- 90 Józ Aleszkowski
Ostatnie słowo oskarżonego Maszkina
- 98 Włodzimierz Odojewski
Pomiędzy tak i nie
- 107 Roman Zimand
Wojna i spokój
- 124 Wojciech Karpiński
Droga do wolności
- SYLWETKI**
- 141 Adam Ciołkosz
Kazimierz Pużak

PRZEGLĄD KULTURALNY I NIEKULTURALNY

146 Tadeusz Wojciechowski
Dwa lata i jedna zima w Bukareszcie

153 Rozmowa po 22 latach więzienia

POJEDYNKI

157 Krzysztof Zawrat,
Trey strony medalu

165 Antoni Pawlak
Gram w Albanii

RECENZJE

168 Janina Katz-Hewetson
Wyobraźnia i rzeczywistość

172 Tadeusz Dunin
Nasze przygody w Brandýsem

DRUGI BRZEG

174 Anka Kowalska
Grabiyna Kuroń

ARCHIWUM EMIGRACYJNE

177 Aleksander Janta
Linia rozdarcia: Lechów krywa w Twimem

MUZEUM RUCHU REWOLUCYJNEGO

184 Stefan Jędrychowski
Jak poznawaliśmy Armię Czerwoną

189 SOW SHOW

191 POLTYTUŁY POLPRASY

David Thoreau

OBYWATELSKIE NIEPOŚLUSZEŃSTWO (fragmenty)

... Czy musi obywatel, choćby przez chwilę, w najmniejszym nawet stopniu, podporządkowywać swe sumienie obowiązującemu prawu? Jeśli tak, to na cóż człowiekowi taka rzecz jak sumienie? Nasamprzód powinniśmy być ludźmi, a dopiero potem obywatelami. Bardziej pożądanym jest kultywowanie poważania dla prawdy aniżeli dla prawa... Jeśli chcemy przykładu naturalnego i powszechnego, a zarazem niezastężonego respektu wobec prawa, wyobraźmy sobie sznur piechoty maszerującej na wojnę, z podziwu godną dyscypliną, przez wzgórza i doliny. Idą pułkownik, kapitan, kapral, szeregowi, mali dobosze, a idą wszyscy wbrew swej woli, ba, wbrew zdrowemu rozsądkowi i głosowi swoich sumień. Idą, a krok ich ciężki i serca nie lekkie. Nie mają wątpliwości że służą przekletej sprawie: przecież z natury są usposobieni pokojowo. Kim więc są? Czyż są w ogóle ludźmi czy też małymi ruchomymi fortami i fortecami, w służbie jakiegoś pozbawionego skrupułów władcy...

Znakomita większość ludzi tak właśnie służy państwu: służą nie jako ludzie lecz niczym maszyny... To oni tworzą wojsko, milicję, straż więzienną, posse comitatus etc. Większość - z nich o nic nie pyta, brak im wrażliwości moralnej: upodobnili się do rzeczy martwych, do drewna i kamieni... Inni jak prawnicy, politycy, prawodawcy, ministrowie, urzędnicy służą państwu głównie swoimi głowami: iecz ponieważ nieskłonni są do czynienia moralnych rozróżnień, często, i to nawet bezwiednie, służą diabłu raczej, aniżeli Bogu. Bardzo niełiczni: bohaterowie, patrioci, męczennicy, wiecy reformatorzy i i u d z i e - służą państwu swoimi sumieniami, co z konieczności powoduje sprzeciwianie się mu, a oni z kolei traktowani są przez nie najczęściej jako wrogowie.

Wszyscy uznajemy prawo do buntu, to jest prawo do wypowiedzenia posłuszeństwa, do oporu wobec rządu, kiedy tyrania i nieudolność rządzących stają się zbyt wielkie i nie do zniesienia... Jeśli ktoś powie mi że rząd nasz jest zły ponieważ nakłada cło na pewne towary przywożone do naszych portów, to najprawdopodobniej nie będę czynił z tego powodu zbyt wielkiej wrzawy ponieważ mogę się bez nich obejść. Każda machina państwowa podlega pewnym tarciom i być może taka polityka celna jest uzasadniona. Jest jednak całkiem inaczej kiedy machina ta organizuje ucisk i wyzysk. Wtedy powiadam, że machina ta nie jest nam potrzebna. Innymi słowy, kiedy jedna szóstka ludności kraju, który deklaruje się być oazą wolności, jest w istocie niewolnikami..., a cały kraj jest poddany stanowi wojennemu, to uważam że człowiek uczciwy nie może zwlekać z buntem i oporem.

Sławomir Mrozek

TRZY TYSIĄCE DZIEWIĘCSET SIEDEM*

Oświadczenia Bezpośrednie nie są moją specjalnością. Zazwyczaj pisuję opowiadania i sztuki teatralne. Żeby mnie zmusić do oświadczenia wprost, na to trzeba aż wojny.

Obecnie mamy wojnę. Wojnę w Polsce. Wojna, stan wojenny, została ogłoszona przez polski rząd.

Kto jest wrogiem? Musi to być wróg bardzo potężny, jeżeli wszystkie siły zbrojne są przeciwko niemu użyte. Już nie tylko jawna i tajna policja, lecz i wojsko, prawdziwe wojsko, dywizje piechoty i kolonne pancerne rzuciły się bohatersko przeciwko temu wrogowi, a sam wódz naczelny je prowadzi. Chwali się wojenny trud i ofiarność naszych obrońców, ich odwagę i wierność ojczyźnie. W gazetach, w przemówieniach, mówi się o zasługach na polu chwały. A więc wojna, prawdziwa wojna.

Ale kiedy przyjdzie do nazwania tego wroga, dziwna panuje niejasność. Przede wszystkim gdzie on jest, z której strony zagraża? Żadne przekroczenie naszych granic przez żadną obcą armię nie zostało ogłoszone. Z tego wynika, że ten straszny wróg musi być gdzieś wewnątrz naszych granic, musi być bliższy. A jeżeli tutaj, to nie może to być cudzoziemiec. Nie cudzoziemiec, a więc Polak.

Polak? To dziwne, żeby Polak przeciwko Polsce, czyli przeciwko samemu sobie. Ale załóżmy, że znalazł się taki. Jeden? Nie, musi być tych zboczeńców więcej, skoro państwo polskie aż tak wyteżyło całe swoje zbrojne ramię, żeby się przed nimi obronić. Iiu ich jest wobec tego?

I znowu, komunikaty wojenne nic na ten temat nie mówią. Ani nie nazywają wroga jednoznacznym imieniem, co dziwne, bo jeżeli się z kimś walczy aż z takim samozaparciem, to trudno przecież nie wiedzieć z kim ani – tym mniej – nie podają, jak liczny jest ten wróg. Mówią tylko coś o „ekstremistach” organizacji cywilnej, nie wojskowej nawet, pod nazwą „Solidarność”, ale samo określenie „ekstremiści” wskazuje, że jest ich niewiele. Ekstremiści – to znaczy skrajni, a tych,

co są z kraja, jest zawsze mniej niż tych, co są w tłumie. Ekstremiści są zawsze mniejszością. Więc znowu to samo pytanie: przeciwko niewielu cywilom potrzebna jest aż taka wojskowa potęga?

A może, wobec tego, nie przeciw ekstremistom „Solidarności”, ale przeciw „Solidarności” w ogóle, całej? To już wydaje się bardziej logiczne, tym bardziej, że owa „Solidarność” została państwowym rozkazem rozwiązana i surowo zakazana. Bardziej jest logiczne to przypuszczenie, bo „Solidarność” to dziewięć milionów ludzi. A jeżeli zważymy, że cała Polska to tylko trzydzieści sześć milionów i jeżeli odejmiemy od tego dzieci, starców i niemowlęta, to te dziewięć milionów uczestników „Solidarności”, dołączając ich rodziny oraz ludzi formalnie do „Solidarności” nie należących, ale będących jej zwojennikami – to prawie cała dorosła ludność Polski. Czyli Polska. A taka siła, taka liczba rzeczywiście wymaga już całej armii, czołgów i sztabu generalnego, jeżeli się chce ją pokonać.

A więc: ta wojna to wojna przeciwko polskiej ludności. Tylko taki wniosek jest możliwy. I rozumiałe jest, że nie można tej wojny ani wypowiedzieć ani prowadzić bez pomocy z zewnątrz.

Lecz to nowy paradoks: dlaczego to państwo polskie miałyby prowadzić wojnę ze swoją własną, polską ludnością. To nie jest logiczne, to jest wbrew rozsądkowi i wbrew naturze.

A jednak ją prowadzi. Wobec tego pozostają tylko dwie alternatywy: albo państwo polskie nie jest polskie, albo polska ludność nie jest polska.

Niech każdy wybierze jedną z tych dwóch alternatyw, zgodnie ze swoim sumieniem i swoją zdolnością rozumowania.

Co do mnie, jako polski pisarz należę do polskiej ludności, a nie do państwa.

Przeżyłem już dwie wojny. Jedną, która zaczęła się w 1939 roku, drugą, która odbyła się w roku 1968. To samo państwo, które dzisiaj prowadzi wojnę z polską ludnością, prowadziło w roku 1968 wojnę także z ludnością, tyle że wtedy była to ludność Czechosłowacji.

Wziąwszy pod uwagę pewne podobieństwa między tym, co działo się w Polsce po roku 1939 i co dzieje się teraz, pewne podobieństwa, bo technika okupacji nie może być różna, nawet kiedy chodzi o różne okupacje, oraz wzięwszy pod uwagę, że zarówno w 1968 roku jak i dzisiaj wróg, z którym walczy nasze wojsko, jest w zasadzie ten sam, a mianowicie – ludność, proponuję do 1939 dodać 1968. Wynik – 3907.

Trzy tysiące dziewięćset siedem. Tym numerem niech będzie oznaczona wojna obecna.

Jacek Bierezin

POWRÓT

Po wielu latach krzyku
po kilku latach milczenia
postanowiłem wrócić na ring
i opowiedzieć wam wszystko
jak było naprawdę
Chciałbym opowiedzieć o tym
że miejsce poety było znów na ulicy
i że napisać kolejny wiersz dla ludzkości
znaczyło naprawdę zbyt mało
W drugiej połowie lat siedemdziesiątych
znów znalazłem się w środku kraju
w jądrze ciemności w smudze cienia
Słazary na dworcu
które nie były już z molch wierzy
i nie oznaczały motywu podróży
ani poszukiwania nowej drogi do prawdy
które były rzeczywiste jak ze snu
dworce-fabryki dworce-więzienia
dworce-stocznie dworce-kopalnie
podziemne szroczne stacje męki krzyżowej
na których w bólach rodziła się druga Polska
podczas gdy pierwsza Polska
była już w stanie przedzawałowym
i wydawało się że znów trzeba będzie
przetoczyć krew lub zapłacić krwią
lub oddać swą krew
Honorowi krwiodawcy z całego kraju
czekali na znak na przyptyw odwagi
na cud nad ~~wielką~~ na przebudzenie

Polska Zjednoczona Partia Robotnicza

lansowała hasło

Krwiodawco – oddaj swą krew krwio pijcy
 Krew była potrzebna do farbowania sztandarów
 W Radomiu i Ursusie przecięto żyły ulic
 Serce biło nadal Otworzono na oścież
 bramy szpitali więziennych i kościeł
 Ci którym udało się uciec
 schronili się w domach
 które zresztą nie chroniły przed niczym
 i oglądali czerwone pajęki w telewizji
 Jadowite tarantule
 dobiebrały się do serca Polski

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych
 znów znalazłem się na rozstajnych dworcach
 i usłyszałem głos bitych i poniżonych
 i usłyszałem głos proroka Ezechiela
 i usłyszałem głos Pana
 i głosy wszystkich świętych ataków
 i usłyszałem z głośników dworcowych
 głos niewidomego proroka Ray Charlesa
 wzywający do wyruszenia w drogę
 i usłyszałem własny głos
 i wyruszyłem

SZKIC DO SCEN Z GROTTGERA

Przyszli o pierwszej w nocy
wyłamali drzwi łomem
Nie byli w mundurach policyjnych
lecz w mundurach armii zbawienia
w kożuszkach garniturach krawatach
i niebieskich skarpetkach z przydziału
bo oszczędzają cywilne na cywilne okazje
Z marynarkami nieco wypchszymi
po lewej stronie z czego wynioskowałem
że żaden z nich nie jest mafikutem
Nic nie będzie już panu potrzebne
– mówili – wyrzućając mi z torby
długops zeszyt i szczyryk
Nie będziemy robili rewizji
pan pojedzie z nami
Zawieźli mnie na śmierdzącą komendę
kolejną w życiu śmierdzącą komendę
zadawałem sobie retoryczne pytanie dlaczego
komendy komunistyczne muszą śmierdzieć
Zobaczyłem wielu ludzi wyglądających tak
jak wygląda człowiek po godzinie snu
podczas której zatrąbił płaty anioł
spadła gwiazda z nieba na ziemię
I zaczęła się noc długich noży
Zobaczyłem wielu ludzi po tej
I po tamtej stronie przezroczytego powietrza
często nazywanego barykadą
Wtedy zrozumiałem że jeszcze żyję
I że na razie była to
noc długich łomów

MŁODZI JASNOWŁOSI

Młody jasnowłosy
żołnierz rezerwista
Bruzda zdecydowania
jak okop
przecina mu czoło
Mówi
że nie będzie nas pilnował
i że najlepiej
postrzeli się w nogi
Zastanawia się
czy wyjdzie ze szpitala
już po wojnie
Długo i cierpliwie
tłumaczę mu
że dla dobra nas obu
powinien być moim operawcą
Nie wiem jeszcze wtedy
że te nogi
utną mu do kolan
a male będzie pilnował
młody jasnowłosy żołnierz

1982

T.M.

CZTERY PIERWSZE DNI

Podczas gdy stąd będzie się szukać ziemi Polaków rakietami, ja szukam Polski na moim bębnieku i bębniąc zginęła, jeszcze nie zginęła, znów zginęła, przez kogo zginęła, powróć zginęła, już zginęła, Polska zginęła, wszystko zginęło, Jeszcze Polska nie zginęła...

Günter Grass, Błogoszony Bębniak

*Dzisiaj na zawsze
i jutro na zawsze
Na zawsze teraz
i na zawsze potem
Czy czy do końca życia?*

z rozmowy, która zdarzyła się między nami

Niedziela 13 grudnia

Hotel Forum, noc. Nie mogę spać. Dlaczego to wszystko, to całe pieprzone życie jest takie popieprzone? Wstanę wcześniej rano, wyjdę, kiedy będzie jeszcze spała i już się nie zobaczymy; tak będzie lepiej. Nie; wstanę, pójdę na Dworzec Centralny i kupię jej bilet do Krakowa, żeby na pewno dojechała do tych swoich ukochanych gór Wrocę, zapyta zdziwiona: gdzie byłeś? potem powie: jesteś kochany i będziemy razem jeść śniadanie, mówili głupstwa i uśmiechali się do siebie. Przez parę kwadransów będzie nam ze sobą dobrze.

Tak, sie co dalej?

Wstaję i zapalam papierosa. Patrę z dziesiątego piętra na mroczną Warszawę, na Warszawę Pałacu Kultury i Pałacu Mostowskich, Dworca Centralnego oraz Ambasady Radzieckiej. Ale te miejsca nie wydają mi się tak mroczne jak tydzień temu, kiedy je filmowaliśmy. Są tylko obce.

Wczoraj na Kongresie Kultury Andrzej Wejda rozwiązywał Ministerstwo Kultury i Sztuki, a Jan Kott zapraszał do Polski pięć tysięcy profesorów pochodzenia polskiego z całego świata, aby trochę oświecili naszą młodzież. Wszystko to namiętnie filmowała TVP dając tym samym do zrozumienia, że nie straszne jej takie herezje. Moja ekipa ma przyjechać dziś po południu — nie ma to za wiele sensu, chyba że uda się wejść w poniedziałek na proces Leszka Moczulskiego.

Jestem zmęczony: sobą? tym, że wszystko co robię dzieje się w jakiejś pustce, w jakimś nierealnym świecie? Wszystko jest o'key i wszystko jest jednocześnie absurdalne. Telewizja RFN kupuje reportaże naszej agencji, a pieniądze przychodzą do Filmu Polskiego, bo postraszonego agenta filmowego w RFN. Służba Bezpieczeństwa porywa mnie w biały dzień z ulicy, obwozi po komendach MO, lecz na skutek szybkiej interwencji kogoś z Prezydium „Solidarności” dowiaduję się, że panowie w cywilu, którzy jeszcze przed chwilą próbowali mnie zastraszyć, teraz bardzo się cieszą, że mnie poznali.

Hanka śpi, z głową wtuloną w poduszkę. Nie potrafię znaleźć jej właściwego imienia, które nie byłoby tylko oblegowym, ale określało to co w niej pokochałem. Może dlatego nie jest moja?

Hotel mam zamówiony dopiero od jutra, dlatego waletuję tutaj. Mogłem spać u któregoś z przyjaciół, ale...

Biorę koc, poduszkę i kładę się na kanapie. Tu czuję się bardziej swój, bardziej oddzielony od tego co jeszcze nie jest moje.

* * *

Jest jasno, patrzę na zegarek - prawie dziewiąta. Wstaje, składam koc.

- Dlaczego ode mnie poszedłeś?

Ma zamknięte oczy i głowę w poduszkę, ale słyszy i w... Próbuję coś powiedzieć. Za chwilę leżymy już obok siebie. Przekręcam gałkę radia: mazurek Chopina. Inne kanały nie działają. Chopina przerywa zapowiedź wystąpienia generała Jaruzelskiego.

Wczoraj w tunelu pod Marszałkowską widziałem wyrysowane smołą graffiti nieznanego artysty twarz Jaruzelskiego przypominającą trupią czaszkę i duży napis: WOJTEK CZADU!

- Jeśli Jaruzel zajmuje nam niedzielny poranek to wymyślił na pewno stan wyjątkowy - żartuję.

Plłyną słowa z głośnika: wojskowa rada ocalenia narodowego, stan wojenny, internowani ekstremiści z „Solidarności”. Generał mówi, ale to wszystko dociera do mnie bardzo wolno. Najpierw rozumiem, że hotelowy pokój nie jest wcale bezpieczny. Instynktownie tulimy się do siebie osamotnieni i bezradni. Wiem, że trzeba wstać i coś zrobić, ale nie robię nic. Myślę: tysiące aresztowanych, na pewno cała Komisja Krajowa, od jutra zaczną się opór w zakładach pracy, będą zabici i ranni, później kolejna fala emigracji.

Skąd ta panika? Przecież wszystko dopiero się zaczyna, dopiero teraz rozpoczyna się walka, do której prędzej czy później dojść musiało. Jej wynik jest jeszcze nieznany. Wszystko jak zwykle zależy od nas, Pana Boga i Breźniewa. A ponieważ z ostatnimi dwoma nie mam kontaktu - pozostają ludzie.

Próbuję zadzwonić do Grażyny i do Antoniego, ale wyjście na miasto jest głucho. Panienska z centrali matowym głosem informuje, że telefony w całym mieście są nieczynne.

Wstajemy wreszcie. Widok z okna jest zwyczajny: tramwaje, autobusy, samochody i ludzie. Jedzie też parę bud milicyjnych, sie patroli nie widać.

Bierzemy bagaż Hanki i wychodzimy. Idziemy pod Pałac Kultury. Przed wejściem do Teatru Dramatycznego kilkudziesięciopięcioro osób. Wymieniają się informacjami.

Był desant na stocznię, w nocy. Zamknęli całą Komisję Krajową. Aresztowani Szaniawski, Kijowski, Szczypiorski... lista uczestników Kongresu Kultury jest dosyć długa.

Wiele osób przyjeżdżnych brano w nocy z hoteli, innych z mieszkań. Teraz dopiero dociera do mnie, że aresztowało mnie tylko to, że nocowałem w pokoju Hanki. Mariusz Wilk z Gdańska, którego późnym wieczorem odprowadzałem pod hotel Metropol najprawdopodobniej został w nocy wyciągnięty z łóżka.

Na drzwiach wejściowych teatru kartka: KONGRES KULTURY DECYZJĄ PREZYDENTA MIASTA ROZWIĄZANY. Słowo „rozwiązany” jest przekreślone, u góry nadpisano — „zawieszony”. To pierwsza oznaka, że junta usiłuje dbać o formę.

Dostrzegam charakterystyczną sylwetkę Niksona z warszawskiego BIPS-u. Jest w zielonej panterce, twarz ma czerwoną od mrozu. Wrusza się gorączkowo. Sprawia wrażenie pierwszego amerykańskiego żołnierza. Jest jeszcze zdezorientowanego, którego Armia Stanów Zjednoczonych na wieść o stamie wojennym w Polsce zrzuciła w samo centrum Warszawy. Pytam o współnych znajomych, ale nie bardzo wie co z nimi. Przyjechał wprost z siedziby „Mazowsza”. Pokoje są tam potwierane, porozrzucane papiery, a nawet płaszcze osób, które zabierano stamtąd nad ranem. Zbiera ludzi, aby jechać na Mokotowską, zabezpieczyć co się da.

Waham się. Chciałbym dowiedzieć się czegoś konkretnego; w jakim zakładzie pracy będzie centrum strajkowe, co zamierzają warszawscy literaci i intelektualiści wobec tego aktu przemocy. I, oczywiście, co się naprawdę stało w Gdańsku, co dzieje się teraz. Z paroma osobami prowadzę urywane, gorączkowe rozmowy, ale nikt nic pewnego nie wie. Bo skądże może wiedzieć jeśli przerwane są połączenia telefoniczne i telexowe, nie wiadomo też co z komunikacją. Większość osób spod Pałacu Kultury udaje się na Krakowskie Przedmieście. Jedną do kościoła św. Anny, inni do Związku Literatów. „Będą się modlić i pisać apele, a tu trzeba działać” — myślę trochę sarkastycznie. Prawdziwej Warszawy przecież już nie ma, a warszawka zawsze doprowadzała mnie do mdłości.

Łapiemy taxi. Dosiadamy się do jakiejś starszej pani. Hanka chce jechać na Stegny, do Małgorzaty, tam powinno być w miarę spokojnie. Godzę się — z oporami — pod warunkiem, że najpierw pojedziemy na parę minut do „Mazowsza”. Nie jest to najbezpieczniejsze, ale to jedyna szansa na ładunek mniej lub bardziej wiarygodnych informacji.

Ruszamy po drodze, na skrzyżowaniach żołnierze, transportery. Nie wszędzie można przejechać, dojazd do ambasad jest zablokowany. Żołnierz, który kieruje nas w lewo porusza się lekkim, tanecznym krokiem, minę ma zuchowato uśmiechniętą. Nie robi wrażenia kogoś, kto będzie strzelał do ludzi. Chyba nawet nie wie, co się stało — myśli pewnie że jest na jakichś nadzwyczajnych manewrach.

Jedziemy na Mokotowską, ale okazuje się, że dojazd do „Mazowsza” jest niemożliwy. Ten odcinek ulicy zamknięto z obu stron. Pod budynkiem, w perspektywie ulicy mającej budy miłicyjne, do których — na ile widać z tej odległości — pa-

kują ludzi. Pewnie tych, co pół godziny temu przyjechali tu z Niksonem.

Próbujemy więc dotrzeć na Stegny, ale okazuje się, że od strony Al. Niepodległości tak jak i od Sobieskiego – blokada. Żołnierze zawracają wszystkie samochody. Kręcimy się w kółko już z czterdzieści minut. Starsza pani, która też nie może dotrzeć do siebie decyduje się wysiąść. Zdążyliśmy jej powiedzieć, że jesteśmy z Gdańska. Teraz nie tylko chce płacić za cały kurs, ale proponuje nam pomoc, pieniądze. „Niech się pan nie obawia – mówi – Pisałam w 'Zapisie', jestem swój człowiek”. Dziękujemy jej, ale przecież musimy radzić sobie sami.

W końcu lądujemy na Miedzianej. Tam jest moja torba, jest i Grażyna, od której może się czegoś dowiemy. Po dłuższym dobijaniu się, Grażyna uchyla drzwi. Jest zdenerwowana, wie tyle co my. Tomek wyszedł rano na expres do Gdańska, spokojny, bo nieświadomy. Jeśli nie czekali na niego pod domem lub nie zwinęli go na dworcu to pewnie w tym stanie ducha dojechał na spotkanie Ruchu Młodej Polski. Tutaj milicji nie było, co nie znaczy, że nie może w każdej chwili pojawić się.

Jemy śniadanie, słuchamy z taśmy komunikatów Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego. Brzmi to ciągle surrealistycznie, niewlarygodnie, a zarazem strasznie i przytłaczająco. Grażyna szuka zapasowych kluczy. Ze znajomymi odwozi 5-letnią córeczkę do rodziców, pod Warszawę. Tam mała będzie bezpieczniejsza. Chyba dojadą, bo samochód jest własnością lekarza, który pracuje w amtejszej przychodni.

Co pewien czas podrywa nas na nogi dzwonek u drzwi. Wpadają na chwilę znajomi, również zdezorientowani jak my; także chcieliby się czegoś dowiedzieć. A nie wiadomo nawet najprostszymi rzeczami: czy kursywo pociągi, czy dworzec jest obstawiony? Jedyna wiadomość: o 17-ej w św. Annie jest jakieś spotkanie. Grażyna zbiera się wreszcie i schodzi na dół z córeczką. Z okna widać jak wsiadają do samochodu. Zostajemy sami: Hanka i ja.

W TV pierwszy program j. nty. Obraz niewyraźny, chyba z wojskowego studia. Zdenerwowany Stefanowicz w wojskowym mundurze odczytuje kolejne komunikaty. To wszystko razem: puste mieszkanie, księżycowy obraz w TV i mniej księżycowe teksty, poczucie, że w każdej chwili ktoś może zadzwonić do drzwi i nie będzie to już kolejny znajomy – dziająca przytłaczająco. Czekamy na Grzegorza, który ma po nas zjechać ze znajomym taksówkarzem wracającym do Gdańska. Mijają godziny, jest już ciemno. Na placyku na wprost domu zatrzymują się samochody, gaszą światła, ale nikt z nich nie wysiada. Pewnie obstawiają pobliską drukarnię Domu Słowa Polskiego, ale nigdy nie wiadomo.

Grzegorz już nie przyjedzie, jest za późno. Postanawiamy przejść się na 17-tą do św. Anny, chociaż tam też nic konstruktywnego nie może się zdarzyć. Mam coraz bardziej dosyć obcej i przestraszonej Warszawy. Po drodze skręcamy na Dworzec Centralny. Tłok, tumult, gwar jakby naraz pół stolicy zaprzagnęło ją opuścić. Am śladu patrolu. Za kilka minut będzie expres do Gdańska.

Nagle podejmuję decyzję. Chcę jechać, muszę. Dłużej już nie wytrzymam w tym obcym mieście, bez żadnego punktu oparcia. Hanka nie jest zdecydowana, nie chce jechać bez bagażu. Mówię, aby została, dojedzie później, ale ja muszę, teraz. Ma kilka minut na decyzję. Wsiada jednak do pociągu.

Jak większość podróżnych nie mamy biletów. Konduktor, nie zważając na „surowe rygory stanu wojennego”, bierze trzysta w łapę i przepuszcza nas do wagonu restauracyjnego.

Potem stoimy na korytarzu i roznawiamy. Śnieg, który przedostaje się przez nieszczelne okno, tworzy ładne, białe obramowanie. Po raz pierwszy (tego dnia) jest spokojnie, dobrze. Po raz pierwszy (w życiu) jest nam dobrze ze sobą.

Z każdą minutą expres zbliża się do Gdańska.

Poniedziałek 14 grudnia

Pukanie do drzwi. Sywetka matki pochyla się nad Hanką; Marian obudź się. Podnoszę się, mówię, że przyjdę za parę minut do mieszkania rodziców, do mojego mieszkania, które jest w sąsiednim domu. Sywetka znika.

Jestem w Gdańsku, w moim Gdańsku, do którego za wszelką cenę chciałem się dostać. Leżymy pod kocem w zagraconym pokoju u nieznanych ludzi, którzy udzielili nam schronienia tylko dlatego, że powiedziałem, że znam ich syna. Piętro niżej, dokładnie pod nami, rozgosiła się ekipa ubeków, którzy za pomocą kamer telewizyjnych obserwują skrzyżowanie i wejście do mojego domu. Na pewno wczoraj zrobili nam zdjęcia, kiedy niefrasobliwie próbowaliśmy zatrzymać pod domem jakiś samochód, już po godzinie policyjnej, aby Hanka mogła pojechać do matki.

Pociąg przywłóki się do Gdańska 10 minut przed godziną policyjną. Zdażyliśmy tylko dojechać autobusem do mojego domu skąd natychmiast wyrzucili nas moi rodzice. Wczoraj była tu po mnie cała ekipa, szukali wszędzie – w szafach, w tapczanach, nawet w pawlaczku i w każdej chwili można się ich spodziewać znowu. Zwialiśmy więc przez podwórze i zanocowaliśmy u ; wie nieznanymi ludźmi. Traf chciał, że akurat w sąsiedztwie czekających na nas ubeków. Wrzeszcz – ta największa dzielnica Gdańska, centrum świata Günтера Grassa i naszej młodości stał się teraz centrum działań policyjnych. Ale nie na tyle, abym nie potrafił się w nim poruszać.

Odwiedzam parę osób i zaczynam coś wiedzieć. Nie za wiele, ale wystarczająco, aby jakoś stawiać stopy na tym wojennym gruncie.

Nie było żadnego desantu na stocznię. Wszystkich brano z hoteli i mieszkań. Trochę osób się uratowało: Bujak, Lis, Frasyniuk, z „prezydentów” – Krupiński, Waszkiewicz, Konarski. Ze znajomych Marek, Maciek i Bożena uniknęli aresztowania. Udało się też ukryć cały sprzęt telewizyjny.

Maciek był około północy u Wałęsy. Namawiał go do ucieczki. „Wałęsa” miał powiedzieć, że jest legalnym przewodniczącym legalnego związku i nigdzie nie będzie uciekał. Nie chciał rozmawiać, był zamknięty w sobie. Godzinę potem obstawiono cały biók na Zaspie, i rozległo się łomotanie do drzwi. Powiedziano mu, że ma jechać do Warszawy na rozmowy z rządem. Wałęsa nie otworzył. Powiedział przez drzwi: „Jeśli mają być rozmowy, to jako gwarancję bezpieczeństwa przywieźcie mi tutaj Fiszbacha i Kołodziejskiego”. Za godzinę przywieziono obydwu, postawiono przed wizjer i Wałęsa otworzył. Podobno zabrano go helikopterem do Warszawy.

Już wczoraj, mimo niedzieli, było w stoczni kilkadziesiąt osób, na branie prze-

mawiąta Danka Wałęsowa. Jest też pierwszy komunikat Krajowego Komitetu Strajkowego podpisany przez wiceprzewodniczącego „Solidarności” – Mirosława Krupińskiego, datowany 13 grudnia godzina 13.20. Czytam jego najważniejsze fragmenty: „... odpowiedzią na próbę przemocy jest strajk generalny. Rozpoczynając ten strajk, oświadczamy, że zostaliśmy do niego zmuszeni i spowodowani. Żaden związek, żadna organizacja nie może pozwolić na bezkarne represjonowanie swoich przywódców, na odbieranie posiadanych praw, na ograniczenia swobód obywatelskich. Rozpoczynając ten strajk stawiamy dwa warunki jego zakończenia:

- uwolnienie wszystkich aresztowanych
- odwołanie proklamowanego stanu wojennego.

Po spełnieniu w/w warunków możemy podjąć rozmowy w celu poszukiwania płaszczyzny porozumienia.”

I zakończenie: „Naszą bronią jest spokój, godność i wzorowa organizacja w miejscach pracy. Naszą nadzieją – jedność i solidarność wszystkich ludzi pracy w Polsce.”

Dzisiaj ma rozpocząć się strajk w stoczniach. Trzeba więc tam dotrzeć.

Jedziemy z Maikiem kolejką. Na przystanku Gdańsk-Stocznia wysiada sporo osób. Na bramie biało-czerwone flagi, opaski na ramionach stoczniovców. Zamknięta brama. Strajk. Jak w Sierpniu, tylko szarzej. Zima. Pokazujemy identyfikatory pracowników „Solidarności”. Straż robotnicza wpuszcza nas bez dalszych formalności. Po przekroczeniu bramy – strach, zmęczenie, niepewność znikają. Jestem u siebie, w stoczni, która wygrała już raz walkę i podejmij ją na pewno na nowo, jestem w miejscu, gdzie półtora roku temu rozumiałem, że walczyć trzeba, niezależnie od wyniku tej walki, że jest to dla mnie walka o siebie. Przyjechałem zobaczyć tylko co dzieje się w stoczni, ale teraz myślę: nigdzie się stąd nie ruszę, tylko tutaj jest bezpiecznie.

Przy III Bramie jest Biuro Projektów. Idziemy najpierw do siedziby Społecznego Komitetu Budowy Pomnika Poległych Stoczniovców. Z głośnika słychać niewyraźny, przyduszony głos: „Mówi dyrektor stoczni, do godziny 14-ej wszyscy pracownicy mają opuścić stocznie. Strajk jest bezprawny. Ci, którzy nie zastosują się do zarządzenia podlegają prawu stanu wojennego...”

-- To nie jest Gniech, to nie jego głos – mówi Zygmunt Manderla, sekretarz SKBP.

Nic z tego nie rozumiem. Jest strajk, a nikt nie zajął radiowęzła. Zamiast Komitetu Strajkowego mówi dyrektor lub ktoś, kto się pod niego podszywa. Ale zaraz go wyłączą – pocieszam się.

Przemierzamy stocznę, aby znaleźć kogoś kompetentnego. W siedzibie Komisji Zakładowej rozgarniasz: nie widać nikogo z decydentów. Podobno zebranie Komitetu Strajkowego odbywa się dla bezpieczeństwa na terenie jednego z wydziałów. Docieram tam. Prowadzi przewodniczący stoczniovcy „Solidarności” - Alojzy Szablewski, obok niego Jurek Botowczak i jeszcze kilka znanych twarzy. Za chwilę dochodzą Waszkiewicz i Miąskowski. Odczytują komunikaty krajowego i regionalnego komitetu strajkowego; decyzje o podjęciu strajku z żądaniem zwolnienia aresztowanych i odwołania stanu wojennego. Jest to właściwie uściślenie wczorajszego komunikatu nr 1. Krajowy Komitet Strajkowy działa na terenie

Stoczni Gdańskiej, a jego szefem jest Mirosław Krupliński. Są tu trzy komitety strajkowe: stoczniowy, regionalny i ogólnopolski. Wszystkie wydają oświadczenia, lecz nie wiadomo czy: ktoś zajmuje się koncepcją i organizacją strajku.

Najgorsze, że spośród obecnych nie ma osoby, która miałaby tyle doświadczenia i autorytetu, była na tyle indywidualnością, aby pokierować tym najważniejszym obecnie strajkiem dla całej Polski. W sierpniu 1980 był cały sztab ludzi, ale ciężar spoczywał na dwóch: na Wałęsie i na Borsewiczu. Wałęsa był motorem, siłą napędową, swoją wiarą w zwycięstwo podtrzymywał wszystkich na duchu. Borsewicz organizował wszystko: dbał o to, aby cały mechanizm strajku właściwie funkcjonował. Razem dopełniali się znakomicie. Teraz nie widać nikogo na tę miarę.

Próbuję rozmawiać z Waszkiewiczem. Janek ma jakiś staż opozycyjny i jest dośwy energiczny. Pytam go o trzy sprawy, które wydają się ważne: radiostacja, radiowęzeł i biuletyn informacyjny. Radiostacji nie chce uruchomić, mówi, że z radiowęzłem też trudna sprawa, bo zajęta go grupa ubeków i trzeba by użyć siły, a co do biuletynu informacyjnego nie jest pewien czy powinniśmy się to robić na terenie stoczni. Spieszy się gdzieś, szybko odchodzi.

Nie chcę i nie mogę być tylko obserwatorem. jak w sali. Zbieramy się w kacie sali — ocalała grupka pracowników BIPS-u i dzielimy między siebie obowiązki. Marek ma się zająć organizacją serwisu informacyjnego, ja biorę na siebie sprawdzenie co się da zrobić z radiowęzłem.

W Biurze Projektów nadal z głośników słychać „komunikat dyrektora”, teraz już czytany przez jakąś panienkę. Nie możemy znaleźć nikogo, kto by mógł wskazać miejsce, gdzie, w najgorszym razie, można odciąć czy wyłączyć dywersantów. Dowiadujemy się tylko, że drugie wejście na radiowęzeł jest nad salą BHP. Sytuacja robi się dramatyczna: jest 12.30, za godzinę stoczniowcy zaczną wychodzić do domu i trudno będzie temu zapobiec. Ale ta groźba nie dociera jeszcze do kierownictwa strajku.

Organizujemy grupę osób i idziemy pod budynek BHP. Drzwi nie dają się wyważyć, a nikt nie chce rozbić okna. Zaczynam rozumieć. Jest źle, ludzie nie są zdecydowani, nad nami unosi się niewidoczna bariera strachu, niewiara w zwycięstwo podjętego strajku.

Wprowadzenie stanu wojennego, aresztowanie kierownictwa „Solidarności”, odcięcie informacji i możliwości komunikowania się sparaliżowało stocznię. Nikt nie powiedział stoczniowcom: wasz strajk jest najważniejszy, musicie zwyciężyć i zwyciężycie, jak w Sierpniu. Musicie tylko zostać.

Waszkiewicz powiedział mi: „Musimy sobie zdawać sprawę, że nasz strajk ma charakter symboliczny.” Jeśli tak myślą przywódcy, to czego można oczekiwać od szeregowych stoczniowców?

Jest już po 13-ej i nieuchronnie zbliża się exodus. Nie zapobieże temu nagłośniona nyska „Solidarności” jeżdżąca od kwadransa po terenie stoczni i nadająca apel, aby pozostać na wydziałach. „Ci, którzy będą chcieli wyjść — chrypi głośnik — muszą uzyskać poświadczenie przewodniczącego Komisji Wydziałowej „Solidarności” i mogą iść do domu. Nikogo nie będzie się zatrzymywać na siłę.”

Stocznia jest ogromna, pracuje tu 17 tys. ludzi, a nyska tylko jedna. Pod Drugą

Bramą — gdzie jestem — zaczyna być tłoczno. Coraz więcej robotników w kurtkach, z teczkami — chcą iść do domu. Straż robotnicza jest niezdecydowana. Najpierw przepuszcza część osób, potem na głosy sprzeciwu spod bramy — zatrzymuje resztę. Zdenerwowanie jest coraz większe.

Do stoczni wjeżdża samochód z żywnością. Kilku zdeterminowanych dezertarów, nie bacząc na niebezpieczeństwo, prześlizguje się na czworakach, pod kołami, na zewnątrz.

— Jak szczury! Jak szczury z tonącego okrętu! — podnoszą się okrzyki.

Słychać też gwizdy. Wzburzeni są ci z miasta, którzy przyszl pod stocznię, bo widzą w niej jedyny ratunek, wzburzeni też ci, którzy zostają opuszczeni przez kolegów.

Mikrofon bierze Fudakowski z Regionalnego Komitetu Strajkowego. Apeluje o spokój. Prosi, aby wypuścić wszystkich, którzy chcą wyjść, aby ich nie lżyć, zachowywać się godnie. Robi to impulsywnie, aby rozładować konflikt, ale łamie przecież postanowienia Komitetów Strajkowych. Można przecież odesłać ludzi do Komisji Wydziałowych, a w międzyczasie przemówić do nich, podnieść na duchu, wytłumaczyć wagę strajku. Przecież liczy na nich cała Polska.

Ale brama już się uciela. Ludzie uciekają przez nią wśród gwizdów, byle szybciej i byle dalej — od tego wstydu, od strachu, od sytuacji, która ich przerosła.

Podobno sceny przy bramie nr III, blisko kolejki, były jeszcze dramatyczniejsze. Wielu uciekało przez płoty, aby nie narażać się na gwizdy i obelgi. Wyszło blisko dwie trzecie stoczniovców.

Nie jest więc jeszcze najgorzej. Zostało 5-6 tysięcy ludzi. I to tych najbardziej zdecydowanych, najlepszych.

Czy można zmił tych, którzy wyszli? Nie. To nie ich wina. Nikt im wyraźnie nie powiedział co mają robić, nie dał odczuć, że prócz nazwy istnieje i działa Komitet Strajkowy, nie pokazał wagi i perspektywy tego strajku. Więc czemu mieli zostać?

Wchodzę do siedziby stoczniowej „Solidarności”, która zajmuje kilka pokoi w piętrowym budynku przy Drugiej Bramie. Stąd odczytywane są komunikaty z nazwiskami aresztowanych działaczy — jedyne teksty, które można zaoferować ludziom. Rozgardiasz, coraz więcej znajomych twarzy. Płyną krótkie relacje, jak kto się uratował.

— Bożena zabarykadowała drzwi deskami, z których stolarz miał właśnie robić regał. Po dwóch godzinach dobijania się, wyważania zamka, sąsiedzi przegonili trzech milicyjnych muszkietierów, którzy udali się po posiłki. Ta chwila wystarczyła, aby wraz z córką przedostać się do sąsiedniej klatki i schronić u znajomych.

— Gedymin zatrzymany wraz z nocną zmianą serwisu BIPS-u w Hotelu Morskim — siedzibie „Solidarności” — towarzyszył ubekom przeszukującym pomieszczenia. Korzystając z chwilowego zamieszania zamknął się w jednym z nich od środka. Ekipa odjechała zapomniawszy o nim.

— Zenek stoczył walkę z trójką napastników, którzy nie potrafili wylegitymować się nakazem aresztowania i uciał.

— Bogdan zwiłł po picurnochronie z piątego piętra. Podobno strzelano za nim, ale za domem zaczyna się las...

Tę ostatnią wiadomość dziwi mnie. Przed chwilą czytano nazwisko Bogdana na liście aresztowanych. A poza tym gdyby mu się udało – byłby już tutaj.

Jest już 17-ta. Wyrwam się z tego kręgu znajomych twarzy i gorączkowych, nie zawsze sprawdzonych informacji, podawanych z ust do ust. W wydziałowej świetlicy przy bramie nr III spotkanie Stocznioowego Komitetu Strajkowego z delegatami wydziałów. Jurek Borowczak sprawdza ile wydziałów ostało się, wydaje dyspozycje. Okazuje się, że ogromna większość wydziałów jest reprezentowana. Atmosfera rzeczowa, konstruktywna. Pada wniosek o połączenie Komitetów Strajkowych w jeden, o uporządkowanie sytuacji w stoczni.

Może wreszcie zacznie się prawdziwy strajk?

Jest 18-ta. Spotkanie przenosi się do stołówki, przy Drugiej Bramie, gdzie mają spotkać się przedstawiciele strajkujących zakładów (ile ich jest?) z Regionalnym i Krajowym Komitetem Strajkowym.

Lewe skrzydło stołówki jest w całości zajęte. Za stołem, pod ścianą Krupiański i Waszkiewicz z „krajówki”, Miąskowski i Fudkowski – z regionu, paru innych. Najpierw odczytanie znanych już wszystkim komunikatów nr 1 i 2. Potem rejestracja zakładów pracy, relacja o sytuacji w Trójmieście. Zawiązuje się coś na kształt sierpniowego Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego.

Przez tłum przeciska się ksiądz Jankowski. Ma coś ważnego do zakomunikowania. Bierze tubę.

– Jest inicjatywa rozmów ze strony Fiszbacha i Kołodziejskiego – mówi – był telefon...

Ludzie nie pozwalają mu dokończyć. Ta wiadomość radykalizuje nastroje.

– Żadnych rozmów do momentu wypuszczenia Wałęsy

– Wałęsa na stocznię i wtedy możemy gadać!

– Nie tylko Wałęsę, lecz wszystkich aresztowanych...

– Tak, tak! Wszystkich – padają okrzyki.

Ludzie kierują je do księdza Jankowskiego, jakby to on był rzecznikiem władzy, a nie „Solidarności”. Ksiądz próbuje coś jeszcze mówić, w końcu macha ręką i wychodzi. Jest zrezygnowany.

Przeciwnie przedstawiciele załóg. Pierwszy raz dzisiaj widzę uśmiechnięte twarze, ludzi zdecydowanych, nastawionych rewolucyjnie. Zaczyna być dobrze.

Krupiański i Waszkiewicz ustalają jutrzejszy, południowy termin spotkania i proszą, aby powoli rozchodzić się. Nie jest – ich zdaniem – bezpiecznie przebywać tak długo w jednym miejscu. Gdyby był desant zwinęto by od razu wszystkich najważniejszych. Jest w tym rozumowaniu sporo racji, ale jak tu działać, jeżeli nie można się nawet zebrać na godzinę? Czy w tym oczekiwaniu na apokaliptyczny atak nie ma niepotrzebnej psychozy, czy nie lepiej działać tu, w stoczni, otwarcie i zdecydowanie, aby ten spokój promieniował na miasto?

Ludzie powoli i niechętnie rozchodzą się. Dowiaduję się o zaleceniach na noc. Nie będzie straży na bramach, wszyscy mają pochować się na wydziałach, zabarykadować, wygasić światła. W razie wezwań milicji do wyjścia – nie ruszać się z miejsc. Ta tskytka wydaje się być jedyną rozsądną, się jej defensywność nie wróży nic dobrego.

Zbliża się 20-ta. Wychodzę ze stoczni, wbrew danemu sobie przyrzeczeniu. Ja-

dę do Wrzeszcza, na spotkanie z ludźmi z BIPS-u, którzy zosiali na zewnątrz. Nie wrócę tu dziś na noc; ale wiem, że stocznia tę noc przetrwa.

W tramwaju spada na mnie mieszanina przerażenia i euforii. Teraz dopiero zaczynam rozumieć, że sytuacja jest bezwyjściowa. Pragnę, jak tysiące mieszkańców Gdańska, aby strajk w stoczni utrzymał się, aby urosł w siłę. Cieszy mnie każdy przejaw, każda oznaka tego, że jest to możliwe. Ale zapominam, że jeśli tak się stanie, jeśli do stoczni wrócą ludzie, jeśli pod bramami będą tłumy, jeśli w końcu wojsko odmówi pacyfikacji to... to co, właśnie? Nie ma się co oszukiwać; Gdańsk usłyszy stukot butów radzieckiego żołnierza, który już raz zrównał to miasto z ziemią.

Otrząsam się z tych myśli. Z myśli, których logikę trzeba odrzucić, bo inaczej nie byłoby ani Sierpnia, ani „Solidarności”...

Spotkanie jest krótkie. Uzgadniamy, że jeżeli Biuro Informacyjne ma zaistnieć to jedynie w stoczni. Tam przecież kierują się wszyscy ludzie, nie tylko z regionu, ale z całej Polski. Jutro rano Marek ma wziąć wszystkich ludzi i zainstalować się przy Drugiej Bramie.

Jest już po 21-ej. Rozchodzimy się.

Wtorek 15 grudnia

Znow w żółto-niebieskiej kolejce, tym razem z Hanką. Jedziemy z jedną myślą: jest strajk czy go w nocy spacyfikowano? Wczoraj byłem pewien, że stocznia przetrwa, ale już dziś nie potrafię uzasadnić wczorajszego optymizmu.

Na wysokości Stoczni Północnej na ulicy Jana z Kolna migają sylwetki zielonych chrabąszczy. To transportery wojskowe. Kolejka zatrzymuje się. Wyladamy i po obłożonych schodach wdrapujemy się na drewniany most nad torami. Naprzeciw III bramy czołgi i skoty, żołnierze. Na bramie jednak nadal biało-czerwone flagi. Przy żelaznych kratkach kilku młodych chłopców w stoczniowych kombinizonach. Jest też trochę ludzi, którzy przyjechali zobaczyć czy „ich stocznia” trzyma się.

Schodzimy na dół. Rozmawiam z chłopakami. W nocy weszły silne oddziały ZOMO. Pod presją groźb i wezwań duża część strajkujących wyszła. Większość puszczano do domu, zatrzymywano tylko wybranych. Ale nie wszyscy wyszli. Komitet Strajkowy istnieje nadal i strajk trwa.

Idziemy wzdłuż płotu w stronę Pomnika i Drugiej Bramy: Tam powinno być centrum strajkowe. Wraz z nami podąża w tym kierunku sporo osób.

Za domów wylaniają się trzy krzyże Pomnika. Pod nimi transportery wojskowe i żołnierze. Widok, którego tu — mimo wszystko — nie spodziewałem się ujrzeć. Z daleka wygląda to groźnie, ale kiedy podchodzimy bliżej sytuacja zaczyna być surrealistyczna.

Złębnięci żołnierze mają niewyraźne miny. Wokół nich zbiera się coraz więcej ludzi, którzy tłumaczą im coś, pytają, klną.

— Po coście tutaj przyjechali?

— Będziecie do nas strzelać?

— Chłopcze, mogłabym być Twoją babką, mówię Ci, jedź lepiej do domu...

Żołnierze zupełnie nie potrafią odpowiadać na te pytania, zaczepki. Bo cóż tu można powiedzieć? Dostali rozkaz, to przyjechali. Jechali z polygonu trzy dni, nawet nie wiedzieli dokąd. Kazano im tu stanąć, to stoją. A strzelac nie mają zamiaru, nie dostali nawet ostrych naboii.

Ale ludzie są życzliwi, częstują papierosami i rozmowa w końcu nawiązuje się. „Dogadamy się jak Polak z Polakiem” – żartuje któryś z bardziej rozgarniętych żołnierzy. Z przerażeniem dostrzegam, że do jednego z czołgów ktoś zdążył przypiąć mały plakat ze znakiem „Solidarność”. Żołnierze też widzą go, ale żaden z nich nie próbuje go zrywać.

Pod Drugą Bramą rośnie tłum. Nie ma wczorajszego nagłośnienia, jest tylko tuba, ale młodzi stoczniovcy z Piłsudskiego (stocznia przylegająca do Lenina) mówią sensownie, czuć w tym ducha. Przypominam sobie te żartobliwe telefony po nadaniu imienia Józefa Piłsudskiego Stocznii Remontowej: „Czy to Piłsudski? – Lenin się kłania”. Rzeczywiście warto pokłonić się młodym chłopcom z Piłsudskiego.

Przez bramę przechodzimy bez trudności, mój identyfikator nadal wystarcza za przepustkę strajkową. Jest parę znajomych twarzy. Dowiadujemy się, że w nocy wyszła znaczna część strajkujących. Nie wytrzymali nerwowo. Część z nich aresztowano, m.in. przewodniczącego stoczniovej „Solidarności” – Szablewskiego. Jest jednak nadal Krupiński, Waszkiewicz, są działacze z Regionu.

Tak, ale nadal nie ma kierownictwa, nikt tak naprawdę nie panuje nad sytuacją. To przedziwne, że strajk trwa nadal, bo nikt go nie organizuje, większość rzeczy dzieje się sama z siebie, tak jak sami z siebie przyszli tu chłopcy z Piłsudskiego. Teraz – również sam z siebie – modli się z tłumem pod Drugą Bramą ks. Bronisław Śroka. Więc trzeba się włączyć w ten nurt oddoonej reanimacji strajku.

Zaczynamy od sprawy najprostszej – nagłośnienia. W parafii św. Brygidy u ks. Jankowskiego, są tuby, jest też wzmacniacz. To niedaleko. Wybieramy się tam kiedy właśnie mija nas jego mercedes. Dopadam księdza, mówię o naszych problemach. Kiwa ze zrozumieniem głową, ale od razu widzę, że nie ma zamiaru pomóc. Uważa chyba strajk za z góry przegrany, za protest, który może co najwyżej doprowadzić do rozlewu krwi.

Zostawiam więc kapelana „Solidarności” i wdrzuję się na dach portierni. Proszę chłopaków, aby zaapelowali o przywiezienie z jakiegoś strajkującego zakładu aparatury nagłaśniającej. Apel zostaje odczytany.

Jestem jeszcze na górze, kiedy od strony „Zieleniaka” słychać dudnienie. Wjeżdża nowa kolumna czołgów i transporterów. Ustawia się pod ścianą domów i kieruje lufy w stronę drugiej Bramy. Tłum fuluje niespokojnie. Robi się groźnie.

Bezimienny chłopak przekrzykuje ryk motorów.

– Ludzie, nie bójcie się. Żołnierze nie będą do nas strzelać! Jeśli usłyszycie huk, to będzie strzał na postrach, ślepy! Nie bójcie się wtedy, nie uciekajcie!

Intonuje: „Jeszcze Polska...” Ludzie podchwytyją, hymn zagłusza ryk motorów, strach zostaje przełamany. Drugi chłopak bierze do ręki tubę.

– Idźcie do żołnierzy! – mówi. – Wytłumaczcie im, że źle robią, przekonajcie ich, że...

Mówi dalej, ale nikt go już nie słucha. Grupy ludzi odrywają się od bramy, zmierzają w stronę kolumny czołgów. Przy każdej opancerzonej maszynie jest już wia-

nuszek osób. Zaczyna się proces resocjalizacji żołnierzy. Za chwilę i na tych transporterach pojawią się znaki „Solidarności”, a w lufach czołgów — kwiaty. A za kilka kwadransów pojedynczy, zziębnięci żołnierze będą przekraczać Drugą Bramę, aby napić się gorącej herbaty i porozmawiać ze stoczniovcami.

Zbliża się dwunasta. Czepiam się tej godziny, bo oznacza ona drugie spotkanie Krajowego Komitetu Strajkowego z przedstawicielami strajkujących załóg. W stołówce mniej osób niż wczoraj, ale sala powoli zapełnia się. Są już liderzy: Krupiński i Waszkiewicz, jest też Miąskowski i Pawlicki z Regionu.

Krupiński w suchych, zwężonych słowach nakreśla sytuację. Jest źle. W nocy większość załogi opuściła stocznnię. Strajk trwa jednak nadal i będzie kontynuowany.

Jego słowa nie docierają do wszystkich. Jedyna tuba potrzebna jest na bramie. Szymon Pawlicki wdrapuje się na stół i odczytuje komunikat nr 3 Krajowego Komitetu Strajkowego. Jest w nim jedna ważna, strategiczna wiadomość. Jutro, 16 grudnia, niezależnie, a właściwie na przekór stanowi wojennemu, pod Pomnikiem Poległych Stoczniovców odbędą się obchody jedenastej rocznicy Grudnia.

Ludzie odpisują treść komunikatu. Krupiński — już tradycyjnie — wzywa do zakończenia spotkania. Mówi, że dłuższe przebywanie tutaj nie jest bezpieczne. Zebrani powoli rozchodzą się. Boją się, że wielu z nich w poczuciu, że są pozostawieni sobie, że nie dowiedzieli się tutaj nic takiego, co mogliby przekazać załogom. Muszą radzić sobie sami.

Łapię jak zwykle rozchwytywanego Waszkiewicza. Upoważnia mnie do napisania w jego imieniu apelu do mieszkańców Gdańska w związku z jutrzejszą manifestacją.

— Napisz, żeby przyszli spokojnie, że ich siłą jest spokój i solidarność — mówi. — Zresztą sam wiesz najlepiej.

I już błęnie gdzieś dalej. Chyba wiem, muszę przecież wleźć.

Śladam w spokojnym kącie stołówki, przy oknie. Piszę. Potem, wspólnie z Adamem, nanosimy poprawki. Brzmi to tak:

Jutro miją jedenasta rocznica wydarzeń na Wybrzeżu. W sierpniu 1980 Lech Wałęsa zapowiedział, że co roku, niezależnie od sytuacji będziemy się zbierać przed II bramą Stoczni Gdańskiej, że nic nie jest w stanie nam w tym przeszkodzić.

MIESZKAŃCY TRÓJMIASTA!

Bądźcie wszyscy 16 grudnia o godz. 17 pod Pomnikiem Poległych Stoczniovców. Przyjdźcie spokojni i zdecydowani, by zmanifestować naszą jedność i solidarność z tymi, którzy jedenaście lat temu oddali życie, byś TY mógł żyć godnie, a także z uwięzionymi i strajkującymi od 13 grudnia członkami NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”.

Ze strony żołnierzy nie grozi nam żadna przemoc. Przed spokojnie podążającym na manifestację tłumem rozstąpią się wojskowe kordony. Ten dzień będzie dniem solidarności i moralnego zwycięstwa NARODU.

Tytułujemy to ODEZWA DO MIESZKAŃCÓW TRÓJMIASTA. Tekst musi jeszcze podpisać Waszkiewicz i będzie można go kolportować.

Pół godziny później słyszę znajome słowa odczytywane na bramie. To już nie tuba; w międzyczasie przywieziono wzmacniacz i głos z koturny niesie się daleko, dociera do żołnierzy zgromadzonych przy transporterach. Zresztą coraz więcej przenika ich do stoczni. Piją herbatę, jedzą, odpowiadają na pytania.

— Jestem z Malborka. Mój stary pracuje w Stoczni Remontowej. Nie, nie będziemy strzelać. Odmówimy wykonania rozkazu.

Te słowa nie przechodzą łatwo przez gardło. A przecież paru żołnierzy posunęło się dalej. Podobno załoga jednego z transporterów zaferowała wjechaniem do stoczni i pozostanie ze strajkującymi. Nikt jednak nie jest w stanie wziąć na siebie takiej decyzji. Jej skutki są nie do przewidzenia.

Marek z ludźmi nie zjawił się, nie wiem, co się stało, a roboty jest coraz więcej. Przepisujemy komunikaty Krajowego Komitetu Strajkowego, liisty Bogdana Lisa, odezwe do mieszkańców Trójmiasta. Teksty są powielane na miejscu. Przenikają też do miasta, gdzie powiecia się je dalej.

Jest już szaro. Zbliża się wieczór, potem noc. Boję się, że będzie to ostatnia noc stoczni. Nie wiem, ilu nas teraz jest: 500, 1000 osób? Ilu zostanie na noc? Wpada mi w rękę projekt czy pierwszy egzemplarz komunikatu nr 4 Krajowego Komitetu Strajkowego. Czytam w nim: „Jednocześnie oświadczamy, że zakończenie strajku w stoczni i nasze ewentualne aresztowanie nie oznaczają końca działania naszych Komitetów. Ci, którzy są na zewnątrz stoczni przejmą działanie.”

Więc nie tylko ja obawiam się zakończenia strajku, zakończenia bez próby oporu, „bez jednego wystrzału”. Tej nocy ZOMO wypłoszy resztki stoczniowców z wydziałów I rano, co którzy przyjdą pod Drugą Bramę dowiedzą się, że strajk zakończył się. Po prostu ludzie poszli do domu.

Wychodzę z piętrowego budynku pełen niewesołych myśli. Idę w stronę stółki przegryźć cokolwiek, kiedy nagle dostrzegam od strony bramy widmo. Widmo Bogdana.

Jestem pierwszą osobą, która widzi Bogdana w stoczni. Jego pojawienie się uważam niemal za cud, za objawienie. Potem dopiero myślę: dlaczego tak późno?

Szybko wymieniamy uwagi o tym jak jest i dlaczego tak jest. Odpowiadam na krótkie, sondujące pytania: ile jest ludzi, co z radiowozem, co ze stocznową drukarnią, jak trzyma się Remontówka? Mówię, co wiem. Nagle Bogdan przerywa mi:

— Trzeba się zdecydować, czy jest strajk czy go nie ma. Jeśli jest, to trzeba opanaować stocznię, zabarykadować bramę i nie wpuszczać ZOMO-wców w nocy. To jest strajk. A jeśli mamy się chować, to lepiej od razu iść do domu.

To najprostsze stwierdzenie przemawia do mnie swą logiką. Umawiamy się za pół godziny, mam przyprowadzić paru ludzi. Bogdan, wspólnie z Anną Walentynowicz, która zdążyła go już wypatrzeć, odjeżdża stoczniovym wózkiem na poszukiwanie Krupińskiego, a także pogadać z chłopakami z Remontówki.

O 18-ej siadamy przy kilku zsuniętych stolikach w końcu wlekiej sali. Obok Bogdana, Krupiński — szef KKS, Anna Walentynowicz, parę osób z Komisji Zakładowej Stoczni, paru dziennikarzy. Krupiński zaakceptował już plan Bogdana. Trzeba wyznaczyć odpowiedzialnych za poszczególne bramy, zorganizować obronę, aprowizację, wydać nowe przepustki. W ciągu kilkunastu minut zawązuję się prawdziwy Komitet Strajkowy z podziałem obowiązków, kompetencji. Jego nieoficjal-

nym szefem jest Bogdan – on jeden ma tu autorytet, ludzie słuchają go, wierzą mu po prostu. Wszyscy rozchodzą się, by zdążyć pozałatwiać najniezbędniejsze sprawy, bo za godzinę kolejne spotkanie w stołówce. Tylko my dziennikarze mamy trochę oddechu. Wyruszyliśmy więc na spacer po ciemnej, uśpionej stoczni. Przechodzimy przez most pontonowy na drugą stronę stoczniowego kanału. Idziemy na granicę Lenina i Piłsudskiego. Spokój, zamarte dźwigi. Gdyby nie mróz i śnieg byłoby tak samo jak w sierpniu. Pamiętam, kiedy 31 sierpnia, 15 miesięcy temu, opuszczałem stocznię, czułem żal, że walka się skończyła, że wbrew pozorom nie jest wcale wyprana. Dziś rozpoczyna się na nowo.

– Teraz widać, że to nie stoczniowcy wygrali sierpniowy strajk – odrywa mnie od własnych myśli głos Adama – oni tylko stanowili masę; kierował, decydował kto inny. Stocznia wygrała, bo jest tak liczna i tak fantastycznie położona.

Nie wiem czy ma do końca rację, nie wiem, czy ma rację Zbyszek, który twierdzi, że teraz siłą będą kopalnie, Śląsk, a nie Wybrzeże. Wiem tylko, że jeśli stocznia padnie, padła się cały kraj. I wiedza to samo wykonawcy planu Susłowa i Jaruzelskiego.

Dochodzimy do bramy, gdzie obie stocznie. Chłopcy z biało-czerwonymi opaskami tupią z ziarną zabijając dźwiękami w rękawicach. W Remontówce zostało 1000 osób, może trochę więcej, sami młodzi. Warty są rozstawione, w razie czego można odczepić oba mosty pontonowe – ten od Lenina i ten od miasta i stocznia stanie się wyspą. Nie warto więc przenosić się do Lenina, bo tam będzie ciężiej.

O 20-ej kolejne spotkanie. Wracamy.

Za zamykami stolikami już więcej osób. Przybyło też ciekawskich, którzy cisną się, aby coś zobaczyć, usłyszeć. Rozeszła się już wieść, że jest Bogdan, że coś się dzieje. Kolejne osoby zdają sprawozdanie z sytuacji. W stoczni jest teraz 300–400 osób. Będzie trochę gorąca herbata i kanapki. Bramy można zatarasować ciężkimi naczepami, oświetlić, zamocować syreny okrętowe. Będą piece-koksowniki, trzeba pociąć pręty, aby każdy miał coś w garści i podłączyć hydranty. Jeśli ludzie na bramach nie będą wyglądać groźnie – stak ZOMO może nastąpić zaraz po rozpoczęciu się godziny policyjnej.

Pojawił się przedstawiciel kierowców autobusów. Pyta się czy mają jutro zjechać do stoczni. Bogdan mówi:

– Przyjedźcie dzisiaj.

– Nie, dzisiaj to niemożliwe, ludzie już się rozeszli.

Zostaje podjęta decyzja, że wszyscy, którzy mogą, nawet spoza stoczni, zostają na noc. Od jutra mniejsze zakłady pracy mają przenieść strajk do Lenina.

Przez kordon stojących przeciska się jakiś mężczyzna. Nie zważając na Krupińskiego, który znowu asystuje Bogdanowi, mówi:

– Nie wiem, czy mnie wszyscy znają – jestem Konarski z Prezydium Komisji Krajowej. Co tu się właściwie dzieje?! Krajowy Komitet Strajkowy nie zarządził żadnego spotkania. Co to za decyzje o oporze, o barykadowaniu bram...?

Nikt go jednak nie słucha. Bogdan na chwilę podnosi głowę, chce coś powiedzieć, rezygnuje jednak i kontynuuje naradę dalej. Któryś z obserwatorów klnie tylko pod adresem intruza.

– To coś tu robił od niedzieli, jeśli jesteś z Komisji Krajowej?! Do tej pory nie

było żadnej organizacji, żadnych decyzji! Przecież wszystko zaczyna się dopiero teraz.

Konarski wycofuje się. Widzi, że wiecie tu swoimi tytułami nie zwojuje. Narada też powoli kończy się. Jest tak wiele do zrobienia!

Zostaje jeszcze chwilę w stołówce gdzie „piszą się” już nowe przepustki. Jest to konieczne – przybyło nam trochę osób z zewnątrz, m.in. studenci Uniwersytetu i Szkoły Morskiej. Poza tym trzeba będzie wyeliminować ubeków, których musi tu być zatręślenie. Do tej pory nikt nie zwracał na to uwagi.

Wychodzę przed bramę. Nadchodzi najgorsza pora, między 21.00 a 22.00, kiedy ze stoczni wyciekają ci, którzy nie zdecydowali się zostać tu na noc, a spod bramy znikają ostatnie grupki ludzi. Czujemy się trochę osamotnieni. W końcu jest nas garstka.

– Do jutra, do jutra! – powtarzają odchodzący.

Chcę wierzyć, że do jutra. Jeśli stocznia przetrzyma tę noc, przetrzyma i parę następnych. Dojdą ludzie z innych strajkujących zakładów oraz ci, którzy przyjdą pod Pomnik na popołudniową manifestację. Będzie to bardzo długa noc.

Na szczęście jest się czym zająć. Najważniejsze jest zabezpieczenie wszystkich bram. Druga Brama jest już zatarasowana, jest też syrena okrętowa, którą można uruchomić w przypadku ataku. Trwa podłączanie węży do hydrantów. Chłopcy ciągną je przez okna stołówki na dach portierni. Ruch, gwar – praca wre. Przy bramie nr III podobnie. Straż ma już metalowe pręty, zastanawiają się nad podciągnięciem lokomotywką paru wagonów-płatform, aby dodatkowo zabezpieczyć bramę.

Najlepsza atmosfera panuje przy bramie nr 1, tej od strony Wałowej. Tu szefem jest Zenek, ten, któremu w domu nie dało rady trzech napastników. Na bramie wywieszono plansze: „Nie zbliżać się! Wysokie napięcie!” Co parę minut jeden z chłopaków przytyka elektrodę i z bramy sypie się snop iskier. Z daleka musi to robić wrażenie.

– To taki bajer – mówi Zenek. – Tak naprawdę napięcia nie ma.

Na stoczniowej uliczce spotykam Bogdana, który niestrudzenie, w asyście dwóch adiutantów, przemierza przestrzeń między bramami. Sprawdza zabezpieczenia, dodaje ludziom otuchy. Jest już w stoczniowym kasku, w rękę ma pręt, który używa jako łaskę. Właśnie bada stan swego krzyża.

– Już nie te lata – śmieje się. – Człowiek niezwykający tak się ruszać.

I biegnie dalej. Jest jeszcze wiele do zrobienia. Trzeba zabezpieczyć bramę kolejową, jest też niewielka brama, którą dowozi się żywność do stołówki. Na amen o niej zaponieliśmy, a trzeba ją przynajmniej podeprzeć.

Nawet nie wiemy, kiedy minia północ.

Sroda 16 grudnia

Jest zimno. Wchodzę do hallu stołówki, gdzie przywieszono właśnie kocioł gorącej herbaty. Biorę trzy pełne kubki i wracam do chłopaków pod bramę. Stoimy na obfodzonej ziemi, przy żelaznych sztachetach ogrodzenia i patrzymy na metalnie cichy, uspiiony plac, nad którym górują trzy krzyże.

– Nie, oni się nie odważą. – mówi naraz ktoś – Nie w tym miejscu, nie tego dnia. Jest przecież rocznica Grudnia.

Tak. Dla każdego normalnego Polaka to miejsce jest poświęcone. Tu zabito pierwszych trzech stoczniowców 16 grudnia 1970 roku. Tu – od 1977 roku – wbrew zakazom władzy odbywały się manifestacje organizowane przez Wolne Związki Zawodowe Wybrzeża. Tutaj – w końcu – rozpoczął się sierpniowy strajk 1980 roku – strajk, który zmienił oblicze Polski, pozwolił jej podnieść się z kolan. Z tego miejsca zdjęcia Drugiej Bramy z portretami papieża, Matki Boskiej Częstochowskiej i tłumów ludzi wędrowały na okładki ważniejszych tygodników świata. Czy władza więc może sobie pozwolić na użycie dzisiaj siły pod Pomnikiem przy Drugiej Bramie? Przecież byłaby na zawsze przegrana, skończona!

– Za tych, co stają tu jedenaście lat temu – mówi ktoś.

Pijemy zdrowie, letnią już, herbatą.

Powoli mijają godziny. Co pewien czas, pod bramę podjeżdża zaprzyjaźniona karetka pogotowia. Lekarz mówi, że w mieście spokój, nie widać koncentracji milicji, normalne patrole. W razie czego da znać.

Dwa czy trzy razy uciąż Jana z Kołna przejeżdża wolno milicyjna suka. Nie próbuje nawet zbliżyć się do stoczniowej bramy. Nie wiadomo czy to zwiad czy normalny patrol.

Jest już po 4-ej: teraz dopiero ludzie zaczynają odczuwać zmęczenie. Każdy zdrzemnąłby się chociaż na pół godziny. Taka pora. Wielu tak naprawdę nie spało od poniedziałku, do tego mroź (-18C), wysiłek fizyczny i byle jakie jedzenie. Coraz więcej osób śpi na stolikach w stolówce. Śpią też dlatego, że przyszło odprężenie psychiczne. Wielu mówi: „Jeśli nie zaatakowali do tej pory – nie zaatakują już. Nie zdążyłby przed godziną policyjną uporać się z nami i wycofać.”

Nie wierzę w to, ale kiedy jest już 5.30 mam dosyć. Zmarznięty, szczękający zębami, zsnuwam dwa fotole w zdemolowanym poprzedniej nocy przez ZOMO gabinecie dyrektora ekonomicznego stoczni i zasypiam. Sen trwa może 15 minut, kiedy słyszę ryk motorów i nerwową krzanię przy bramie. Więc jednak zaczyna się! Przez okno gabinetu widać zajeżdżające w długim szeregu budy milicyjne. Złowrogo migają na dachach niebieskie światła. Są też milicyjne transporterzy. Myślę, obstawiają stocznice, aby ludzie nie mogli się tu dostać. Przecież już szósta.

Zbiegam na dół. Trwa rozmrażanie hydrantów, którym mroź dał radę. Ktoś uruchamia syrenę, aby ostrzec ludzi przy innych branach. Nie wiemy, co zamierza ZOMO. Samochody, transporterzy, mają cały czas włączone motory, ich ryk zagłusza słowa. Brak nam zdemolowanych głośników, które mogłyby posłużyć jako broń słownego zażenania.

Ktoś intonuje „Jeszcze Polska...” Śpiewany z całych sił i chyba dopiero podczas tego hymnu rozumiemy jak nas niewiele i że nasza obrona może być tylko symboliczna.

Wbiegam do stolówki. Z góry widać wyraźniej szereg milicyjnych bud, zatarasowaną bramę, dach portali. Na dachu i zamprowisowanej barykadzie przy bramie kilka szczupłych sylwetek. Za bramą meduza grupka osób z żelaznym piętaną w rękach.

Nagle ryk wzmagą się Rozpędzony transporter bez ostrzeżenia wał w Drugą

Bramę, ludzie rozpierchają się na boki. Z bramy i barykady robi się harmonijka, jakby zatrzymuje na chwilę, potem wraz z transporterem jedzie do przodu. W górę wyiatuje ciało jakiegoś chłopca i wali się na śnieg.

Ci, którzy wraz ze mną widzieli to z góry są zaszokowani.

— Niech i mnie też zabiją! — krzyczy ktoś histerycznie i biegnie po schodach na dół.

Za transporterem wjeżdża do stoczni długi szereg milicyjnych bud. Nie zatrzymują się przy Drugiej Bramie, która przestała istnieć, jadą dalej w głąb stoczni, by potem rozjechać się w stronę I i III bramy.

Przy stołówce coraz więcej ZOMO-wców. Nie wchodzi do środka, nie wiedzą co ich tu czeka, też pewnie trochę się boją. Młodzi chłopcy, których jest tutaj ze 30-tu nie są już przerażeni, są raczej bezradni. Chowają pod grzejnikami żelazne pręty nie bardzo wiedząc co robić dalej. Także nie wiem; co dalej? Walka nie ma sensu, ale nie mogę się po prostu poddać. Oznacza to w najlepszym razie Internowanie.

Gorączkowo obchodzę wielką halę w poszukiwaniu jakiejś kryjówki, gdy za szybą kuchni słyszę szepty. To dwie osoby z porażonej obsługi kuchni przedostały się przez płot jeszcze przed atakiem ZOMO, aby przygotować śniadanie.

Przez niewielkie okienko do wydawania posiłków pakuję się bez namysłu do środka. Za moim przykładem idzie jeszcze kilka osób. Kucharz w biały fartuchu i przepisowej czapie na głowie, wśród wielkich niklowanych kotłów wygląda jak zjawą. Jest tak samo przerażony i zdezorientowany jak my, nie potrafi udzielić nam konkretnych wskazówek, gdzie się chować lub którędy uciekać. Twierdzi tylko, że płot od strony ulicy Wałowej był nie obstawiony.

Zbiegam jakąś klatką schodową, ale na dole nie widzę żadnych drzwi. Wracam na półpiętro i otwieram niewielkie kwadratowe okienko. Jest ze dwa metry nad ziemią, można się tedy ewakuować na tyły stołówki.

Gramość się na zewnątrz wraz z jakimś wścizem. Z tej strony stołówki nie ma jeszcze ZOMO-wców. Szybko przechodzimy przez płot, który odgradza nas od składowiska blach i elementów konstrukcyjnych. Kucamy za fragmentem kadłuba. Mój towarzysz boi się iść dalej. Jest ciemno, przy następnym płocie można się natknąć na patrol ZOMO.

Zostawiam go i idę dalej. Jestem już 100 metrów od ogrodzenia, kiedy widzę kilkanaście sylwetek. Cofam się więc głębiej między blachy, aby poczekać aż się rozjaśni. Rozglądam się, ani śladu mojego niedawnego towarzysza, chyba zawrócić!

Wstaje szary świt. Od strony kanału nadlatują helikoptery. Lecą nisko, na ich podbrzuszach palają się i gasną czerwone, ostrzegawcze światła. Kolejno od strony I i III bramy słyszę zduszone „Jeszcze Polska...” i wybuchy świec dymnych. Helikoptery zawracają. Teraz lecą jeszcze niżej. Widzę w kabinie ludzi, oni mnie przecież też widzą. Ale nie ma to chyba żadnego znaczenia.

Z głośników słychać wezwania, aby dobrowolnie zgłaszać się przy sali BHP.

„Ci, którzy zgłoszą się sami będą mogli spokojnie pójść do domu. Wyjdźcie tylko przez Drugą Bramę” — dudni głośnik.

Ale i przez ten miarowo powtarzany komunikat przebijają się jeszcze raz rozpaczliwie „Jeszcze Polska...”

Przenikliwe zimno, miarowy turkot nadlatujących znowu helikopterów, ich czerwone światła, wybuchy świec dynowych i dudnienie gróźnika – wszystko to odbieram jak coś nieracjonalnego, co mnie nie dotyczy, tak jak odbierałem początek APOCALYPSE NOW COPPOLI w miękkim fotelu kina „Moskwa”. Jest to – wprawdzie nasza mała apokalipsa, ale dostatecznie wielka dla tych, którzy od półtora roku wierzyli w STOCZNIĘ – SERCE POLSKI, których podświadomość nie dość puszczająca nawet myśli o takim poranku w jedenastą Rocznicę Grudnia pod-Pomnikiem Poległych Stoczniovców. Dziś został rozbity jeszcze jeden mit: Mit, że dla komunistów istnieje coś świętego, że mogą się zaważyć przed czymkolwiek w walce o utrzymanie monopolu władzy. Papież i Matka Boska Częstochowska, Trzy Krzyże Pomnika, pamięć Grudnia – to wszystko nie było żadną przeszkodą. Po prostu rozbili bramę i wjechali. A teraz pacyfikują garstkę obrońców stoczni.

Otrząsam się z tego snu na jawie. Jest jasno.

Ruszam w stronę plotu. Ciemne sylwetki w sąsiadującej ze stoczną bazie transportowej mogą być sylwetkami robotników lub ZOMO-wców. Jest mi trochę wszystko jedno, przynajmniej zupełnie. Pocieszam się, że zawsze mogę jeszcze zawrócić do swojej korytówki. Ale już ktoś macha na mnie ręką, inny – najciszej jak potrafi – daje znak ręką:

– Iść bardziej w prawo, tam będzie dziura.

Za chwilę jestem po drugiej stronie. Ludzie prowadzą mnie do baraku. Wesoło buzuje ogień, gorąca herbata parzy wargi. Nikt mnie o nic nie pyta. I ja, i oni wiemy, że stocznia padła. I poza wszystkim innym jest nam z tego powodu po prostu głupio. Kiedy opuszczam bazę transportową kilku nie do końca zdecydowanych kierowców usiłuje przymocować nad bramą wjazdową transparent z napisem STRAJK.

Na ulicy Wałowej spokój. Stoczniowa brama nr 1 jest pusta, nie obsadzona przez ZOMO. Pozostał nawet napis: „Nie zbliżać się! Wysokie napięcie!”

Jest ósma rano. Wracam w stronę Placu Solidarności. Dojście od strony Biblioteki PAN blokuje kordon ZOMO-wców. Przy nich milicjanci, kobiety, młodzież. Tarcze z pleksi, osłony przeciwigazowe i długie pałki nie robią na ludziach wrażenia. Młodzi ZOMO-woy są niezdecydowani, jak wczoraj żołnierze. Któryś mówi, że wzięto go z wojska do ZOMO, nikt go nie pytał o zgodę.

– Przepuście nas pod Pomnik? – dopytują się ludzie.

– Od nas niewiele zależy – odpowiada któryś. – Za godzinę, dwie zabiorą nas stąd. Przyjdzie prawdziwe ZOMO, ci, którym darowano kary.

Od strony dworca, przy „Zieleniaku”, kordon ZOMO jest równie szczupły i niezdecydowany. Ludzie częstują przebierańców papierosami, próbują ich obłaskawić i zawstydzić zarazem. Popołudniowa manifestacja odbędzie się na pewno. Ludzi jest coraz więcej. Może więc nie wszystko stracone?

Jadę do Wrzeszcza, do mieszkania kontaktowego, zorientować się co z Markiem, dlaczego wczoraj nie przyszedł z ludźmi do stoczni. Marka nie ma, ale dowiaduję się, że już wczoraj rano poszła plotka, że stocznia została spacyfikowana, a później nie było komu podjąć decyzji. Dlatego nie przyszedł.

Dostaję gotącej herbaty i opowiadam. Mówię: „Ludzie na pewno przyjdą pod Pomnik, manifestacja odbędzie się.” Naradzamy się. Krupański, Bogdan i paru

jeszcze innych na pewno dobrze pochowani. Jeśli uda się zaapelować, aby ludzie weszli do stoczni – strajk odżyje.

Umawiamy się o 16-ej, przy klubie „Akwen” naprzeciwko „Zieleniaka”. Tam, gdzie teraz kończy się kordon ZOMO.

Próbuję złapać jeszcze kogoś we Wrzeszczu, a czas ucieka. Jest już jedenasta. W żółto-niebieskiej kolejce spotykam technika z telewizji, młodego chłopca, który z goździkiem w ręku jedzie pod Pomnik. Od dworca idziemy razem. Nie widzę przy „Zieleniaku” kordonu ZOMO – można więc chyba przejść pod stocznię. Mijamy klub „Akwen”, kłedy porywa nas do tyłu wracający tłum. Od strony Pomnika padają strzały, gaz łzawiący szczyple w oczy.

Co działo się w międzyczasie? Kobieta, która pracuje w „Zieleniaku” tak przeżywała godziny między 8-mą a 12-tą:

Do pracy nie mogę dojść normalną drogą przez ulicę Jana z Kolna, gdyż Marszanie z tarczami, w przyłbicach czy maskach na twarzy ustawieni są jak mur. Kordon milicji od „Zieleniaka” do klubu „Akwen” nikogo nie przepuszcza. Tłum zaczyna narastać. Coraz bardziej wzburzony, śpiewa hymn i pieśni religijne. Przerazający jest widok płaczących mężczyzn oraz młodych stocznolowców w kaskach zupełnie zszokowanych pacyfikacją, która trwa nadal. O godzinie 9.45 tłum przerywa zwarte szyki milicji i przedostaje się pod Pomnik. Po 10 minutach z megafonów wzywa się do rozejścia pod groźbą użycia przemocy osobistej. Ludzie nie reagują na to. Wtedy padają strzały petardami w tłum. Nikt nie zwraca uwagi na to, że pod Pomnikiem są matki z małymi dziećmi. Po pierwszych wystrzałach ludzie cofają się, ale natychmiast wracają. Padają następne serie petard. Młodzież podnosi płonące petardy i oarzuca w stronę strzelających milicjantów. W międzyczasie tłum narasta. Ludzie ściągają z różnych dzielnic miasta przed stocznię.”

Cofamy się przed dworzec. Linia demarkacyjna ustala się na wysokość ulicy Podwale Grodzkie. Przed „Zieleniakiem” instaluje się silny oddział ZOMO. Do klubu „Akwen” nie ma już dojścia. Petardy, puszki z gazem łzawiącym padają coraz gęściej. Dwa helikoptery nadlatują nad tłum, maksymalnie nisko, potem unoszą się do góry. Wszystko po to, żeby zastraszyć, rozpędzić ludzi. Ale ludzie nie rozchodzą się, przeciwnie, jest ich coraz więcej. Przód tłumowi stanowią młodzież, jest też kilku stocznolowców. Chłopak z biało-czerwoną flagą zachęca, aby iść do przodu, inni łapią i odrzucają puszki z gazem łzawiącym. Wiele osób ma kwiaty, są też matki z dziećmi. Dwóch licealistów we wzorowo skrojonych ubrankach niesie ogromny wieniec ze złocistą szarfą: Poległym w Grudniu 1970. Idą w kierunku ZOMO-wców nie zwracając uwagi na petardy i gaz, jakby nieświadomi niebezpieczeństwa. Zanin przesłoni ich chmura ciennej zawiesiny widać jeszcze jak unoszą się nad nimi milicyjne paliki, jak wieniec zostaje wdeptany w śnieg.

Opanowuje mnie bezsilna wściekłość: skierować samochody, autobusy pod Pomnik, rozbić stanowisko ZOMO! Ktoś rozdaje powieloną ODEZWE DO MIESZKANCÓW TROJMIASTA. Mnie też trafia się egzemplarz. Słowa: „Przyjdźcie spokojni i zdecydowani. Przed spokojnie podążającym na manifestację tłumem rozstąpią się wojskowe kordony” brzmią teraz groteskowo. Ale przecież jest dopiero trzecia.

a manifestacja ma być o piętej po południu. Może więc lepiej się nie gorączkować.

W kościele Mariackim spotkałem grupy osób ze stoczniowej „Solidarności”, które do tej pory były poza stocznią. Dowiedziałem się o nim przypadkowo, od spotkanego w tłumie Adama. Strzeliste, gotyckie mury, wielki krzyż pod sklepieniem i zagubione w tej przestrzeni, wywołujące się z półmroku sylwetki kilku osób. Słyszysz szepty:

— Onlecha można zostawić, sprawdził się jako dyrektor.

— Tak, ale paru naszych trzeba wypisprzyć. Tego z K-Z, na przykład.

Rozmawiają o tym, jakie błędy popełniła stocznia, co należy zrobić po zwycięstwie! To jest właśnie nasza polska rzeczywistość, nasze marzycielstwo. Pytam się jak chcą skierować tłum do stoczni, czy mają choćby tubę. Nie mają. Mają dobre chęci i świadomość, że trzeba coś zrobić. A to jak na dzisiaj -- za mało:

Jestem zrezygnowany. Do 17-ej jeszcze ponad godzina. Ślademy z Adamem w najbliższej knajpie. Nie mogę nic jeść, piję tylko kawę. 200 metrów od nas tłum walczy z oddziałami ZOMO, a tutaj prócz zapachu gazu łzawiącego spokój, mężczyźni w garniturach, eleganckie panie. Że działa na mnie ten dysonans, dopijam kawę i wychodzę.

Ludzi jest coraz więcej, ale ZOMO-wców też przybyło. Teraz strzelają już petardami i gazem wprost w ludzi. Taki strzał może być groźny. Jeśli trafi w twarz może okaleczyć, może nawet zabić.

Biało-czerwona flaga powiewa nad głowami. Z drewnianych ławek powstał zaczątek barykady. Któryś z chłopaków ma maskę gazową, inny ZOMO-wską tarczę. Musiało więc dojść do walki wręcz.

Tłum jest ogromny: wypełnia całą przestrzeń między dworcem Głównym, hotelem Monopol i rzędnie dąbiami w okolicach Huszka. A przecież od strony Rajskiej i Wałowej też napływają ludzie. Jest ich wielu -- młodzież, mężczyźni, kobiety, nawet dzieci. Jesteśmy razem. Nie chcemy walki, rozlewu krwi, chcemy spokojnie iść pod Pomnik. Ludzie cofają się przed ścianą gazu i wracają mimo załamanych oczu. Trwa to już parę godzin. Gdyby znalazł się ktoś zdecydowany i pociągnął tłum za sobą, można by zrobić wszystko: rozbroić ZOMO-wców, spalić gmach UB przy Okopowej. Ale nie ma to sensu, nikt tego nie chce. Ludzie są bezsilni. Gdyby nie było gazu -- płakaliby również. Zabrano im wszystko -- przywódców, Stocznię, Pomnik i dzień 16 grudnia. Nadzieję na normalne, godne życie.

Do tego ta propaganda junty: „Gotowano nasze krwawą łaźnię” (Zukrowski); „Były listy partyjnych, którzy mieli być zamordowani. Sam byłem na takiej liście” (Stwęk). Do tej pory sztubackie żarty, młodzieńcza fanfaronada w rodzaju KOMUNISTI BĘDĄ WISIEĆ nie miały pokrycia w rzeczywistości. Teraz jednak nieznawidzi nieuchronnie pojawi się. W nocy z 12 na 13 grudnia Jaruzelski dokonał w gruncie rzeczy aktu samobójczego. Spowodował, że kompromisowe, pokojowe rozwiązanie konfliktu władza-społeczeństwo nie jest już możliwa. Ci, których oszukano i ponizono, ci, którzy uważali, że komunistów można traktować jak partnera po tysiąc razy przemylił swój błąd, a z młodych, którzy na własnej skórze doświadczyli wprowadzania „stanu wojennego w Polsce” wyrośnie armia przeciwników partyjno-totalitarnej władzy. I prędzej czy później, za parę miesięcy, za pół roku, za rok -- poleje się komunistyczna krew.

Nie mogę oderwać się od tych myśli. Jestem cały czas w środku tłumy odpychanego od Pomnika i wracającego, bezsilnego i skołowanego, miotającego się ciągle w okolicach dworca. Nie widzę jednak, nie odczuwam tego, co zapamiętają ludzie:

Opancerzona milicja naciera na bezbronny tłum. Ten z szaleńczą odwagą, z gołymi rękami, z petardami, które nie zdążyły wybuchnąć, broni się chcąc dojść do Pomnika, gdzie tego dnia miała odprawić się Msza św. Około 18.00 ludzie ze świecami w rękach idą ulicą Wałową. Chcą się przedostać do kościoła Mariackiego. Podchodzą blisko do milicjantów. Wtedy dopiero padają w tłum strzały kulistymi, żółtymi petardami. Dym długo się utrzymuje. Kiedy opada, ulica jest cicha i pusta. Walki trwają wciąż w okolicach dworca kolejowego, autobusowego. Na parkingu koło ulicy Rajskiej kilkudziesięciu milicjantów walczy z grupą 20 młodych ludzi. Walka trwa 2 godziny. W okolicznych domach jest tak duże stężenie gazu, że wprost trudno oddychać. Łzy płyną z oczu bez przerwy. Dookoła rozlegają się salwy wystrzałów. W tę kanonadę włącza się potężny huk wystrzałów oddanych z czołgów w okolicach Huciska. W pobliskich domach lecą szyby. Walki trwają nadal. Ludzie prawie już dochodzą do Pomnika, ale niestety milicja dostaje posiłki...

Petardy padają już na perony dworca, żadne miejsce nie jest bezpieczne. Nie wiem co robić. Jestem zmęczony, zrozpaczony i bezradny. Setki myśli przebiegają mi przez głowę, ale nie są to już myśli czytelne. Jestem zmęczony, potwornie zmęczony, czuję się złamany tym wszystkim co widziałem, choć z pozoru nie było to tak tragiczne jak Grudzień 1970. Nie chcę opuszczać tego miejsca, ale przecież nie ma żadnego sensu tu dłużej zostawać. W końcu, porwany prądem ludzi, ląduję w kolejce.

Pół godziny później docieram do znajomej klatki schodowej. Dzwonię. Drzwi otwiera mi Hanka.

— Odnalazło się nasze dziecko — słyszę z pokoju suchy głos jej matki.

Wchodzę do środka. Rzeczywiście, po długiej, wyczerpującej drodze, dotarłem wreszcie do domu, odnalazłem się. Teraz mogę zasnąć.

Gdańsk, marzec 1982

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en l'Île — 75004 Paris

Métro: Pont Marie.

Tél.: 326-31-09.

KSIĄZKI POLSKIE • KSIĄZKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI • PRZEKŁADY Z JEZY-
KA POLSKIEGO NA FRANCUSKI

Katalogi bezpłatne wysyłamy na każde zapytanie.

A. A.

POWIEDZCIE ŻE SIĘ NIE PODDAŁEM

Ok. godz. 22 wshedłeni na teren Stoczn. Skierowano nas do budynku, w którym otrzymaliśmy strajkowe przepustki. W budynku tym była rozlokowana grupa ok. 60 studentów, którzy byli przeznaczeni do obrony bramy nr 1. Ubraliśmy się ciepło i poszliśmy na trójkę. Było tam już około 20 stoczniowców, przeważnie młodych, grzejących się przy koksowniku. Rozpaliliśmy jeszcze w dwóch koksownikach. Staliśmy wokół nich rozmawiając, czytając biuletyny informacyjne. Mijały godziny. Do naszej bramy podjeżdżały czasami wozy policyjne, czasem podchodziły 5-osobowe patrole. Przyszła godz. 6 rano, odetchnęliśmy z ulgą. Część z nas poszła spać. Ok. godz. 6.10 -6.15 obudziła nas syrena, która była sygnałem oznajmującym, że atakują. Pobiegliśmy do bramy. Przed nią 30-40 m stał tyralerą oddział ZOMO. Zaczęliśmy do nich przemawiać przez ręczny megafon. Mówiliśmy, kim jesteśmy i po co tu stoimy. Staraliśmy się im wytłumaczyć, co znaczy wołność, śpiewaliśmy polskie pieśni. Robiliśmy to wszystko naiwnie wierząc, że potrafimy coś zrozumieć, po prostu jeszcze ich nie znaleźliśmy. Od strony dwójki dobiegały odgłosy taranowania bramy, słychać było jakieś detonacje. Niebo było pełne świetlnych rac. Przybiegł do nas ktoś z dwójki. Powiedział, że już weszli, że dwójka zdobyta. Konsternacja. Co robić? Przed bramą stoi cały oddział zomowców. Nie atakują.

Ktoś krzyknął - idą! Faktycznie, z różnych stron pojawiły się grupy biegnących zomowców. Otoczyli nas, stali z wycelowanymi karabinami, krzyčeli żeby ustawić się w piątce. Zbiliśmy się w ciasną gromadę między bramą a przyspawanym do szyn wagonem kolejowym. Śpiewaliśmy Mazurka Dąbrowskiego, zaczęli strzelać petardami gazowymi. W jednej chwili przykryła nas chmura gazu. Nie można było oddychać. Chcieliśmy uciec stamtąd, szybko, jak najszybciej. Wpadliśmy pojedynczo w ręce zomowców. Otumanionych gazem, przestraszonych nie było trudno przy pomocy pałek ustawić w piątce. Kazano iść wzdłuż szpaleru zomowców. Szaśliśmy śpiewając hymn, rotę, warszawiankę. Niedobrze było potknąć się czy upaść - pały i kopniaki szybko stawiły z powrotem na nogi. Niedobrze też było mieć białe-czerwone opaski - za to też można było oberwać. Zaprowadzono nas pod ścianę BHP. Przed nami ustawili się zomowcy. Padło pytanie - Kto chce iść do domu? Nikt się nie zgłosił. Po pół godzinie zobaczyliśmy jak zomowcy ciągną jakiegoś człowieka za ręce i za włosy okładając go cały czas palami po głowie i po plecach. Zaciągnęli go na salę BHP. Po chwili wywieźli go z powrotem - tym razem w kajdankach i bijąc nadal zaciągnęli do lodowcy stojącej przy chodniku. Nie chciał wejść do środka. Krzyknął do nas: Nazywam się Zenon Kwoka, powiedzcie, że się nie poddałem! Zomowcy przy pomocy pałek wrzucili Zenka do samochodu. Odskoczyli od razu, jak tylko zorientowali się, że może ich

kopnąć. Nie bójcie się — uspokoił ich Kwoka — nie kopnę was, nie stosuję waszych metod. Do przodu ruszył się mały starszy zomowiec — nazywam go pułkownikiem choć mógł być majtrem lub kapitanem (nie widziałem dokładnie naszywek): Spróbuj kazyknąć, tylko spróbuj, skurwysynie! Zenek kopnął go w twarz. Nie widziałem większej desperackiej odwagi niż ta, którą zademonstrował Zenek. Nie widziałem większej wściekłości niż ta, którą wybuchnął pułkownik. Nie znałem większego uczucia niemocy niż moja w tym momencie. Pułkownik wraz z kilkoma zomowcami wskoczył do łodówki, zamknęli drzwi. Mimo to było słychać krzyki katowanego Zenka. Po kilku minutach zapadła cisza. Spoceni zomowcy wyszli z samochodu. Zdenerwowani zomowcy palili papierosy. Dwóch z nich przeniosło długi owinięty kocem pakunek do bocznego przedziału łodówki, drzwi zamknęli na klucz.

Po godzinie wprowadzono nas do sali BHP. Wchodziliśmy z dowodem w jednej, z przepustką strajkową w drugiej ręce. (Tak nam kazano). Potem przeprowadzono nas na małą salę, gdzie stałm się twarzą do ściany, czekając na rewizję osobistą. Po rewizji z powrotem znaleźliśmy się na sali BHP. Kazano nam stać przez kilka godzin. Nie wiem dokładnie ile, ale ok. 5-6 godz. po nieprzespanej nocy i przeżyciach ostatnich kilku godzin wydawało mi się, że stoję całą wieczność (o takich stójkach słyszałem już w opowieściach z okresu prześladowań stalinowskich). Zasnęliśmy na stojąco. Tym, którzy byli pobici pozwolono usiąść w rogu sali za kamienną postać Lenina. Reszta stała w 5 szeregach, wszyscy twarzą w jedną stronę. Około 13 pozwolono usiąść. Około 15-ej pozwolono pod eskortą wychodzić do ubikacji. Około godz. 22 przyniesiono trochę wody z kranu w butelkach po oranżadzie. Po 24-ej zaczęto wyczytywać nazwiska według sporządzonych list i kazano się ustawić w rzędach tak, że ludzie z jednej listy tworzyli jeden rząd. O godz. 2-ej zaczęto nas wyprowadzać rzędami do samochodów, część w kajdankach, część bez — chyba nie starczyło kajdank. Nas rzucono do łodówki, szesnastu do przedziału o długości 3 m, szerokości 1 m. Ogrzewanie włączono maksymalnie. Dusiliśmy się przez 3 godziny. Stop. Nareszcie powietrze — jesteśmy w więzieniu.

Gdańsk. 12.02.1982

ZENON KWOKA — ur. w Gdańsku, w rodzinie robotniczej, lat 28, wykształcenie średnie techniczne, kawaler. Nie należał i nie należy do żadnych organizacji społeczno-politycznych. Jest uczestnikiem Ruchu Młodej Polski. Od 12 lat (z dwuletnią przerwą na odbycie służby wojskowej) zatrudniony w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Komunikacyjnym — Zakład Autobusowo-Trolejbusowy w Gdańsku jako mechanik samochodowy. Współorganizator strajku komunikacji miejskiej w sierpniu 1980 r., trzeciego dnia strajku oddelegowany przez Zakładowy Komitet Strajkowy do Stoczni Gdańskiej, gdzie pełnił rolę nieoficjalnego sekretarza Lecha Wałęsy. Po podpisaniu Porozumienia Gdańskiego bierze czynny udział w organizowaniu NSZZ „Solidarność” pracowników komunikacji mjejskiej na terenie całego kraju. Jest współorganizatorem Komisji Koordynacyjnej NSZZ „Solidarność” Komunikacji Mjejskiej skupiającej 90% wszystkich pracowników tej branży. Pełnił funkcję Przewodniczącego Komisji Zakładowej WPK Z-d Gdynia, był członkiem Rady Związkowej w WPK — Gdańsk. Obecnie przebywa w ośrodku odosobnienia dla Internowanych w Hawle.
[podajemy za BI „Solidarność” z dn. 13.07.81.]

Bóg się rodzi 81

Bóg się rodzi, a rodacy po więzieniach
rozrzuceni
Bo marzyła im się Polska niepodległa
na tej ziemi
Solidarny i odważny górnik, rolnik
i stoczniowiec
Dziś składają do Ciebie modły, daj nam
wolność Panie Boże
Cóż nam kraty, coż nam druty, gdy
w jedności nasza siła
Z pierwszym brzaskiem wszędzie słońce,
zbudzi się ojczyzna miła
Matki, żony, siostry, dzieci same przy
świętecznym stole
Tylko szatan mógł zgótować naszym
bliskim taką dolę
Podnieś rękę Boże Dziecię, błogosław
Ojczyznę miłą
W trudnych chwilach, w złej godzinie,
wspieraj jej siłę swą siłą
By się zdrajcom nie zdawało, że
zawładną Polską całą
A słowo ciałem się stało i mieszkało
między nami
Solidarni i odważni górnik, rolnik
i stoczniowiec
Dziś składają do Ciebie modły, daj nam
wolność Panie Boże
By się zdrajcom nie zdawało, że zawładną
Polską całą
A słowo ciałem się stało i mieszkało,
między nami.

Żelazo

Dlaczego to musi być grudzień,
leca ciężkie ciemne śniegu gołębie,
spadają na płyty chodnika. Czym
jest talent wobec żelaza, czym jest
myśl wobec munduru, czym jest muzyka
wobec pałki, czym jest radość wobec
strachu, ciężki ciemny śnieg zakrywa
kiełki marzenia. Widzisz z balkonu
jak młody Norwid pokazuje patrolowi
dowód osobisty i zaklina się że
nie może podpisać volkalisty, tamci
śmieją się pogardliwie, mają rozdęte
nozdrza i zbyt czerwone policzki,
wypożyczeni z obrazów Męki Pańskiej
oprawy, czym jest wobec nich
milczący tłum w niebieskim tramwaju,
kim jest ta smutna dziewczyna, czy
właśnie tak zaczyna się nowa epoka,
czy ten czółg o długim gogolowskim
nosie jest jej ojcem chrzestnym,
czy to żelazo które chrzęści, pod
którym ugina się delikatny gołąb
śniegu, przypieczętuje Deklarację
Lojalności i śmiertelnie skaleczy
piosenkę wolności, tymczasem widzisz
jak młody Norwid zwolniony przez
rozdęte nozdrza i zbyt czerwone
policzki do bramy się chowa, on,
tak samo jak i ty, jest kruchy jak
płyta gramofonowa, i wszyscy przechodnie
- każdy trzyma w ręku garstkę
nieskończoności - wszyscy są zatrzymani,
wszyscy nieruchomi, kołysze się
bruk pod gasienicami dekretów.
Wieczorem pytasz mnie, zrozpaczony,
co robię, jak to, dziwię się, czy twoje
myśli okazały się fałszywe, czy pękła
obłęd twojej wyobraźni, nie, to tylko
żelazo spuchło.

Wędrownka

Dokąd płyniemy
Nagle posmutniałi
O czym mówimy
Cisi, oniemiałi

Krzyż ci na drogę
Krzyż ci na drogę
Spróbuj udźwignąć
No, weź

O czym te słowa
Po co ta mowa
Kiedy przed nami
Nie ma nic

Krzyż ci na drogę
Krzyż ci na drogę
Spróbuj udźwignąć
No, weź

Czy twarzą w śnieg
Czy kula w łeb
Może zasypią w mokrym piasku

Krzyż ci na drogę
Krzyż ci na drogę
Spróbuj udźwignąć
No, weź

Lecz nie narzekaj
Już niedaleko
Odpoczniiesz
Gdzie życia kres

Krzyż ci na drogę
Krzyż ci na drogę
Spróbuj udźwignąć
No, weź

Ostatnia szychta na KWK „Piast”

Wyjeżdżajcie już, chłopcy od „Piasta”
Pora, chłopcy, opuścić tę dziurę
Baby płaczą. Napiekiły wam ciasta:
Złota klatka uniesie was w górę.

Wyjeżdżajcie już, szychta skończona!
Pielęgniarki i lekarz są w szatni
Porozwożą was „suki” po domach
Mają, wszystkich. Wasz szyb jest ostatni.

Pan pułkownik wyciągnie sam rękę
Gdzieś w kantorku bulgocze już czajnik
Żona z „wujka” ma czarną sukienkę
A poza tym - jest wreszcie normalnie.

Spijcie w domu spokojnie, do rana
Bo zapłacą wam, o coś targować
Jutro druga pojedzie w dół zmiana
Trza fedrować! Fedrować! Fedrować!

Ze dwunastu nie wróci górników
Czterech zniknie, trzech stanie przed
sądem
Trzech oplują wieczorem w „Dzienniku”
Dwaj są nie stąd, a reszta jest z rzą-
dem.

Władza w Wasze przebrana mundury
I bandyci przebrani za władzę
Znow na placu defilad, u góry
Na przysięgę żołnierzy prowadzą.

Tylko honor jest Wasz, Solidarni
Brylą węgla zaś polskie sumienie
Wam już czas... wyjeżdżajcie z kopalni!
Woln. Polska - zepchnięta pod ziemię.

Ład i spokój i praca na górze
Pojedyncze są jeszcze przypadki...
Wolny kraj. Co was trzyma w tej dziurze?
Czas się zbierać. Czas wsiadać do klatki.

Rodzinna Europa

Słyszysz mnie?-tak, to ja, twój syn
Powiedz mi, czemu akurat moim domem
Przez całe wiski kupczysz tylko
Sprzedając go za byle szminkę
I cały świat już pyta o to
Czyś ty mi matką, czy macochą
Rodzinna Europe

Słyszysz mnie?-tak, to ja, twój syn
Nie wstyć ci, żśś mnie i jaitańską dziewcz
sprzedała?
Lecz nie dam domu z map wymazać
Ani przyłączyć do Kaukazu
Choćby się nowy znalazł Ribbentrop
Choćby się nowy znalazł Mołotow
Rodzinna Europe

Słyszysz mnie?-tak, to ja, twój syn
Obudź się, przestań być Azją zaskoczona
Bo zaskoczenie cię nie minie
Gdy tanki będą w Bonn, w Londynie
Czerwona zgwałci cię hołota
Twe ideały wdeptze w błoto
Rodzinna Europe

GNIAZDO WRONIE
/szopka satyryczna/

Prolog

Trzynastego - chociaż Polska spokojna,
Trzynastego - może zdarzyć się wojna,
I z jasnego nieba może spaść grom,
Trzynastego drzwi wyważyć łom,
Trzynastego słońce może zakryć stado wron,
Trzynastego wszystko zdarzyć się może,
Trzynastego świat w zielonym kolorze,
Trzynastego może zabraknąć łez,
Trzynastego i pancernik, i pies
Feralnego dnia może rozhulać się tu bies.

Chór więźniów:

Trzynastego grudnia roku ubiegłego
Związali nas ludzie od Jaruzelskiego.

Generał Jaruzelski wchodzi sprężystym
krokiem.

Jaruzelski:

Kto tam jęczy i narzeka,
Kto tam woła mnie z daleka,
Kto tam, w Gdańsku i na Śląsku,
Klinie i brzdzi oś bez związku?
Mym żołnierskim obowiązkiem
Jest, by skończyć raz z tym związkiem:
Jest żołnierskim mym zawodem
Lud obronić przed narodem.
Wszak on sam się nie obroni:
Potem jest generał wroni.

Śpiewa na melodię „Ułani, ułani!”

Nie ma takiej wioski, nie ma takiej chaty,

Gdzie by nie dotarły me pancerne chwaty.
Hej, hej wojacy; malowane dzieci,
Niejedn awansik wam dzisiaj polsci.

Wchodzi Olszowski.

Jaruzelski:

Baczność, Stefanie!

Oo macis w planie?

Olszowski:

Oto sukces niebывały:

Udało się prawie całą,

Całą dziennikarską horde

Raz nareszcie wziąć za mordę.

Czas wojenny ma swe racje:

Mogłem zamknąć więc redakcje.

I - żeby nie było sporów -

Również paru redaktorów.

Zostały tylko, niestety,

Nispoczytne dwie gazety.

Lecz, dzięki mej złotej ręce,

Pokonały konkurencję.

Jaruzelski:

Z Ciebie, Stefanku, to istny Boruta,

Tego nie było nawet za Bieruta,

Nawet sam Berman tak prawd nie zdusił:

Als ktoś przecisz dla nas pisać musi.

Olszowski śpiewa na melodie: „Kupiłem se
Pawich Piór”:

Kupiłem se pawich piór,

Kilka dziennikarskich ciór,

Choć piszą dość podle,

Bo pióra nis orle,

Za to trzymam w ręku sznur.

Jaruzelski:

Możecis się odmeldować.

Wchodzi Rakowski.

Jaruzelski:

Co tam, Panie, w Polityce?

Rakowski:
Zamknęli, choć jestem Wice,
Chociaż staram się, jak mogę,
Zamknęli mnie na skobel.

Jaruzelski:
Ciesz się, że nis Ciebie:
Twój syn podobno -

Rakowski:
Oszczędź mi to, Generale,
To nie z mojej winy wcale:
Choć reprezentuję Wronę,
Mój synalek wdał się w żonę.
Chociaż jestem Premier Wice,
Ona wciąż gra pierwsze skrzypce.

Jaruzelski:
Nie mówmy o pierwszej żonie.
Co sądzisz, Miecciu, o Wronie?

Rakowski:
Pomysł, Generale, miałeś wprost bezcenny,
Żeby beznadziejny stan zmienić w wojenny.

Jaruzelski, do siebie:
To nie był mój pomysł.
/Głośno:/
Stan wojenny? Dziś jest gorzej,
Bo pozostaliśmy sami,
I gdy nikt nam nie pomoże -

Rakowski:
- To możemy pójść z torbami.

Jaruzelski:
Z plecakami, z chlebakami,
Oto Twoja jest marszruta.
Dziś pojedziesz do Helmuta,
Może da się wruszyć łożami,
Może sypnie dolarami,
Mam nadzieję, że oś wskórasz.

/Grozi palcem:/
Tylko nie zrób, jak ten Rurarz!

Rakowski:

Jakże to tak, z diabłem w pachty?
Z Niemcami. wchodzić w konszachty?
Wszak już Wanda -

Jaruzelski:

Znów o żonie?

Rakowski:

Miły wodzu, ja nie o niej:
Jak już Niemiec ma być dobry,
Może dadzą ci zza Odry.

Jaruzelski:

A no, właśnie, przyszła paczka.
Na niej adres obok znaczka:
Für liebe arme Polaken.
Mieciu, otwórz no tę paczkę.
Co tam widzisz?

Rakowski:

Wstyd powiedzieć - O mein Gott,
Brudne skarpety, und der alte Brot.
Przesyłka nie bardzo taktowna.

Jaruzelski, wzruszony:

Prawdziwa przyjaźń, bezinteresowna.
Adieu. Wykonać rozkaz, pozdrów syna.

Wchodzi Generał Kiszczak, stuka obcasami.

Jaruzelski:

Spocznij.

Kiszczak:

Nie spoczne, wodzu, proszę się nie złościć,
Póki nie zamknę tych z Solidarności.

Jaruzelski:

Dziesięć milionów?

Kiszczak, śpiewa na melodie "Dziewczyna z PRL-u":
Dziś w całym PRL-u daję wam to słowo,
W Białołęce i na Helu, gdzie jeździłem
Miejsce ustronnych jest noc, i najcichszych
tam wozimy noc w noc naszych wrogów
I choć mówią, że ZOMO służy bandzie
Wkrótce kraj nasz zmienimy w jeden
od złobu,
pod słońcem,
tysiące.
wielki obóz.

Jaruzelski:
Socjalistyczny, mam nadzieję..
Mów, jak było po kolei.

Kiszczak śpiewa na melodie "Jadą wozy kolorowe":
Radiowozy kolorowe z migaczami,
Jadą wozy ciężarowe z ZOMO-wcami,
Jadą nocą w takt marszowej dziś muzyki,
Zebym zdążyć na swą szychtę do fabryki.
Jadą chłopcy radarowcy z głośnikami,
Jadą chłopcy kiszczakowcy z petardami,
Twarda służba. Wszak ich życie też nie
Czarny Błask się od nich zaniebieści,
Oni wszystkich odpowiednio już rozliczą,
Nieposłuszną naszą klasę robotniczą.
Dalej, chłopcy, z pałką, z tarczą, lub na
Bić robotów, niech na długo im wystarczy.
Wytkumaczcie im pałkami, jak to u nas jest:
U nas wiele i niewiele, lecz w sam raz:
Mamy hełmy, mamy pałki, mamy gaz.

Jaruzelski:
A co z górnikami? Czy wciąż się buntują?
Wyszli już na górę, czy jeszcze strajkują?

Kiszczak:
Każda tona węgla na złoto się liczy.

Jak też po tym będą pracować górniczy?
Boję się, że po tym urobku, kolego,
To zostanie nam tylko zapas Górnickiego.

Nadchodzi Jerzy Urban:

Cenię Kiszczaka zdolności praktyczne,
Lecz kto podbudował rzecz teoretycznie?
Kto pierwszy napisał, w jakże pięknym stylu,
Ze tych z plakietkami trzeba łać po ryju?
Gdyby nie Pan Urban, chociaż tylko Kibic,
Trudno by się było Kiszczakowi wybić.

Jaruzelski:

Miło mi to słyszeć, Ministrze, szalenie,
Ale nie za to tylko Cię cenię.
Bardziej zasługują na moją preferencję
Z prasą zagraniczną Wasze konferencje.
Dzięki waszym słowom, świat się dowie
Ze w Polsce nikomu włos z głowy nie ^{snadnie,}
Ze internowani świetnie mają tu się ^{spadnie,}
I w drogich kurortach pływają się w luksusie,
Ze Pan Lech Wałęsa, dzięki naszym troskom,
Codziennie rozmawia z samą Matką Boską.
Za wszystko wdzięczny jestem Wam szalenie,
Drogi nasz Baronie von Munhausenie,
Ze śpiewasz dziś z nami razem w zgodnym
Lecz oto nadchodzi kolega po biurze. ^{chórze -}

Wchodzi Albin Siwak.

Śpiewa na melodię „Pije Kuba”:
Dawniej byłem na budowie skromnym
brygadziwą,

Byłem jakimś tam Albinem,
Dzisiaj jestem szyszka.
Kto się nie wybije tego we dwa kije,
Łupu cupu, łupu cupu,
Tego we dwa kije.
Dawniej mogłem wór cementu spędzować
na lewo,
Dzisiaj sam profesor Kubiak mówi mi kolego.

Kto się nie wybije
itd.

Do generała Kiszczaka:
Proszę na jutro mi, kolego, dostarczyć
I w dobrym stanie go pan sprowadź, bo chcę
żywcem Bratkowskiego,
se z nim podyskutować

Kiszczak:
Ba, kto by nie chciał?
Zjawia się Barcikowski:

A co z odnową?

Jaruzelski:
Dzięki naszej wrony posunięciom różnym
Dziś praca odnowy jest w trybie doraźnym:
Nie jedyn proces, lecz setki procesów
Odnowa moralna - uczymy moresu.

Barcikowski:
Trzy lata jak za brata.

Jaruzelski:
A jak bardziej krnąbrny brat,
To dostaje siedem lat.

Wchodzi prezes Lorano:
Słusznie, bo i ze mną byli wciąż w kolizji:
Nie podobał im się program w telewizji.

Barcikowski, na stronie:
Trzeba by zamknąć cały naród.

Lorano:
Słyszałem, że pono, pomimo oporu,
więźniom dano dostęp do telewizorów -
Czy to zbyt skąpa łaska, nadmiar tolerancji?

Jaruzelski:
To zamiast karczerów: zaostrzenie sankcji.

Barcikowski:

Jednak w odnowie widzę postęp
Chcieli dostępu, mają dostęp.
Punkt porozumień się zalicza.
A co u Pana na Woronicza?

Lorano:

Zielono mi./śpiewa/:

Przybyli ułani do okienka,
Dystynkcje, pagony i broń szczeka,
Bagnety i szable, w dłoni lancia/x2/
Przyszliśmy ochraniać Loranca/x2/
Przyszliśmy założyć gniazdo wronie/x2/
Dziś mamy roboty pełne dłonie/x2/
Żeby prezss Loranc program robić mógł
Czuwać musi żołnierz by nie przeszkodził
wróg.

Mówi:

W mundurach spikerzy, w mundurach
dyrektorzy,

Tudzież redaktorzy i operatorzy,
W mundurach portierzy, urzędnicy w biurach,
I nawet w stołówce kartofle w mundurach.
Zielonych.

Chór żołnierzy przy czołgu śpiewa na
melodie "Ciężki los legionowca"
Ciężkie losy mają żołnierze, raz, dwa, trzy
..... raz, dwa, trzy
Żołnierz życie wiódł spokojne raz, dwa,

trzy
Nagle ktoś wymyślił wojnę raz, dwa, trzy
Do bagnetu stań, kolego, i pilnować ozort.
wie czego

Raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy.
Bagażniki i dowody raz, dwa, trzy
Bo gdy jakiś wróg się uprze,
Może wieźć armatę w kufrze raz, dwa, trzy
Panowie generałowie raz, dwa, trzy
Gdzie ten wróg, niech który powie, raz,
dwa, trzy

Bo nim wroga zobaczymy
Dupy sobie odmrozimy
Ras, dwa, trzy.

Orzeł na sztandarze:
Chociaż żem ludowy orzeł bez korony,
Nie chcę na sztandarze wisieć z boku
wrony.
Zamiast mnie umieście tę atrapę
Miał białego oria - wronę, czyli gapę.

EPILOG:

Przedstawić byłaby pora głównego
animatora
To nasz sąsiad, niedźwiedź wielki:
On porusza te kukiełki.

Bronisław Wildstein

CZEKANIE

Od kiedy wyjechalśmy, Iwone towarzyszył pewien lęk. Bała się, że pewnego razu obudzi ją wiadomość z Polski, zła wiadomość. Nie było to skonkretyzowane, było czymś, co owinięte jest w nieprzeźroczystą mgłę i co boimy się nazwać: co mający złowrogim kształtem, ale jest tak niedookreślone, że łatwo je zapomnieć, chociaż nigdy do końca, bo towarzyszy nam cały czas i czai się o świcie przed obudzeniem. Mnie zdarzały się często sny, w których nagle odnajdywałem się w Polsce, w przestrzeni, z której nie ma wyjścia, z drogami, którymi kluczyłem i które zamykały się koło mnie coraz ciasniej. I też było to niejasne, tylko czułem, że wszystkie iluzje, którymi karmiłem się pryskają nienazwane, krzepną w gardle jak sen i budzę się do ciemnej rzeczywistości.

Nasz holenderski gospodarz obudził nas w niedzielę wiadomością, że Jaruzelski ogłosił stan wyjątkowy, paru ludzi jest aresztowanych, w tym Gierek i Jaroszewicz, a reszty możemy dowiedzieć się dzwoniąc do Żaby do Paryża. Żaba biegnie na manifestację i wiedział tylko, że ogłoszono stan wojenny, jest trochę aresztowanych – radykałowie z Gdańska i ktoś z Warszawy, w tym Śliwiński i Kuroń (*dziwne zestawienie, co?*), a wszystkie możliwości łączności są odcięte. Nie wydawał się specjalnie przejęty.

Był śnieg i zaczynało być mroźno, za oknami Holandia powoli układała się w zimowy pejzaż Breughla, który w sumie – mimo skłóconych żywiołów, ludzkich insektów szalejących lub zadających sobie krzywdę – jest w przeważającej mierze malarzem harmonii. To miała być ta Holandia, w której chcieliśmy się zanurzyć, o poszukiwaniu której opowiadaliśmy poprzedniego dnia naszym, właśnie poznającym, niezwykłym gospodarzom pijąc piwo z rzeźbionych butelek i holenderską wódkę, dyskutując o różnicach między ekapansywną surowością Holendrów, a zmysłowością Flamandów, o tym jak te różnice wpływają na malarstwo, jak przenikają się, zaprzeczają sobie i oczywiście powróciliśmy do Dyla Sowizdrzała i karnawałowego temperamentu, który dziwnie godził się z ascetycznymi pierwiastkami duszy holenderskiej. Był oczywiście ogień na kominku, a gospodarz miał brodę, palił cygara i służył cztery lata w marynarce. Pływał na Suriwan, Indonezję – był rzeczywiście conradowskim typem z już onegdajszego,

heroicznego okresu i łączył w tę niespotykaną obecnie całość poczucie obowiązku, indywidualizm, otwartość na ludzi.

Jeszcze chyba nie dalej jak poprzedniego dnia mówiłem: może to i dobrze, że nastąpi kolejna konfrontacja i przewidywałem scenariusz wypadków: pierwszą uderzyła władza, teraz nastąpi kontratak SOLIDARNOŚCI, a władza będzie musiała cofnąć się jak zawsze dotąd, bowiem to nie ona panuje nad sytuacją w Polsce. Może to i dobrze, że sprowokowała kolejne zadrażnienie, bowiem obudzi to rozpolitykowaną i zajęętą permanentnymi wyborami SOLIDARNOŚĆ i wreszcie ruszy konieczny projekt reformy, tak i adnie oraz całościowo skonstruowany i podsygnowany na ostatnim kongresie. Przecież wszystkie dotychczasowe kryzysy, i sprawa Naroźniaka, i afera bydgoska stawały się w efekcie zwycięstwem SOLIDARNOŚCI.

Wtedy, w niedzielę trudno było mi być zadowolonym, ale jednocześnie wiedziałem, że nie mogę zdać sobie sprawy z tego, co dzieje się naprawdę. Za oknem w szronie i śniegu nieruchomiały gałęzie drzew (ten grudzień jest zupełnie wyjątkowy) czułem coś w rodzaju napięcia tak głęboko, że prawie trudno je wyczuć, ale przecież byłem pewny, naszą cofnąć się w ciągu dwóch, najwyżej trzech dni, a to już ich ostatnia próba. I nawet iwona zdenerwowana była tylko trochę, jakby podkórnię. Jednocześnie było to jak sen, jakbyśmy poruszali się w nierzeczywistym wymiarze, w którym nic się nie dzieje, a wypadki toczą się gdzie indziej, gdzieś poza śniegiem, gałęziami drzew, zimą jak z japońskich obrazków, gdzie wszystko jest jednością i białą, a twój głos nie jest j twoim głosem.

Potem, kiedy jechaliśmy wśród dżunji szliśmy nad morzem, a było sine i otwierało się wielką przestrzenią, ławice muszelek chrzęściły nam pod podszewkami i morze pieniało się, łoskotało – właściwie zapomnieliśmy o tamtych dalekich wypadkach, które wreszcie muszą ułożyć się w porządku naszych pragnień, bo teraz wszystko nam sprzyja i realizuje się wreszcie ta wieka szansa, której nie przeszkodził parodniowe zamieszanie.

Z okien samochodu oglądaliśmy uśpione miasteczka holenderskie, w zimie, tak właśnie jak chcieliśmy je zobaczyć już dawno i powoli zaczynaliśmy mieć wszystkiego dość. Także odsłoniętych okien, gdzie przy kominkach przygotowywali święta Holendrzy.

W domu też palił się kominek, a jedną ścianę stanowiły szklane drzwi otwierające się na ogród, który także jak japoński odbijał w miniaturowej formie harmonię powszechną poprzez tęłą wody w stawie i jakby las, odsłonięte poie – wiedzieliśmy się, że aresztowano całe KKP i wiedzieliśmy, że to coś więcej niż manewr, a zdobycie szkoły oficerów pożarnictwa, co oglądaliśmy jeszcze w telewizji we Francji: helikoptery, opancerzone transportery, komandosi i falanga policyjna (tak bogate w tedy) to było ćwiczenie próbne. Mówiliśmy do naszych gospodarzy, że zamknęli sto osób, ale przecież nie mogą zamknąć dziewięciu milionów. I chociaż wiedzieliśmy, że niczego nie możemy się jeszcze dowiedzieć, bo połączenia są odcięte, a nic rozstrzygającego stać się nie może już teraz – iwona mówiła o poniedziałku, ja twierdziłem, że będzie to wtorek, a właściwie środa, kiedy generałowie zaczną odwrót, choć, być może już wtedy, pomyślałem, że postawili wszystko na jedną kartę i nie mają odwrotu – ale jednak zaczęło się to, co miało być stałym reftrem i akompaniamentem nadchodzących dni: ciągłe manewrowanie

CZEKANIE

galką radioodbiornika, aby w gwizdzie i buigocie szukać informacji, których nie było, bo znaliśmy je dokładnie, ale wysłuchiwiłsiśmy po raz drugi, piąty, siedemnasty, tych coraz głośniejszych i bardziej parszywych komentarzy, pomiędzy słuchaniem radiostacji niemieckich po rosyjsku, angielsku, to znowu wyłapując czeskie, na zainatę Pragę i Wołną Europę, a potem już wszystko jedno co, było o Polsce: po włosku, francusku, niemiecku, hiszpańsku, rozumiejąc tylko nazwy, czy nazwiska i usiłując domyślać się czegoś, rozszyfrować, jakby dopiero w tych nieznanym językach można było odnaleźć prawdę.

Jeszcze w niedzielę potrafiłiśmy pójść w nocy na spacer i cieszyć się nim, śniegiem, drzewami układającymi się w zawikłany, acz odczytywalny znak, światłem śniegu odbitym w księżycu. Choć już wtedy zdążyłem pokłócić się z gospodarzem atakując z wściekłością ruch pacyfistyczny, który był dla niego dumą Europy Zachodniej, i kiedy słyszałem jak w odpowiedzi na moje argumenty o szantażu sowietkim mówił, że szantażu nie należy się bać i wystarczy zdecydowana postawa, a wtedy nie jest potrzebna broń. Trzeba wreszcie zrobić pierwszy krok – mówił, a ja czułem się jakbym rozmawiał z nim przez gęstą śnogę, jakbyśmy nie potrafili usłyszeć swoich słów.

Akcesoria tak dokładnie znane: „Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego”, spikarzy przebrani w mundury i ten Jaruzelski, którego cienne okulary od kiedy został premierem wywoływały rozbawienie jako parodystyczne zapatwienie w iatynoskie wzorce. „Ten śmieszny plestus”, jak określał go Jarek zde gustowany, że na Zachodzie mogą brać coś takiego na serio. I ja też przecież myślałem wtedy, napadany wątpliwościami, które znowu rozwiewały się, kiedy świeżn przybyły K. opowiadał mi, że „generał” nosi gorset ortopedyczny z powodu rozmiękczenia kręgosłupa, i że metaforycznie tej sytuacji wyjaśniła wszystko. Wtedy jeszcze nie myślałem, że K. miał szczęście przedłużając swój pobyt w Paryżu, choć już wiedziałem, że prawdopodobnie Jarek jest za kratkami i przypomniałem sobie jak trafił tam po raz pierwszy, jak pędzili nas szarymi korytarzami w cienkim świetle okratowanych żarówek, w szpalerze policjantów trzymających pałki, których jeszcze nie wolno im było użyć, tylko przed nami wleczono kogoś za ramiona po ziemi.

Obudziłem się z ołowiem w żołądku. Iwona już wtedy nie chciała wstać, chociaż dopiero w następnych dniach stało się to wyraźne: budziła się późno, a raczej nie budziła się, poruszała się mozolnie, włączała radio, przykładła je do ucha, odstawiała, leżała gapiąc się w ścianę lub sufit. Spokój za oknami, przestrzeń w śniegu, aż po słoneczne niebo, zaczęły mnie dusić. Chciałem wyrwać się, a jednocześnie jakbym nie mógł wydostać się z domu, jakby było to przedłużenie koszmaru sennego, kiedy to uciekałem przed postaciami bez twarzy, ni to szukałem swoich przyjaciół, nie mogąc przypomnieć ich sobie, usiłując wydostać się skądś, czy też dotąd i nie identyfikowałem nawet swoich planów.

Wiadomości były skąpe, ale wystarczały, aby zrozumieć, że sytuacja była inna niż mogliśmy oczekiwać w najśmielszych, czy raczej najbardziej ponurych przypuszczeniach. Tylko właściwie nie pamiętam jak składały się te wiadomości, kiedy następowały które, jak odlatywała się nam sytuacja. Dni ciągnęły się wolno, coraz wolniej, i my poruszaliśmy się w nich coraz bardziej mętnie i ospale, czas

spadał jak śnieg i tylko gdzieś poza tym niderlandzkim miasteczkiem, uśpioną Holandią, bełkotały i charczały wydarzenia wyławiane gałką radioodbiornika, czy odbijały się w zdjęciach ludzi klęczących na ulicy, czołgów, samochodów pancernych, grup wojskowych, policyjnych oddziałów ciągnących ulicami i znowu ludźmi rozdającymi ulotki, czy desperacko stojącymi z zadrukowanymi kartkami w wyprostowanych rękach.

Wtedy w poniedziałek rano dowiedzieliśmy się, że aresztowanych jest więcej niż tysiąc, może parę tysięcy, że strajki wybuchały, ale nie w całym kraju, zresztą właściwie nic nie wiadomo, bo szczelny kordon odciął kraj, a wewnątrz blokada osiągnęła maksymalny stopień nasilenia, nie funkcjonuje poczta, telefon i telegraf, nawet wewnątrz miast; noc objęta jest godziną policyjną; nie wolno opuszczać miejsca zamieszkania, kontrolowani są wszyscy ludzie poruszający się po ulicach. Ale wiadomo, że w Gdańsku wybrano nowy zarząd SOLIDARNOSCI, który wezwał do strajku generalnego, na czele stoi Mirosław Krupiński, który podpisał tekst apelu do społeczeństwa. Wypowiedział wojnę wojskowemu reżimowi. Podane są nazwiska członków „Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego”, m.in. Hermaszewski, któremu Rosjanie dali pojeździć w swoim kosmicznym pojeździe, obiekt kpin całej Polski; czyżby to miała być próba odnalezienia autorytetu, czy ci w mundurach są aż tak wielkimi idiotami?

Elementy groteski, jak zawsze w takich sytuacjach, spikerzy w mundurach i Chopin przepiatający się z powtarzaniem w nieskończoność komunikatem Jaruzelskiego o stanie wojny. Kara śmierci za niestawienie się do pracy. „Jeszcze Polska nie zginęła” powtarzane na zakończenie przez kukłę w mundurze, obwisłe policzki nad cieniutką szyjką, oczy z guzików. Groteska, chore żarty, nie daj Bóg znaleźć się w obrębie tej śmieszności.

Strajk w Gdańsku w sierpniu, kwiaty na bramie, poczucie siły, upał, żywność dla strajkujących gromadzi całe miasto. Oszołomione i nieprzygotowane władze. I dobrze zapianowany zamach stanu; teraz przypominać sobie można wszelkie sygnały, wiadomość z Krakowa o ubekach bijących studentów, pobicia gdzie indziej („no już niedługo koniec tej waszej pierdolonej Solidarności”). Mróz, w kraju głód, wyłączona elektryczność, kordony wojskowe i policyjne odcinające zakłady pracy, brak łączności. Policja wkroczyła do wszelkich ośrodków i biur SOLIDARNOSCI w kraju, wszystko zarekwirowane. Wiadomo o strajkach na Wybrzeżu, w Warszawie, być może na Śląsku. To nie może długo trwać, ale teraz wszyscy walczą z mrozem, głodem i niepewnością wobec czarnych pętl pancernych wozów na śniegu.

Conitwa myśli, obrazów, gdzie zdziwiony łapię najgłupsze pomysły o tym, że generałowie postanowili iść po linii Ceaucescu i założyć własny nacjonalistyczny reżimek. I zmienia to rzeczywistość o tyle, że łatwiej można będzie zmusić ich do kapitulacji, co dalekich ustępstw. Uspokajając można się patrzeć w ogród, w śnieżny spokój, gospodarz dtonią łamie lód na stawie. Powietrze dla ryb.

Bo jeżeli słuchało się, jak Iwona, tego nieduzego, czarnego pudła, śledziło się bieg czerwonej wskazówki wyławiającej spośród harmideru, gwizdów i zgrzytów głosy ze świata, pośpieszne komentarze, w których ludzie przy pulpitych, poganiani przez błyski bożonarodzeniowych wystaw, przez dziesiątki impulsów, długie

taśmy teleksów, usiłują dopasować wydarzenia do porządków, gdzie czekają gotowe wyjaśnienia, wszystkich możliwych fenomenów świata, gdzie chodzi o to, aby błysnąć, popisać się efektywną hipotezą, potwierdzić swoją oryginalność i konsekwencję w rozwiązywaniu zagadek, jeżeli słucha się durniów, którzy usiłują być obiektywni nie zadając sobie trudu rozpatrzenia sytuacji, choćby zebrania faktów – trudno opanować furę. Leciały komentarze o tym, jak zbawczy może być dla Polski zamach stanu, jeżeli opanuje anarchię gospodarczą, jakim patriotą jest generał Jaruzelski, rozważania nad duszną tragedią liberała w mundurze zmuszonego do radykalnych kroków, o aktach być może drastycznych, ale koniecznych dla uratowania polskiej niepodległości. Rozważania po czyjej stronie stanie naród pomiędzy angielsko- i rosyjskojęzyczną wiadomością, że Breżniew otrzymał z rąk Babrak Karmala najwyższy order afgański „słońce wolności” i przemówienie, które wygłosił (a którego fragmentów wysłuchiwaaliśmy z masochistyczną pasją) zakończył sformułowaniem: „... słońce wolności, które wzeszło nad ziemią afgańską, nigdy nie przestanie jej oświetlać”, i kiedy poprzez białą mgiełą zadymki za oknem w naszym pokoju na górze widzieliśmy czerwone słońce napalimu nad spaloną ziemią, gdzie nie ma już nawet trupów, czuliśmy, że zyjemy w najbardziej obłąkanym ze światów i czasów i pojawiała się myśl, że wszelkie nasze przeświadczenia i racjonalne wnioski to nic innego jak myślenie życzeniowe.

Następnego dnia pojechaliśmy do Harlemu i włóczyliśmy się już sami po renesansowym rynku, wielkim średniowiecznym kościele, po ulicach z holenderskimi kamieniczkami zwieńczającymi się schodkową fasadą dachu, w ornamentach, między kolorowymi światłami i wityrami zwisającymi nad wejściami, aby grzęznąć ponownie w cichych, białych zaułkach, nad zamrażającymi szarobiałymi kanałami. Powrócili znowu reminiscencje książki de Costera, która z dzieciństwa zostawiła mi uczucie podróży po barwnym świecie, otwierającym coraz nowe pokłady świętem. tańcem między zmieniającymi się pejzażami, ludźmi w tłumie na rynku i na drodze, wśród zaśniewionych wsi, kiedy niespodziewanie zapach wiosennej nocy był tak gęsty jak zapach mięsa pieczonego nad ogoiem w zadymionym zajeździe. A teraz myślałem jak trudna musł być afirmacja, i że w czasie sowizdrzałskich wędrówek, obmacywania karczmarek, pełnej radości jedzenia i picia, nieopodal na stosach akrećali się heretycy, a kał tańczył na zakopanych w ziemię skazaricach, aby porządźić im zebra.

Wracaliśmy piechotą w nocy, przedmieściami, które przypominały nasze kurorty, wśród drzew i domków odślanających swoje pokoje z martwymi naturami na ścianach z mieszkającami patrzącymi w telewizory.

W ciepło-rodzinnej atmosferze domu osaczały nas nowe wiadomości, czy raczej pogłoski, niesprawdzone, ale przecież nie takie złe, coraz więcej zamkniętych, ale opór rośnie, musi a strajków – nic pewnego, i w sumie nie jest źle, nie można rządzić nagim terrorem, aresztowania muszą skończyć się jutro, pojutrze, wrzenie przerodzi się w wybuch, nie można zamknąć stu tysięcy ludzi, dziś, w środku Europy, nie można zbudować obozów koncentracyjnych, terror spowoduje narastający gniew – przecież to już widać. Nad Afganistanem słońce wolności...

Na dole przy kominku sącząc z gospodarzem wódkę i piwo, próbuję mówić o wszystkim byle nie o polityce, czuję, że wybuchnąć mogę nawet bez powodu.

Iwona ostrzega, że jestem bezpodstawnie agresywny, nie chcę już nic zrozumieć z ich postawy, a ja czuję, że to jest ich postawa i nie chcę jej zrozumieć. Gospodarz lubi gadać, co zwalnia mnie od obowiązku odpowiadania, mogę gapić się w ogień, patrzeć na ruch płomieni to znowu słuchać jak opowiada o cieniach i świetle, kiedy Łódź podwodną wynurza się i o napiętym związku jej załogi połączonej jakby alpinistyczną liną. Krysy w ogniu i natrętnie powracający Conrad...

Na górze w skowycie zmieniających fal zaczyna się ta zabawa – kto już siedzi. Jacek – w kłębach dymu wiecznie perorujący niskim, potężnym głosem, ale jak długo tak można, sześć i pół roku więzienia dotąd, to już miał być nowy czas, czas spełnienia. Pamiętam, jak po raz pierwszy zauważyłem, że zmienił się, to chyba w lutym, jak zgarniali nas z ogólnopolskiego zebrania oczywiście w jego mieszkaniu, był absolutnie spokojny, ale czułem jego napięcie i dostrychałem pytanie do zdziwionego i nic nierozumiejącego Adama: Sądziłaś, że na jak długo?

– Myślałam, że jednak cztery osiedla.

– Pytam: czy nie na dłużej?

Mogłam mówić to z jego zupełnym luzem w innych sytuacjach. Swobodą, która była doskonałą adaptacją do wszystkich warunków, afirmacją nowej sytuacji i okoliczności, instynktowną pewnością nowych zadań, które trzeba rozwiązywać już i podejmowanych bez chwili wahania, z energią, która musiała znaleźć ujście natychmiast i nie pozwalała na moment odpoczynku, uspokojenia i dystansu, kazała być znowu wewnątrz, w centrum – dudniący głos w wielkim cielsku, wieczne nadpobudzenie w gestach, wypowiedzianych zdaniach, śmiechu, sposobie palenia papierosów wyrzucanych w połowie, litrach stężonej herbaty, która mnie już po pierwszym wstęku przyprawiała o mdłości – to po grudniu 79, a właściwie wtedy, w lutym, kiedy zgarniali nas, po raz pierwszy zauważyłem, że on również starzeje się. Myślałem, że po tej próbie w grudniu, kiedy drugi raz usiłovali rozwalić KOR, coś koło trzydziestu sankcji, paręset zatrzymań na czterdzieści osiem godzin, sam wtedy myślałem: zaczyna się ostro, próbując czeskiego wariantu. Przygotowani byliśmy na wszystko, pewni, że wszystko rozstrzygnie się właśnie wtedy, kiedy po zebraniu, po zakończeniu mszy rocznicowej, poszedłem na wódkę z Ziemowitem na Plac Matejki (bo przytulnie i w miarę bezpiecznie) – tylko po setce, bo nie można więcej, a później nie będzie kiedy – myślałem, być może wygramy dopiero za parę lat, a raczej nie wygramy, zacznie się akt następny, już bardziej korzystny i dlatego nie będzie bez sensu te kilka lat w czterech szczelnych ścianach. Jak nic nie było na darmo w tej naszej trzydziestokilkuletniej dusznej historii, po zwycięstwie w największej z wojen.

Ale nie mogło być wesoło to, co bełkotałem nad stołem do Ziemowita, że być może w następnym okresie jedynym miejscem dla uczciwych w tym kraju będzie więzienie. W tym samym czasie jak zawsze odbierając telefony, spisując informacje i udzielając odpowiedzi, ale spakowany, czekając na łomot do drzwi, Jacek myślał, że zaczyna się Czechostowacja. I chociaż potem była radość, kiedy po jednym dniu wycofali się bez konfrontacji, to coś zostało, myślałem, w jego zachowaniu, twarzy, jakby jeszcze ta jedna kropelka...

Po sierpniu 1980 wszyscy byliśmy pewni, że choć zdarzyć się może nie wiem co, to nie ma powrotu do takich momentów...

Siedzi cały KOR – i Adam dystygowanym zachowaniem dystansujący się od rzeczywistości, jak wtedy kiedy wyrwał z ręki ubeka kartkę, podał na drobne strzępki i szarpnął dmuchnięciem po pokoju mówiąc: – „Bardzo mi przytkro, że musiałem to zrobić, panu chyba również”; i Lit, którego następny fragment dziennika: nowych czasów ukazywał się właśnie w Holandii, i inni, może Konrad uciekł, zdarzać mu się to wcześniej, może Peniek.

Liczyliśmy kto z Krakowa: Papeś, Leszek, Robert, może Anka, Kostek, kto jeszcze... Twarze, strzępy rozmów, gesty, drobne sytuacje, ulamkowe odkrycia czyżegomość grymasu, niespodziewanego zachowania na tle pulsujących, wibrujących dźwięków z radia i nowych komentarzy: być może Jaruzelski okazał się zbawcą.

Zaczęły się telefony do Paryżu, na które odpowiadał długi miarowy sygnał... Jeżeli było coś wiadomo, to oni w Paryżu wiedzieć musieli, więc coś wiedzieli na pewno, bo nie można zrobić aż tak szczelnego kordonu... A przecież chodziło o to, żeby usłyszeć ponownie bliskich ludzi, choć te miesiące na Zachodzie bez wspólnego zagrożenia, wspólnych problemów, ujawniły nagle różnice, coraz głębsze szczeliny pomiędzy naszymi postawami, wyborami, coraz mniej wspólnych tematów, może wspominki, jeszcze raz jak to było, a pamiętasz, wtedy... I coraz dłuższe przestrzenie milczenia, coraz rzadsze spotkania, zniecierpliwienia. Teraz znowu poczucie bliskości, pewności, że dokładnie tak jak my słuchają wiadomości w tym świątecznym kermaszu, między obojętnymi ludźmi, wysiąc chwilkami czy nie wsiąść w samolot i być tam za parę godzin, w zimnych miastach, gdzie prawie nikt teraz nie myśli o świątach i brzmi to jedynie jak ironia, na ulicach po których jadą czolgi, samochody pancerne, transportory z karabinami maszynowymi, przebiegają oddziały policji i wojska.

Myśleliśmy o Sz. To całkiem prawdopodobne, że jest w więzieniu. To zupełnie nieprawdopodobne. Pamiętam, jak wyjechał z Krakowa. Był nawet zadowolony z tego wyboru. Niedużo, zneruchomiałe miasto na peryferiach rzeczywistości, z kościołami, dawonami, zamkiem nad nim, na szczycie. Wąskie, melownicze uliczki, stare domy, seamy rytm. Mógł tam być belfrem od angielskiego i polskiego, ze zdumieniem odkrywać ponownie Mickiewicza. Mógł wychodzić na spacer z psem na białe pola pośród wyschniętych badyi, przechodzić zmarłe miasto żydowskiego komentarza, gdzie towarzyszyłem mu kilka razy. Mógł rozwiązywać przegrane równania swojej samotności, pisząc coraz krótsze wiersze, eseje o Rilkeni, raz jeszcze wracając do Eliota, tłumacząc na zmianę Castanedę, Jeffersa czy poetów metafizycznych, odkrywając właśnie zmarłego australijskiego pisarza, którego nazwiska nie pamiętam. Tłumacząc Bubera, czy medytując nad Simone Weil. Poświstując na fletach nadchodzą szczurołapy.”

Pamiętam swoje zdziwienie, kiedy w Paryżu odkryłem jego nazwisko na liście delegatów na **SPRZED SOLIDARNOŚĆ**. Może miałem w tym swój daleki udział: kiedy spotkał się w Krakowie, to już był chyba październik, on zafascynowany, ja odnudzony o lat dziesięć, pełen sił, które odkrywałem bez końca, w ciągłej gonitwie, awanturach, dyskusjach, coraz to nowych pomysłach, nagle, ni stąd ni zowąd, w Krakowie Living Theatre, kawał miłu naszej młodości. Happening. Jakby wszystko w zasięgu ręki. To było odkrywanie nowego czasu i wymiaru, który dotąd tylko przeczuwaliśmy. Potem w Paryżu nowe wiadomości o Sz.: jest

redaktorem gazety, przedstawicielem... Wreszcie spotkanie z Elżbietą w Luwrze – Paryż, cortazarowskie miasto spałkań – mało powiedzieć nieprawdopodobne, niemożliwe i rozmowa, która nie kleiła się po tej niezwykłości. Oczywiście i o Sz., znowu wszystko nieprawdopodobne: zastępca przewodniczącego; nawet kandydował, zabiegany, ciągle w ruchu... nie ma czasu nie tylko pisać, ale i czytać, gdzie dyszą, wieża z kości słoniowej, ashram... poświstując na fletach nadchodzą szczuroląpy.

Dzień następny. Strajki są chyba we wszystkich większych ośrodkach, ale nic o nich nie wiadomo, strajkuje całe Wybrzeże, Warszawa, jakieś kopalnie na Śląsku, Wrocław, Nowa Huta, Łódź, Huta Katowice itd. Ale dochodzą niepokojące wiadomości, wewnątrz Ursusa wojsko i policja, zdobyli strajkujący zakład, czy uprzedzili strajk – nie wiadomo, nie jest nawet pewne, czy są tam rzeczywiście. Strajkujące zakłady są odcięte od świata, ponoć została zdobyta Huta Katowice, normalnym, ostrym atakiem policji i wojska, strajkujący w Gdańsku i Nowej Hucie zamknęli bramy i obiecują obronę w razie ataku... Bujak został złapany, kiedy usiłował dotrzeć do Ursusa, okazuje się, że udało mu się uciec w nocy z soboty na niedzielę. Fatalnie, sieci są gęste, trudno poruszać się, manewr zamknięcia, opanowania całego kraju, nieprawdopodobny, a jednak przynoszący rezultaty, jakby można było zamknąć i kontrolować całą Polskę, precyzyjnie i dokładnie. Więc jednak można zdobywać zakłady pracy, rozbić strajk, zamknąć przywódców, a przecież nie wierzymy, żeby potrafili zrobić to w Gdańsku, Nowej Hucie – ludzie będą walczyć, nikt nie otworzy do nich ognia... Aresztowana nasilają się, mówi się już o dziesięciu czy więcej tysiącach, nieprawdopodobne stało się, dzieje się.

Na dole po śniadaniu, przy kawie, gospodarz powiedział mi, że mam szczęście, że znalazłem się tutaj, a nie w kraju, „you are lucky boy” powtórzył. Widziałem go, starego człowieka, który wierzył w godność swojego życia, a potem ogród przez ścianę ze szkła i powtarzałem: może mi nie wierzyć, ale chciałbym tam być właśnie teraz.

Kiedy nikt w Polsce nie mógł przewidzieć tego co stanie się w sierpniu i później, kiedy takie zmiany ja, jako optymista, liczyłem na pięć, może siedem lat, Wojtek – to było w czerwcu, ale również wcześniej – mówił: możesz być pewny, wszystko rozstrzygnie się właśnie teraz, w następnych miesiącach i albo pójdziemy na lata, albo będzie to już zupełnie inny kraj. Kiedy zegnaliśmy się w Paryżu, zbierając do nieśpiesznego powrotu i ustaliliśmy miejsce spotkania już w Kraju, Wojtek – to był jego nastrój od jakiegoś czasu, mruknął – o ile będzie jeszcze ten kraj. Jak po czasie powracają reminiscencje takich głupich, wtedy nic nie znaczących znaków.

- *You have to understand, they are cowards*, zaczął gospodarz, ale potem ostrożnie, aby mnie nie urazić rozwijał wątek: otóż całkiem prawdopodobne jest (rozumiałem, dla niego jest pewne), że w historycznej perspektywie nowy porządek stanie się dla naszego kraju korzystny, Jaruzelski broni Polski przed Moskwą i dlatego w tej chwili musi wprowadzić ład w chaos naszej rzeczywistości, nadzwyczajne metody mogą być usprawiedliwione nadzwyczajną sytuacją, on rozumie moje słuszne oburzenie, ale może było to jedyne wyjście. Staralem się być spokojny i raz jeszcze wyjaśnić, że SOLIDARNOSC otrzymała w spadku kryzys i chaos ekonomiczny, że to system niszczy ekonomię i broni się przed jakąkolwiek reformą, bo

uzuczupliłoby to jego stan posiadania, stan posiadania władzy wszechmocnej oligarchii, a ekonomii nie sposób uleczyć bez gruntownych reform, czyli bez zmian systemu, a teraz również na życzenie sowieckie żelaznym butem usiłuje się zmiążyć najoczywistsze dążenia przebudzonego społeczeństwa, tak oczywiście, że tu na Zachodzie nie chce się wierzyć iż sprawa jest tak prosta... Gadajem, gospodarz grzecznie mi potakiwał, a ja mówiłem z coraz mniejszym przekonaniem, coraz mniej wierzyłem, że wyjaśnię cokolwiek tym sytym, grzejącym się przy kominkach i przez szybę oglądających zimę, i zapadający nirok. Jak oni zrozumieć mogą, że strajk może być jedyną szansą uzdrowienia i wprowadzenia porządku w ekonomię, jak mogą zrozumieć tak prosty i oczywisty podział poprzez swój skomplikowany i wcióżnaczny świat: zrozumieć nagą, okrutną przemoc w stosunku do społeczeństwa, narodu, ludzi, ogółu i każdej konkretnej jednostki.

Wykręcałem telefoniczne numery, jak Iwona kręciła gałką radiodiodbiornika, właściwie już przestałem oczekiwać, że dowiem się czegoś, jak Iwona chyba przestała czekać na informacje, które właściwie nie mogły przynieść nam nic nowego - gospodarze co godzinę podawali nam serwisy wiadomości radiowych, tłumaczyli artykuły.

Powrócił do mnie odłożony list do Sz., odłożony na nie wiem kiedy, nie napisany. Ten mój ostatni list, dwa szkice nowelek z włoskiej wiośczi, o Leonardzie z rawenneńskiego fresku, o postaci przechodzącej wszystkie stopnie rzeczywistości, aby zastygnąć w znak, kanon, i o karnawale weneckim, o mieście: ażurowym fabrycznie na granicy istnienia, gdzie nawet ludzie tracą swoją realność w czasie i przestrzeni - teraz wydawało mi się to blade i sztuczne, a może bardziej przynależące do innego, darowanego czasu, bo czas prawdziwy był również nie tu, w sennych przed-więtecznych wsiach i miasteczkach holenderskich, wśród rodzin przegotowujących święta przy kominku, przez odsłonięte okna oglądających słońce dawa zanurzone w mroku, czy w naszym pokoiku na poddaszu z okienkiem na gularne figury ogrodów odbijających harmonię. Prawdziwy czas był tam, na ciemnych ulicach, gdzie uzbrojone oddziały szarżowały na tłum i w celach zatłoczonych ludźmi z trudem łapiącymi powietrze, w bezsilności opadającej na ciężkie ciała, w zimnych mieszkaniach, drżących palcach na szklance z wstrząśnięciem przy świecach i szelniecznie zasłoniętych oknach. Może najbardziej w pędzących postaciach przemykających się o zimoku i tłumach uarznących w wielkich halach, trzymających w dłoniach metalowe pręty, wietrzących dźwięki z zewnątrz, od kordonów czółgów, wozów pancernych, uzbrojonych i gotowych do ataku oddziałów policji i wojska.

Myslałem o Leszku, w celi gdzie nie może nawet chodzić od ściany do ściany, bez papierosów, gdy nie ma co zrobić z za długimi rękami. O czym może myśleć on, zajmujący się ostatnio problemami reformy agrarnej, ruchu samozgądków zakładowych, dla którego zrezygnował z pracy o literaturze wielkiej metafory i z wszelkich pomysłów studiów nad barokiem powracający w poezji współczesnej. Jedyny list, który wysłałem mu, traktował zainwio o Lewackim, jak i o przełomie z ujęcia alegorycznego na symboliczne w malarstwie renesansu, czego przykładem może być znana perspektywa dawnej fascynacji Leszka alegorią, systemami średnowiecznymi, alicenią, nie wiadomo czy pamiętane w zamęcie stającego się

czasu, który porywał wszystkich.

Projekty listów, ludzie, świadomość, że nie tylko nie mogę, ale nawet nie mam do kogo wysłać listów. Do więzień nie trafiają listy z Zachodu. Przyjaciele z Wrocławia: Olek, który mówi mi – to już był czerwiec, telefon z Paryża – że trudno im nadać za wypadkami, ale ta zadyszana pogoń jest entuzjastyczna, nawet nie ma czasu żeby napić się wódki, i mówił, żebym przyjeżdżał, kiedy tylko zdążę, bo szkoda tracić tego, co właśnie się dzieje. Przypomniałem sobie Krzyśka z miękkimi ruchami, z uśmiechem Jezuity, który w czasie strajków w sierpniu przemawiał: – Wojewodo to wasza ostatnia szansa; Staszka – białe zęby szczerzące się z czarnej brody. B., który ugrzązł w wojsku na najlepszy czas, ale właśnie wyszedł, aby zdobyć pismo, w którym mógł znaleźć ujście dla jawiny swoich pomysłów, projektów; przy spotkaniu – jak dziecko – nie mogący wyartykułować pierwszego zdania z nadmiaru słów, które chciał z siebie wydobyć. W celach więziennych, odcięci od tego, co dzieje się, od czego zależą ich losy, gdzie tylko mogą nadłuchiwać z uchem przy metalowych drzwiach...

Przypomniałem sobie jedną z piosenek z festiwalu piosenki prawdziwej, skąd taśmy przywieźli do Paryża Grzesiek i R. (miałem nadzieję, że nie zdążyli wrócić, potrzebowali naprawić samochód, mieli jechać przez Szwecję, to jednak dużo czasu...), pamiętałem strzępy: papierosy palone w rękawie, samochody stały już od rana, słowa oficerów, nie można zrobić fałszywego kroku, uderzamy na stadion, terytorysty i inne kanalie, jak trzeba ziemię kordonem otoczyć... Nie za bardzo zwrócono na nią uwagę w erupcji optymizmu, humoru, poczucia triumfu, a była to czarna antycypacja nadchodzących wydarzeń... Może to jedyny utwór autora, którego nikt nie pamiętał. „Z człowieka można zrobić wszystko: policjanta, komandosa...”

Następnego dnia przyszły wiadomości o zdobyciu szturmem Stoczni Gdańskiej – centrum oporu, tradycyjnego ośrodka buntu, i o zdobyciu Huty Lenina, i może innych zakładów. Nie wierzyliśmy, wiadomości są niepotwierdzone, pewne są tylko starcia na ulicach Warszawy, chyba w Gdańsku, nikt nie wie gdzie jeszcze, wielu rannych, być może zabici, aresztowania rozszerzają się, mówi się już o dziesiątkach tysięcy, może trzydzieści, może pięćdziesiąt. Wiadomo, że założono obozy koncentracyjne. Poiskie wojsko. Kiedy wreszcie nastąpi bunt? Kiedy wreszcie armia odmówi wykonywania rozkazów? Wszyscy powtarzaliśmy kiedyś te mity, pewniki – nie da rzucić się wojska przeciwko ludności, zbuntuje się i nawet nie uda się go wykorzystać, bo również wśród kadry oficerskiej...

Przez telefon mogę rozmawiać z Saszą. Nie ma właściwie nic do roboty, ani do pomocy. On gania, gada, ale to wszystko i nikt tu w niczym nie może pomóc, zrobić. Co masz zamiar robić? Właśnie, co ja mam zamiar robić, co można robić ze sobą? W śnieżnej Holandii, wśród przemitych ludzi, z ogniem na kominku i szklaną ścianą na ogród. Sasza gada bez sensu, może jednak lepiej do Kolonii, jak projektowaliście, zawsze to bliżej... Nie możecie wytrzymać? Pamiętaj, to potrwa parę miesięcy i muszą ustąpić, nie wygrają wojny ze społeczeństwem, bo będzie ciągły opór i coraz nowe ogniska...

Nie oceniam już hipotez, nie próbuję ich analizować. I nie mogę już tu wytrzymać, w niskim powietrzu wokoło, w fotelu, na kanapie; na górze skrzypli i trzeszczy

radio, na dole co jakiś czas mapa Polski na ekranie i – obok siebie – zdjęcia: Jaruzelskiego i Wałęsy. Zachodnie mass media rozstrzygają problem czy Wałęsa przebywa w areszcie domowym, czy prowadzi rozmowy z juntą z własnej woli. Nie ma żadnej oficjalnej wypowiedzi Wałęsy. Nie będzie. Jestem pewny. Dopóki sytuacja przedstawiać się będzie podobnie. Na pewno nie w rządowych publikacjach. Jednak niepokój, jakby nie było już żadnej pewności. A przecież widziałem go w Gdańsku w czasie strajków: wielkie dni, pewność przywódcy, który umie decydować wszystko w sekundach i trwać przy tym. Jego polityka potem była czasami więcej niż zła, ale ten czas jest czasem jego...

Przed zmierzchem wychodzimy z domu. Słońce nie tonie, ale rozpytywa się nad morzem, ciemność jest pełna lodu. Włóczy się po małym, mroźnym miasteczku, gdzie świetna gazeta mówi coś o Polsce w nieznanym języku. To już nawet nie innego tylko zawieszenie, jakbyśmy unosił się w tym powietrzu, nie czując, nie rozumiejąc... jeszcze kilka dni wcześniej potrafiliśmy postrzegać, chłonąć.

Wracamy, byle prędzej do radia, telewizora, telefonu, poprzez miasteczka czy przedmieścia – tu nie sposób tego dociec. Zanurzamy się w ciepło.

W telewizji – obok twarzy Wałęsy – twarz Krupańskiego. Został schwytany w Stoczni. Ostra i spięta twarz, krótko obcięte włosy. Iwona mówiła – trzeba odwagi, jeżeli go złapią... wypowiedział wojnę reżimowi.

Więc, już jest pewne, że zdobyli Stocznię i Nową Hutę, być może i inne ośrodki. Stocznia, która miała odrodzić SOLIDARNOŚĆ, tak jak stworzyła ją, jest okupowana przez wojsko. Znamy już taktykę, wojsko jedynie otacza ośrodki i blokuje je; ataków dokonuje policja, specjalnie szkolone oddziały: EW, dziniacy, ZOMO, parę tysięcy doskonale uzbrojonych i wyszkolonych goryli na jeden zakład – ludzi odciętych, osaczonych, głodnych – to powinno wystarczyć, a jeśli nie, przecież można rzucić więcej i tak wymiatać zakład po zakładzie, fabrykę po fabryce, ośrodek po ośrodku. Taka jest taktyka. Proste – zgnieść opór.

Możemy wyobrazić sobie metody tych tresowanych i zbydlęconych oddziałów, pełnych strachu i agresji. Pamiętam bezsilną wściekłość, kiedy po czerwcu 1976 roku otrzymywało się wiadomości o „ścieżkach zdrowia”, po których ludzie lądowali w szpitalach psychiatrycznych, o torturach, biciu pałkami w pięty, rozbijaniu głów o biurka i metalowe szafy, wrywaniu włosów. A przecież wystarczyło zerknąć się z szarą, codzienną praktyką „organów śledczych”. Oglądać w areszcie ludzi z połamanymi rękami i palcami, z krwawymi wybroczynami na ciele, zmasakrowanymi wargami, przypomnieć sobie własną czarno-siną skórę.

Wszystkie dawne życzeniowe pewności, jak wyglądają teraz ze środka Europy, gdzie rosną koncentracyjne obozy, gdzie więzi się dziesiątki tysięcy, zabija... terror wzmagą się i kraj jest zamknięty, więc jednak można zamknąć blisko czterdzieści milionów ludzi, teraz w środku Europy. A wszystko robią to właśnie Polacy, więc jest możliwe rzucić ich przeciwko sobie, założyć obrońców ich własnymi rękami, zrobić z kraju jeden wielki, koncentracyjny łagier – cóż z tego, że na ewidencji rozkaz. Dowodzimy sobie rzeczy, w które chcemy wierzyć, nasze historyczne pewności to dziecinne przesławianie, wywiedzione z bajek o triumfie dobra, nawet nasze pesymizmy to jedynie usprawiedliwianie naszego tchórzostwa i niemocy, i zawsze możemy znaleźć taką samą liczbę kontrargumentów. Czy każdy musi wierzyć, że

właśnie wobec niego zrealizuje się w historii porządek wartości i musi przeżywać jego ruinę, jak każdy musi przeżywać na nowo objawienie śmierci? Czy to właśnie nam na wschodzie Europy dane jest czuć zgryzające gaśnie historii, a tu na Zachodzie, młodzi, nie potrafią odnaleźć swojej drogi, marzą o historii, o heroicznym spełnieniu. Wzywają los, aby wyrwał ich z rutyny dziejów. „Nie daj Bóg, abyś żył w ciekawych czasach”. Andrasz, z tym swoim zdystansowanym, lekko cynicznym poczuciem humoru, umówił się z nami na dwie godziny po wojnie.

Radio piszczy, skrzeczy i wyje, znowu Wzgórza Golan, Polska i Czerwone Brygady. W Afganistanie od dwóch lat wyrzyną się naród, w Polsce tworzy się gigantyczny obóz koncentracyjny, łamie całe społeczeństwo, odbiera pozór jakiegokolwiek wolności; lewacy z Zachodu krzyczą o odczłowieczonym systemie kapitalistycznym, o faszystwie Europy Zachodniej. Terrorysty to przypadek skrajny, ale wzięli się z całego ruchu i ruch po części przyznaje się do nich, to linia ciągła: nie akceptujemy metod, ale... Kiedyś z polskiej perspektywy myślałem o tragizmie ekstremizmów, o terrorze jako dialektycznym samozapreczeniu, teraz na Zachodzie, lata później, myślę jedynie, że czas najwyższy rozprawić się z dziećmi Nieczajewa. Łagry zostały stworzone przez takich ponurych fanatyków. I nie rozumiem czemu wszystko musimy kompromitować słowem: faszyzm. Sam używam tego zbyt często, a czyż nie wystarczy mówić „Komunizm”? Marchais zaakceptował terror i rządy generałów w Polsce, to konieczne dla przywrócenia ładu, winą SOLIDARNOSCI, która chciała sięgnąć po władzę.

Zachodnie mass media donoszą o rosnącym oporze i rosnącym terrorze, nie można tak bez końca, coś musi się przelamać. Wierzę jeszcze, cały czas wierzymy, ale czy nie dlatego, że inaczej przecież nie może być. W obozach, więzieniach, może już pięćdziesiąt tysięcy. Iwona powtarza: przecież nie mogą zamykać ludzi bez końca, wreszcie muszą zrezygnować... Pamiętam, jak po manifestacjach w Krakowie po śmierci Staszka terrorizowano Warszawę, chyba sto osób zatrzymanych na czterdzieści osiem godzin, ZOMO krąży po ulicach, chyba dziesięć sankcji. Już wtedy mówiliśmy: przecież nie mogą uwięzić stu osób. Boże, to brzmi jak obrazki z nierzeczywistej, sielskiej krainy, operetkowego liberalizmu.

Ten Murzyn, perorujący między zasłuchanymi lewaczkami, dla których pierwszą racją był jego kolor skóry, atakujący śmieszny, cldiwy humanizm Europejczyków, którzy oburzają się na Bokassę dopiero po wymordowaniu dzieci jakby zabijanie dorosłych było czymś lepszym. Nie rozumiał, że naruszenie ostatnich tabu znaczy bardzo dużo, że dalej jest tylko zło, bez osłony, nieograniczona przemoc, wyzwolone okrucieństwo i wtedy nie ma już do czego się odwołać. Dlatego zabijanie dzieci jest bardziej przeraźliwe i okrutne, choć śmierć dorosłego jest taką samą tragedią. Takie to oczywiste, wszyscy czujemy, a jednak...

Alc jeżeli zamknęli pięćdziesiąt tysięcy, mogą zamknąć i sto. Jeżeli w Polsce otwarto obozy koncentracyjne, to można już prawie wszystko. Cel czerwonych generałów (jak cel Rosji) jest jasny. A jeżeli złamią społeczeństwo, po tym roku nadziei i szansy, na który pracowała nasza powojenna historia, jeżeli okaże się, że cała ta praca, poświęcenia, ofiary to tylko odskok do najczarniejszego okresu w historii tego narodu, jeżeli heroizm walki zaowocował tylko jedną z największych tragedii polskich, jeżeli...

Za oknem Holandia zapada w noc białą i skrzyptą: o takim Bożym Narodzie miałem marzyć jako dziecko. Miałem również o dramatycznej historii uczestnictwie...

Poranne wiadomości zaczynają się od cytowania polskich mass mediów. W kopalni „Wujek” zastrzelono siedmiu górników, dziesiątki są ciężko rannych. To policja została napadnięta przez rozszalałych górników, policjanci chcieli wy tłumaczyć, że w stanie wojny strajk jest niedopuszczalny i został zaatakowany. To w samoobronie zastrzelili siedmiu napastników i ranni kilkudziesięciu Koszmar i groteska. Ale w tym wszystkim jest metoda. Przecież nikt w Polsce nie wierzy w słowo propagandy i wszyscy są tego świadomi. Komunikat w gruncie rzeczy mówi jedynie, że władze nie cofną się przed niczym: zabijają i będą zabijały. Niech nikt nie ma żadnych złudzeń. Nikt także nie uwierzy w te symboliczne siedem osób, zabitych jest więcej, a będzie zabijac się dotąd, dopóki nie spacyfikuje się społeczeństwa. To wojna z narodem i słusznie ogłoszono stan wojny. Chciano aby, przy koncentracjach, gdzie zamyka się dziesiątki tysięcy i słusznie morduje się, aby wyłtę pimy was, zmiążdżymy, albo padniecie na kolana -- to proponują władze. Jaruzelski -- nieforemny łeb, obwisła skóra twarzy kołysze się na cienkiej szyi: jeszcze Polska nie zgnęta.

Dodzwoniłem się do Paryża. To była Oleńka i prawie nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. Miotamy się, ganiamy. Nie ma wiadomości, wszystko niepotwierdzone, wiadomo, że policja używa broni, jest dużo zabitych. Nic pewnego. Na koniec -- są, coraz częstsze pogłoski, że ludzie zsyłają do Rosji, to oczywiście nieprawdopodobne. Co jeszcze jest nieprawdopodobne, co jeszcze może stać się z rzeczy, które już nie mogą się stać. Jak magiczne zaklęcia brzmia sformułowania: to przecież druga połowa dwudziestego wieku! Środek Europy!

Iść do miasta, wielkiego, ruchliwego miasta, iść w tłumie ludzi, czuć jak potracają cię, popychają, prowadzą, widzieć migające wystawy, twarze, dłonie, nie rozumieć, nie czuć, tylko iść. Jedźmy do Amsterdamu, zobaczymy się z kims, wykrzykujemy po polsku jakieś słowa, przekonujemy się, nie wierząc w to, co mówimy, bo przecież trzeba gadać, klócić się, robić coś.

Stały tyłm wiadomości -- rosła represja, ale i rosła opór, pomimo złamania głównych ośrodków ujawniają się nowe, strajk w stoczni w Szczecinie, robotnicy są ponoć uzbrojeni, obiecali bronić się, strajk w Poznaniu, strajkują inne kopalnie, górnicy grożą wysadzeniem w razie ataku, masowe strajki w innych częściach kraju, policja niezwykle brutalnie rozbiła strajki studenckie -- masowe aresztowania wśród studentów i pracowników naukowych.

Gospodarze przestali komentować wydarzenia. Jakby poczuli je. Jakby zaczęli rozumieć co znaczą. Udzielił się im nasz nastrój. Nie próbują zagadywać, grzecznie dodawać swoje trzy grosze, okazywać zainteresowanie. Bez pytania tłumaczą informacje, sami wyszukują i podają nam nowe. Kończą na tym, czasami dodają jedno zdanie, pewną oczywistość, o której wiemy, choć dla mnie wszystkie te oczywistości przestają być sobą. Jednak powtarzam je: jeżeli naród zdecyduje się na walkę, nie można go zwyciężyć, nie można złamać.

Zmianę najbardziej widać po starszej córce, Anette, ze znaczkiem Amnesty International na bluzce. W nuciżeniu śledzi z boku, zamienia po parę zdań z rodzicami.

mi, z ukosa patrzy na nas. Może jest teraz pośrednikiem między gwał. a tą ciepłą, przedświąteczną Holandią, spokojnie zanurzoną w śniegu, zaofiarowana świętami, podczas których świat sprowadza się do tak dobrze znanych osób wokół stołu, choinki, refleksów, błajkich gałęzi, przez szyby i egzotyecznych bajek rozrywanych w migoczącym okienku, telewizora. Może. Anette czuje niejasność swojej sytuacji, w rodzinnej harmonii, radosnej goniłwie przedświątecznej, przy skryptach; przed powrotem na uczelnię, gdzie studenci znowu włączyć będą, o pokój i dookreślać swoje postępowe poglądy. Nie mówimy, ze sobą, a ona patrzy na nas, przybyszów z innego świata, przypadkowo zaplątanych w ten dom, przedświąteczną aurę, rzeczywistość tego kraju, obcych, trzepoczących się jak w klatce w ciepłych ścianach schronienia.

Holandia pasjonuje się transportem żywności wysłanym do Polski ze zbiorów, transportem który wyruszył parę godzin po uchyceniu władzy przez wojskowych. Sto wielkich, podwójnych ciężarówek, dary za około dziesięć milionów guldenów. Kierowcy nie tylko nie dostają wynagrodzenia, ale w dodatku poświęcają swoje upłoty. Wywiady z nimi. Wyglądają jak z „Konwoju” Peckinpaha. Wybrali swojego szeryfa z wielką, meźniową gwiazdą na skórzanej kamizelce, w cowboyskim kapeluszu. Żegnani entuzjastycznie przez tłumy ludzi na drodze. — To pożegnanie jest jak powitanie — mówi Iwona — tylko kto ich powita w Polsce? Przy powiewających flagach ruszają na ekranach telewizorów w noc i zadymkę. Właśnie, po jakichś tam kłopotach, przekraczają granice Polaki.

Amsterdam w śniegu. Wieża Babel. Wielojęzyczny, wielokolorowy, mieniący się tłum na malej przystrzeni. Wszelkie tradycje i narody obok siebie. Wzdłuż kanałów szeregi wymyślonych kamieniczek z holenderskiego złotego wieku. Zgiełk, ruch, światło i zaraz cisza, spokój zamartwych zaułków i placyków. Wesola, żywołowa rozpusta, wielokolorowe kobiety na wystawach okien, najegzotyczniejsze twarze i ciała, piękne i obrzydliwe. Migoczący sex. Najbarwniejsze knajpy, drewniane wnętrza holenderskich zajazdów, chińskie bukiety i smoki w splecionych i barokowych, to znowu uproszczonych i oszczędnych formach, indonezyjskie, argentyńskie, żydowskie, bałkańskie itd., itd.

Myśleliśmy o ewentualności świąt tutaj, na targu, obserwując słońce zapadające głęboką poświatą między kamieniczkami przy Brouwers Gracht. Był dziesiąty lub jedenasty grudnia. Nierzeczywisty, inny świat, który potrafiliśmy wchłaniać, przestrzegać, a więc afirmować. Teraz potrafimy tylko odrzucać, lub uciekać przed sobą w gwarze, ruchu, światłach centrum, nie chcemy spacerować Prinsen Grachtem, korowodem domów wyginających się nad szkłem kanału.

W Muzeum Miasta Amsterdamu pojawiający się chyba z rozpędu. W przestrzennych salach, świetnie zaprojektowanych i zrealizowanych, duszę się. Obudziła się we mnie klaustrofobia. W aresztach usiłowałem nie myśleć, że jestem zamknięty, próbowałem odnaleźć przestrzeń swojej wyobraźni, odczuć widmowość zamykających mnie murów, ich nerzeczywistość. Udawało się. Tylko momentami, budząc się i uderzając w zaryflowane drzwi, czułem obręcz zaciskającą się wokół głowy. Teraz powietrze, które wciągam przeszkadza oddychać. Olenka opowiadała mi, że w celi po pewnej nieprzespanej nocy, była bliska obłądu.

Józefina ma poszarzałą twarz, sine obwódki pod oczami. Wymyśla na swoich

rodaków. Stupid Duchs - mówi. Zajmują się tylko swoim daniem, swoją wielkodusznością, swoimi ciężarówkami, Wiem, że to niesprawiedliwe, ale nie usiłuję oponować. Dziesiątki niesprawdzonych informacji. Były sporadyczne kontakty krótkofalowe. Ale policja zdejmowała krótkofalowców jednego po drugim. Były walki na ulicach. To jak pogrzeb narodu - powtarza Józefina. Jest rozdygotana, na skraju wybuchu, jej ruchy zaczęły tracić celowość.

Sasza biega po spotkaniach, wykładach, dyskusjach. Wraca z Markiem Transztor nastawiony na polskojęzyczną BBC. Właśnie mówią o rozbijaniu studenckich strajków we Wrocławiu. Jakiś profesor zatłuczony na śmierć. Brutalność nieprawdopodobna, bije się nie tylko po to, aby złamać opór, lecz również po to, aby zastraszyć. Pamiętam tych ubeków, mętne, jasne oczy, teraz już was rozpierdolimy, to już was koniec, zadośćuczynienie za strach w trzęsących się rękach. To było w czasie rocznicy Katynia, na rynku, padbiegali stadami. Tak było tyk razy. Teraz mogą robić, co chcą na uczelniach, kopniakami wybić inteligentkom poczucie wyższości, teraz mają studentki, mogą wlec je za włosy po schodach, bić, słyszeć jak krzyczą - teraz oni robią porządek. Wykręcili Efi ręce, bili ją po twarzy - to było za dawnych, dobrych czasów, teraz siedzi na pewno, była delegatem na zjazd, na pewno robiła dużo, no i przeszłość.

- Wiesz jak oni nazwali spotkanie na uniwersytecie? - pyta Sasza - „Lewica a sprawa polska”. Ja im mówię, że już dość tego dobrego, tam niszczy się naród, giną ludzie, panuje dziki terror, a oni rozprawiają o swojej lewicowości. Gadali o tym, kiedy w Polsce rozstrzygało się wszystko, a oni zastanawiali się, czy mogą to poprzeć, bo kościół, i to nie dość lewicowe... Teraz czas najwyższy, żeby wreszcie zrozumieli: wszyscy mają w dupie ich lewicowość, czas najwyższy, żeby opamiętali się, czas wreszcie na jakieś katharsis. Podnosi się taki jeden i mówi, że dobrze powiedziałem, czas na katharsis, bo on na przykład był moim i też rozczarował się wielokrotnie i zaczyna opowiadać o swoich rozczarowaniach. Wstaje inny - jeden z szefów tych pacylistów, tej manifestacji, co w Amsterdamie miała ponad pół miliona uczestników i mówi, że to straszne i przynębiające, co dzieje się w Polsce, działania i ingerencje Rosji w problemy narodów ościennych są niedopuszczalne. Ale dlaczego tak się dzieje? Bo Rosja czuje się zagrożona agresywną polityką Stanów Zjednoczonych. Trzeba niszczyć NATO i amerykański imperiaлизм, a wtedy i sowietci rozluźnią się i przestaną być niebezpieczni. Taka jest najlepsza pomoc dla narodu polskiego. Przypadek nieuleczalny, mówię ci. Znasz tę historię? Rosjanie mieli pusty dom, należący do Aeroftotu. Trzymali go, bo bali się podsłuchów, podpatrywać i tylko oni wiedzą czego tam jeszcze. Włazali się tam Kriakersi i zaczęli mieszkać. Rosyjski rząd, aby policja interweniowała, nie nie pomogły tłumaczenia, że to zwyczajowe prawo, jeżeli ponad rok stoi pusty dom, to ci mogą sobie w nim mieszkać - sowietci złożyli notę dyplomatyczną, policja wywaliła Kriakersów. Ci oczywiście zrobili demonstrację i gdzie poszli? Pod ambasadę amerykańską i tam wytłukli szyby. Mówię ci, przypadek nieuleczalny.

Sasza siedzi gruby, rozczochrany, zaniedbany. Wszyscy pracownicy naukowcy wyrzuceni z Uniwersytetu Warszawskiego. O innych uczelniach nie ma wiadomości. Z PAN-u zaniknęła podobno większość, podobno również Gieysztor, teraz część z szefami wypuścił, ale dużo siedzi. Masowe aresztowania wśród pracowników

naukowych uniwersytetów. Skończyły się czasy przywilejów, immunitetów, ochronnego piaszcza opinii publicznej. Teraz jest równość. Patką zatłuc można nie tylko robotnika, ale i profesora. Nie chroni nazwisko i instytucja. Wszyscy są równi wobec czerwonych generałów, wobec huców ZOMO, patki i drutu kolczastego. Czasy, kiedy istniał elitaryzm, kiedy społecznych uwarunkowań nie dało się przekroczyć nawet przemocą – to odległa przeszłość. Jaruzelski kontynuuje obiecany proces demokratyzacji.

W roku 1968, profesora można było co najwyżej wyrzucić z pracy, no pozbać środków do życia, a nawet i to nie było takie proste. Więc można wrócić do dzikiego barbarzyństwa – hitlerowskie lata trzydzieste, stalinizm, mogą stać się terazniejszością.

– To za parę miesięcy musi puścić – mówi Sasza.

– Ludzie nigdy nie zgodzą się na czołgi na ulicach. Teraz stoją one w Warszawie i Gdańsku. Za miesiąc będą musiały stać w Białogardzie, Kutnie, Proszowicach. A chłopaki popiją samogonu i powie jeden: no to co, pójdziemy ich napierdolić? I co? Nie pójdą? Muszą się wycofać!

Chodzę po schodach, pokoju, to znowu kładę się, leżę i jest to rodzaj ciężkiego półsnu, z którego nie mogę się podnieść. Jak Iwona. Porusza się w letargu, tylko chwilami wybucha. Jesteśmy agresywni wobec siebie, na skraj awantury, kiedy odnajdujemy się skazanych na siebie. Nie mogę powiedzieć, abym wierzył w cokolwiek. Nagle uznysławiam sobie, że wiem – naród można złamać.

Ilu ludzi przed nami powtarzało – to niemożliwe. Jeremiady nad popołami miast, nie akceptując miejsc, w których musi się żyć. Trzeba było odnaleźć pewność, lub choćby nadzieję, której nadaje się kształt pewności. Kiedyś był to Bóg, Opatrzność, Historia, a my ... nasza wiara w wartości, które muszą zatriumfować...

Nie wierzyłem w klęskę, ale w tym samym momencie przypominałem sobie tych wszystkich, którzy nie wierzyli przede mną, tych których dopadła emigracja. Czyżby więc pozostało być zamkniętym w tym ruchliwym, wielobarwnym świecie, ze świadomością, że mieliśmy ogromne szczęście?

Ciągnął się dzień następny. Zamkniętych jest podobno 50 tysięcy, może więcej. Opór wybucha we wszystkich częściach kraju, strajki przede wszystkim w kopalniach na Śląsku, chyba w Szczecinie, Poznaniu, Lublinie, ale skądinąd dochodzą wiadomości, że Szczecin, Wrocław spacyfikowane. Nikt nie wie, ilu zabitych, ale wiadomo, że są w rozmatyłych regionach. W paru miejscach wojsko odmówiło wykonania rozkazu. To brzmi jak nadzieja. Jeżeli teraz społeczeństwo da się złamać, rzucić na kolana, to przed nami najczarniejszy okres naszej powojennej historii, spełnienie najczarniejszych proroctw, racji tchórzy, drani i impotentów... I jeśli nawet to tylko moment w historii, to jest to nasze życie. To my jesteśmy miągą historii, ci zamarzający w obozach, wciśnięci między ciemne ściany, bici – twarze, głosy i iniona to fragmenty naszego życia, nasz czas.

Policia wtargnęła do kościołów, w których odbywały się strajki, wywlekła ludzi, aresztowała. Wiadomo, że aresztowano wielu księży. Następne tabu przyska. Jak żałosna staje się w takich momentach wiara w nienaruszalność, świętość miejsc i jak niezbędne wydaje się ich istnienie. Znowu ten sam wątek: więc nie będzie się już czemu dziwić, społeczeństwu wydano wojnę. W kraju zaczęła się okupacja.

Wszystkie te iluminacje wymagają sytuacji granicznych, ekstremalnych, czasu kłęski i jak zjadliwie pokrzykują przeciwko ich istnieniu kontestatorzy ciepłego Zachodu, piewcy sprawiedliwości, którą pojęli jako bezwzględną równość i jakąś rację mają w tym swoim ciepłym świecie... A my potrafimy zrozumieć, że dopiero rzeczniczy pełnej pogardy depreczą sanktuaria ludzkie, tamą normy, które nie mają żadnej obiektywnej sankcji ani wartości. Sens został im nadany tylko ludzkim pragnieniem, ludzką potrzebą schronienia, odwołania się – co z dystansu, bezstronnej odległości może wydać się tak niesprawiedliwe. I w chwilach takich jak te możemy zrozumieć, że zbrodnia w świątyni to więcej niż zbrodnia.

Wracają pierwsi kierowcy holenderskiego transportu. Są oburzeni i zaszokowani tym, co widzieli. Po pierwsze wojsko chciało przejąć żywność. Zostali zatrzymani na trzydzieści sześć godzin. Nie powiedzieli, że wołą spalić transport niż oddać go władzy. Wrażenie i sytuacja nie myliły: są jak z Peckinpaha. Opowiadają historie, którymi są wstrząśnięci. Głód i terror. Wielokrotnie rozdawali paczki bezpośrednio, ale nie wolno im było kontaktować się z ludnością; chłopak, który wręczył jednemu z nich plakietkę SOLIDARNOSCI został natychmiast aresztowany, jednemu ksiądz szepnął, że tylko w jego małej parafii zostało zabitych aż pięciu ludzi. Kierowcy mają twarze inne niż w momencie wyjazdu. Iwona miała rację. Są ponurzy, przejęci. Ludzie są zastraszeni, i sterroryzowani – powtarzają.

Mówię gospodarzom, że historia w naszym kraju jest wyjątkowo żywa, ale nie ma się czasu dziwić. Tu od wojny historia biegnie niepostrzeżenie. U nas historia wdziera się do mieszkań, budzi w nocy, jest naszą prywatną sprawą, nie dziwnego, że pamiętamy o niej. Nie wiem, czy rozumieją, o co mi chodzi.

Rozmawiam z Wojtkiem. W Paryżu zamęt, gonitwa. Robimy coś, albo udajemy, że robimy, ale może nie jest tak źle. W kraju powstają podziemne struktury SOLIDARNOSCI. Teksty są publikowane i kolportowane. To może być wstęp do następnego etapu walki, który zakończy się zwycięstwem. Przytacza mi nazwiska zamkniętych. To jednak szokujące. Aresztowana czołówka polskich pisarzy, intelektualistów – więc jeszcze mogą się dziwić.

SOLIDARNOSĆ zapowiedziała strajk generalny na dzień następny i – sądzę – od wtedy rozstrzygnie się wszystko. Od soboty. Następne wiadomości, które wyławiamy spośród jazgotu lub wpatrując się w telewizor mówią, że władze zdobyły większość głównych ośrodków oporu. Ale w odpowiedzi strajki wybuchają w innych, niespacyfikowanych rejonach. Trzyma się Śląsk. Strajkuje ciągle duża ilość kopalni. Górnicy blisko tygodnia nie wychodzą już na powierzchnię.

Usiłuję wyobrazić ich sobie pod ziemią, w czarnych chodnikach oświetlonych lampkami, w riszy, przy kąpiącej wodzie, czekających na atak. W „Piśmie” ponoc wysadzili jeden chodnik, czy jako ostrzeżenie, czy odpięrając natarcie, nie wiadomo. Na pewno wiedzą, co zdarzyło się w „Wujku”. Nad nimi dziesiątki metrów, nad nimi uzbrojone grupy przygotowujące się do ataku, uniformy, helmy, jednako we niewyraźne twarze, broń, którą użyją na rozkaz. Będą strzelali obojętnie, albo z satysfakcją, albo z furią wywołaną oporem, zagrożeniem, strachem.

W sobotę ruszamy do Kolonii. Żegnamy się, dziękujemy, wymieniamy adresy. Właściwie nie za bardzo wiemy, co możemy sobie powiedzieć. Anette żegna nas, wychylna z samochodu, ze smutnym półuśmiechem.

Wiadomości wysłuchujemy w radiach zatrzymywanych kierowców. Wszyscy są rzeczywiście zainteresowani. Jeden chyba dwudziestoletni człowiek mówi, że przesadzamy z tymi naszymi wymaganiami, a na moje trywialne pytanie – czy to ma znaczyć, że wolność jest tylko dla was? – odpowiada – tak, bo w waszej sytuacji... Ryczę i wymyśliam mu tak, że zamyka się i wyrzuca nas z samochodu. Wiadomości są niejasne: trwają strajki, ale chyba nie ma generalnego, można było przypuszczać – powtarzamy sobie – przy takiej blokadzie nie jest to możliwe. Teraz ważna jest skala, to już następny etap. Teraz może nastąpić przesilenie, jeżeli po tygodniu terroru, użyciu przez reżym wszelkich możliwości i środków, opór wybuchnie ze zwiększoną siłą, zwycięstwo jest nasze. Przed samym wyjazdem staliśmy o przechodzeniu żołnierzy na stronę robotników, o niewykonaniu rozkazów, o odmowie ze strony dowództwa w okręgu wrocławskim. To znaczy, że chyba zaczyna się.

Odmrożyła drzewa młogą wokół autostrady, otwierają na płaskie przestrzenie i znowu wyrastają szaro-popielatym gąszczem. Zamkniętą przestrzeń zostawiliśmy za sobą w Bloemendal, teraz coś musi się zdarzyć, to jest jak pierwszy etap powrotu do Polski.

W Kolonii pokonk Olgierda na trzecim piętrze zamyka się wokół nas. Strajki są zduszone, trwają tylko na Śląsku i może w paru nieznanach ośrodkach, nie wiadomo co dzieje się w Radomiu – jest odcięty od świata ciastem kordonem wojska i policji. Możemy to sobie wyobrazić. Wystarczy przywołać rok 1976, masakrowanie robotników, wielomiesięczny terror, Karola, któremu już sporo czasu po czerwcu miłojana nożem obcalali włosy na ulicy. Tam nikt tego nie zapomniał, gotowało się ciągle. Wybuch musiał być spory, no i teraz pacyfikacja. Staralem się o tym nie myśleć.

Chodziłem między ścianami, trzy kroki, obrót, trzy kroki – czy to przyzwyczajenie zostało na pu aresztach, czy miałem je wcześniej, a siadywanie tylko je utrwaliło? Iwona leżała z twarzą odwróconą do ściany.

Przychodzą coraz to nowe wiadomości: J. Kott mówił o nieprawdopodobnym terrorze, złączeniu się nad robotnikami, wywlekaniu ciężko rannych górników z karetami pogotowia i o maltretowaniu ich, odbijaniu im nerek, biciu lekarzy i pielęgniarek próbujących temu przeszkodzić. O wdzieraniu się oddziałów ZOMO do szpitali, o konfiskowaniu krwi i plazmy. Ktoś inny mówi o polewaniu ludzi wodą na mrozie. Protesty dobiegały z Ameryki i z całej Europy, najgorzej było w Niemczech. Grupa działania w Kolonii, złożona z polskich emigrantów, zajmowała się organizacją wewnętrzną, działanie przesuując na nieokreśloną przyszłość.

Duchodzący wiadomości o torturach i koszmarnych warunkach w obozach internowanych – co, potwierdzają się stare schematy. Dziesiątki informacji o wypadkach śmierci, padały głośne nazwiska. Potem okazywało się to nieprawdą, jeszcze jednym chwytym w celu dezinformacji. Potem okaże się, że nie dwustu, a stu. Tylko stu? Zamknięto nie pięćdziesiąt tysięcy, a dwadzieścia. Tylko dwadzieścia tysięcy westelnie uspokojony Zachód. A najpewniej, nikt nie będzie pewny niczego. I o to chodzi. Świadomie rozbudowana, przemyślana od A do Z kampania dezinformacji.

W Niemczech mówiono o wewnętrznych problemach Polski, o stopniowej

normalizacji: Akceptowano terminy reżymu. Podział ha uwięzionych i internowanych. Jakby fakte bezbawienia wolności nawet bez pozorów prawnej sankcji, miał być czymś lepszym.

Dochodziły również sprawdzone wiadomości. O „weryfikacji” kadr nauczycieli, dziennikarzy; środowiska kultury i o oczyszczaniu szeregów partyjnych z „oportunistów”. O obowiązku pracy, oficjalnie przygotowanej ustawie przywiązującej robotnika do zakładu pracy i czyniącej zeń bez reszty własność państwa. O podwyżkach, zmniejszeniu racji żywnościowej. Normalizacja trwała.

Trwał również już ostatni strajk w kopalni „Piast”. Ponad tysiąc górników już blisko dwa tygodnie nie wychodziło na powierzchnię. Polska telewizja podała nawet ich żądania. Nie przeizogajając i nie dodając specjalnych komentarzy. Iwona próbowała ucześcić się tego. Może przygotowują sobie odwrót — mówiła. Wiedziałem, że to nieprawda. Brzmiało to jak kpina. Oto macie swoje słuszne żądania i ich ostatnich rzeczników. A my ich wydusimy jak wydusimy wam w gardle ostatnie żądanie.

Iwona trzymała się tego strajku — jeżeli wytrzymają, wytrzymają dłużej, dołączą się do nich inni — powtarzała. Nie wierzyłem. To niemożliwe — wytężyć tak długo pod ziemią, samotnie, bez żadnych kontaktów ze światem, bez szans, nadziei. Znowu widziałem czarną ścianę, czarne chodniki, słyszałem ciężki oddech w smrodliwym, dusznym zamknięciu. Ktos z reporterów, nazwał ich Kamikadze. Miał rację. Wytrzymać tyle nie dni czy nocy, lecz czasu czarnego i gęstego. Coraz bardziej bez nadziei.

Święta wlokły się w matym, zatłoczonym pokoiku, którego nikomu nie chciało się opuszczać. Na ekranie telewizora mapa Polski z zaznaczonymi dwoma miastami: Warszawą i Katowicami. Siedzibą rządu i ostatnim ośrodkiem walki. Przeciekł tekst apelu Wałęsy nawołującego do biernego oporu, aby nie powiększać strat. Myślałem — to już akceptacja klęski; jaki reżym cofnie się przed biernym oporem, koszty takich działań poniesie całe społeczeństwo i wróci do pracy, będzie chciało żyć, wegetować.

Bujak raz jeszcze uciekł z transportu.

Marzyliśmy — znaleźć się w Paryżu, tam się coś dzieje. Są nasi przyjaciele. Znaleźć się w tej SOLIDARNOSCI na emigracji. Zawsze coś można próbować...

Ogłoszono pierwsze wyroki. Od czterech do siedmiu lat, ile tego? Przed nami, za nami, niezmierzone przestrzenie czasu, zdarzeń, możliwości. W roku, czterech latach — jaka to część naszego życia. Dni złobione na ścianie, aby nie zgubiły się, nie zatarty między innymi, sączące się białą, coraz krótszą strużką przez blindy w oknie, stukając krokami po betonie dwadzieścia minut dziennie, albo więcej, jeżeli masz szczęście. Władze są łaskawe. Tylko siedem lat, nie dwadzieścia, nie dożywocie. Wyjdzie się. Teraz będzie czas normalizacji, czas wyroków.

Święta przeszły. Górnicy zdecydowali się wyjść. Dowiedzieliśmy się o tym wieczorem. To był chyba dwudziesty ósmy. Jak bardzo potrzebny jest taki żywy symbol. Wiedziałem, że taki będzie koniec, ale teraz czułem, że to już koniec. Leżaliśmy odwróceniem od siebie, a ja czułem ciężar sufitu na piersiach, trudno mi było myśleć i oddychać, tylko bez końca wyobrażałem sobie jak musieli wychodzić z kopalni, uderzeni powietrzem wpadającym w płuca wielkimi, krótkimi haustami, światłem, otoczeni postaciami w mundurach.

Było jasne, że nie prędko wrócimy do kraju. Status emigranta stawał się rzeczywistością. Gdzieś umknął darowany czas. Nie chcieliśmy myśleć o tym, ani planować. Dopóki nie zaczniemy tego robić, jeszcze nie zrezygnowaliśmy. Nie zostawiliśmy za dniami naszych przyjaciół. Nie odcięliśmy się od Polski codzienną krzątaniną. Nie zamknęliśmy się w obrębie naszego egoistycznego świata, który jest jedynie naszą częścią. Nie pogrzebaliśmy wszystkiego.

Nagle zrozumiałem rosyjskich emigrantów, którzy latami nie uczyli się żadnego języka. Egzystowali na marginesie świata tu. Zupełnie poza swoim realnym krajem. Dotychczas byli dla mnie tylko świadectwem patologicznej, groteskowego relikteru. Teraz rozumiałem, że nie chcą akceptować swojej sytuacji. Jeżeli zaczęłyby się adaptować, wyrażiłby zgodę na swoją klęskę.

Nieprędko stąd wyjedziemy - powiedział Andrzej. - Trzeba uczyć się języków

5 stycznia 1982

Bolesław Sulik

EDEK

Edek jest postacią prawdziwą. Na jego ślad trafił kiedyś w Krakowie Jerzy Kaszubowski, młody reżyser filmowy urodzony w Angli. Przypadkowy znajomy opowiedział mu tę historię, pokazał listy z Ameryki i zdjęcia. Kopie tych listów przysłał Kaszubowski do Londynu, a do mnie dotarły bo zastanawiamy się wspólnie jak losom Edka nadać kształt filmowy.

Nie jest jasne kiedy i jak rodzice Edka znaleźli się w Nowym Jorku. Najwcześniejszy list do Krakowa nosi datę 2 lutego 1966 roku. Piszcie ojciec do zaprzyjaźnionej rodziny, której głowie winien jest sumę 50 dolarów. Domyśleć się łatwo, że chodzi o jakąś operację walutową na czarnym rynku, konieczną do sfinansowania podróży za ocean. W Nowym Jorku z rodzicami jest najmłodszy syn Kazik, z chrońnicznymi polpami w nosie. Staszek i Edek pozostali w Polsce. Staszekowi władze odmówiły wydania paszportu, a Edek jeszcze czeka na ich decyzję.

„Co do nas, to nie do porównania czujemy się lepiej, jak w Polsce” – pisze ojciec w tym pierwszym, jak się zdaje, liście z Ziemi Obiecanej. I zaraz dalej (we wszystkich cytatach zachowuje oryginalną pisownię listów): – „Ale jednak jak w Polsce nie ma człowieka wielkiego zadowolenia duchowego tak i tu, bo sobie mogą Państwo wyobrazić, gdyby w Polsce nikt za nic nikogo nie karcił, gdyby była taka swoboda, że każdy może sobie robić co mu się podobą, to choć tylko jeden naród polski, co by się działo, a tu jest może ze 100 różnego narodu, i tu nikt nikomu najmniejszej uwagi niezwruci, tu choć by 100 ludzi patrzyło, jak ktoś Pana Mordował, to n d wyżej zadzwoni po policję, ale żeby obronił Pana to nie.” – Dopiero co się znalazł w Ameryce ojciec Edka, dopiero dostał pracę, a już liczy lata pozostałe do emerytury, bo „kto ma emeryturę, to może wyjechać do swujego kraju, a jego rentę czyli emeryturę, wysyłają mu przez P.K.O. Tu jest tylko to co ludzie zachęca do zamieszkania w Ameryce, że można za robić, kto przyjedzie za młodu, a pilniej tylko restaurantów i rozrywek, to każdy może być bogaty, ale tu jest dla lekko myślących, tak naszykowane, że kto głupi, to od wypłaty do wypłaty mu nie starczy.”

Tymczasem w Polsce rządy Gomułka, wymieszonego do władzy dziesięć lat wcześniej falą społecznych nadziei, weszły w okres politycznego bezwładu, gos-

podarcej niemocy, niewlary w przyszłość. Po kraju rozlewał się cynizm. Pojedyncze życie stawało się procesem kombinowania. Nadrzędną wartością był spryt.

Osiemnaścieletni Edek otrzymał paszport i przybył do Nowego Jorku. Następne listy do Krakowa są już piane jego ręką. Dostał pracę jako windziarz w nowojorskim drapaczu ciurur. Znajomość języka nie była wymagana. Daje sobie radę, ale Ameryką wcale nie jest olśniony. — „Nurzećkać specjalnie nie ma co, a i ciężko się nie ma z czego” — pisze. Winda pewnie była sceną niejednego poniżenia Edka, bo w jednym z listów jest i nuta mściwej złości. — „Jak mi ktoś dobrze dogryzie to mam sposób zrewanżowania się. W windzie motor mam nowy, to często robię tak że z pełnego blegu do góry zmieniam w dół. Winda na sprężynach jedzie w górę a silnik ciągnie ją w dół. Gdy sprężyna jest słabsza od silnika winda zawraca w dół i to bardzo szybko. To trwa 2 — 4 sek. I kto nie wie o tym zawraca się jak pijany. Jak jest duży ruch a drugi windziarz objaja się udaje że drzwi się mi zacięły i reperuję 10 — 15 min. Mam swoje metody i nikt mi tego nie udowodni...”

Daje sobie radę Edek. Młodzieńcza jego zadziorność łagodzi poczucie wyobcowania z tego niesrozumiełego a oszłamniającego bogatego świata, tak ostre w listach ojca. Edek patrzy ciekawie, ale też się gorszy. Opowiada o Ameryce tonem chłopca ze wsi, nagle przeniesionego do Central Park. — „W parku przyjeżdżającym do naszej ulicy jest muszla koncertowa którą wykupili od 1 czerwca artyści. W pierwszy dzień to była tragedia. Zjechała się masa „artystów” (idolci zarobnicy po uszy i nie lepiej wyglądające „babki”). Wszystko „to to” pod wpływem ciepła i narkotyków zaczęło rozrabiać. Zaczęło się od tego że śpiewali niedozwolone piosenki. Milicjant zwrócił im uwagę i tak zaczęło się. Pozły w ruch cegły, butelki z wódki i piwa. 9-ciu milicjantów rannych, 38 aresztowanych „artystów”...”

W Ameryce zaczęło się „gorące lato” 1967 roku. W wielkich miastach północy płoną murzyńskie ghettta, czarni toczą krwawe bitwy z policją. W tunie tych pożarów i przy echach wojny w dalekim Wietnamie dogorywa optymizm lat sześćdziesiątych. Nikt już nie wierzy że piosenką i kołchanem się można zmienić świat, coraz mniej ludzi widzi sens wspólnego działania. Jest moda na krzyk gniewu i brutalność.

Edek uczy się i pracuje. Jest teraz dozorca w dużym budynku. Ma w swojej piecy instalacje gazowe, elektryczne i kanalizacyjne. Pracuje nieoficjalnie, na konto ojca, powiększając w ten sposób jego przyszłą rentę. Trzy razy na tydzień chodzi na kursa wieczorowe. Z językiem wciąż jest raczej kiepsko, skoro w telewizji „Nóż w wodzie” Polańskiego jest jedynym programem który w całości zrozumiał.

Grudzień nadszedł bezśnieżny. W wieczór wigilijny rodzina zasiadła wokół stołu w scenarii dosyć dziwnej. Humory były nienajlepsze, bo Edek otrzymał właśnie wezwanie na komisję poborową. Miał się stawić 15 stycznia. — „To będzie mój ostatni list” — pisze. — „Później będzie odpisywał, tato, ze zrozumiałych względów — żelazna kurtyna.”

Za żelazną kurtyną w Warszawie wystawiono „Dziady” w reżyserii Dejtnka, owacyjnie oklaskiwane. Na uczelniach wrzasało, milicjanci zaciskali palce. Szedł „Marzec”. W czeskiej Pradze — wiosna.

Edek przywdział mundur amerykańskiego piechura. Przechodził podstawowe przeszkolenie o którym pisze później do Krakowa z krótkiego urlopu w domu. Odmawia prenumeratę „Przekroju”, bo w wojsku niezbyt przychylnie się patrzy na taką zagraniczną prasę. Służbę przyjmuje bez sprzeciwu i bez entuzjazmu. — „Specjalnie narzekać nie było na co, ale i cieszyć się nie było powodu. Pogoda była przeważnie deszczowa a mój pobyt zacząłem w śniegu. W lesie się natازیłem, ale ten las to taki gęsty że trzeba bokiem przechodzić między drzewami. Jakoś to jednak zleciało i swoje najgorsze jest już poza mną, chyba czas jajać nic wtajemniczać matki, potem, kiedy dowiedziała się prawdy, dawali jej do czytania tylko listy stare.”

Trzynastka okazała się feralną. Trzynastego czerwca zameldował się Edek w swoim oddziale w San Francisco i dowiedział się że w dwa dni później jedzie do Wietnamu. Postanowił nie mówić nic rodzicom. Umówił się, że będzie pisał tylko do chorego brata Kazika, na adres znajomej dziewczyny. Kospiracja się skończyła kiedy ojciec znalazł list Edka i sam mu odpisał. Przez czas jakiś nie wtajemniczała matki, potem, kiedy dowiedziała się prawdy, dawali jej do czytania tylko listy stare.

Edek pisał listy na posterunku, albo w przeiwie na czyszczenie broni. Obraz jego wietnamskich przygód dochodził do Krakowa przez Nowy Jork, kreślony ręką ojca. — „Straszny gorąc, bo tam zimy niema wcale. Wody nie mieli tylko kamister na dziesięciu na 2 dni. Ale to tylko w teorii. Czasem i raz na 4 dni otszymują żywność i wodę. Oprucz kul niepszyjacielskich giną ludzie od malarii, od ugryzienia różnych gadów, jak: węże, szczury wielkości kota, na spaniu i od szczurów musi być warta, bo naślących żołnierzy szczury się żucały. ... Ostatnio pszewieźli ich w wielkie moczary i bagna. Dzień i noc zafsze byli mokszy, spali po 3 godziny, stale partyzantka na nich atakowała. Pijawki tak się ich czepiały, że jak by nie mieli jakiegoś tam proszku to innym sposobem nie dało się ich oderwać. Pszemaszerowali pszez jakieś bagna po pas i jakoś bardzo wielkie to bagno było tak, że popszedostaniu się na drugą strone byli czami od tych pijawek. I w takim mokrym mundurze zaraz ruszyli do ataku, bo druga kompania została zaatakowana.”

Rówieśnicy i koledzy Edka w polskich mundurach szli na Pragę czeską u boku sowieckich towarzyszy broni. Niech się Czechom nie zdaje, że mają prawo rządzić się sami.

W liście z Wietnamu datowanym 28 września 1968 roku „prajwet pierwszej klasy” Edek pisze do rodziny: — „Dzisiaj jesteśmy na 100 % pogotowia — gdy lina kompania zostanie uderzona polecimy na pomoc. Wczoraj A kompania straciła 9 i 14 rannych, weszli na kompleks bunkrów NVA. Całe szczęście że to my nie byli bo byłoby krucho. Nasz pluton dostał nowy przydział facetów i kto wie jak oni będą reagować. Wczoraj byłem na plutonie patrolu i szliśmy po wodzie po pas. Pijawki to tak się naczepiały nas że krew wokoło była. Po drodze jeden z 5 osobowej grupy został zaatakowany i pośpieszyliśmy na pomoc ale NVA wycofało się. ... Później czyściłmy nasze pole ognia bo inżynierzy nawalili drzew do cholery. Foxhole to wykopałem po szyję głęboko i czuję się bezpieczniej. Spać na ziemi nie jest zbyt wygodnie, ale cóż na to poradzić. Mój deszczowy żakiet to nic z niego nie zostało tylko szyja i strzępy. ... Kazek ja będę potrzebował 2 długopisy bo został mi się jeden „Bic” — resztę płomieni stopił z granatu i nic z nich. Ja straciłem

wszystko co miałem w plecaku. Ale wysłij tylko 2 „Bic” bo szkoda je tracić a nigdy nie wiadomo co się stanie z plecakiem. Pozatym to nic nie mam ciekawego. Kończę bo u dołu góry słychać ogień i kto wie czy nie pójdziemy.”

List doszedł do Nowego Jorku 3 października o godzinie 9 rano, a o 1 w południe rodzice otrzymali zawiadomienie, że Edek zginął w akcji. Trupa znaleziono z postrzałem w szyję. Ojciec postanowił pochować go w Polsce, na rodzinnym cmentarzu we wsi Gwałnica Górna. W rozmowach z ambasadą upierał się, że Edek ma leżeć w trumnie w mundurze amerykańskim, przykryty amerykańską flagą. Władze polskie odmówiły, proponując pogrzeb cywilny. Edek pochowany więc został w Stanach, żegnany salwą honorową.

I to wszystko. Hiobowe listy ojca do Krakowa jakiś czas się ciągną. Polip w nosie Kazika okazał się rakiem i Kazik umarł. Starych toczyły choroby. Dzisiaj już nie żyją. Zmarł także adresat ich listów w Krakowie.

Morał? Egzystencjalny bezsens ludzkiego losu sumuje się w życiu i śmierci Edka ze szczególnym absurdem losu Polaków. Niech morał zastąpi złość bezsilna. Jakich trzeba gestów huntu, jakich wyzwani, by zrzucić z słabej głupotę takiego losu?

Stawomir Mrozek

DO
INTELIGENTA
POSTEPOWEGO

CIU-CIU, BA-BA, PI-PI,
PU-PU?

KIZIU-MIZIU LALA MUMU.
PSIOTO-CIO TO LUDU PUPU
ADEKWATNIE.

SOCIO MNIAM-MNIAM BUZIO-
LUDZIO TO-TO HO-HO BUZI-
PUPCI IMPONDERABILIA.

REA BOBO PROGRO CAC" TI-
TI BRAWKO MYJU-MYJU NIE
PO RYJU ESCHATOLOGICZNIE.

LULU-PAPU.

CIP-CIP KURKA

SZEF SZTABU,
WYDZIAŁ DO
SPRAW
GENERAŁ ZAMORDCEW

Zamordcew

Sławomir Mrozek

DO DYREKCJI MUZEUM W LÓWR, ZAGRANICĄ

Niniejszym donoszę, że mam dla Dyrekcji niespodziankę. Przy kopaniu na działce wykopałem dwie ręce w stanie dobrym, z kamienia.

Orientuję się, że Dyrekcja jest w posiadaniu starożytnej rzeźby greckiej bogini Wenus Zmiło. Dyrekcja nie zaprzeczy, bo są świadkowie.

Wyżej wzmiankowana rzeźba nie ma rąk, bo jej brakują. Ja o tym wiem z dobrego źródła.

Sytuacja teraz jest taka, że ja te ręce znalazłem.

Mogę te ręce dostać Dyrekcji za uiszczeniem opłaty pocztowej przy odbiorze. Za to proszę Dyrekcję o spełnienie moich życzeń.

Moje życzenia są takie: Wycofanie obcych wojsk z terenu mojego kraju. Rozpisanie wolnych wyborów do Sejmu drogą powszechnego głosowania. Niezwłoczne zaopatrzenie nas w mydło, buty i pastę do zębów.

Jeżeli Dyrekcja nie może tego załatwić sama, to niech się porozumie z Narodami Zjednoczonymi. Im chodzi o kulturę światową i jest jasne, że albo bogini będzie dalej bez rąk, albo już będzie z rękami.

Dla mnie osobiście proszę za fatywę o wysłanie mi puszki kawy mielonej w proszku marki Nescafe. Proszę o wysłanie przesyłką poleconą bo kradną.

Z wyrazami poważania

Sławomir Mrozek – polak.

Do Postępowej Luchkości.

Wskazywam, że jestem ostrze przeciw
A. Hitlerowi i jego klacie.

Mówiłam, że A. Hit-
ler był żyd i potępiam kate-
gorycznie.

Stwierdziłam, że jestem prze-
ciwko cesarzowi Neronowi, prze-
ciwko chińskiemu cesarzowi
Ming, oraz przeciwko ucis-
kowi wierzni chłopskiej w
starożytnym Egipcie przy
Faraonie.

Podkreśliłam z nacis-
kiem, że te moje poglądy
głoszę z podniesioną głową
i wcale się nie boję reakcyj-
nych głosów.

Za to proszę Sz. Po-
stepową Luchkość o przyzna-
nie mi Nagrody Pokoju im.
Kobla.

Jak mi może być

w Dolarach, to może być
w Markach Zachodnich.

Z postępowym
pozdrawieniom

Stawomir Mro-
zek - freedom fighter.

Do Szanownej Organizacji
Narodów Zjednoczonych.
W miejscu.

Donoszę, że polacy to też
murzyni, tylko biali.

W Zurychu z niniejszym
należy im się niepodległość

Jak by Ś. Organizacja wzięła
ten kolor skóry, albo byty
z tym jakie trudności, to
my się nawet możemy
pomalować. W tym celu
prosimy Ś. Organizację
o transport czerwonej pasty
do butów marki Kivi.

Że my są biali to nie jest
nasza wina. Tak się złożyło.
A nawet sama Ś. Organi-
zacja jakby szła ulicą i
zobaczyła patrol to by
też zbiegła na twarz.

Chyba, że Ś. Organizacja
ma zamiar twarzyć dupę.

Województwo polskie 1918 r.

My tej czonej państwu nie
chcemy nicodpłatnie. Za każ-
de jedno kilo możemy Sz.
Organizacji postać jedną tonę
czerwonego lakieru.

Sz. Organizacja bardzo lubi
ten kolor, a my go mamy
dużo w magazynie z importu.
No to będzie obustronne za-
dowanie.

- z murzynskim podrobie-
niem

M. rozek.

Do
Majowego Pre-
wodniczego Lit Pokoju, Archa-
niota Andropowa.

Z ytębi mojego dzie-
ciecego serduška dziękuję P.
Przewodniczącemu, że ocali po-
kój na świecie.

Już myślałam, że
mojemu prezydentowi Rea-
ganowi, wstrętnemu, uida się
wywatać wojnę. Ale mu się nie
uida.

Obiecuję, że jak dow-
snę to też będę walczyła o po-
kój. I mój mis' też i lalka i
pajacyk Włowo.

Ti-ti-ti-pa-pa-pa-
-buri.

Samantha. Mroźecz-
-kówna.

P.S. Melduję, że jak mi
te barany w księgarni jesera
raz skrośła dodatek na żylutki,
fo zapuścione wąsy.

Do Dyrekcji Szpitala Wamiatów
W miejscu.

Donoszę uprzejmie, że mój
współtowarzysz w celi udaje
zdrowego.

Wczoraj powiedział, że Nax
Rząd i Partia są do dupy,
a na moje pytanie czy on
rezygnuje. Tak myśli - on
potwierdził.

Ale on mnie tym nie emy-
li. Proszę Dyrekcję, żeby też
nie dała się zmylić.

Z psychiatrycznym
poddrownieniem



Pacjent Nr. 267658391

Do Centralnej Dyrekcji
Amerykańskiego Wywiadu.

Donoszę postawienie, że ka-
danie wykonatom.

Pod ptasicykiem patriotyzmu
udało mi się promyci anty-
polskie treści.

Poszedłom na lep obrosłonych
kąt.

Datom wodę na młyn wiado-
mych nastrosów

Perfiobnie się zamaskowatom.

Ponieważ mam odwrotny
nos udało mi się ukryć moje
własne pochodzenie. Nikt
nie wie, że naprawdę nazywam
się Rabinowicz.

Choi w tej sprawie niepo-
koję mnie ostatnie bada-
nia grupy docentów uni-
wersytetu w Kijowie.

Ża to wszystko poproszę
jesze więcej Dolarów

i Whisky.

Z imperialistycznym
pozdrowieniem

Jacek Kosciuszko

Do
Biura Donosiur.

Donoszę, że mój
sasiad, A. Mieremios, nie
donosi.

Stawomir Donosek

Roman Michał Lonc

RAKIETA

Basen był już wtedy nasz. Stu kilkudziesięciu niezłe odpasionych samców trwało w słońcu, w wodzie i beczynności i za drutami obozu internowanych. Wraz z przeciwpożarowym basenem wypełnionym gęstą, zieloną wodą, zawtaszczyliśny otaczającą go łąkę, której klawisze bronili słabo, bardziej by uchronić od zdeptania rosnącą na niej trawę, niż z jakichś innych powodów. Dłużej opiewał się hady-larz z Częstochowy, zmobilizowany na czas wojny ubecki emeryt, opiekujący się obozem z ramienia swej firmy. „Ja te Polske własnymi rękami...” – chrząkał w tłumule ostatniej potyczki pod płotem odgradzającym łąkę z basenem od obozowego dziedzińca. „To se je teraz chuju odgryż” – usłuchał i odszedł.

Na łące z basenem możliwości zdobyczy wyczerpały się. Dalej było już tylko podwójne ogrodzenie z wieżyczką w rogu, a za nim, wokół obozu, wznosząc się po łagodnych zboczach ku lasom państwowym suszyły się pepeerowskie ugory. Rozfaziliśmy się codzień, po betonie dziedzińca, po wydeptanych trawnikach lub wylegiwali w celach. Kto miał jeszcze skórę opalał się. Trzy razy dziennie w drugim pawilonie chór intonował religijne śpiewy, a majsterkowicze wycinali z puszek po konserwach orzełki z koroną i dębali przy monstrancji dla prymasa ze złotej blachy po szprotkach. Potrzebę męczeństwa zaspokajał internowany dentysta remontując nasze zepsute na giełkowskiej kiełbasie zęby. Było gorąco i tłoczno.

Dyskusje polityczne nie budziły już dawnych emocji, od czasu gdy sepieniący Józio, spawacz i kontrrewolucjonista, oświadczył: „komunizm to takie ciós, cio dla Boga jest gówno, a diabła jus dawno pselośto”. Umieszczona Józiovym zaklęciem, w bezosobowej luce pomiędzy Ważnymi Postaciami, paskuda, jakby nieco od nas odstąpiła.

Czasami tylko stawaliśmy na dziedzińcu w zwartym szyku, by odśpiewać „nie chcemy komuny, nie chcemy i już”. Niepokoiło to jelenie pasące się nieopodal i buszującego w ich pobliżu lisa. Jelenie podnosiły swe mądre głowy, lis mrucho-miał, ale już po chwili jelenie wracały do trawy, a lis do swoich myszy. Dyżurni klawisze kiwali głowami do taktu i wtórowali nam cichym mruczendo.

Obserwacje psy, przy wzięzione tu na róg przed nami, nie szczekały nigdy. Wiedziały już, że minęły czasy dobrego wojaka z Pragi, kiedy to ich przodkowie z gali-

cyjskiej wioski, zbudzeni przez patrol budziejowickiego pułku piechoty, mogli zaalarmować cały kraj, od Wisły do Zbrucza, wołając w noc: „... idą ludzie w mundurach... pilnujcie kurników przed złodziejem... strzeżcie córek od rzeź-czki...”. Wiedziały, że psia łączność jest tu od lat zerwana.

Bo psu jest potrzebna w tych stronach cerkiew i cmentarz, potrzebne mu są sięgające zalesionych szczytów plonujące pola, a przede wszystkim stojące wzdłuż drogi nad potokiem checze o ciemnych, zdobnych w jasne pasy ścianach, bielonych węglach i malowanych żółtą gliną-wrótach do boisk. Różbległy się dawno oslepie od dymu lemkowski psy. Wypaliły się checze. Cerkwiom dano wybór pomiędzy próchnem a odstępstwem. Skazano na śmierć cmentarze. Ciszy pilnuje zazwyczaj na zbuczach Chrystuszej diabła w połowej rogatywce.

Cu dzień rano po otwarciu pawilonów budził nas przeciągły wrzask: „siat-kówka”. To ubrany w kuse slipy Jacek kroczył dziedzińcem i potrzucając za-chęcająco piłkę, darł się w okna cel, za którymi odsypialiśmy nocny nastuch ra-dioowy lub bridża. Rzadko udawało mu się o tej porze zebrać chętnych, więc od-rzucając piłkę rozpoczął zdrowotny trucht po ścieżkach okalających pawilony.

Jacek był redaktorem związkowego pisma, które zrobiło karierę przedrukowu-jąc podobiznę „miszki”, co zgodnie z siedemnaścieletnią tradycją, kiedy to moskiewskie posełstwo żądało od Rzeczypospolitej ukarania „na gardle” śmiał-ków nazywających carskiego tatę „Miszka”, wywołało protest ambasady, śledz-two prokuratury i arcybiskupie napomnienia. W obozie miłość Jacka do zwierząt nie mogła długo znaleźć ujścia. Od jeleni i lisa oddzielały go druty, a drożdży, które w zakamarkach ceii karmił cukrem, popłaskać nie mógł. Co jakiś czas wy-pytał więc cukier z drożdżami i nieptym miłosnym spojrzeniem śledził szybujące wysoko myszotowy.

Pewnego rana znalazł coś jednak. Przerwał truchtanie i zagapił się w wysycha-jącą za oknem łazienki kałużę. Potem przyciągnął walający się przy stółowce gumowy wąż i przynocowawszy go do kranu długo lał do kałuży wodę, a w kału-ży kottowały się kijanki, żabie potomstwo, które wykluło się z jajek rozrzuconych przez matki po obfitych do medawna w wodę obozowych bajorach. W upałach ba-jora wysychały, kijanki kottowały się w mule i tkoku, wreszcie nieruchomały pod wypaloną słońcem skorupą zeschniętego błota. Od tego dnia Jacek pilnie zajął się obozowym bagnoziemem. Wędrował od jednego do drugiego i za pomocą folio-wego woreczka wyławiał z nich roje robactwa, które przenosil do swojej centralnej sadzawki. Słonce paliło, bagnozka i sadzawki wysychały, więc w końcu połowy i uzupełnianie wody zajmowało mu co dzień wiele godzin.

Był wściekły. Na zmarłego dziadka, na matkę, na siebie, że się zgodził, a naj-bardziej na wóstrę, siedząc teraz za nim w głębi szoferki. Jechał już z przerwami całą dobę. Z kotobrzezgu wyjechał przed północą, a teraz też była prawie północ. Zerknął na proscenowa wpatrzonoego nieruchomo w drogę oświetloną reflektorami ciętarówki. Jesli się wygada, choćby po piątnemu... proces... może za to nie za-myślają... ale z roboty wywają na pewno... nibie coś takiego chłodnią z rybami... najgłusze, że wszyscy wtedy się dowiedzą...” Fajętał strach żony, że teściowie

się dowiedzą kim jest. „Wszystko przez małą – myślał o siostrze – matka może, a się nie przejęła bredzeniem starego, ale to ona ją nakręciła. To głupota słuchać mamiania osiemdziesięcioletniego starucha w przedśmiertnej malignie. Może gdyby zwrócić się o urzędowe zezwolenie, zgodziliby się? Ale chyba nie. A już najrudniej byłoby tu.”

Chciał kiedyś tu wrócić. Zaczął pracować w lesie, ale już w kadrach, baba, której pokazał dowód, długo wpatrywała się w dokument, jakby chciała coś jeszcze oprócz orzełka w znakach wodnych wypatrzeć. Potem oberwał w knajpie butelką w tył głowy. Miał kolegum. Zapłacił. Wreszcie zaczęli go kiedyś komendant miejscowej milicji i wynawiając z przyciskiem jego nazwisko, poradził: „Wy obywatelu lepiej wracajcie do swoich”. Wyjechał, ożenił się, ma dzieci, a teraz ta historia zorganizowana przez najmłodszą siostrę, ulubienicę dziadka, która przekleństwami, płaczem, przywoływaniem wszystkiego co święte wymusiła na rodzinie i na nim to wariactwo.

Na dodatek, kiedy już się zgodził i wszystko zorganizował, kiedy miał kartę drogową na przewóz ryb w Bieszczady, umówionego i przekupionego pomocnika, uparła się, że ona też pojedzie i jedzie, bez zezwolenia na pobyt w strefie granicznej, którego nie było już czasu załatwić.

Patrol zauważył w ostatniej chwili. Czerwona latarka, dwóch żołnierzy i oficer. Hamował, chłodna tocząc się po pochyłości długo nie chciała się zatrzymać.

– Zatrzymywać się wam nie chce – mówił, salutując, porucznik.

– No bo tak nagle...

– WOP, kontrola dokumentów – przerwał mu. – Ryby wieziecie. Dobrze wieździeć. Przepustki są?

Podał oficerowi swoje i pomocnika dowody wraz z przepustkami.

Światła stopu są. Hamulce słabe – marudził porucznik.

„Ryb mu się zachciało”. – Przeraził się na myśl o otwieraniu chłodni.

– A to co? – wopista zauważył wreszcie dziewczynę. – Przepustki nie ma? Pojedzie pani z nami na strażnicę. Chyba... Chyba obejrzymy ryby, może ulotki z wybrzeża wieziecie?

Wysiadł. Miał nadzieję, że porucznik weźmie co jego bez oglądania całego ładunku.

Kiedy szedł przerażony w tył wozu, oślepiące światło wydobyło z ciemności otaczającej ich wzgórze. Zza niewielkiej pochyłości, na prawo od drogi wylatywała rakietą.

Józia spawacza poranne wrzaski Jaska nie budziły nigdy. Wylazł ze swej celi w południe i dopiero po długim cucemu się kawą w zaprzyjazznionych celach wtapiał się w obozową egzystencję. Rozległość naszej suwerenności od płotu do płotu i spolegliwość klawiszy przyprowadziła go o chroniczną chandrę. Nocami więc snuł w dobranym gronie rozważania jakby tu podpalić wysuszoną dookoła obozu trawę lub jak uruchomić system alarmowy. Można było dokonać wiele – otworzyć wszystkie żanki, wysadzić za pomocą karbidu wrzuconego do kanatu cały

dziedziniec i pół pawilonu, albo zaprawić środkami przeczyszczającymi żarcie w stołówce, z której korzystali klawisze z rodzinami, psy i my, tak, że ... „ze się wszyscy poslamy”. Stałe jednak działaniom jego dywersyjnej komórki coś stawało na przeszkodzie. Znajomi nie dowieźli karbidu, wypatrzona syrena alarmowa okazała się po uruchomieniu wentylatorem, ogólna srączka wobec zapowiadanej od miesiąc głodówki nie wchodziła w grę.

Nie mieli szczęścia od dawna. Już wiosną, w czasie transportu ze Śląska, próbowali daremnie w jakimś małopolskim miasteczku obalić socjalizm. Wspomagany przez przyjaciół Józio na tyle poszerzył wentylacyjny otwór w wiozącej ich suce, że gdy zatrzymali się na kolejnym skrzyżowaniu, wśród wracającego z roboty tłumu, mógł wysunąć na zewnątrz głowę i zawołać: „Jesteśmy z Siolidalności. Włona śkona”. No i co? pytali po chwili pasażerowie sukki. Cofający się od dziury Józio lakonicznie zameldował: „Spieđolili”.

Także w obozie, działania józiowej grupy natrafiały ostatnio na opór ze strony innej grupy, która robiła to samo, ale inaczej. Józioowi adwersarze wolli redagować listy, a to do „wrony”: „pogóđcie się z nami, bo jak nie, to...”, to do biskupów: „Pogóđcie nas z czerwonym, bo jak nie, to...”. Język tych listów starannie unikał józiowych wulgaryzmów. Opór przeciwko akcjom czynnym przybrał zwłaszcza na sile gdy Józio robiąc podkop przebił wypełniony gównem przewód kanalizacyjny, którego w żaden sposób nie dało się już w pełni uszczelnić. Aby więc zrealizować swój ostatni pomysł, sięgnął do wszystkich środków perswazji, strasząc na koniec w razie nieposłuszeństwa, wysokich funkcjonariuszy związkowych rozliczeniem przez Peñnómcnika TKK na Obozy Polski Południowej, z którym pozostawał w telepatycznym kontakcie. Pomogłem mu pisząc tęwą ręką krótką notatkę: „Okaziciel określi czas i sposób realizacji. Pozdrawiam. Trzymajcie się. Zbyszek”.

Wreszcie dopiął swego. Pomysł polegał na tym, by wyjść z pawilonów na dziedziniec i jak zwykle pośpiewać. Aby w sprawie było trochę józiowego sensu należało to zrobić wtedy, kiedy byliśmy zamknięci, to znaczy nocą, a już najlepiej o północy, nie otwierając kraty wytrychem, co nie stanowiło żadnego problemu. „Zacniemy się dobijać do kraty, a w tym czasie długa głupa...” A jeśli otworzą?” „Nie otwozą, zabije się zamek kołkiem.”

W wyznaczoną północ cały pawilon za wyjątkiem nielicznych, którzy twierdzili, że akcja ta osłabia nasze siły przed sierpniowym powstaniem, zaatakował talerzami i stołkami wyjściową kratę. Kto nie mógł się dopchnąć wrzeszczał „czerwone pająki”, „junta juje”, „reżim precz” lub beczął „esbeee”. Jakiś trzydziestokilknietni kombatant wołał: „nie ma chleba bez wolności”. Zagłuszyły go krzety ze Śląska skandując: „wy na służbie, a Ka-Pe-eN wam żony jebie”. Z klawiszówki wyłał zaspany kapral. Okrzyki nie jego dotoczyły, a czerwonych, do których nie należał, na co miał dowód w postaci manusinego medalika noszonego pod mundurówą bluzą. Wymruczał więc podchodząc do kraty: „Panowie tylko na dziedziniec. Otwarliście sobie sami, sami, pamiętajcie”. I zaczął grzebać kluczem przy zamku. Na widok kołka zebrał się i poszedł zadzwonić do oficera dyżurnego.

W tym czasie Józio i jego dywersanci próbowali za pomocą skomplikowanego systemu dźwigni wyważyć kratę w świetlicy. „Łaś, dwa, tsy” – coś trzasnęło,

Józio dupskiem wyrznął w parkiet. Krata nienaruszona tkwiła w swoim miejscu. „Flotelką kulwe” – zawołał, zrywając się z podłogi. Rozpędzili się przez całą szerokość świetlicy i krata wraz z froterką wyleciała na trawnik wprost pod nogi porucznika O., oficera dyżurnego, rudobrodego kurdupła, który lubił dla zrekomensowania swego wzrostu obnosić się po obozie z alarmową raketnicą. Wywalenie kraty nie wzburzyło go szczególnie. Przeżył w obozie niejedno. Nie przestraszył go tłum wychodzący przez okno. Ruszyło go sumienie. Porucznik O. handlował z internowanymi wódką, zdzierając przy tym niemiłosiernie a na dziedzińcu było ciemno. „Dostanę po ryju i nikt nie dojdzie od kogo” – pomyślał i nie zastanawiając się dłużej sięgnął po raketnicę.

Oficer bez słowa wcisnął mu do ręki dowód siostry i biegiem ruszył pod górę w stronę stojącego na polnej ścieżce łazika. Żołnierze popędzili za nim. Po chwili łazik zniknął za wbiegającym w łas zakretem drogi. Gdy po chwili wgramolił się do soferki, zabrzatrzaskał drzwi, dobiegł go zza wzniesienia chór męskich głosów: „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród...”. „Popili się na strażycy i wzięli ją” – domyślił się.

Na zarostym wysokim zieliskiem cmentarzu ona była najważniejsza. Szybko, świecąc latarką wśród traw i spróchniałych resztek krzyży znalazła miejsce. Popędzała ich, gdy pocili się kopiąc w gliniastej, ciężkiej ziemi. To ona sprawdzała czy dół jest już dostatecznie głęboki. Potem gdy wywekli z ciężarówką dziadkową trumnę i nieśli w stronę wykopanego dołu, szła za nimi młuczając modlitwy w domowym języku, w którym on bał się odezwać przy żonie do swych dzieci, w mowie, w której od lat milczał odkąd miał swój dom, swoją pracę, swoje życie. Na koniec przykryła kopiec świeżej ziemi nazrywaną trawą i gałązkami tak, aby nikt go nie wypatrzył na martwym cmentarzu.

Zdążyli odjechać przed świtem. Gdy po wyładowaniu ciężarówką zasypiali w hotelu, poskarżyła się: „ale naszej wsi to nie zobaczyłam”.

Była „Rota” i „Warszawianka”, „Zielona wrona” i coś o „mieczu, który siecze kraj”. Potem trzy razy „So-li-dar-ność”. Częstochowski badylarz błyskał lampą służbowego aparatu fotograficznego. Jedni wyciągali w jego stronę rozcapierzone palce, inni demonstrowali sprawne zginanie się stawu łokciowego. Reflektory z wieczorną oświetlały teren i wzmocnioną erkamami tyralierę mokrych po pas od rosy pistów otaczających obóz. Potem przez okno, zaklinowanego zamka nie sposób było otworzyć, wróciliśmy do pawilonu. Na opustoszałym dziedzińcu oficer WOP-u wyzywał od ostatnich porucznika O., a ubol przewiesiwszy przez ramię aparat przysłuchiwał się temu obgryzając paznokcie.

Rano nie doczekałem się pod kratą na porucznika z umówioną połówką. Wściekły, jak sam diabeł z Chryszczatej, który oszukany tej nocy kłął w swej kryjówce raketę i wszystko inne co czerwone, wychodzę na zimne jeszcze powietrze. Jacek

jest już nad swoją sadzawką. Przystaje przy nim i patrzymy na kłębiące się w niej paskudztwo. Stłoczone w wielopiętrowe rojowisko kijanki to stoją nieruchomo w wodzie, to rzucają się stadami w różne strony i wtedy wydaje się przez chwilę że sadzawka wykipi, ale zaraz potem nieruchomieją wśród jej wyschniętych brzegów. Tylko ich ogonki drgają bez przerwy. Wołają coś do nas... modlą się do żabiego boga...

Otrząsam się, nie wiem z zinną czy wstrętu i odchodzę. Jacek z mającą go usprawiedliwić ironią mruczy: „im chodzi o życie.”

Józ Alešzkowski

OSTATNIE SŁOWO OSKARŻONEGO MASZKINA

Obywatele sędziowie! Wszyscy razem uczestniczymy w sądowym procesie o niebywałym politycznym znaczeniu i zabarwieniu.

Zgadza się w rezultacie moich uderzeń były obywatel Tichonow nieodwzajemnił nie umarł, i w ten sposób przyczynił się do tego, że w obecnym momencie mojego niekazitelnego na przestrzeni pięćdziesięciu lat życia zostałem zmasakrowany do zasia-
dania na tej wypolerowanej przez dram i łobuzów, złodziei i łapówkarzy, gwałt-
cieli i zbrojców, chuliganów i religijnych sekciarzy-zwrodniałców, a zarazem
ideologicznych dywersantów-dysydentów ławie oskarżonych.

.. Tak, Tichonowa nie ma już między nami. Ale ja osobście ani trochę tego nie
żałuję, ponieważ, dla takiego nie powinno być miejsca wśród nas. A dlaczego
powtórzę później to co niejednokrotnie stwierdzałem otwarcie w czasie wstępne-
go śledztwa w mojej absolutnie wyjątkowej sprawie.

J moja taktyka na tym procesie, który powinien zwrócić uwagę poprzez radio
i gazety, wszystkich prawdziwych patriotów władzy radzieckiej, polega na przy-
cypialnym kursie na całkowite uniewinnienie..

A poza tym -- nie mam obowiązku bronić tu swojej niewinności to wy jesteście
zobowiązani uniewinnić mnie z wpisaniem do akt pierwszych podziękowania
ojczyzny, partii i rządu.

Przechodzę do problemu osobowości oskarżonego to znaczy mojej wlagiej. Od
ósmego roku życia -- pionier. Od czterdziestego -- komсомолец. Do partii przyjęty
-- natychmiast po rozstrzelaniu tą oto ręką pięciu litewskich nacjonalistów w Dauga
pilsie..

Pod sam koniec wojny zostałem powołany na front. Do czterdziestego szóstego
roku służyłem w jednostkach specjalnych MWD Łowilem w lasach łotewskiej
SRR faszystowskich najemników, jak również wrógów kołchozowego budowni-
ctwa, nie mówiąc o pozostałym nacjonalistycznym plugastwie. Zastug mam nie-
mnało, o czym powinniście wiedzieć z charakterystyki, którą wystawiły mi odpo-
wiednie organy. Ani razu nie zadziała mi ręka likwidująca tak zwanych „niełonych
braci” i ich popleczyków. Można śmiało powiedzieć, że to dzięki takim jak ja na
Łotwie powtórną została zaprowadzona władza radziecka. Z jednostek MWD zo-
stałem co prawda usunięty na skutek oszczerstwa jakobyśmy nadużyli broni likwi-
dując pewną ilość rzekomo niewinnych obywateli.

W 1947 roku nie tylko nie sędzono mnie z powodu tego oszczerstwa, lecz awansowano do stopnia sierżanta, poczem zdemobilizowano. Posiadam wiele odznaczeń państwowych za skuteczne przeprowadzenie akcji likwidacyjnych lotewskich nacionalistów a także za pracę polityczną z ludnością wyzwolonych terenów. Lista załączona do akt sprawy.

Po wojsku cztery lata pracowałem z rekomendacji wydziału politycznego dywizji specjalnej, w organach milicji miast-bohatera stolicy Rygi, gdzie pokazałem się od najlepszej strony zaprowadzając ład i porządek wśród nieświadomych Łotyszy przywykłych przez lata faszystowskiej okupacji do pasywności i prywatnej inicjatywy. Zaprowadziłem ten ład, bądźcie pewni obywatele sędziowie, razem z wami ramię przy ramieniu żeby nasza Łotwa stała się wolna i szczęśliwa w zgodnej rodzinie narodów.

Bywało nie raz – pomagałem śledzącym rozłupywać odszczepieńców najprzeróżniejszych maści i śmiało mogę powiedzieć, że mam oko na wrogów społeczeństwa zupełnie jak Dersu Uzala z filmu pod tym samym tytułem – widzę na wylot książka wypręta ale prawdy się dowiem. Wrogom na sam dźwięk mego imienia włos się jeżył na głowie.

Następnie po marcu 1953 roku, sanu rozurniecie co się stało i rozwydrzone szumowiny, które jawnie przeszły obecnie do antysowieckiego bozu wywojowały jednak moje zwolnienie za łamanie socjalistycznej praworządności Bojownicy o prawa człowieka!

Po odejściu z milicji z rekomendacji zarządu KGB i MWD mianowano mnie zastępcą naczelnika wydziału kadr filii związkowego instytutu Marksa i Lenina gdzie pracowałem do momentu aresztowania, a ściślej mówiąc do podróży na parostaku „Adżaria” czyli turystycznej wycieczki po krajach kapitalistycznych basenu Morza Śródziemnego.

Występowałem na takiej odpowiedzialnej wycieczce jako prosty turysta bez funkcji specjalnego obserwatora członków grupy, jak to było poprzednim w czasie podróży po Bułgarii i Francji w składzie delegacji weteranów wojny ojczyźnianej.

Przechodzę teraz do bezpośrednich okoliczności sprawy. Na delegacji uczciwie mówiąc, doświadczony oko od razu widzi kto jest kto. To znaczy po co człowiek, pojechał na wycieczkę pozostawiając swoich bliskich w niepewności na okoliczność swojego powrotu do ojczyzny – czy szmat nakupić w celu spekulacyjnym, czy popatrzeć na rozmaite panteony, kolizeje, kuernatoria, czy wypić sobie i zakaścić co też się zdarza w naszych czasach, czy ocenić przewagi naszego ustroju nad zgniłą demokracją, czy też przepuścić forsz ukradzioną naszemu radzieckiemu państwu. Myślicie, że mało jest takich za przeproszeniem turystów? Zatrzęsie nie! W łapę komu potrzeba – i proszę bardzo, charakterystyka z odniesieniem do domu, skierowanie, kajuta, płyni na zdrowie, wybaluszaj gaty na ostre kontrasty społeczne, i tęsknij w głębi duszy o restaurowaniu w ojczyźnie całego tego pasudztwa – sprzedających bab, szopów zawalonych dżinsami, obżarstwa, swobodnego włóczenia się gdzie dusza zapragnie i innych „uroków” zgniłego Zachodu, nie wspominając już o rewolucji seksualnej, żeby ją jasna cholera...

Patrzę czasem, na jakiegoś tam mądrała z inteligentów któremu ślina kapie z pyska i który jęczy – ach, ojczyzna Bacha... ach ojczyzna Dantego . ach, ojczyzna

Szopena... albo Van Gogha gówniana, przepraszam za wyrażenie, razem z Szekspirem i Leonardem da Vinci...

Złapałbyś ciebie ścierwo za kłapy, myślę potrząsnąłbym jak należy i zapytał a co, my może nie mamy ojczyzny acynustrza Karpowa, Chałanowa, Wadima Koźwernikowa, twoja mać, Rajkina Arkadija z jego krytyką niedociągnięć, czy nie mamy zamiast Bacha nieszczęsnego, własnego Sotłownowa-Siedoja z Michałkowem i siedemnastego mgnienia wiosny, zimy, lata i jesieni? Nie mamy gnojku? Co ci z tego że jakiś tam Vavaldi na tej zakurzonej włoskiej pelance symfonie nagwizdał? A w tej tam, półtrozwałonej chałupie jakiś średniowieczny ektystek szerzył religijną propagandę? Ale do Moskwy to nie pojechałeś, żeby całą rodziną zająć do mauzoleum, z marmurów? Zwiśa ci, że tam w Moskwie w ogrodzie zoologicznym przybito tablicę - tu występował Włodzimierz Ilucz Lenin w takim to roku Zachciało ci się zagranicznego zoologu, w którym prawie na wolności łąza najwięksi zwierzęta. No i mają, teraz im sędziów zabijają, ministrów, poluje i tak dalej, a u nas za zabójstwo parszywego druzymnika należy się najwyższy wymiar rozstrzelania...

Nie przypadkiem inowię to wszystko, obywatele sędziowie, a po to zenisce mieli wyobrażenie decydując o moim politycznym losie, o atmosferze w która wpada prawdziwy sowiecki patriota obserwując zachowanie stary turysty albo nawet delegacji naukowej.

Ale te achy-hachy i van gogi to jeszcze jak cię mogę. Obecnie przenie do uszkodowanego Tichonowa, którego zresztą w dalszym ciągu nie uważam za czło-wieka. Jeszcze na otwartych wodach Morza Środkowego od otowałem oblesny wyraz twarzy Tichonowa. Rzecz jesta starani się zdobyć jego zantanie przy pomocy rozpicia przy użyciu szklanek butelki „stolczy” zabraciej z domu w celu uniknię-cia poniżenia wobec cuchnących koniaków i kiantów - na które nawasem mówią, żadnej waluty człowiek nie nastarczy jeśli zapragmie zalic się z tęsknotą za ojczy-zną, co się jednak zdarza w czasie wycieczki.

Stopniowo obnaża się przede nią wnętrze Tichonowa. Te-hnik-kreślarz, lat 29. Nieżonaty co bardzo podejrzane Może, zastanawiały się w toki sprawie ja-kiś zbrodnarz seksualny! Od dziecka marzy o domu publicznym, przekięty roman-tyk co się naczytał rozmaitych mopasantów.

Myslicie, że nie widywałem takich padalców na zagranicznych wyjazdach? A jakże. Taki to tylko czeka, żeby kierownik grupy czupose utracił na chwile leca do pierwszego napotkanego burlelu, tam całą walutę przepozyczy której i szet partii i tak nie starcza na ruchy narządowo-wyzwoleńcze, a potem wraca ścierwo do hotelu, obliżuje się jakby mu tego miodu w ojczystej Rydze nie starzało, a organy po prostu nie nadążają tak h zysłać na Sybir.

Ale rozpustnik to jeszcze jednak nie wróg. Zwyczajnie z łapczywością zaplątał się w swojej ochocie, żeby urwać z życia co się da.

A Tichonow to zupełnie inna sprawa. Jakąż żalosc miał w oczach i w całej swojej postaci, co nawasem mówiąc jest mi dobrze znajome. Napatrzylem się te-go jeżdżąc po krajach kapitalistycznych. I jasno widzę, że obrzydła człowiekowi radziecka władza do ostateczności, ponieważ od wielu lat nie spoglądał taki dalei swojego nosa, miał gdzieś budownictwo komunizmu jak m. wszyscy na tej sadi

sądowej, to znaczy w odróżnieniu od nas!

Daliśmy sobie w dzień jeszcze trochę. Półgłosem zaczynam oczerniać porządku w naszym kraju, nie z duszy serca rozumie się, a w celu służbowej operacyjnej prowokacji. Że niby mięsa mało, megospodarność, kupujemy pszenicę diabli wiedzą od kogo, przemysłowe towary gdzieś ciągle znikają, bywa, że w biały dzień ze świecą papieru toaletowego ani kożuska dla dziecka nie uświadczysz, portweln przekłeci Gruzini sprzedają rozcieńczony, tylko forse zbijają, gorzałą cały wydział w zakładzie zbrojeniowym zaurl się w dnu wypłaty, podobno rakiety przeznaczone w razie czego dla Wspólnego Rynku na czas z taśmy nie zdjęli i tak dalej.

Krótko mówiąc próbuję wykołować poszkodowanego. Czuję -- bierze. Nie potyka jeszcze haczyka, ale bierze

Tak, mówię wiszą mi te wszystkie dzinsy i sweterki całą swoją walutę wydam na „Arhipelag”, Biblię i inną antysowiecką literaturę, której wylizzać nie ma sensu obywatelu sędziowie. Coś przynajmniej dla duszy będziemy mieli w naszym politycznym państwie, w którym znowu nie ma czym oddychać po kulcie jednostki, najlepszych pisarzy zesłali i pozabijali gdzie diabeł mówi dobranoc, góra partyjna skrofum... ona żyje już w komunizmie, nie to co my, mają samochody, służbę, wille, produktów pierwszej potrzeby od groma, medycynę z lekarstwami prosto z Niemiec, a ja nieo nie wykorkowałem na atak serca, walid... i nie ma w żadnej aptece, aż do Moskwy teściowa musiała lecieć, wszystko prawda co mówi i „wolna” i „łos”

Wszystko proszę zwrócić uwagę, odbębniłem jak w akademii politycznej na egzaminie, no i pęktł wreszcie towarzysz Tichonow. Początkowo tak wodą w rozmowie o różnych niedostatkach, potem jak zaprawił się kiedyś na otwartych wodach Morza Śródziemnego, poszedł, jak to mówią, na całosc. W śledztwie słowo w słowo powtórzyłem co nagadał, możecie sobie poczytać. Uszy więdną, kiedy sobie przypominam. Wróg, jawny wróg, a może nawet szpieg. Jego śmierć przeszkodziła w wykryciu prawdy do końca. A co o wielkim Leninie wygadywał?

Nie mogę! Nawet teraz ręce mi się w pięście zaciskają i zęby zgrzytają z powszechnego oburzenia! Ścierwo! Rozumiecie sami, że jeśli turysta nie ma w piersi nic świętego nawet za grosz, to co może powiedzieć o kierownictwie naszej partii i polityce zagranicznej? W końcu dogadał się do takich rzeczy, że oskarżył nasz ZSRR o przestępce nagromadzenie wojskowej techniki w celu zdobycia światowej hegemonii i katastrofy jądrowej, ponieważ jako, by czują już polityczni bankrucci tam na samej gorze, klęskę swojej gównianej teorii, ekonomiki, planów i zieżałych haseł. Dostownie tak się wyraził, „gównianej teorii i zieżałych haseł”.

Dobra, myślę, przekliniesz jeszcze ten dzień kiedy podzieliłem się z tobą „stolicą”, od ust, można powiedzieć, odjąłem sobie swoje lekarstwo na tęsknotę za ojczyzną

Nic to, uspokajam go, dupłytnieśmy do Neapolu albo Marsylii, kupimy sobie książek, samu w domu poczytamy i przyjaciółom damy -- nie samą wódką człowiek żyje, trzeba też prawdę poznać, żeby nie żyć w kłamstwie. Mam rację?

I tu, obywatelu sędziowie zaczyna mi się zdawać, że nie przemytem nielegalnej literatury pachnie w naszej kajucie, a czymś znacznie gorszym.

Taki co książki kupuje tak się nie zachowuje. Nie. Taki przeciwnie. Bardzo

przebiegle stara się podejrzeń od siebie odwrócić, w istocie rzeczy tylko udaje, że traci walutę na gwałtownie. Wyczekuje momentu, żeby jak ryś rzucić się na rozmaitych sołżenicyńców, pasternaków, awtorchanowów i inną ziejącą antyradziecką.

Taki typ może i nie będzie przewozić swego paskudztwa przez naszą komorę celną. Będzie ją czytać po nocach, godzinami będzie sledzić w wychodku z jakąś tam żoną wroga narodu Achmatową w ręku, albo z „Lollitą” w młecie Rzymie!

Nie, Mój Tichonow jak widzę, głębsze ma zamiary. Co mu tam „Czerwony terror”, albo „Folwark zwierzęcy”? Trzymaj się, Iwanie Iwanowiczu Maszkin, odwdzięcz się partii i organom za bezgraniczne zaufanie!

Tymczasem do Marsylii już ręką sięgnąć z jej stawną prostytutką i agentami NTS którzy tylko czekają dranie, żeby wciągnąć nlezagapionej ciamajdzie broszurę, gazetę, sacharowów, maksimowów i innych odszczepieńców.

Na dnie mojej butelki wszystkiego sto gramów zostało. Tichonow trzeba przyznać uczciwie, przyniósł swoją, wypiliśmy jeszcze i wtedy mówi mi co następuje:

— Jesteś Iwanie człowiekiem dobrym i serdecznym, ufam ci bezgranicznie i proszę o pomoc w sprawie osobistej. Poznałeś moje serce a także nastroj i światopogląd. Tam ja już dłużej żyć nie mogę. Mam tego powyżej uszu. Zjada mnie rak serca z powodu władzy radzieckiej, oraz z powodu tego, co robi ona nie tylko z nami, Rosjanami, ale również z pozostałymi młodszymi ludźmi. Nie ma czym oddychać, i nic na to poradzić nie mogę, dwóch znajomych wsadzili do psychiatryka dosłownie za nic. Albo stę wydestanę na wolność, albo też umrę, a ciebie proszę jako serdecznego przyjaciela, zadzwoń jeśli mi się uda pod te dwa numery i przekaż tam, że żegnaj i przebaczam. Nie mogę dłużej. Człowiek ma prawo do wolności, ma!

Tak, myślę sobie obywatelu sędziowie, wolności ci się zachciało, bydłaku antysowiecki! Podaruję ci wolność i to taką, że do końca życia nie zapomnisz!

Jednakowoż nie zrzucam przyjacielskiej muski, jeszcze za wezwanie, trzeba dalej podpuścić tego amatorka wolności, i dopiero wtedy zrapać za gardło żelaznym chwytym. Dla zatwardziałego wroga to męka okrutna, że nie jego zostało na wierzchu tylko nasze. Oto jak wyglądała cała sprawa na otwartych wudach Morza Śródziemnego.

Moja taktyka polega na uzyskaniu całkowitego uniemożliwienia i pośmiertnego osądzenia poszkodowanego Tichonowa jako nieprzejednanego zdrący wszystkich naszych interesów.

Patrzę przez hulaj na horyzoncie sprzedajna Marsylia się wypucza. Golię się sobie jeszcze z Tichonowem po pół szklanki, żeby lepiej wyglądało kopnięciem naszą politykę rolną wraz z budownictwem mieszkaniowym a także drani hokeistów - nieszczęśliwych z Ameryką przegrali padalce.

Marsylia już - łkiem blusko. Rozwiązuję operacyjne zadanie i tu mam wrażenie popchnięcia... wielki błąd. Daj, powiadam, telefon twoich przyjaciół, zaraz przybijamy.

Napisal i kazał schować dobrze na wypadek kłopotu w Rydze. A teraz, mówię, pójdziemy razem, Tichonow.

Oczy mu się zrobiły jak sliżanki. Głos mnie zdradził. Tak bywało w celach, człowiek mówił cicho, przymulnie - no to idziemy... i już tylko od tego in... zrobiły się

jak z waty tym wszystkim zielonym braciom i tak dalej.

Dokąd to, pyta, pójdziemy?

Jakto, odpowiadam, dokąd? Do kapitana, do politruka. Przyjechacie! gdzie trzeba, Tichonow mówiąc otwarcie. Przyjechacie!

Natychmiast zrozumiał to buz, dysydencka szmata. Zbladł i we wszystkim co stało się następnie jak i poprzednio, winien jest wyłącznie poszkodowany.

Bierze łaskę rzeźbioną, moją pamiątkę dla majora Głuchowa z Inspekcji gospodarczej, z „zapamiętaj Neapoli” napisem i tą właśnie łaską przez feb mnie, a potem jeszcze raz i jeszcze, a potem po ręce. Co Tichonow w swojej wściekłości wtedy mówił — nie chcę powtarzać. I tak widzicie dokładnie oblicze wroga, którego zarazą kłębi się teraz w Rydze. No więc załatwiłem go, załatwiłem jak trzeba tym oto rękami, i żadna łaska nie była mi potrzebna. Rozpaliłem się, rzecz jasna jak i należy w naszej pracy. Przynajmniej. Śledztwo w rękawiczkach prowadził tylko Sherlock Holmes, jak mawiał często naczelnik zarządu MWD.

Tłukę gada w pełnym zapamiętaniu trochę się istotnie uniosłem, a masz bydła, ku za wszystko, za wolność swoją burżuazyjną, za oszczędzania pod adresem partii i rządu, za pogardę dla naszej postępowej polityki zagranicznej, za nienawiść do naszego rolnictwa i wolności słowa, a także pisarza Kożewnikowa Wadima i Marij Prileżajewej którą ty gnido nienawidzisz tylko dlatego, że opłakuje ona wlecznie żywego Ilcza i do Juliana Siemionowa, który pełnym głosem wyśpiewał chwałę naszym organom, a masz.

Tłukę go znaczy, czego nie zamierzam ukrywać, ponieważ uważam to za służące nie za przestępstwo przeciwko zdrowiu i życiu, jak napisano w akcie oskarżenia, a on, myślicie, że wyraża skruczę jak to się czasem wrogowi zdarza? Nie. Gestapo, chrypi, gestapo... gestapo... faszysta...

A więc to ja jestem faszystą? Ja, który po dniu zwycięstwa znajdowałem się w włos od emierci w krwawej walce z zielonymi braćmi? Ja który do najwyższego wymiaru doprowadzałem rozmaite szumowiny, nie licząc się z nerwami ani z czasem przeznaczonym dla rodziny? To ja jestem faszystą?

Nie wytrzymałem — butem w brzuch i tak dalej. Przecież nie mogłem uspokoić się tak nagle kiedy Tichonow upadł i zaprzestał zniewag pod moim adresem, inaczej mówiąc zomilkł? Nie mogłem. Tłukłem jeszcze czas jakiś chociaż przekonania do zabójstwa, słowo daję wówczas nie miałem.

A tu — Marsylia. Gdyby nie pamiątki dla kolegów za nic nie poszedłbym do tego miasta rozpusty.

Kajutę zamknąłem. Tichonow, mówię zwierchności, to jest klerownictwu grupy, a także konfidentowi Czirikowowi, parszywie się czuje i nie może zejść na brzeg... Cała reszta oczywiście wyrywa się jak nieprzytomna.

Oczywiście, przynajmniej swoją winę w kwestii próby przewiezienia do miasta Rygi przedmiotów pornografii seksualnej rewolucji, a konkretnie dwóch vibratorów, męskiego i żeńskiego na 120/220 volt.

Ale jeżeli popatrzeć na sprawę z właściwej strony, to i tu znalazł się okoliczność usprawiedliwiająca a mianowicie — chęć dopomożenia swoim przyjacielom z pracy, którzy oddali swoje zdrowie i nerwy, którzy poświęcili dla sprawy wszystko to, co przeszkadza nam w marszu naprzód, a co czasem konieczne jest w życiu

rodzinnym. Przecież towarzysze Lénin niejednokrotnie oświadczał – trzeba umieć marzyć, drodzy towarzysze. Nieprzyzwoite pocztówki i pisma dla pederastów podrzucili mi współideowcy poszkodowanego Tichonowa. Jestem pewien. Nikt inny. Poprzeźdno nigdy nie spekulowałem podobnym towarem na czarnym rynku miasną Rygi, z którym walka toczy się niedostatecznie efektywnie, co tu gadać.

Myślicie że nie zdaję sobie sprawy dlaczego zostałem kozłem ofiarnym po powrocie do ojczyzny? Świetnie to rozumiem. Tu są dwie wersje, jak mówi Julian Slemionow.

Pierwsza – to moja wina że rozgorączkowany operatywną pracą z Tichonowem, utraciłem na gruncie nerwowym czujność, co naturalnie wykorzystali dwaj współobywatele, przysnuli na policję i poprosili o azyl polityczny. To był mój błąd. Jakos o nich zapomniałem przez Tichonowa. A przecież miałem na nich oko, miałem. Czułem że coś kręcą Minkiewiczus z Biełobokowem – coś zbyt wymownie szydził z tak zwanego wolnego świata, odwracali od siebie uwagę. No i trafiłem w dziesiątkę. Moja wina. Jednemu przeszkodziłem, dwóch przegapiłem. Arytmetyka, jak to mówią, nie na moją korzyść. Moja wina. Więcej to się nie powtórzy.

Druga wersja, dlaczego się tu znalazłem, gdzie dawniej siedziały tłumy moich podsądnych? Dlatego, że po 1953 roku okropnym dla naszego kraju we wszystkie nasze organy wkradli się, a nawet wyżej, nie będę tu omijał tego nabrzmiałego problemu, tacy, którzy tylko czekają żeby podstawić nogę prawdziwemu radzieckiemu patriocie-człowiekowi przyszłości. I w przypadku skazaniamnie, niezwłocznie napiszę skargę do wielkiego Szołochowa. Co on powiedział na temat Abrama Terca i Juliana Slemionowa, to jest Daniśka? Wielki Szołochow powiedział, że nie trzeba było cackać się z tymi zdrajcami, a kierując się rewolucyjną praworządnością po prostu roz–strze–lać ich do wszystkich diabłów, przepraszam za wyrażenie!

Prosiłem mojego obrońcę żeby mi wy dostał dla ostatniego słowa tę wypowiedź ze starych gazet. Myślicie że to zrobił? Sam pownie z takich co to tylko czekają odpowiedniej chwili... No dobrze już... ja nie nie mówię... I tak wszystko jasne.

Osobiście żałuję tylko jednego – przesadziłem, niedopażyłem, posunąłem się za daleko, ale winien jestem wyłącznie tego, że kiedy znaleźnno w mojej kajucie trupa poszkodowanego Tichonowa, w czasie niewielkiego zamieszania spowodowanego moim bezprawnym aresztowaniem, zgubiłem telefony współników Tichonowa przebywających jeszcze chwilowo na wolności na prawdziwej wolności a nie marsyliańskiej, w mieście-bohaterze Rydze

Dlatego proszę sąd o przekwalifikowanie mojego karnego artykułu z ciężkiego uszkodzenia ciała i tak dalej na zaniedbania przy pełnieniu obowiązków służbowych, za co gotów jestem ponieść szczerą karę, i wziąć pod uwagę wszystkie moje zasługi oraz bojowe odznaczenia a także pryncypialną niezłomność po tragedii 1953 roku.

Nie dla mnie pobyt za więziennymi kratami, a dla takich jak poszkodowany Tichonow.

Zobowiązuję się w czasie przyszłych wyjazdów za granicę nie kupować technicznej pornografii i charakterze dwupłciowych wibratorów, a także pamłatek mających formę aluzji do moralnego rozkładu jednostki.

Pokładam nadzieję, obywatele sędziowie, w waszej rewolucyjnej praworządności,

ponieważ, jak mi się zdaje, na nic więcej nie mogę już liczyć, gdyż doszliśmy jak się zdaje do kresu. I jeszcze na to, że ja, jako zastępca naczelnika wydziału kadr filii Instytutu Marksa-Lenina, jestem niezastąpiony na swoim stanowisku.

Józ Aleszkowski urodził się w 1929 roku. Prozaik i poeta rosyjski. Jest autorem popularnych w ZSRR piosenek (m.in. „Tawariszcz Stalin, wy bolszof uczyony!”, „Akupoczek”) oraz m.in. powieści „Nikołaj Nikołajewicz”. Od roku 1979 mieszka w Stanach Zjednoczonych. Na Zachodzie wydał następujące książki: „Nikołaj Nikołajewicz”, „Maskirowka”, „Ruka” i „Kenguru”.

Włodzimierz Odojewski

POMIĘDZY TAK I NIE

To było zaraz następnego dnia po zakwaterowaniu w wojskowym obozie pod Teheranem, kiedy skierowano mnie na oględziny do naszego lazaretu. Kiedy czając w kolejce siedzących pod ścianami korytarza przed ambulatorium mężczyzn wyselekcjonowanych przez lekarza jeszcze w czasie transportu (w różnym wprawdzie wieku, wszystkich jednak z podobnymi starymi odmrożeniami i okaleczeniami, wciąż ropiejącymi, albo poddawianymi teraz i bąbrzącymi się powtórnie), posłyszałem swoje nazwisko, podszedłem do siostry trzymającej w dłoni nasze rejestracyjne karty i odebrałem od niej blaszkę z numerem, według którego będę wywoływany na zmianę opatrunków. W tym miejscu korytarz krzyżował się z innymi, prowadzącymi do sal chorych i, kiedy tę blaszkę od niej odbierałem, mój wzrok zatrzymał się na twarzy wyniszczonej i zmienionej chorobą, lecz mimo to kogoś mi przypominającej, jak gdyby dawniej (a nawet już bardzo dawno) widywanego, albo znajomego. Nasze spojrzenia spotkały się na krótko i wtedy na krótko zdawało mi się, że oczy tamtego ożywiły się nagle, ale zaraz znowu zgasły, gdyż nie poruszyłem się nawet, nie wykonałem żadnego gestu, po prostu w pierwszej chwili naprawdę nie poznałem go, z nikim jego twarzą nie potrafiłem skojarzyć, a gdy już wreszcie poznałem, gdy jeszcze był czas, żeby ten gest uczynić, żebym później nie musiał tłumaczyć się przed samym sobą, że wcale nie wstydzilem się nauczyciela Burdy, powszechnie kiedyś w naszym mieście znanego komunisty i że to spotkanie z nim wśród ludzi, którzy dopiero co wyrwali się z Rosji, nie było dla mnie w żadnym wypadku ambarasujące, to też tego gestu nie uczyniłem, będąc wciąż zbyt zaskoczony zmianami, jakie tę przecież tak dobrze mi dawniej znaną twarz przeorały. Wkrótce jednak wywołano mój numer i zaraz potem, miast wracać do obozu, dopytałem się u sióstr biegnących korytarzami, gdzie Burda leży i odwiedziłem go w separacie, w której go właśnie umieszczono. I tak oto, od tego dnia począwszy, moje chodzenie do wojskowego lazaretu na zabiegi i zmianę opatrunków, uzyskało dodatkowy cel: odwiedzanie starego nauczyciela, któremu udało się wydożyć z jednego z najodleglejszych miejsc Rosji, z kopalni złota położonych nad rzeką Kołymą, gdzie najczęściej nawet ludzie nie należący do szybko wynierającej tam społeczności łagierniczej, też byli tylko

wieżniami nie posiadającymi możliwości opuszczenia tamtych stron; i któremu udało się przebyć tysiące kilometrów w warunkach, jakich nie przetrzymałoby pewnie najwytrwalsze zwierzę, człowiek zaś niekiedy jakimś cudem przetrzymuje, i znaleźć się z naszą armią w Persji, gdzie jednak organizm, który przedtem oparł się tamtemu wszystkiemu, nie zniósł nagłego dobrego odżywiania, higieny, spokoju, braku ustawicznego napięcia nerwów i jeszcze czegoś, o czym wtedy nie wiedziałem, choć wkrótce miałem się dowiedzieć, co było progiem wolności.

Bo Nikodem Burda umierał. I to umierał wiedząc sam dobrze o tym i mówiąc o tym bez zahamowań, choć lekarze, którzy też o tym wiedzieli, mówili tylko ogólnie i półpebkiem, gdyż nie mogli znaleźć u niego żadnej konkretnej choroby, która by śmierć nań sprowadzała. Bo wprawdzie był chory na wątrobę, miał coś z trzustką, coś z nerkami, a także serce słabe i cierpiał jeszcze dodatkowo na jakąś dokuczliwą odmianę reumatyzmu, żadna jednak z tych dolegliwości nie wydawała się w stopniu zaawansowanym, i nawet wzięte pod uwagę wszystkie razem nie mogły być zagrożać jego życia. Mimo to nikt, z kim rozmawiałem w tamtych dniach, nie miał wątpliwości, że on umiera i żaden z lekarzy nie widział sposobu, żeby mu pomóc. Choć stary nauczyciel, Nikodem Burda, tej pomocy wcale nie oczekiwał i umierał spokojnie. Ten radykał, komunista i antyklerykał, zwariowany dziwak, za jakiego uważano go w naszym mieście przed wojną, umierał tak, jakby to była jakaś zwykła, dokonywana na jego organizmie przez naturę czynność, bez lęku, z pełną świadomością, że jest nieodżałowana i być może, co później dopiero zrozumiałem, tej pomocy, gdyby była w ogóle możliwa, by nie przyjął.

Z początku próbowałem go pocieszać, ale zgoda okłamywać, że przed chwilą spotkałem lekarza, czy siostrę, że mówili mi, że wszystko będzie dobrze, że już jest na dobrej drodze, że widzę go w lepszej formie, że się wygrzebie i wykaraska, bo nie niechęć mi się w głowie, żeby owa potężna siła, która tyle tysięcy kilometrów kazała mi z uporem przedzierać się, jechać i pieszo iść przez tamten kraj do granic, za którymi była upragniona wolność, pokonywać niehumanne trudy drogi przez kilka miesięcy, ta siła wraz z wiarą, że to się uda, mogły się tak nagle po przekroczeniu granicy irańskiej wyczerpać, aby nie miały w nim dalej płonąć, trzymając go przy życiu i pehając naprzód następnych kilka tysięcy kilometrów do rodzinnego kraju, który stąd, mimo tych nowych tysięcy kilometrów, wydawał się dużo bliższy, niż stamtąd. Musiało minąć jeszcze kilka dni i kilka następnych moich wizyt w lazarecie, zanim wreszcie pojąłem, że ta siła i wiara są Burdzie już niepotrzebne, gdyż ojczyzna dla niego jest cały obszar świata zaczynającego się za liniami granicznymi Rosji i on już dotarł jak gdyby do celu przez to tylko, że wyrwał się spod zastęgu tamtej władzy.

Nikodem Burda powiedział mi to w dniu, kiedy (jeszcze nim doczekałem się swej kolejki do opatrunku) podszła do mnie przed ambulatorium zakonna siostra, znająca mnie z widzenia z codziennych wizyt u niego i zaafetowana, jakby na mnie od dawna czekała, powiedziała, żebym natychmiast tam poszedł, że z Burdą jest źle i żebym go nakłonił na wezwanie księdza.

To był późnojesenny i, jak na tę szerokość geograficzną trochę zbyt ustry poranek. Wiatr od gór spadał w dolinę w krótkich porywach, to znowu zamierał na chwilę, a w chwilach, kiedy zamierał, słyszałem miękkie ocieranie się o szybę

oklenną gałązek mimosy rosnącej przy ścianie na zewnątrz, zwarzonych nieco nocnym przymrozkiem; stożkowate sterczyny zwieńczające co kilka metrów mur wokół budynku lazaretu nie odtajały jeszcze ze szronu, a niebo sine, bez blasku i matowe, spływało nisko od zaśnieżonych szczytów ku ustawionym w kilkunastu szeregach namiotom wojskowego obozu i ku miastu nabrzmiałymi zamiecią chmurami, jakby całą okolicę chciało przywalić wkrótce lch ciężarem. Właśnie wtedy, patrząc w okno i za okno na to, co było z łóżka widać: na delikatne, zwiewne gałązki mimosy, na stożkowate sterczyny zwieńczające w tutejszym stylu architektonicznym utrzymany mur, na niebo nad namiotami i chumury, Burda, który przed laty, kiedy mnie uczył w gimnazjum i potem w liceum, mówił mi oczywiście „ty”, później zaś jednak już nigdy, powiedział: „Chciałem, Karolu, żebyś wiedział...” znowu po imieniu, jak dawniej, „Żebyś wiedział, że należałem do tych najbardziej ślepych i głuchych, gdyż wiedziałem i widziałem jeżeli nie wszystko, to wiele, a nie chciałem wiedzieć i widzieć nic”.

Pierś unosiła mu się szybko, głośno i wciąż spoglądał w stronę okna, ale chyba tak naprawdę, to nic za nim nie widział, nawet owej żunnej, pozbawionej blasku słońca nieba, nawet gałązek krzewu mimosy za sznurem ocierających się o szybę, a szukał jedynie w myślach odpowiednich słów, od których mógłby zacząć i ja, spojrzawszy za jego spojrzeniem, mówiłem sobie w duchu: „Nie! Nie mów tego, na Boga! Nie mów! To niepotrzebne! I ty i ja przeżyliśmy Rosję, więc wierzę. Nie mów!”, i z lękiem, że jeżeli słowa Burdy mają być wstępem do samooskarżenia się, jeżeli Burda pragnie część winy za piekło, jakie nam zgotowano przypisać sobie, to mnie trudno będzie go wysłuchać spokojnie i bez sprzeciwu. Bo pamiętałem i wiedziałem dobrze, że Nikodem Burda, który w naszym mieście uczył mnie historii przez cztery lata w gimnazjum i dwa lata w liceum, był najuczciwszym z uczciwych, że opowiadał się zawsze po stronie tych, co w hierarchii społecznej stali niżej, którzy byli od innych słabsi, głodniejsi, gorzej ubrani, gorzej opłacani, gorzej mieszkali i w ogóle zbyt mało czasu mieli na to, aby odczuwać dumę z faktu przynależności do ludzkiego gatunku, słowem, że Nikodem Burda, jak pamiętałem, był zawsze po stronie nędzy z suferen i piwnic, chat gnojnych i zagrzybionych, fedywo co zimną ogrzanych zbieranymi ukradkiem w państwowych lasach szyszkami i chrustem, po stronie tej nędzy, która wiosną, kiedy o robotę było trudno, i na przednówku, aż piszcząca z głodu z brzuchami wydętymi od lebiody, brukwi i ziemniaków, nędzy jakże często z jedną parą juchtowych buciurów na kilkoro dzieci w rodzinie; i spróbowałem nie dopuścić, ażeby zaczął mówić, mówiąc: „Pan nie powinien”, i: „Lekarz zalecił panu spokój. Żadnego zdenerwowania, żadnych niepotrzebnych wzruszeń. Pan powinien zasnąć, panie profesorze, i odpocząć...”

Lecz on już powiedział: „Kaźde słowo Karolu...” i potem: „Kaźde słowo Karolu, wydaje się za słabe, nie oddaje tego...”, i że tyle chciałby mi powiedzieć, a tak mało ma na to czasu, i żeby mu nie przerywał, on o to prosi, choć w jego oczach nie było prośby, odwrotnie, twarde przekonanie, że nie może spotkać się z mojej strony ze sprzeciwem, czy odmową, i nawet coś jeszcze takiego, co kazało mi przypuszczać, że gdyby się z nią spotkał, nie przyjąłby jej wcale do wiadomości. I widać było, że choć jest u kresu sił, to na to, co musi powiedzieć wystarczą, nie może tego, co w nim wezbrało w żaden sposób pohamować i tylko podejmuje ogromny

dotatkowy wysiłek, ażeby z natłoku domagających się uzewnętrznienia refleksji i przemyśleń wielu wydarzeń i spraw, jakie chciałby opowiedzieć, wybrać te najważniejsze. mówiąc zrazu chaotycznie, nerwowo, śpiesząc się, łapiąc nowy oddech o sekundę, dwie za wcześniej, jeszcze z płucami wypełnionymi po brzegi starym powietrzem, a potem dopiero nieco spokojniej, że tak, że był głuchy i że był ślepy, choć widział i słyszał, że jego oczy przez lata całe ześlizgiwały się po powierzchni zjawisk nie docierając do ich rdzenia, choć mu się zawsze wydawało, że zna historyczne perspektywy rozwoju ludzkości, bo zna jej przeszłe dzieje, a była to w gruncie rzeczy fałszywa wiedza niedokształconego małomniasteczkowego belfra, i zarozumiałość, i pycha neofity.

I zaraz potem to się zaczęło, zapamiętałem to. Bo było jak strumień, który musi przewalić się przez groblę, ponieważ wezbrał w górach opadłą ulewą; grobla go już nie zdolna powstrzymać. Albo jeszcze inaczej: to było jak zatruta, skażona, czarna od gorączki krew, która nagle chlusnęła z rozpatanej żyły, której organizm musi się pozbyć, ażeby się oczyścić, gdy Burda zaczął mówić, że dla mrzonek poświęcił wierność prawdzie, dla wydedukowanej z teorii wizji przyszłości wziął rozbrat z rzeczywistością teraźniejszą, dla przekonania o swej postępowości zapomniał o sprawiedliwości, dobru i wyrozumiałości, dla fałszywej troski o masę, przestał myśleć o jednostce, i co z człowiekiem się dzieje, kiedy już raz wkroczy na tę drogę samooszukiwania się, bo przecież mieszkał przez lata niemał przy samej sowieckiej granicy, słyszał wiele o zbrodniach ich reżymu, o katowniach GPU i NKWD, preparowanych procesach i ludziach do tych procesów, wysiedlaniu polskiej mniejszości narodowej z powiatów za kordonem gdzieś lekko na wschód, o milionowych ofiarach kolektywizacji, o wielkim głodzie na nieobodajnej Ukrainie i Białorusi, a nawet o ludożerstwie z głodu też; że słyszał i wiedział, a jednak nic wówczas jeszcze nie wynikało z jego wiedzy (wciąż jak się zdaje nie mógł pojąć dlaczego, ani znaleźć słowa, które by określało precyzyjnie ów stan dwoistości jego własnego umysłu w tamtych czasach, jak gdyby mieszkała w nim niegdyś para różnych ludzi starających się za wszelką cenę zatrzeć niezgodności ich poglądów, ukryć wzajemne błędy i sprzeczności w myśleniu, nawet prawdziwą wiedzę o sobie również); i zmagując się ze słabością swego wyniszczonego ciała, z oddechem krótkim, prędkim, który usiłował jak gdyby przyduścić i mu się to nie udawało, mówił z oczyma w twarzy rozgorączkowanej i podnieconej półprzymkniętymi, albo prawie przymkniętymi, jakby nie patrzył na nic, co go w tym mokoju otacza, gdzie on sam, Burda leży na łóżku naprzeciw mu, ale na wewnętrznym obraz samego siebie, jakim niegdyś był, kiedy wierzył w ideały, które się później tak skompromutowały i potem, kiedy już przeczuwając, że nie są czyste, próbował w nich jeszcze coś ocalić i je usprawiedliwić; i to było tak jak gdyby te nakryte pomarszczone, pożyłkowane powiekami oczy Nikodema Burdy widziały jego samego, Nikodema Burdę, jak jeszcze idzie przez tamte już odległe w czasie, ale w świadomości ciągle bliskie lata i dochodzi wreszcie do miejsca, gdzie droga biegnie nad samą krawędzią urwiska, z którego on musiał się stoczyć w dół, by tam unicestwić samego siebie, jeżeli nie chciał podeptać w sobie człowieczeństwa, bo powiedział: „A potem był wrzesień trzydziestego dziewiątego roku. A wkrótce ten dzień siedemnastego...” i urwał, i tyko odychał, zbierał siły, i potem: „Ale

to widać jeszcze było mało. Nawet to, że przyszło mi oglądać ten eksperyment z nowym ładem na własnym, do niedawna wolnym narodzie. Ani to, że musiałem, jako jeden z wiernych, sprawdzić się w działaniu, w naganianiu ludzi do stawienia ugo referendumi za przyłączeniem naszych ziem do Sowietów. Ani że musiałem uczestniczyć w podsycaniu zdrady, w oplataniu ludzi siecią zależności, strachem, dónosiicielstwem, w niszczeniu norm etycznych i prawnych, w przyklaskiwaniu, gdy wynoszono do góry najbardziej przeciętnych, słuźalczych, chciwych, bezwzględnych, płaskich, Ichórzliwych i okrutnych. Najgorsze miało dopiero nadejść zimą. Już wtedy nie wystarczyło masowe zagarnianie ludzi do więzień. Potem przyszły deportacje. Wiesz, znasz to... Według zawodu, według znaczenia w środowisku i miejscu zamieszkania, według tego, co się posiadało, kim się było, co się mówiło, co myślało..." mówił i wciąż oddychał tak, jakby powietrze stawiało za duży opór jego płucom i zmuszało go to do natężonego wysiłku wszystkich mięśni, aby je wciągnąć, następnie zaś wypchnąć z piersi na powrót na zewnątrz.

Widziałem, jak Burda się pocł, jak drobno, przeźrocyste krople, wyciskane przez skórę pokrywały mu głęcej i głęcej czoło, nos, policzki i szyję, nawet zaciśnięte na pościeli, posiniałe od napłęcia pięści, i że oczy miał już szeroko otwarte, pełne nie rozwanego do końca zdumienia wywoływanego zapewne obrazem tego, co kiedyś robił, i rozczarowania, i rozpacz, ale także gniewu i grozy. Bo w głębi tamtych lat widział człowieka mówiącego wprawdzie tym samym językiem i mającego to samo imię i nazwisko, lecz równocześnie twarz, pomiędzy którą, a twarzą leżącego na łożku, było odległe zaledwie podobieństwo, poszczególne pokrewne rysy jedynie, nic więcej, a język, jaki wspólnie używali, przestał mieć to samo znaczenie, jakby z czasem stali się dla siebie cudzoziemcami, albo nie mogli się już słyszeć. I wiedziałem, że oczy Burdy, choć ciągle jeszcze szeroko otwarte, nie widziały ani mnie, ani nic z otoczenia, ani nieba za oknem, ani mianozy ocierającej się o szybę; ten gniew i groza wypełniające go po brzegi, wyiewały się na całą twarz i to było tak, jakby ta ociekająca potem, mokra twarz płonęła. Lecz zaraz znowu nakrył oczy powiekami, jakby mu to pomagało w koncentracji i w ten sposób łatwiej mu było ujrzeć ową noc, o której mi opowiadał.

Była to mroźna, okrutna, jasna, księżycowa noc w początku lutego czterdziestego roku. Noc, kiedy z grupą aktywistów i milicji ludowej pod nadzorem funkcjonariuszy NKWD, otaczali wioskę nad brzegami skutego łodem Horynia ciasnym kręgiem, aby żywa dusza nie przemknęła się na zewnątrz. A potem walili w drzwi chat, wyciągali z pościeli, z bartogów na piecach nieprzytomnych, rozbudzonych nagle ludzi, wywiekali z piwniczek pod sionkami, z chlewików i stodoł tych, co próbowali się ukryć, i padał rozkaz pakowania się w ciągu dwóch, trzech godzin. I zaraz wydało mi się, że jak najwyraźniej, jak najdokładniej widzę tę nędzę, wyziębioną, lampką oliwną zdjętą spod świętego obrazu oświetloną łzbę, którą widział Burda, ciągle jeszcze widząc siebie samego, jak tam stoi po środku, otoczony gromadką czepiających się jego rękawów dzieci w kususych koszulkach, drobnych, bosych, drżących z zimna i strachu, rozkrzyczanych i usiłujących zrozumieć coś z tego, co się dzieje, bo mówił językiem rozumiałym, tłumacząc to, co mówił zagradzający sobą drzwi wejściowe enkawudysta: że prędko, że prędzej, że prócz żywności i osobistych rzeczy brać nic więcej nie wolno, że zresztą nie ma potrzeby,

bo wszystko dostaną od radzieckiej władzy po drodze i tam, dokąd pojadą niczego im nie zabraknie. I tę kobietę też widziałem drobną, śniadą, której cała Rrew odpłynęła z twarzy tak, że jej skóra stała się szarokredowa, kobietę, która odezwała się do niego, Burdy, tylko dwa razy, raz gdy po otwarciu drzwi powiedziała, że mąż nie wrócił z wojny i drugi raz, stojąc nad otwartą skrzynią na odzież, sama jeszcze w półubrana, bezradnie spoglądająca na dzieci miotające się w tych kusych koszulinach po izbie, gdy powiedziała, że przed tygodniem była rekwizycja, że żywności nawet na krótką drogę nie starczy, bo potem już zamilkła. I widziałem tak, jak Burda wciąż jeszcze widział ten obraz: jej powolne, jakieś zamyślane, bezwolne, wszystko jak góry wiedzące i może dlatego bierne, pogodzone niemal ruchy, gdy ze stryżku zносиła stare worki po końskim obroku, jak je wytrzymała, i ta dziaci odziane już przez nią przedtem w takie byle co, w jakies wiatrem podszyte łaszki, fata na facie, cera na cerze, te dzieci również już milczące i bierne w te worki wkładała, dopychając szmatami i słomą, gdy tymczasem on, Burda, stał ciągle pośrodku izby i, spoglądając bokiem na enkawudystę, Rosjanina, stojącego przy drzwiach, powtarzał za nim dokładnie, tyle że po polsku, że o nic nie mają się martwić, że po drodze wszystko dostaną, że radziecka władza o nich dobrze zadba; a potem te wypełnione przez kobietę worki widziałem ustawione na mrozie przed chatą, i jak sterczały z nich dziające głowy i patrzyły oczy, niby węgie, z przerażeniem i nic nie rozumiejące, te worki, które Burda sam „rzecież pomógł tej kobiecie z jej chaty wydzwignąć w pierw na dwór, a potem na wóz, gdy jeden z sąsiadów przyhamował przed jej obejściem konia i pozwolił dorzucić na wierzch swojego załadowanego tam dobytku. I jeszcze widziałem to, co Burda wciąż musiał widzieć, jak za tym wozem ona idzie, jak wlatr, niby balon, nadyma jej bawełnianą spódnice, jak owija ją wokół jej nóg, zszarpuje czarną chustę z jej głowy i jak ona idzie, jakby w pogrzebowym kondukcie, jakby te worki z jej dziećmi były workami, w które zaszywa się na morzu zmarłych, a ona już nie tylko wdowa, ale i sierocona na zawsze, sama jedna idzie, oddała się w ten wiatr, w trzaskający, skrzypiący pod nogami przeraźliwie mróz, w tę noc jasną od księżyca, bezlitosną, idzie sama na spotkanie śmierci, która nie będzie miała nic z majestatem, nie będzie nawet przywoła, po prostu idzie, odchodzi w haniebną nicosć. I także widziałem samego Nikodema Burdę, idącego w eskorcie tego konduktu, aż otworzywszy znowu oczy, zaczął opowiadać, jak już nie mógł dłużej, jak przestał być miłzący i przestał być posłuszny, i przestał tylko słuchać, i tylko przystakiwać, i tylko wykonywać, i następnie krótko, bardzo krótko o własnej wędrówce od więzienia do więzienia, twardo, oschle, bez zbędnych szczegółów i rozczulania się, o wędrówce trwającej przez cały rok czterdziesty coraz dalej na wschód w głąb Azji, aż w końcu do Władywostoku, stamtąd zaś morzem na statku do łagru nad Kołymą, gdzie przez pół roku kopał w zamrzniętym szlamie złoto.

I jeszcze potem Burda mówił o Azji w ogóle. O jej tradycji nie liczenia się z jednostką i deptania wszelkiej indywidualności. O tradycji, co rzutowała na wszystko, na sposób myślenia, organizowania władzy i ucisku, o bezinteresownym okrucieństwie i despotyzmie, o bałwochwaiństwie ideologicznym i barbarzyństwie uczuciowym i że on Nikodem Burda, wyzwolił się z tego, że wprowadzie kosztowało go to życia, ale wyzwolił się, strząsnął to z siebie, jak strząsa się robactwo,

uwolnił się i umiera spokojnie, jeżeli można mówić o spokoju, pamiętając tamtą przeszłość. I już słabiej, coraz bardziej, z oddechem już tak prędkim, krótkim, że prawie wydawał się oddechem dziecka, powiedział: „Stamtąd musiałem wyjść. Ale nie mam prawa dojść”. „Dojść? Dokąd dojść” zapytałem, choć zdawało mi się, że rozumiem. „Dojść do kraju” powiedział Burda. „Dojść do kraju po tym, w czym brałem udział, po tym, co robiłem”. I następnie nie dopuszczając mnie do słowa, mówił o karze. Że to jest tak, jak gdyby kara. Bo wina i kara są nierozdzielnie ze sobą związane z jakiegokolwiek by punktu widzenia na to spojrzeć. Dlatego umiera bez lęku. I potem na tym krótkim, rozgorączkowanym, że nie zdąży, oddechu, prosił: „Powiedz to innym, żeby się nie nabrali. Powiedz i przestrzegaj. Choć to pewnie niewiele pomoże. Bo zawsze zwyciężała brutalna siła. Zawsze Rzym padał pod ciosami barbarzyńców. Ale powiedz i przestrzegaj...” A wtedy drzwi się otworzyły, do separátky wszedł kapelan, i to było dobrze, że wszedł, bo Burda mógł zamilknąć, znowu zamknąć oczy, a ja wstałem z niklowego foteliku, na którym siedziałem znieruchomiwszy aż do bólu, oparłem się o ścianę i wydało mi się, że to ja muszę opanować teraz własny oddech, uspokoić bicie własnego serca i drżenie własnych rąk;

Kapelan stał nad łóżkiem głęboko pochylony i czekał, lecz Burda nie otwierał oczu, więc zaczął modlić się szeptem. Było bardzo cicho, bo i oddech starego nauczyciela przestał być tak głośny jak przedtem, i to straszliwe napięcie, które w jego twarzy było przedtem, powoli ustępowało. A po kilku minutach weszło do pokoju dwóch lekarzy z pielęgniarką i, gdy kapelan przeżegnał leżącego, poprosili, żebyśmy wyszli na korytarz. Kapelan powiedział tam do mnie: „Proszę mnie wezwać, kiedy będę potrzebny. Bo pan pewnie zostanie u niego...?” A ja przytaknąłem i powiedziałem: „Ale on chyba nie zechce się spowiadać, proszę księdza kapelana. Był niewierzący, a teraz nawet nie wiem. Chyba nie może już mówić”. A kapelan powiedział: „Wiem. Ale nie trzeba nic mówić. Myślę, że on powiedział panu wszystko, czekał na pana...” A ja powiedziałem: „Tak. Chyba wszystko. Wszystko, co było dla niego istotne”.

Gdy po godzinie znów ta sama zakonna siostra znalazła mnie przed ambulatorium i powiedziała, że mogę iść do Burdy, stary nauczyciel spał, w każdym razie wydawało mi się, że śpi, jeżeli nie było to coś w rodzaju zapaści zbliżonej do snu; oczy miał zamknięte, oddech zaś w miarę spokojny, choć słaby, ledwo słyszalny i tylko jego płasko wyciągnięte po obu stronach ciała dźwięki drgały, sucho szeleszcząc na pościeli. Więc znowu usiadłem przy jego łóżku i miałem dużo czasu na myślenie o wszystkim, co mi opowiedział. W ten sposób minęło popołudnie, potem wieczór (jeszcze zaglądał co jakiś czas do separátky lekarz, lub pielęgniarka, która poprawiała choremu poduszkę i regulowała coś przy kropiówce, na korytarz mnie zresztą nie wypraszała, tylko raz, kiedy przymosiła mi kołację), a potem nastąpiła noc.

Gałązki mimozy za oknem ocierające się w wietrze o szybę współbrzmiały z oddechem pogrążonego we śnie chorego; zrazu wydawało mi się, że kryzys minął. Z korytarza nie dochodził już żaden dźwięk, cisza ogarnęła budynek i znowu rozmyślałem o drodze, którą szedł Burda od pełnych wiary w swe ideały lat przedwojennych do wyznania, jakie od niego usłyszałem przed południem. Później

myślałem o niaktórych własnych doświadczeniach nabytych jeszcze jako dziecko — wystarczyło przecież tylko wyjść za próg domu i spojrzeć w kierunku wschodnim — włączących się z uczuciem jakiejś bezgranicznej, smutnej, posępnej dali nie do objęcia wzrokiem, nakazującej myśleć o pustce; gdzieś nieco bliżej biegła jeszcze ciemna, odgraniczająca kreska Zbrucza (której też się nie widziało, a jedynie wyczuwało), za nią zaś już nie było nic, co mogłoby wydawać się realne i zrozumiałe, po prostu Wschód, mający w ciągu wieków coraz większą zdolność przesuwania się ku Zachodowi, ów Wschód obcy, przytłaczający wszystko i niwelujący, forpoczta Azji, nie będący dla mnie żadnym pojęciem geograficznym, lecz stanem uczuciowym wysanym już z mlekiem matki, wchłoniętym z powietrza, z pyłu ruin twierdz i zamków na wzgórzach i nad brzegami rzek, z widoku warownych kościołów, klasztorów i mieszkalnych domów, z kurhanów mogiłnych; a ten stan uczuciowy mobilizował nieustającą czujność, nieufność, trwałą gotowość obronną, protest, wcale zresztą nie dlatego, że byłem świadom zagrożenia, czy że się bałem, już na pewno zaś wcale nie dlatego, że nienawidziłem, ale dlatego, ponieważ przeczuwałem, a później wiedziałem, że Wschód, to jest coś, do czego nie można się przycisnąć, czego nie można oswoić, obfatskawić, zmienić, czego nie można znieść, można jedynie odepchnąć.

Myślałem także o tamtych czasach, kiedy chodziłem do szkoły, a Nikodem Burda uczył mnie historii, i o sposobie w jaki nas uczył, i o tym jego żarze wewnętrznym, jego zapale, które być może właśnie sprawiły, że polubiłem ten przedmiot najbardziej. I o historii myślałem, że stała się demonej współczesnego człowieka, i o rozmaitych narzucających się analogiach, od których trudno było się niekiedy uwolnić, tych prawdziwych, jak i złudnych tylko i że różne można z historii czerpać nauki, i znowu o Wschodzie myślałem, i jeszcze tym dalszym, o Azji, co przez stulecie parła tymi samymi szlakami ze Wschodu na Zachód, wdzierając się w głąb Europy, o Azji stepowej, pustynnej, barbarzyńskiej, nie niosącej z tamtych stron zapładniającej idei, nowych umiejętności, cywilizacyjnych zdobyczy, kultury, sztuki, filozofii, ani sposobów wytwarzania, nawet jeśli tam powstały, ale spustoszenie, dzikość, okrucieństwo, krew, pożogę, grabież i gwałt.

Aż nagle usłyszawszy jakiś głos, drgnąłem i otworzyłem oczy. Odruchowo zacisnąłem dłoń na poręczach szpitalnego fotelika i, jeszcze półprzytomny, uświadomiłem sobie, że spałem, a przebudziła mnie nie jakaś myśl, czy jakiś obraz ze snu, nawet nie uczucie, że w pokoju znajduje się ktoś trzeci i że słyszałem jego głos, ale odwrotnie: to, że czegoś brak. Z gór schodził teraz nieustający, potężny, groźny szum wiatru, ale poprzez ten szum słychać było wyraźnie bliski szept gałązek mimozy trących się na zewnątrz o czarną szybę, szept wciąż łagodny, przenikający jednak nagle dreszczem, prócz którego, mimo, że nateżyłem słuch, nie dosłyszałem żadnego innego dźwięku, nawet rytmicznego pulsowania kroplówki i wtedy oprzytomniałem do końca, uświadamiając sobie, że się nie myliłem, że w półmroku pokoju rzeczywiście jest ktoś trzeci — to był kapłan. W smudze światła nocnej lampki pochylał on się nad łóżkiem chorego prawie nieruchomo, jedynie jego ręce wykonywały jakieś skomplikowane czynności. Mimo, że przytomny, trzeźwy, przebudzony, krzyknąłem i przez kilka sekund zdawało mi się, że właśnie dopiero ten własny krzyk zbudził mnie naprawdę. Ale obraz sprzed

ożu nie chciał zniknąć. Kapelan tylko odwrócił powoli ku mnie głowę, gdy wstałem i się zbliżyłem: jego twarz była spokojna, skupiona, usta nie przestawały szeptać słów przepisanych rytuałem, ręce zaś – wtedy to zrozumiałem – udzielały ostatniego namaszczenia.

A więc Nikodem Burda nie żył. Leżał już bez ruchu, bez oddechu, na zawsze poza wszystkim doczesnym i wolny. Ja zaś zostałem z jego opowieścią, czyli z jego życiem, i zawahałem się na krótko w myśli, czy było ono dokończzone. Potem pomyślałem, że choć byłem przy nim w jego ostatniej godzinie, to jednak zawiodłem, zasypiając, bo przecież mogłem mu być jeszcze potrzebny. Ale czy jakkolwiek życie jest naprawdę dokończzone? To były te trzeźwe, ostre choć chaotyczne, pierwsze myśli. Bo potem, patrząc w jego twarz, której rysy wygładziły się, złagodniały i była w nich ulga, przypominałem sobie, co powiedziałem już przedtem kapelanowi, że Burda powiedział wszystko co istotne, i pomyślałem o umierającym z „Króla Ducha” – „... i duch się skupił cały w jedno ziarno...”.

Jeszcze raz wtedy myśl, jak gdyby wewnętrznymi oczami, przebiegła usłyszaną opowieść o tej drodze pomiędzy „tak” a „nie”, i zaraz przypominałem sobie także prośbę nauczyciela, żeby mówić innym i ostrzegać. Więc stojąc obok kapelana, który stał już wyprostowany i tylko znakiem krzyża zęgnął ciało, myślałem potem o przesłanach zostawianych przez zmarłych żywym. Że mogą być, jak światło, zdolne rozjaśniać ich własną drogą przez mrok. Która, niezależnie od okoliczności, zawsze biegnie krawędzią pomiędzy „tak” a „nie”.

Roman Zimand

WOJNA I SPOKÓJ

26 maja 1940 r., w dobrym – jak dla kogo – mieście Paryżu, powien 26-letni ekonomista zaczął prowadzić dziennik. Zakończył to swoje pisanie 25 sierpnia 1944 r. Później, znalazłszy się na drugiej półkuli, wracał czasami do diariuszowania, ale tak – od przypadku do przypadku. Zapisy z owych czterech lat i trzech miesięcy wojny, wydane w 1957 r. przez Instytut Literacki pod tytułem *Szkice piórkami. Francja 1940-1944*, to jedna z najwybitniejszych pozycji XX-wiecznej polskiej diarystyki, całe zaś fragmenty dziennika to po prostu znakomita praca. Stwierdzenie powyższe stanowi aksjomatyczną podstawę niniejszego referatu, co znaczy tyle, że nie będę go dowodził. Zajmę się czym innym.

Przed tym jednak wypada sprostować błędną informację zawartą w zdaniu pierwszym. Rzecz w tym, że ów ekonomista dziennik zaczął prowadzić wcześniej. Kiedy – nie wiemy. Wiemy tyle, co zapisał 26.XI.1940 r.: „Jeszcze ciągle nie mogę przeboleć tych spalonych zeszytów, czasopiśm polskich. Bohaterowie! P. wiedzieli, że piszę. Po wejściu Niemców do Paryża kazali Basi wszystku spać. (...) Pilnowali, żeby (...) zrobiła to przy nich. Wydarła z tych zeszytów kilkanaście kartek. Zostało w nich w sam raz tyle, ile we mnie z mojej przeszłości. Niczego nie odtworzę i nie chcę nawet odtwarzać.”

Znamy również jeden fragment owych ocalonych kilkunastu kartek. Otu on, wpisany w całość dziennego zapisu: „25.9.42. Znowu jakaś poprawka do ustawy o 'pracy narodowej'. Poptoch. Mam to gdzieś. Bo czytam, Bo Madame Arnoux nie przyszła na spotkanie i Fryderyk zaprowadził do pokoju, przygotowanego dla niej – Rozanetę. Koło pierwszej obudziły ją jakieś datekie turkoty i spostrzegła, że łąka z głową zanurzoną w poduszce.

– Co ci jest, kochanie najdroższe?

Tekst niniejszy dyskutowany był na seminarium „Zanadbania historyków literatury”. Dziękuje uczestnikom; z wielu ich uwag pozwoliłem sobie skorzystać – R.Z.

Esaj „Wojna i spokój”, pochodzący z przygotowywanej do druku książki, publikujemy bez wiedzy i zgody autora – Redakcja

— To z nadmiaru szczęścia, powiedział Fryderyk. Zbyt długo cię pragnąłem.*

To chyba jeden z najbardziej przejmujących końców rozdziałów w całej literaturze świata. Odszukałem strzępki notatek sprzed trzech lat. Pod datą 30.9.1939 mam zapisane:

„Wieczorem: niebo zachmurzyło się, a księżyc jest jak przysłonięta ręką świeca. Nie widać go, ale światło wydobywa się bokami. Wyszedłem na balkon z papierosem. Ciepła noc, cisza. Na dole pod nami puste ulica i tylko jakiś samochód zapuszcza silnik. Warknie przez chwilę i krztusi się. Nade mną czarny zrab komina i całe niebo, naprzeciwko ktoś kaszle chwilami. Charczący samochód i kaszlący na poddaszu człowiek mają coś wspólnego. Samochód odjechał, kaszel ustał i znowu cisza. Zaczyna padać deszcz. Fryderyk został kochankiem Madame Dambreuse’.

Ustawa o pracy narodowej.” (II, 139-140)

Czy na podstawie kilku zdań wolno powiedzieć, że Andrzej Bobkowski, bo tak nazywał się nasz diarysta, przed 26 maja 1940 r. pisał tak samo jak i po? A dlaczego miałby pisać inaczej? Fakt, iż *Szkice piórkiem* zaczynają się w dniu, w którym Niemcy są już w Arras i Amiens, to czysty przypadek; być może on podyktował autorowi pomysł zakończenia diariusza w dniu wkroczenia do Paryża wojsk amerykańskich. Tyle gwoli ścisłości.

A teraz wróćmy do założenia wyjściowego: wybitne dzieło diarystyki. Fragmenty świetnej prozy. I... „arcydzieło nieznane”. W literaturze krajowej, w faktycznym obiegu kulturowym nie to, że „źle obecne”, a po prostu nieobecne. I tym faktem, próbą wyjaśnienia sobie i słuchaczom owej totalnej nieobecności chciałyby się zająć, do tego ograniczyć. Jest to jednak o tyle niemożliwe, że skoro mam udzielić odpowiedzi na pytanie „dlaczego arcydzieło jest nieznane?”, to, biorąc pod uwagę, że jest nieznane, wypada o nim to i owo powiedzieć. A przynajmniej sporządzić repertuar pytań, tematów, problemów związanych z, pojawiających się w...

Więc po pierwsze, co składa się na dziennik Bobkowskiego?

Najbardziej powierzchowna, ale w końcu jakoś tam niezbędna odpowiedź winna brzmieć: dziennik składa się z czterech bardzo nierównych części:

- panika w Paryżu poprzedzająca ewakuację (26.V—12.VI.1940);
- ewakuacja i pobyt na południu Francji w Carcassonne i Gruissan (12.VI—5.IX.1940);
- podróż rowerem w towarzystwie warszawsko-paryskiego robotnika, Tadzia, z Carcassonne do Paryża (6.IX—29.IX.1940);

— pobyt w Paryżu przerywany dwoma dłuższymi i dwoma krótkimi wypadkami na prowincję (30.X.1940—25.VIII.1944).

Dodać to tego trzeba, że zapisy nie są prowadzone codziennie i że najdłuższa przerwa obejmuje okres od 7.II do 1.VI.1944 r.

Powiem od razu, że mówiąc o znakomitej prozie, miałem na myśli przede wszystkim ową podróż rowerem z Carcassonne do Paryża. Choć nie tylko. Równie świetny jest opis rozprawy sądowej w Senlis (II, 11-34, 8.I.42), sprawa Anatola (II, 31-37, 41-47, 17-19.I.42 oraz 26-27.I.42), oba opisy pobytu w Chamballay (wrzesień 1942, lipiec-sierpień 1943). Sam fakt wyróżnienia tych fragmentów — a mógłbym dodać sporo innych — związany jest z nierówną jakością zapisów. Co prowadzi nas bezpośrednio do tematu „jak zrobione są *Szkice piórkiem*”, o czym za chwilę.

Druga z elementarnych spraw, którą wymienić wypada, to pytanie o autentyczność tekstu. Kwestionował ją jedynie Ścibor-Ryński w 1958 r.² Ścibor był wówczas świeżo po wydrukowaniu „odwilżowego” opowiadania pt. *Czarne ściany*, w którym znalazło się wiekopomne zdanie: „Głębiej, głębiej! – krzyczała gryząc poduszkę”. Jego felieton o *Szkicach piórkiem* jest na poziomie tego zdania. M.in. sugeruje on, że publikując dziennik po 13 latach, Bobkowski dodawał antydatowane zapisy mające świadczyć o jego przenikliwości. Aluzyjnie wskazuje przy tym na komentarz Bobkowskiego do komunikatu PAT-a, komunikatu, w którym mowa, iż w skład tak zwanego Komitetu Wyzwolenia Narodowego wchodzić nikomu nieznane osoby.

Bobkowski: „Osoby znane są aż nadto dobrze, ja sam znam osobiście połowę, Wandzia Wasilewska, żyjąca z tym nurarzem z Krakowa, Mańkiem Bogatko, którą jej nie znał? Wszyscy znali, siedzieli całymi dniami w Turze. Bolesław Drobner nieznany? Generał Żymierski też nie? Andrzej Witos i generał Berling mniej znani. A jak doszłusuje do nich cały Z.N.M.S. i koło Pacyfistów z prezesem Józkiem Cyrankiewiczem na czele, to też będą nieznani? Chodzi o to, iż już dziś można przewidzieć, kto ufonuje polskie Vichy. (...) Julek i Frydka wypłyną pewnie niedługo jako 'towarzysze ministrów', Józek na pewno zostanie grubą rybą, bo zawsze miał do tego niemal sanacyjne zacięcie, a Kryśce będzie żal, że przestała z nim chodzić. (...) Nie miałem nosa, fatalny brak wężu. A raczej za czuły: oni wszyscy już przed wojną pachnieli mi zanadto *cuir de Russie*. I dlatego byłem 'mętniak'.” (II,411-12, 25 VII.44).

Otóż rzecz w tym, że w *Szkicach* Bobkowski kilkakrotnie wspomina ZNMS (krakowski i warszawski), a m.in. rzezoną Frydkę (I,70, 25.VIII.40; 1,118, 2.IX.40). W oparciu o te zapisy możemy przypuszczać, że Cyrankiewicz był dla niego Józkiem, a Julkiem, prawdopodobnie, Hochfeld. Ton tych wkraplanych mimochodem wspomnień jest zawsze ten sam: diarysta mówi o dobrych kolegach, z którymi dyskutował, ale też i o tym, że nigdy nie był i nie chciał być uważany przez nich za „swego”. To biorąc pod uwagę nie mamy powodu wątpić w autentyczność zapisu kwestionowanego przez Ścibora.

Przyznać muszę, że spotkałem paru czytelników Bobkowskiego, którzy mają mu „za złe” fakt, iż w *Szkicach* wszystkie przepowiednie sprawdzają się, a nawet suponują, że coś tu jest nie w porządku. Zważywszy, że ludzi, którzy znają *Szkie* jest niewiele, warto się tą obiekcją kilku osób zająć bliżej.

Prognozy w *Szkicach* dzielą się na konkretne, najczęściej militarne, oraz ogólne, dotyczące stanu kultury europejskiej i postępow totalitaryzmu.

Zacznijmy od tych drugich. Generalnie rzecz biorąc, Bobkowski miał rację — miał rację, gdy dostrzegął schorzenia kultury europejskiej, jej nieumiejętność przeciwstawiania się ideologiom totalitarnym. Ale akurat w tym punkcie autor *Szkie*ów nie był oryginalny, choć zapewne należał do mniejszości. Jego zapisy mieszczą się w „katastroficznym” nurcie refleksji kulturowej i politycznej. Wyróżnia go nie przeswiadczenie o „chorobie” Europy i siłę totalitaryzmu, lecz własny, diarystyczny sposób zapisu tej refleksji. A więc uwikłanie jej w kronikę okupacyjnej codzienności, w zapis sniaku wina, w opis pejzażu. Wyróżnia też Bobkowskiego w sposób istotny to, że był katastrofistą antymetafizycznym, ceniącym piękno chwili: smak drobiazgu, radość wysiłku fizycznego. Filozoficzne zaplecze przeświadczenia o tryum-

fie Sowietów, o upaństwowieniu człowieka, sformułowane jest w tomie pierwszym, w którym prognoz *sensu stricto* nie ma. Oto niektóre tezy – ogółcone z diarystycznego „nięsa” brzmią wręcz banalnie: kultury rozpadają się od wewnątrz, nasza zbudowana jest na sfałszowanych wartościach (I,73, 27.VIII.40); „państwocwalstwo” (I,79, 30.VIII.40), skłonność do akceptacji byle czego (I,134, 15.IX.40); ideologie „jedyne i prawdziwe” (I,141, 16.IX.40); heglizm (I,182, 25.IX.40). Do tego dodać należy rosyjsko-napoleońską obsesję diarysty, który ewentualność wojny niemiecko-rosyjskiej oglądanej przez pryzmat 1812 r. rozważa już w listopadzie 1940 r. (I,205).

Kto zatem suponowałby, że ogólnopolityczne profecje Bobkowskiego z lat 1943-44 dopisane zostały znacznie później, powinien konsekwentnie mniemać, że prawie cała książka „dopisana” została w latach pięćdziesiątych. Co jest skądinąd pomysłem błyskotliwym, lecz nie do obrony.

A prognozy militarne? Podejrzliwym chłodzi może np. o zapis dotyczący początków sowieckiej kontrofensywy pod Stalingradem: „Wydaje się, że Rosjanie odgadli moje strategiczne kombinacje i rozpoczęli natarcie z punktów, które od dawna miałem zaznaczone na mapie.” (II,160, 25.XI.42). Z supozycji, że Bobkowski dopisał to zdanie oddając książkę do druku rodzi się pytanie: dlaczego w takim razie pod datą – powiedzmy – 3.X.42 nie „donotował” tych „punktów na mapie”. Bez tego cytowany przed chwilą zapis jako „dowartoścowanie” własnej przenikliwości nie ma sensu.

Tak naprawdę, dla badacza diarystyki jako szczególnego gatunku literackiego, w całej historii przepowiedni trafionych czy nie trafionych w dziesiątkę, ważna, ciekawa, warta obszerniejszej analizy jest zupełnie inna sprawa. Bobkowski nianowicie świadomie bawi się w Rzeckiegu, o czym zawiadania nas we wspomnianym przed chwilą zapisie o wojnie rosyjsko-niemieckiej. Nie jedyna to zresztą wzmianka o Rzeckim. Jest to taka dziwna zabawa, w której diarysta czytał nie tylko *Pamiętnik starego subiekta*, lecz również Froeheniusa, Bierliajewa, Huxley’a. Stąd i literacko-zabawowy charakter niektórych poważnych skądinąd prognoz. Językiem Rzeckiego zapisuje Bobkowski takie uwagi: Amerykanie i Anglicy „pomagają Rosji wygrać wojnę i z tego logiczny wniosek, że po jej zakończeniu będą mieli w sam raz tyle do powiedzenia, ile do powiedzenia ma – pomagier.” (II,80, 24.III.42)

Dodajmy jeszcze, że wszystko to notowane jest w świecie, w którym roi się od plotek, w różn. przepowiedni Bobkowskiego pół żartem ale i pół serio notuje gdzieś, że w Paryżu wszyscy wiedzą wszystko na dwa miesiące naprzód, a konserżki na trzy.

A niezależnie od tego, oddając do druku przetabiał czy nie? Z góry można założyć, że redagował, to znaczy przerabiał. Co najmniej trzy fragmenty noszą ślady takich zmian redakcyjnych.

Jest nianowicie wysoce prawdopodobne, że w rękopisie Bobkowski używał nazwy Kozia Córka, co oddając do druku przerobił na Katyn (II,254, 21.IV.43). Dwie następne poprawki to użycie słowa „helikopter” (II,237, 26.VII.43) oraz określenia „kultura masowa” (II,350, 23.X.43). Ówczesna polszczyzna nie znała ani jednego, ani drugiego. Jawność, oczywistość tych anachronizmów językowych nie powinna, moim zdaniem, podważać naszego zaufania do autentyczności *Szkiców*. Wszak sprytny, dobrze władający piórem oszust, gdyby dorabiał sobie po czasie szczególną przenikliwość, dbałby o to, by nie popełniać tak jaskrawych błędów.

Dopóty tedy nie zostanie przeprowadzone „śledztwo” wśród znajomych i przyjaciół Bobkowskiego, dopóki nie porównamy tekstu drukowanego z rękopisem - o ile się zachował - nie mamy powodu zakładać, że *Szkice* są dziennikiem oszukanym.

Tyle filologii.

Następny temat: biografistyka. Warto mianowicie sporządzić porządną biografię Bobkowskiego i porównać ją z tym, co sam o sobie mówi w *Szkicach* oraz dziurawych gwatemalskich. Nie po to, by go przyłapywać na „oszustwach” - wątpię, by popełniał ich więcej niż to się zazwyczaj uczciwym diarystom zdarza - lecz by zobaczyć, jak „robiony” był dziennik. Jak mało w nim np. wspomnień z Polski, jak szczerą są zapisane. Dodajmy, że wśród tych nielicznych są dwie wspaniałe anegdoty: o kinderbalu u Żeromskiego oraz o ustnej maturze z polskiego. Ze *Szkiców* wyłania się niejasny obraz fascynującej rodziny, nietuzinkowego wychowania, atmosfery tolerancji, wysokiej kultury. Wrażenie to potwierdzają strzępy wspomnień drukowane w 1962 r.⁸

Czy fakt, że w *Szkicach* tak mało mówi się o przeszłości wynika jedynie z gatunkowej różnicy dziennik - wspomnienia? Bynajmniej. Główna przyczyna tkwi gdzie indziej. Dziennikiem Bobkowskiego rządzi T E R A Z - ale nie jest to t e r a z - diarystyczne, lecz filozoficzne. Temat to odrębny i związany z problematyką indywidualizmu oraz wolności. Tu możemy jedynie odnotować potrzebę opracowania go. Dodać jednak trzeba, że mimo całej znaczenia owego filozoficznego teraz, Bobkowski jest diarystą w wielu sprawach bardzo dyskretnym. Jeżeli nie zanotował, że współpracował z francuskim Ruchem Oporu (dostarczanie fałszywych papierów) oraz że uratował kilkunastu Żydów - o tym wszystkim wiemy od Chetuka⁹ dzięki tu na pewno względy bliź. Jedynym być może śladem tej działalności Bobkowskiego w *Szkicach* jest historia koleżanki Basi, tj. żony autora *Szkiców*, Runki i jej przyjaciela, I., Hiszpana, republikanina, antykomunisty. Otoż I., osadzony został w Fresnes, o czym dowiadujemy się z zapisu datowanego 20.VI.1943. Następnego dnia Bobkowski notuje: „Muszę... pomóc R.” (II,267). Po czym I. pojawia się „jak gdyby nigdy nic” w zapisie z 6 lutego 1944 r. Diarysta niczego nam nie wyjaśnia, choć z Fresnes w owych latach nie wypuszczano nam nie wyjątkiem, choć - chyba, że nogami do przodu⁹. Niemniej myślę, że nie chodziło tu jedynie o elementarne zasady konspiracji, lecz o coś więcej. Poetyka *Szkiców* jest programowo, manifestacyjnie cywilna i antyheroiczna. W ramach tej poetyki „łatwiej” jest zanotować wzmiankę o handlu dolarami niż zapisać, że prokuruje się fałszywe papiery dla *Resistance*. Nadto - co jest domniemaniem z tak podejrzanej sfery jak psychologia autora - nie wykluczam, że Bobkowski wstydzilby się napisać o tego typu działalności. Jeśli pomagał Żydom czy utrzymywał kontakty z Ruchem Oporu, to w dzienniku nie wspomina o tym na podobnej zasadzie, na jakiej nie pisał lub prawie nie pisał o erotyce.

A skoro padło słowo „erotyka” zapytajmy, jakiego typu dziennikiem są *Szkice publiczne*? Tymon Terlecki skłonny jest zaliczać je do „dzienników intymnych”¹⁰. Nie lubię słowa intymny kojarzy mi się z Sartrem. Wolę słowo „osobisty”, ale nie będę się upierał. Zapytam raczej, co wyznacza „intymność” danego dziennika? Myślę, że opozycja w stosunku do tego, co w danej kulturze lub subkulturze jest nie intymne.

Pisań, dziś dziennik poruszający „bez ostrości” sprawy seksu może być dobrze lub źle zrobiony, ale żadną miarą nie intymny w proponowanym tu rozumieniu. Dodatkowo rzecz komplikuje sprawa dyskrecji, hynajmniej nie inżsarna z intymnością. Przykład: Lidia Czukowska w swoich *Notatkach o Achmatowej* sugeruje, że spotkanie poetki z Izajaszem Berlinem miało również charakter erotyczny⁷. Berlin w swych wspomnieniach opisuje przegadaną do ranka noc, wielki dialog o... „Bo ja wiem – o wszystkim”. Założony, że domniemanie Czukowskiej jest trafne. Różnica między sugestią zawartą w *Notatkach o Achmatowej* i milczeniem Berlina nie była by związana z intymnością czy nie-intymnością wspomnianych tekstów w przyjętym tu rozumieniu, lecz odnosiłaby się do sfery dyskrecji. W diarystyce to, co nazywam intymnością i tu, co nazywam dyskrecją, to dwie różne i nie wykluczające się cechy tekstu.

Wracamy do Bobkowskiego

Jego dziennik jest intymny. Młody, zdrowy Polak, na dodatek od dzieciństwa oswojony z bronią palną⁸, przez w tamtych latach dziennik objętości ok. 750 stron, wspomina o ewentualności przedostania się do Anglii. Co w tym momencie to naley w takich słowach: „Gdybym miał pewność, że uda mi się przedostać do Anglii.” (I, 210, 16.XII.40). Horrendum! Nawet nie odnosi się do Mickiewicza w Poznaniu, a przecież Mickiewiczem nie był. W kulturze polskiej sprawa byłaby bardziej intymnym

No więc dziennik intymny. A jak zrobiony?

Cokolwiek niechbyśmy w tym przedmiocie do powieci, ma, zacząć trzeba od oczywistej ale istotnej sprawy. *Szkice prozkiem* nie są dziełem zawodowego pisarza. Ich autor jest człowiekiem czytającym i stale czytającym, dla którego literatura i taka stanowi istotną część życia, niemniej nie jest pisarzem. Twierdzenia tego nie zmienia zapis z 11 II 1942 r.: „Jesi kiedyś wydaj ten mój dziennik, to razem go „Wniez i spokoju” (II, 145). Zauważmy, że jest to tytuł o całej albo lepszy niż *Szkice prozkiem*. Nawet drugi pomysł pochodzący z 1945 r., o którym wspomina Chłopek: „*Le Douce France*” też wydaje mi się lepszy, choć już nie tak znakomity⁹.

Kiedy zastawiałem się nad tym, jak przedstawić państwu sprawę roboty pisarskiej w *Szkicach*, wyświadłem sobie rzecz w końcu raczej prostą i oczywistą. Otóż czytelnik domniemany oświecony „Jak zrobiony jest *Pluszc Gogoła*” jest kimś, kto dobrze zna *Pluszc Gogoła*. Ten zatem typ analizy ma sens jedynie wówczas, gdy dany utwór funkcjonuje w kulturze, wówczas dobrze go pamięta, wie o nim masę rzeczy, których krytyk – powie Lidia Eichenbaum – nie musi pisać.

C'est pas le cas. *Szkice prozkiem* nie funkcjonują w kulturze polskiej, są w niej nieobecne, co na autora analizy „Jak zrobiony jest dziennik Bobkowskiego?” nakładło i serwituty, z których bym się w tym tekście nie wyrobił.

Kilku uwag nie mogę sobie nie zrobić prozkiem.

Pierwsza, to przypisywać dla kogoś, kto wiecznie *Szkicom* poświęcił więcej niż kilkanaście stron, więcej niż esej w wszystkim na raz. Otóż jedna z cudownych właściwości tej książki jest fakt, iż została napisana „na luzie”, kontrastowanym jedynie chwila jakby przeciwległym się chwila gradowej. Najważniejszą ów luz wyczuwalny jest w zapiskach czynionych w czasie pobytu na południu Francji i w Jmarch

rowerowej wędrowki do Paryża. (Pierwotnie mój szkic miał się nazywać „Rower jako narzędzie poznania”). Można powiedzieć, że w tej części dziennika Bobkowskiego poczucie luzu ma swe źródło we wspaniałym geście wyptęcia się na Dzieje. Ale byłaby to potrójna nieprawda. Po pierwsze, to co nazywam poczuciem luzu, towarzyszy lekturze innych partii *Szkiców piórkim*, właściwie – pomijając ostatnie zapisy – całości. Po drugie, nawet w czasie wędrowki z Carcassonne do Paryża, Dzieje dopadają autora i to w jak dramatyczny sposób; mam na myśli epizod z francuskimi łodziami podwodnymi w Tutońle. Tym bardziej kontrastowy, że zapisany w dzień po bardzo osobistej pielgrzymce Bobkowskiego do domu, w którym mieszkała Katherine Mansfield (I, 108-114). Po trzecie zaś, dziennik jest literaturą, a w każdym razie zapisem. Poczucia luzu nie uzyskuje się tu wskutek wykonania pewnych gestów, lecz jedynie dlatego, że się te gesty w określony sposób zanotowało. I analiza tego porządku słów wydaje mi się kolejnym zadaniem pierwszorzędnej wagi, którego tu nie wypełnię.

Chciałbym natomiast zwrócić uwagę na coś, o czym już wspominałem: jako literatura *Szkiice* są tekstem nierównym. Opok fragmentów znakomitych mamy partie gorsze, niektóre zdawałoby się wręcz zbędne. Po co na przykład – pyta czytelnik – Bobkowski streszcza jakieś kiepskie farsy, np. *Ma cousine de Varsovie* (II, 270-71, 7.VII.43) lub ażuki znane, jak *Fanny Pagnola* (II, 340-42, 9.X.43)? Mówiąc inaczej, czytelnik zachwycony opisem pobytu w Grulsson, zapisami o p. Zygmunście czy zakończeniem *Szkiców*, powiedzmy od zapisu z 31 lipca 1944 r. radby wyrzucić to, co uważa za balast i otrzymać czyste arcydzieło. Jest to operacja możliwa do wykonania (w ramach gustu danego redaktora), tyle, że jej rezultatem byłaby przeróbka dziennika na coś, co dziennikiem nie jest. Sądzę bowiem, że ów „balast” stanowi niezbywalną część *Szkiców*, a to dlatego, że współtworzy ich autentyzm. Myśl „Dzokej i kościelny to chyba dwa najwstrętniejsze okazy rasy białej” (II, 338, 5.X.43) może się wydawać całkowicie zbędna. Ale nie jest, choć trudno by mi było powiedzieć, dlaczego miałbym się brzydzić akurat dzokejami i kościelnymi i czy miałbym sądzić, że dzokaj-Murzyn oraz kościelny-Hindus to coś zupełnie innego.

Nieco podobnie ma się sprawa z datowaniem. Na ogół uważamy stawianie dat w dzienniku za oczywistą choć raczej obojętną czynność informacyjną. Tak bywa, ale nie zawsze. Data może pełnić funkcję kształtującą odbiór. Proszę sobie przypomnieć cytowany tu zapis, z którego pochodzi zdanie „Fryderyk został kochankiem Madame Dambreuse”. I datę – 30 września 1939 r. Ten sam zapis datowany np. 2 lipca 1947 r. staje się czymś innym. Dotyczyć to może nie tylko okresów czy wydarzeń historycznych, lecz w równym stopniu dat istotnych w życiu diarysty: zapis po śmierci kogoś bliskiego, dwa dni przed popełnieniem samobójstwa itp. I w przypadku „balastu”, i w przypadku datowania reguły sterujące odbiorem prozy diarystycznej i reguły rządzące percepcją prozy fabularnej są różne.

Na pograniczu pechyliki diarystyki i możliwości prozy w ogóle leży cecha pisarstwa Bobkowskiego, którą nazwałbym efektem kontrastu. Po części wynika ona z biegu wydarzeń, nad którym diarysta nie panuje. Ale sam bieg wydarzeń to kontrastowość *in potentia*, możliwość wyboru. Zapis jest już rezultatem decyzji piszącego. Bobkowski efektem kontrastu posługuje się bardzo często i w bardzo różny sposób. Na przykład przejście od lektury Hegla do zachwyconej lektury *Dany kamelowej* (II, 239-242, 3.IV.43). Albo złośliwy opis przyjęcia u państwa P. zakończony

rozważaniami o szaleństwach myśli niemieckiej i rosyjskiej (II, 71-78, 2.III.42). (Uwaga, w *Szkicach piórkem* jako państwo P, zakryptonimowane są dwa różne małżeństwa: Polacy, ci którzy kazali spalić notatki Bobkowskiego oraz para francusko-amerykańska, u której odbywa się wspomniane przyjęcie.)

Oczywiście, najdramatyczniejszym kontrastem *Szkiców* jest zestawienie powstania i wyzwolenia Paryża z Powstaniem Warszawskim. Krzysztof Dybciak nie bezzasadnie uważa tę część *Szkiców* za stronicę mające „mało równych sobie w literaturze polskiej poświęconej II wojnie światowej.”¹¹ Chciałbym jednak zacytować inny przykład:

„W oczach, twarz panny Dory Vogel, nauczycielki niemieckiego, siedzącej ze mną nieraz długo ponad godzinę, dla własnej przyjemności (liczyła tytko za godzinę) i karmiącej mnie tą kulturą z całą nieszczęśliwą, jak to raz powiedział Stoliniski, miłością Żydówki do Niemców. 'Niech pan to jeszcze raz przeczyta'. Na następny raz 50 stroniczek *Nathan der Weise* w różowym wydaniu 'Universal'. Raz kazała mi napisać jej charakterystykę. Zaczajem od zdania: 'Fräulein V. hat grosse Zaleten aber auch grosse Waden'. A właśnie tydki (die Wade - rz) miała cienkie i była małutka. Bardzo ją kochałem. A ona z uporem tuczyła mnie jak gęś, którą zresztą wtedy byłem. 'Będziemy czytać Schnitzlera, ale niech pan mamie nic nie mówi.' 'Pan' miał 16 lat.

Co zostało mi z tego? Nie pamiętam, ale czuję teraz najwyraźniej jeden sens: historię niemieckiej myśli; historię, którą Niemcy powo. zażruli nas wszystkich. To jeszcze pamiętam: Luther pisał, że nie może się modlić nie przeklinając. Kiedy mówił: 'Święć się imię Twoje', musiał dorzucić: 'Przekłęci niech będą papieści i ci wszyscy, którzy Ci bluźnią'. Po gdzieś w tych okolicach puściło oczko. Ileż historii kryje się w Marksie, odziedziczonej polem przez jego wyznawców. Cała teoria nadwartości przyprowadzona została w sosie historii. Pamiętam, jak raz wyszedłem z teatru z Frydką po głupiej i wesołej komedii francuskiej. I nagle, na Szpitalnej, mówi mi: 'A teraz rozpatrzmy to z punktu widzenia walki klas'. Histeria! Święć się imię Twoje, Proletariacie - Przeklęta niech będzie burżuazja itd. Kto rozpętał tę historię? Niemcy, niemiecka myśl pełna oparów, niewyżyta, gotycka, jak katedra w Kolonii, której nie mogę znieść. Niemcy stworzyli ten język, mętny, okropny, w którym nigdy nie wiem, co oznacza słowo Kultur. Czy chodził im o mieszkantę z łazienką, o Goethego, czy może w końcu o 'Marsch, marsch'. Niemcy nauczyli nas posługiwania się przymiotnikami, z którymi trzeba być tak ostrożnym, jak z odbezpieczoną bronią. Oni swoje, my swoje. Oni Volk, Blut, Boden, a my 'socjalizm', 'komunizm' - wszyscy zachłystują się na niemiecki sposób. Świat historyków. (...)

Oddaliśmy się od morza i przecinamy u podstawy coś w rodzaju prostokątnego przylądka, na którego cyplu leży Saint-Tropez. Mijamy sporo drzew figowych rosnących przy szosie. Jemy figi. Są ciepłe z wierzchu i chłodne wewnątrz, słodkie. (...)" (I, 117-119, 2.IX.40).

Chciałbym jeszcze wskazać na trzy cechy pisarstwa Bobkowskiego: umiejętność konstruowania opowieści, sposób budowy pejzażu oraz dowcip.

Sprawa pierwsza przekracza zdecydowanie czasową pojemność tego referatu. Trzeba by było posegregować te opowieści chociażby wedle długości. Boć są tu i krótkie anegdoty jak ta o córce Dolores Ibarruri czy anarchiście, który został mini-

strem (II,249, 14.IV.43 i 381, 20.VI.44). Są *short stories*: opis zdobywania biletu kolejowego i nocy spędzonej w hoteliku przy dworcu Montparnasse (II,273-279, 26.VII.43) czy óswołbicia (II,368, 3.VI.44). Jest wreszcie opowiadanie „całą gębą” – wspomnienia już rozprawa sądowa w Senlis (II,11-25, 8.I.42).

Sprawa druga – humor, dow. i p. komizm w *Szkicach piórkiem*.

Zacząć może trzeba od tego, że Bobkowski był z jednej strony wyczułony na komiczne aspekty rzeczywistości, z drugiej zaś organicznie nie znosił tromtadracji, wielosłowia, mistycyzmu, mesjanizmu i typu religijności, który nazywał sufragani-stwem.

Myślę, że poczucie humoru i dowcip Bobkowskiego sytuują się na takim trójkąt-nym polu, którego boki stanowią: wyczulenie na komiczny aspekt rzeczywistości, swoboda poruszania się po europejskim dziedzictwie kulturowym i niechęć do wzniosłości.

Blżej pierwszego z wymienionych znajdują się takie fragmenty jak historyjka są-siada, któremu kartki żywnościowe wpadły do ubikacji (II,401-2, 16.VII.44) czy wspaniała scena uliczna z wieńcem pogrzebowym (II,408-9, 22.VII.44).

A oto przykład dowcipu usytuowanego w całości w kulturze: „Po pracy wped-łem do pani R. Rozmowa o Sowietach. Jak wszyscy, tak i ona 'wierzy'. Na moje uwagi, 'chłane' i 'niepostępowe', wytoczyła wielki argument: 'A jednak jakich wiel-kich muzyków wydała Rosja. Czajkowski, Głazunow, Rimskij-Korsakow, Rachma-ninow, Skriabin, Prokofiew...' – 'Zawsze bałem się i jestem bardzo ostrożny z na-fodami, które wydały wielu i wielkich muzyków' – odpowiedziałem jej. Ale pew-nie nie zrozumiała.” (II,393, 3.VII.44).

I wreszcie humor usytuowany wzdłuż trzeciego boku trójkąta – niechęć do wielkich słów: „Przypominam sobie, jak ojciec mój, szef sztabu jedenastej dywizji piechoty w czasie wojny bolszewickiej, został otoczony razem z całym sztabem i generałem (nie pamiętam jego nazwiska) w czasie słynnego odwrotu. Opowiadał mi, że siedzieli za jakimś wzgórzem i wtedy generał zaczął odprawę słowami: 'Pa-nowie, musimy teraz umrzeć' itd. Ojciec mój ośmielił się wtedy zauważyć, że 'jak-kolwiek wydadzie się z tej sytuacji proponowane przez pana generała jest najpro-stsze, to warto by przedtem spróbować jakiegoś bardziej skomplikowanego środka ocalenia'. Oczywiście w końcu wydostali się. Wyobrażam sobie, że generał ten wspo-minał do końca swego życia nie to, że się wydostali, lecz pełne patosu przemówie-nie, w którym 'wszyscy byli gotowi umrzeć'. Wcale nie wszyscy. Na przykład mnie byłoby potrzeba bardzo wiele, żebym był całkiem gotów. I chyba każdemu. Ale u nas uchodził za rzecz nieprzyzwoitą mówić o tym po prostu, bez tego jakiegoś zu-pełnie specyficznego zakłamania. W sumie ma się wrażenie, że łatwiej jest umrzeć niż odpisać na list lub oddać pożyczone 'do jutra' pieniądze.”

Wieczorem pożegnalny rum i pożegnalna partia szachów w kawiarni nad kana-tem.” (I,81-2, 30.VIII.40).

Proponowane tu nazwy dla boków owego trójkąta są w oczywisty sposób niedo-bre, jako że ani wyczułe komizmu sytuacji ani niechęć do patosu nie mogą być przeciwstawiane kulturze. Myślę jednak, że w źle dobranych słowach przekazałem dobrą myśl. Bowiem samo istnienie takiego właśnie pola humoru w *Szkicach piór-kiem* wydaje się nie ulegać wątpliwości. Ciekawe, że notujący skrzętnie „knajacki”, a więc w znacznej mierze czysto słowny, dowcip Tadzia sam autor *Szkiców dowci-*

pem słownym posługuje się raz tylko, a i to po francusku (II, 55, 7.II.42). Był tu znacznie bliższy Boya niż Tuwima, Słonimskiego czy Witkacego.

Wreszcie sprawa z „warsztatowych” ostatnia, sprawa pejzażu. Zaczniemy od cytatu:

„W jakimś bistro koło Etoile napiliśmy się gorącego wina. Łuk Tryumfalny czernieł się w promieniach zachodzącego słońca i rzucił długi cień na Pola Elizejskie, usłane różnokolorowymi plamkami przyczepek 'velo-taxi', malowanych we wszystkich odcieniach. Z Etoile zjechaliśmy do Trocadero. Wleża Eiffla wyglądała jak kolorowa firanka rozpięta na błękitno-popielatym niebie. Trocadero brzydnie. Zaniedbane od wybuchu wojny, czernieje. Poziółka na efektownych rzeźbach wyciera się, a brak wody w dolnych basenach zwiększa jeszcze bardziej wrażenie opuszczenia. Całość przypomina luksusową, ale zaniedbaną łazienkę.

Od Trocadero dalej w dół ku Place Alma. Pomnik Mickiewicza. Z Alma nad Sekwaną. Lubię ten kawałek. Na lewo skłana i secesyjna góra Grand-Palais, na prawo Pont Alexandre III. Olbrzymie, złote konie, a tam dalej śliczna perspektywa na Invalides. Wpadamy na Concorde. Wygląda w grudniowym półmroku jak nawa wielkiego kościoła. Ołtarz obelisku, dwie ściany ciemne i olbrzymie Ministerstwa Marynarki, a w głębi kolumny Madeleine, sztywne i chłodne, jak rząd rur w organach. Ci-cho, po kocjemu, prześlizgujemy się wzdłuż murów i ogrodzenia Tuilleries, od których powlewa zapachem suchych liści. Luwr. Potem chwila jazdy w mroku i znów secesyjna góra szkła. To „La Samaritaine”. Ale już dalej, na tle granatowego nieba czernią się ostre zęby Conciergerie. W mroku giną wypukłości Wieje grozą i ciszą. Chatélet i Place de l'Hôtel de Ville. Na Sekwanie, jak wleka trawa, płynie wyspa św. Ludwika. Na lewo kłębowisko uliczek dzielnicy Saint Paul, tworzących czarne otwory w jednostajnym murze odrapanych kamienic. Wejścia do krecich nor, do jednego z podziemi Paryża, gdzie hotele są brudne, mężczyźni nie chodzą, lecz krążą, a młode dziewczyny przypominają nadgniłe owoce.” (II, 166-67, 6.XII.42).

„Wyznawca Goncourtów”, zauważa w swoim wspomnieniu Czapski¹⁸. Ale czy wyznawca zasieplony i czy jedynie Goncourtów? Może również czytelnik Witkiewicza-ojca? Warto by pogrzebać w opłach Paryża – zestawić, porównać. Ucho podpowiada, że jest tu własny ton Bobkowskiego, że jego malarstwo oparta była nie tylko i nie tyle na lekturach pisarzy, co na własnej wiedzy o kolorze, światłocieniu, bryle. Ciekawe, że większość „pejzaży” Bobkowskiego to opisy miejsc wielokrotnie opisywanych: południe Francji, Alpy, Paryż. (Choć nie tylko, bo i opł zapuszczonego stawu w okollach Joué, II, 306-7, 13.VIII.43.) Wyróżnia te opisy coś, co nazwałbym aktywnym udziałem w pejzażu. Jeśli Morze Śródziemne lub Inny zapuszczony staw – to Bobkowski w nich pływa. Jeśli Alpy czy Paryż – to ogładane z siodełka roweru. To znaczy, najpierw zanotowane w ruchu, a potem przemyślane, skonstruowane, tak by Plac Zgody i kościół św. Magdaleny mogły się pojawić na raz, co jest oczywiście możliwe tylko w przypadku, gdy ktoś stoł na rogu ulicy Królewskiej i placu Zgody i kręci się w kółko. A i to nie jestem pewien.

Wróćmy do pytań zadanych na początku, dorzucając jeszcze jedno.

Co składa się na dziennik Bobkowskiego?

Dlaczego ten *chef d'oeuvre* jest *inconnu*?

Jakim układem odniesienia – ograniczając się jedynie do literatury polskiej – należy się posługiwać mówiąc o *Szkicach piorkiem*?

Wydać się, iż tematycznie rozbić można dziennik Bobkowskiego na następujące warstwy, *de facto*, oczywiście, przemieszane, nie rozgraniczone, wzajem się przenikające:

- dziariusz czyli życie codzienne Paryża i prowincji francuskiej w okresie kłęski 1940 r. i w latach okupacji,
- dziennik lektur, a także spektakli, filmów, wystaw;
- prognozy i notatki polityczne oraz militarne;
- refleksje na temat kultury europejskiej z wydzielnymi wyraźnie partiami francuską, niemiecką, polską i rosyjską¹⁸.

Mogłoby się wydawać, że nad tą ostatnią partią Francja dominuje tak wyraźnie, że należałoby owe rozważania o Francji i Francuzach wydzielić jako temat odrębny. Wittlin wręcz nazwał Bobkowskiego „zawiedzionym kochankiem Francji”¹⁴. Francuską dominantę potwierdzałyby i fragmenty tekstu w rodzaju „Francja absolutnie była dogmatem...” (I,66, 17.VIII 40) i wspomniany pomysł tytułu *La Douce France*. Może raczej *France la douce* - jest taka komedia Billy Wildera, *Irma la douce*, której bohaterką jest, uratowana w końcu przez Amerykanów, panienka pełna wdzięku, ale jednak lekkich ebyczajów.

Mówiąc poważnie, trzy argumenty przeważają za tym, by nie wyodrębnić w *Szkicach* - przynajmniej przy tak ogólnym ich oglądzie - wątku francuskiego z rozważań o kulturze europejskiej.

Pierwszy, najniejważniejszy, jest natury biograficznej: do Gwatemali Bobkowski uciekł nie od Francji, lecz od Europy: „Mam dość tej całej kolebki kultury i obozów koncentracyjnych, zwanej Europą, mam dość poszukiwania absolutu...” (II,71, 18.III 42).

Drugi daje się ująć następująco: gdybyśmy nawet, w celach poznawczych, wydzielił temat „Bobkowski o Francji i Francuzach”, i tak okazałoby się, że część tych notatek ma charakter porównawczy. Co nie zmienia faktu, że z radością czyta się - przynajmniej ja - uwagi o stosunku Francuzów do befsztyka, o ich „małym szczęściu” lub o konwersacji: „Podziwiam zawsze ten niesamowity zapas komunałów, które można powiedzieć tonem znawcy, Francuski nadaje się do tego specjalnie”. I cała stroniczka na ten temat. (II,55, 7.II.42).

Najważniejszy jednak jest argument trzeci. Otóż centralnym problemem *Szkiców piórkim* nie jest Francja (czy Polska, czy wojna). Jest nim wolność jednostki i jej antynomie. Twierdzę, że nie można poprawnie zrozumieć tego, co Bobkowski pisze o Francji, o Polsce, o nazizmie i bolszewizmie, o sztuce i przyrodzie, o ideologii, pracy i własności jeśli zapozna się fakt, iż zapleczem wszystkich tych rozważań jest problem wolności jednostki, aż do wolności umierania włącznie. „Chcę mieć prawo zdecydować z głodu jeżeli sobie nie dam rady. I żyć - na litość boską żyć trochę tak jak mnie się podoba, a nie koniecznie tak, jak podoba się jakiejś zas... ideologii.” (II,212, 6.VII.43). A w osiem lat później, w Gwatemali: „Jestem narszczę tak wolny, iż mogę swobodnie umrzeć z głodu. Pozwól mi. I to jest najwspanialsze uczucie.”¹⁵ „I live and let die”

Tymon Tedecki pisze, że w jednym ze swoich listów Bobkowski określił się jako „chuligan wolności” i dodaje, że on nazwałby go „euforystą wolności”¹⁶.

W *Szkicach piórkim* wątek wolności sformułowany *expressis verbis* pojawia

słą w zapisie z 12.VI.1940 r. — przypominam, że dziennik rozpoczyna zapis z 20.V.1940 — „Pierwszy raz w życiu piszę, notuję. I tylko to mnie pochłania. I poza tym nasycić się tą ... włą wolnością, chaosem wśród którego trzeba sobie dać” (1,22).

Od razu zatem, mimowiednie zapewne, diarysta formułuje wolność jako radość i zadanie do rozwiązania, jako cudowną trudność, z którą i w której trzeba sobie radzić. Stąd przedmiotem refleksji Bobkowskiego są nie tylko ustroje totalitarne, lecz w równej mierze problem ucieczki od wolności, na co chora jest Europa i jej kultura.

„Człowiek, który naprawdę chciałby być wolny, który naprawdę kocha to najniezgrabniejsze ze wszystkich stworzeń — wolność, staje się już tak samo rzadki, jak żubr czy jeleni. Wystrzelkuje się go bez żadnych ograniczeń przy pomocy coraz doskonalszej broni lub zamyka w nowoczesnych rezerwach zwanych obozami koncentracyjnymi (...) Nieraz wydaje mi się, że z wolnością zaczęło się naprawdę złe dziać od chwili, gdy zaczęto ją fabrykować na wszystkie strony, gdy byle kto w tysiącach pokątnych gorzelni zaczął pędzić ten wspaniały napój byle jak i byle więcej. I wyszła 'chara' potworny samogon, którym upija się miliony (...) Spytaj (...) spacerując na ulicy człowieka, jak wyobraża sobie wolność. Zacznie od słów: 'Najpierw trzeba zlikwidować i wyłepić, zamknąć i uniczkodliwić...' Każdy program wolnościowy zaczyna się od kryminalu i szubienicy, miejsc odosobnienia i odstrzelwania pewnej klasy ludzkich ssaków i w porządku — logicznie. N'ito: zrozumiale i należycie. A potem będzie wolność. Jaka, de... wolność? Wolność kogo? Niewolników 'wolności', galerników. Tylko w niedzielę wolno będzie się wys... 'po prostu' a nie za partię, za szczęście przyszłych pokoleń już wolnych, za ojczyznę, za mac' i za k... jej mac' wolność.” (11,87-8, 11,1V,42).

Ten fragment pisany jest być może przez „chuligana wolności”, ale są przecież liczne inne — różne — trafnych obserwacji, świadomie i nieświadomie uplątanych w antynomie. Stanowisko Bobkowskiego daje się sformułować jak następuje: wolność może być jedynie wolnością jednostki, zatem wszelka zbiorowość z natury rzeczy jest tej wolności zagrożeniem. Diarysta nigdy nie pisze tego wzrost. Na szczęście — gdyby bowiem tak postąpił, nie miałibyśmy *Szkiców piwkim*. Oto dwa cytaty. Pierwszy pochodzi z roku 1951, jest więc o dziewięć lat „młodszy” od dziennika, i może właśnie dlatego rzuca jasny snop światła na zapisy z lat wojny.

„Możę i muszę liczyć tylko na siebie. Tam, na ulicach Paryża bałem się tego najbardziej. Nie żadnej 'próżni'. Te różne próżnie i 'europejskość do szpiku kości' wielu ludzi (...) jest często brakiem odwagi odcepienia się od jakichś pieniędzy, które tam albo sam jeszcze istnieją albo będą. D A D Z A. (...) Tu czuję, do jakie go stopnia zdążyłem w ciągu wojny i głównie tych lat powojennych — 'zdziścić', stać się człowiekiem liczącym przede wszystkim na swoją pomoc (...) Razem z kilkudziesięcioma milionami dawniej okupowanych i nieokupowanych (...) Europejczyków i ich rządów uwierzyłem już, że udzielanie pomocy nawet nierobom, trutnikom i niedołężdom jest 'publika społeczną', a nieudzielenie jej, skandalem. I ja już zaczęłam myśleć: 'Jak to — co jest, musi się dać'. Kto? Państwo, rząd, I.R.O., Marshall, Francuski Czerwony Krzyż, Aide aux migrants, Kwakry, Armia Zbawienia, Jeant, Arcybiskup Paryża itp. Europa kilkudziesięciu milionów dipłomów, wiedziona przez 'zdziścić' mężów stanu, prenumerujących kulawe budżety, i 'Muszą dać' jako główną rolę ją wpływów, wpatrzona w polity. upłakująca upadek

kultury i równocześnie niezdatna wyprodukować nic, co mogłoby być wehikułem tej kultury i cywilizacji.¹¹⁷

To w Gwatemali. A w Paryżu, w 1944 r.:

„...Jak będziemy mieszkać w bloku i nosić ubrania wzór Nr 1 i jeść według tygodniowego jadłospisu i czytać jakąś 'Polskę Proletariacką', redagowaną przez byłego członka ZNMS, to Basia nie będzie robić konfitur, a ja win owocowych i nalewek. Będziemy chodzić na zebrania, dyskutować Marksa, Lenina i Stalina i wmawiać sobie, że dopiero teraz życie jest piękne i 'dla Polski'. Otóż -- nie widzę powodu, dlaczego Polska i dlaczego wszystko 'dla Polski'. To, że się urodziłem Polakiem, jest takim samym przypadkiem jak to, że należę do pewnej warstwy społecznej, a nie do innej, że jestem biały, a nie czarny. Warstwa społeczna, kolor skóry -- to są przesady i można na nie gwizdać, a ojczyzna to koniecznie coś świętego. Dlaczego? Nacjonalizm stał się też religią. I czym bardziej tępy, czym bardziej ślepy, tym bardziej godny poszanowania.” (II, 415, 30 VII 44).

Powyższy cytat stanowi dobry przykład stale obecnego w *Szkicach piórkiem* „konfliktu metodologicznego”. Jest to sprzeczność, na którą skazany jest każdy skrajny indywidualista piszący o kulturze. Ścisłe, każdy taki indywidualista, który nie jest nihilistą. A Bobkowskiego na pewno nihilistą nie był. Kultura jest sprawą zbiorowości i poza zbiorowością nie istnieje. Tak też jawi się Bobkowskiemu: kultura -- Rosja, kultura -- Polska, kultura -- Niemcy, kultura -- Francja, Gwatemala, bogactwo, bieda... Na szczęście dla dziennika i dla nas, czytelników, Bobkowskiego nie zdaje sobie sprawy z „metodologicznych” źródeł antynonii, w jaką uplątane są *Szkice*. Tej nieświadomości zawdzięczamy wielki pojedynek pisarza z polskością czy żalę zawiądanego Kochanka Francji.

A właśnie wyczulenie na sprawę wolności podsuwa Bobkowskiemu niezwykle trafne prognozy polityczne: 27 lipca 1941 -- „Mówią coś o układzie polsko-sowieckim. Wszystko możliwe. Kobra z królikiem też może zawierać układy, choć w wyniku prowadzą one tylko do jednego: do polknięcia królika przez kobrę. Po dokładnym i preszczotliwym obślinieniu, żeby gładzniej poszło.” (I, 246).

Inna sprawa, że niemalą tołą musiała tu odgrywać zdumiewająca intuicja autora *Szkiców*. Oto jeden przykład, z pozoru odległy od spraw, o których mowa. Pod koniec lat 50-tych pisze Bobkowski sztukę *Czarny pasek*. Jedną z występujących tam postaci to młoda zatruta totalitaryzmem dziewczyna Iza -- która świeżo trafia z Polski do Ameryki Łacińskiej. Do pierwszej kwestii wypowiedzianej przez Izę autor dodaje przypis: „Szereg potulizszych tyrad Izy wzięłem z Adolfa Rudnickiego i K. Brandysa, bo nie doskonałego w tym ideologiczno-ojczyźnianym żargonie nie byłbym w stanie wymyślić”¹¹⁸. Skąd człowiek, który wyjechał z Polski wiosną 1939 r., którego kontakt z językami ideologicznymi, totalitarnymi był w końcu ograniczony, wie, że ideologia daje się wyrazić jedynie w nowo-mowie, i że Rudnicki oraz Brandys -- z lat 30-tych -- prezentują coś, co można by nazwać literacko-salonnym wariantem ideologicznej mągłoty? Lub inaczej: człowiek, który siedząc od 10 lat w Gwatemali i mając kontakt jedynie z pisaną „krajową” polszczyzną, chwytając istotę sprawy, taki człowiek obdarzony być musi zdumiewającą intuicją czy przenikliwością daleko wykraczającą poza przeciętną.

Przechodzę do odpowiedzi na pytanie o układ odniesienia pozwalający usytuować *Szkice piórkiem* w literaturze polskiej ostatnich lat 40-tu. Niezależnie od poko-

leniowej propozycji Dybciaka rad bym odnieść *Szkice piórkiem* do dwuznaczego z pozoru zestawu nazwisk: Jan Nowak, Tadeusz Borowski, Witold Gombrowicz.

Zacznijmy od *Kuriera z Warszawy*. Nie będę tłumaczył, dlaczego powiedzieć można, że polska literatura dokumentu osobistego poświęconego wojnie daje się umieścić na osi, której biegunami są właśnie *Kurier z Warszawy* i *Szkice piórkiem*. Do tego co można by na ten temat powiedzieć, do niepowiedzianego, dorzucę jedynie dwie uwagi. Gdy czytałem *Kuriera z Warszawy* uderzyło mnie, że sądząc ze wspomnień, Nowak nie przeczytał w czasie wojny ani jednej książki. Pnieważ nie mogę w to uwierzyć, skłonny byłbym rzecz ująć raczej tak, iż nic z tego co przeżył jako kurier z Warszawy nigdy nie skojarzyło mu się z żadnym tekstem literackim. Czysto już zabawowym zbiegiem okoliczności jest, że obaj autorzy są z wykształcenia ekonomistami.

Opozycja druga: Borowski. To zestawienie budzić może silne opory, bo niby co ma jedno do drugiego? A ma. Mianowicie i pisarstwo Borowskiego (obozowe) i dialektyka Bobkowskiego dają wyraz bardzo silnie przeżytemu kryzysowi kultury europejskiej. Tyle jedynie, że autorzy z przeżycia tego diametralnie różne wyciągnęli wnioski. Bobkowski - przypominam - pisał, iż ma dość tej kolebki kultury oraz obozów koncentracyjnych i dość poszukiwania absolutu. Borowski - niestety -- z poszukiwaniem absolutu nie zrezygnował.

Wieszcież opozycja Bobkowskiego - Gombrowicza. Tu sam miałbym zastrzeżenia wynikające przede wszystkim stąd, że *Dzienniki* są dziełem zawodowego pisarza. Niemniej sądzę, że temat wolności jednostki i pojedynków z polskością w diarystyce Gombrowicza i Bobkowskiego czeka na autora.

Tak oto doszliśmy do sprawy ostatniej: do nieobecności *Szkiców piórkiem* - i w ogóle pisarstwa Bobkowskiego - we współczesnej kulturze polskiej. Może ktoś za uważać: prawda, mówiło o nim niewiele, ale za to kto. Czapski, Jasenica, Łobodowski, Miłosz, Tynon Terlecki, Wierzyński. I z wymienionych chwalili go wszyscy. Nawet Miłosz, który uznał, że musi się „odegrać” za wyrażoną w liście prywatnym¹⁸ niepocholebną opinię o *Umyśle zniewolonym*, nawet Miłosz chwali *Szkice piórkiem*¹⁹. A jeśli chodzi o kraj, to wiadomo: cenzura.

Sprawa nie jest tak prosta. Na emigracji opublikowano o Bobkowskim głównie wspomnienia, w tym bardzo piękne Czapskiego. O próbie poważnej analizy jego pisarstwa mówić można jedynie w przypadku przywoływanego tu szkicu Terleckiego.

Otóż istnienie pisarza w kulturze nie na tym polega. Istnieje ktoś, czyje teksty są cytowane, przywoływane, wracają - jeśli wolno tak powiedzieć - pod cudzymi kłami. Teksty żyją w innych teksach, w rozmowach, w rzadkich wypadkach w zachowaniach się niewerbalnych. A nie we wspomnieniach z okazji, czy w podręcznikach historii literatury.

W kraju nie wszystko da się zwalić na cenzurę. Żaden tekst Bobkowskiego nie trafił do drugiego obiegu. W okresie 1980-81 zdążył się on jedynie przedostać do książki Dybciaka. Był do tego stopnia nieznan, że wątpliwe, by istniał był „zapis” na jego nazwisko. A zarówno w tomie *Coco de Oro* jak i w samych *Szkicach* są całe strony, które spokojnie można przytaczać, nie budząc niczyjej podejrzliwości. I mimo to bez trudu daje się stwierdzić, że dziesiątki czytanych i otwartych na emigracyjną literaturę ludzi w ogóle nie zna tego nazwiska.

Czapski cytuje list Bobkowskiego, w którym ten pisze, że jeśli chodzi o kraj, jest

on *Totschweigen* — skazany na śmierć przez przemilczenie. Myślę, że sprawa nie daje się sprowadzić do polityki, że skazany na śmierć przez przemilczenie został Bobkowski nie wskutek działań Głównego Urzędu Kontroli Prasy, lecz przez kulturę. Mianowicie tak o wojnie w Polsce „słę” nie pisze. *Szkice piórkem* naruszają tabu zakorzenione tak głęboko, że niemal całkowicie uwewnętrznione.

Przykładem jedyny obszerniejszy tekst krajowy poświęcony wyjątknie Bobkowskiemu — *Kosmopolak z Gwatemali*, Tadeusza J. Żóćcińskiego.

„Bobkowski — czytamy tam — w momencie wybuchu wojny francusko-niemieckiej początkowo uległ ogólnej panice i za wszelką cenę chciał się wydostać nie tylko z Paryża, ale w ogóle z Francji. Stąd jego wleosetkilometrowe wędrówki rowerowe po południowych departamentach Francji. Dopiero kiedy stwierdził, że właściwie ucieczka nie ma sensu i że żona została w okupowanej stolicy Francji — wraca do Paryża.”²¹

Wszystko nie tak. Wojna francusko-niemiecka wybuchła, jak wiadomo, 3 września 1939 r. Bobkowski z Francji wyjeżdżać nie miał zamiaru, a Paryż opuszczał bardzo niechętnie. To, że zostawił tam żonę, wleźniał od pierwszej chwili. Po południowych departamentach wędrował najpierw dlatego, że urządził sobie wielkie wakacje, potem zaś dlatego, że wracał do okupowanej stolicy.

Nie jest też prawdą — jak twierdzi Żóćciński — że do 1949 r. waha się, czy wrócić do Polski czy jechać dalej na Zachód. Po pierwsze, ani mu się śniło wracać do kraju, po drugie, do Gwatemali wyjechał w 1948 r., o czym można dowiedzieć się ze starych roczników „Tygodnika Powszechnego”. Pogląd, iż miał uraz psychiczny, który przeszedł w obsesję i „zaważył na całym stosunku pisarza do patriotyzmu” jest łagodnie mówiąc dyskusyjny.

Ponieważ nie sądzę, by autor piszący w 1963 r. do „Więzi” świadomie rozmyślał się z prawdą, przeto myślę, że Żóćciński wyczytał w *Szkicach* i nie to, co jest tam napisane, lecz to, co wydawało mu się powinno być napisane. Fascynujący pojedynek skrajnego indywidualisty z ojczyzną jest czymś, czego Żóćciński najzwyczajniej w świecie nie rozumie.

Najbardziej zdumiewające jest może to, że esej Żóćcińskiego napisany był nie po to, by Bobkowskiego zdeprecjonować, lecz by go czytelnikowi polskiemu w dobrym świetle przedstawić. Otóż mniemam, iż żaden z rażących błędów tego szkicu nie wynika z obawy przed ingerencją Urzędu Kontroli Prasy, lecz z głęboko uwewnętrznionej cenzury kulturowej. Tej właśnie, która powoduje nieobecność pisarstwa Andrzeja Bobkowskiego w faktycznym obiegu kultury polskiej.

„Nieobecność” Bobkowskiego w czasie sławnych pięćset lat można wyjaśnić tym, że „krótkość czasu stała na zawadzie”. Myślę jednak — a nigdy tego nie dowiodę — że przyczyny były głębsze. Zapaleni egaltaryści z wizerunkiem Matki Boskiej w kłapie nie mogą żywić szczególnej sympatii ani do skrajnego indywidualizmu, ani do trudnej i wsobnej religijności, którą odnajdujemy w opowiadaniu *Spadek* czy w notatkach pisanych pod koniec życia. Z tych samych powodów nie wróżyć Bobkowskiemu uznania w dającej się przewidzieć przyszłości.

Gdybyż przynajmniej istniał klan „wtajemniczonych”, wąskie grono wyznawców. Choćby tak jak istnieje klan „tolklenistów”, czy jak niegdyś istniał klan wielbicieli *Pod wulkanem*. Mimo snobizm, takie nieformalne grupy bywają bardzo dla

kultury pożyteczne. Ale nie, nawet tego nie ma. Co drugi krytyk jest z Gombrowiczem na ty, a o Bobkowskim nie wspomni nikt. *Totschweigen*.

* * *

To wszystko napisałbym czując się dość głupio. Jak gdybym sam się mianował kustoszem wspaniałych zbiorów – Muzeum roweru i woźności im. Andrzeja Bobkowskiego. A na dodatek zachowuję się nie jak kustosz, lecz nieczym kiepski przewodnik, który popędza wycieczkę, omijając jedne sale, w innych zaś wyrzucając z siebie w szybkim tempie stereotypowe uwagi: tu, na lewo ładne, tam, na prawo, ciekawe, proszę Idziemy dalej.

A przecież zatrzymałbym się z przyjemnością przy każdym ekspozycie, wliczając w to nleudane. Tu spora salka o jedzeniu i piciu; tu niewielki ekspozat – opis mężczyzny uwodzącego kobiety; konsjerżki, prostytutki, polski *high life*, zawiść proletariatu, szmuglerzy, Tadzio – kto wie, czy nie najlepsze *exemplum* warszawliaka (a ja tego stereotypu bardzo nie lubię), itd. I żaden galop – powoli, smakując, wybredzając, grymasząc...

A może mimo całej poślęch kogoś przekonałem? Choć jednego czytelnika? „Tylko człowiek nie jest fikcją – wszystko inne jest fikcją”. 30 lipca 1944 r.

kwiecień–maj 1983

Przypisy

* Andrzej Bobkowski, *Szkice piórktem. Francja 1940-1944*. Paryż 1957, t.I, s.206. W dalszym ciągu liczby w nawiasach oznaczają tom, stronicę i datę zapisu w tym wydaniu.

* Zob. Aleksander Scibor-Rylski, *O za długiej książce*, „Nowa Kultura” 1958, nr 14.

* Zob. Andrzej Bobkowski, *Fragmenty wspomnień*, „Wiadomości” 1962, nr 32/33. Ponieważ wszystkie materiały dotyczące Bobkowskiego pochodzące z „Wiadomości”, o których tu mowa, zamieszczone zostały w tym numerze, wobec czego w dalszym ciągu ograniczam się do zapisu bibliograficznego: „Wiadomości”.

* Zob. Andrzej Chciuk, *O Andrzeju Bobkowskim i jego listach*, „Wiadomości”. Przy okazji chciałbym ustosunkować się do jednej uwagi Chciuka. Piszę on mianowicie, że Bobkowski był „raczej nlechętny Żydom”. Nic w tekstach Bobkowskiego nie potwierdza tej opinii, a nlemało jej przeczy, w szczególności przytoczone przed chwilą *Fragmenty wspomnień*. Myślę, że sprawa miała się tak. Chciuk był tzw. filosemitą, Bobkowski zaś miał do Żydów stosunek normalny. Zwążywszy jego temperament i „niewyparzony pysek” mógł nieraz przy Chciuku powiedzieć coś, co dla filosemity brzmiało jak nietakt, jeśli nie bluźnierstwo.

* Być może innym śladem związków Bobkowskiego z Ruchem Oporu jest kilka nlejasnych zdań w zapisie z 23.VIII.1943 r. (II,323). Pomijam je; sprawa wymagałaby zbyt obszernego komentarza i zbyt wielu nie dających się dowieść założeń.

* Tymon Terlecki, *Andrzej Bobkowski*, „Wiadomości”. Dalej cytowane jako: Teriacki.

* Zob. Lidia Czukowska-Ja, *Zapiski ob Achmatowej*, Paris 1978, t.II.

* Zob. Isaiah Berlin, „Meeting with Russian writers in 1945 and 1956”, w tomie *Personal Impressions*, ed. by Henry Hardy, Penguin Books 1982. Ostateczna redakcja tekstu pochodzi z 1980 r., o czym świadczą przypisy i przedmowa autora.

WOJNA I SPOKÓJ

* Zob. Andrzej Bobkowski, „Z notatek modelarza”, w tomie *Coco de Oro*, Paryż 1970, s.223-24

¹⁰ Tytuł *Douce France* nosił jeden z trzech fragmentów dziennika drukowanych w „Iwórczości” w latach 1945-1947.

¹¹ Krzysztof Dybczak, *Personalistyczna krytyka literacka. Z teorii opisu nurtu z lat trzydziestych*, Wrocław 1981, s.138.

¹² Józef Czapski, „Querido Bob”, zamieszczone jako przedmowa do tomu *Coco de Oro*, op. cit. s.13. Prwdr. „Kultura” 1961, nr 9.

¹³ Dybczak, *Personalistyczna krytyka literacka...*, proponuje podział zapisów w *Szkicach* na trzy grupy: „drobne spostrzeżenia i pomyślenia, obrazki reportażowe, mikroeseje”, op. cit. s.134.

¹⁴ Podaję za Czapskim, „Querido Bob”, op. cit. s.11.

¹⁵ Andrzej Bobkowski, „Na tyłach”, w tomie *Coco de Oro*, op. cit. s.77. Prwdr. „Kultura” 1949, nr 17/18.

¹⁶ Zob. Terlecki.

¹⁷ Andrzej Bobkowski, „Na tyłach”, op. cit. s.76-7.

¹⁸ Andrzej Bobkowski, *Czarny piasek*, „Kultura” 1959, nr 11.

¹⁹ Zob. Andrzej Bobkowski, *List do A. Chciuka z 9.V 1956 r.*, „Wiadomości”.

²⁰ Zob. Czesław Miłosz, *Uwagi do uwag Gombrowicza*, „Kultura” 1962, nr 12.

²¹ Tadeusz J. Żólczeński, *Kosmopolak z Gwatemali*, „Więź” 1963, nr 7/8.

Wojciech Karpiński

DROGA DO WOLNOŚCI

Wolność jest wartością aprobowaną powszechnie – i powszechnie dyskutowaną; w imię filozoficznych (a częściej ideologicznych) koncepcji odbiera się pewnym ludziom, bądź nawet całym grupom ekonomicznym czy etnicznym, prawo do wolności społecznej. Czym jest więc wolność jako pewna praktyka życia społecznego, która wytworzyła się w ciągu wieków w kręgu oddziaływania zachodniej kultury; na jakiej drodze osiągnięto to, co jest wartościowe; jak zrodziły się istniejące wynaturzenia? Jeżeli łączy nas przekonanie, że jednostkowa wolność jest warunkiem społecznego rozwoju, jeżeli uważamy, że realizuje się ją przez skomplikowane instytucje, które łatwo zniszczyć, wówczas wiedza o europejskiej tradycji wolnościowej stanie się dla nas ważnym drogowskazem. W oparciu o jakie zasady pracowicie budowano przez stulecia drogę do wolności? Zagubienie jakich zasad skierowało całe społeczeństwo na drogę totalitarnego zniewolenia? To są pytania elementarne, pytania o sens i tradycję mechanizmów prawno-politycznych niezbędnych dla swobodnego rozwoju cywilizacji. Te pytania podjął wybitny ekonomista, Friedrich A. Hayek, dając na nie odpowiedź w dwóch uzupełniających się książkach *Droga do niewolnictwa* (*The Road to Serfdom*, 1944) i *Konstytucja wolności* (*The Constitution of Liberty*, 1960). Nie należy mylić intelektualnego znaczenia tych pozycji: pierwsza należy do publicystyki politycznej, której żywot z natury rzeczy jest mniej trwały; drugą zaliczyć wypada do ważnych dokonań w dziedzinie historii idei.

Hayek w Przedmowie do *The Road to Serfdom* otwarcie przyznawał, że jest to książka polityczna, na której ciąży uwarunkowania gatunku. Książka liberała. Pisana w czasie, gdy klasycznie liberalne ujmowanie zagadnień społecznych należało do rzadkości. Była więc wyzwaniem wobec powszechnie panujących intelektualnych przeświadczeń. Miała – w zamierzeniu autora – stanowić kurację wstrząsową, ostrzeżenie przed złą drogą, którą kroczyła większość brytyjskich intelektualistów okresu wojny. Totalizm hitlerowski jest produktem szerszego i dawniejszego procesu – kolektywizmu; Niemcy tylko wysunęły się na czoło tego wyścigu ku niewolnictwu, w którym biorą coraz bardziej gorliwie (choć nieświadomy) udział także i demokracje zachodnie. Podstawowym zamierzeniem Hayeka nie była

więc analiza politycznych mechanizmów w totalizmie, metod przejmowania władzy i podporządkowania sobie ludności – tezą jego książki jest twierdzenie, że jeżeli demokracja porzuci liberalne zasady, wówczas przemieni się w system totalny nie rezygnując nawet z demokratycznego sztafetu, z demokratycznej frazeologii.

Jest to spór o fundamenty. Nie precyzja opisu świata totalitarnego jest u Hayeka interesująca (późniejsi badacze powiedzieli w tej dziedzinie nieskończenie więcej), lecz refleksja nad sferami granicznymi: jak wchodzi się (czasem niepostrzeżenie) w totalizm – i jakie są możliwości wyjścia. Książka była skierowana do Anglików, miała stanowić ostrzeżenie przed niebezpiecznymi próbami rekonstrukcji powojennego świata, zajmowała się więc przede wszystkim pierwszą kwestią, groźbą rozszerzenia się totalizmu. Starając się wszakże ukazać niezbędne fundamenty, w oparciu o które można będzie dokonać przezwyciężenia kryzysu, Hayek kreśli także zarys odpowiedzi na druple pytanie (o perspektywę wyjścia z totalizmu). Nie daje zresztą konkretnych przepisów; zgodnie ze swym liberalnym wyznaniem wiary ukazuje jedynie formalne ramy, których przyjęcie ma pozwolić na zbliżenie się do odpowiedzi. Dlatego zapewne obu kwestii (wejście w sferę totalizmu i wydostania się z jego orbity) nie należy rozdzielać, a raczej interesować się fundamentami wolności, refleksją nad tymi ideami regulatywnymi życia społecznego, których przyjęcie umożliwiło dotychczasowy rozwój zachodniej cywilizacji – nadal otwiera przed nią szerokie perspektywy. Odrzucenie czy poniechanie tych właśnie idei doprowadziło do kryzysu, a przywieść może do niewolnictwa, do triumfu totalizmu. Postaram się najpierw przedstawić zagrożenia, na które wskazywał Hayek w *Drodze do niewolnictwa*, a następnie naszkicować podstawowe idee, które składają się na głoszoną przez niego *Konstytucję wolności*.

Droga do niewolnictwa

Drogą do niewolnictwa jest – mówiąc brutalnie – totalne planowanie, zlikwidowanie wolnej konkurencji, rozszerzenie kompetencji władz państwowych. Ci, którzy dążą do całkowitego upaństwowienia życia ekonomicznego i politycznego, mogą w głębi ducha pragnąć wolności, prowadzą jednak ku niewoli. Wolność, jakiej oczekują, to wolność „from want and fear”, to pragnienie bezpieczeństwa ekonomicznego, które jeżeli zostanie zapewnione wbrew mechanizmom konkurencji, jeżeli zskładać będzie likwidację rynku – spowoduje przekreślenie wolności obywatelskiej, wolności od przymusu, od arbitralnej władzy innych ludzi. Demokratyczny kolektywizm to – zdaniem Hayeka – wielka utopia naszych czasów, tragiczne złudzenie, zaślepiające i tym skuteczniej kierujące na drogę do niewolnictwa.

Tu od razu konieczne zastrzeżenie – jeżeli chcemy z pożytkiem zastanawiać się nad tą (jak autor sam przyznaje) stroniczą książką polityczną sprzed lat ponad trzydziestu. Tezy *Drogi do niewolnictwa* można ujmować w formie ostrzejszej, wówczas ich przesada czy błędność są często oczywiste. Nikt nie neguje dziś konieczności państwowego interwencjonizmu. Można jednak traktować te twierdzenia wężej, pamiętać o zastrzeżeniach, które sam autor – zbyt rzadko zapewne wprowadzał, pamiętać o wciąż groźących nieporozumiemach słownych, kiedy

mową o „demokracji”, „kolektywizmie”, „planowaniu”. Kolektywizmem, podkreśla Hayek, nazywa się czasem pewien ideał społecznej sprawiedliwości, postulat równości; jest to jednak zarazem określona droga wiodąca do tego ideału, określone metody, które mają go zrealizować: zlikwidowanie prywatnej własności, prywatnych przedsiębiorstw i dogmatyczne wprowadzenie „planowej ekonomii”, w której kierujący się zasadami zysku przedsiębiorca zostaje zastąpiony przez centralny ośrodek ekonomicznych decyzji. Nie przed ideałem ostrzega Hayek, lecz przed tymi metodami.

Podobne nieporozumienia rodzą się przy zagadnieniu planowania. Zastrzeżenia liberałów wobec interwencjonizmu nie są, zdaniem Hayeka, wyrazem dogmatycznego *laissez-faire*'yzmu: dyskusja toczy się nie wokół tego, czy państwo w ogóle ma działać, bo to jest oczywiste, lecz wokół tego, jaki ma być tego działania kierunek i jakie ograniczenia. Czy dyspozytor władzy powinien tworzyć formalne rany, w których wiedza i inicjatywa jednostek mogłaby się w pełni rozwinąć i realizować własne zamierzenia, czy też warunkiem racjonalnego wykorzystania społecznych bogactw jest centralne kierowanie działalnością członków społeczności zgodne z wytyczonym planem? Wolna konkurencja nie wyklucza szeroko zakrojonej opieki społecznej ani innych form państwowej organizacji życia społecznego, jeżeli tylko te formy nie paraliżują zasady konkurencji. Aby istniała wolna konkurencja, a jej skutki były owocne, muszą funkcjonować nie tylko takie zjawiska jak pieniądź, rynki, kanały informacji (których czasem prywatne instytucje nie mogą właściwie i w pełni zorganizować), musi wytworzyć się także system prawny, gwarantujący rozwój i odpowiednie wykorzystanie konkurencji. Studia nad takimi prawnymi instytucjami, zauważa Hayek, omalże nie istnieją (napisana przez niego później *Konstytucja wolności* w pewnej mierze wypełnia tę lukę).

Planowanie nie powinno zastępować wolnej konkurencji, lecz służyć jej, stwarzając dla niej bardziej korzystne warunki. Dogmatycznie ujmowane centralne planowanie oznacza, że poszczególne problemy ekonomiczne rozstrzygane będą nie przez zainteresowane jednostki, lecz przez wspólnotę, a raczej przez jej przedstawicieli – którzy zdobędą w ten sposób władzę nad innymi, a jednocześnie oddaleni zostaną od ekonomicznego konkretnego; wolność ulegnie ograniczeniu, lecz gospodarka nie na tym nie zyska. Nie zyska też na tym jednostkowe poczucie bezpieczeństwa. Jako motto do rozdziału o związku bezpieczeństwa jednostki z wolnością cytuje Hayek Trockiego, który (dopiero w 1937 roku) zauważył: „W kraju, gdzie Państwo jest jedynym pracodawcą, opozycja oznacza powolną śmierć głodową. Stara zasada: kto nie pracuje, ten nie je, została zastąpiona przez nową: kto nie jest posłuszny, ten nie je”.

Mechanizm rynkowy stanowi formalne ramy, dzięki którym uzgodnione zostają indywidualne interesy. Jeżeli ten mechanizm zostanie uwięziony przez centralne planowanie, wówczas indywidualne cele będą uzgadniane na innych zasadach. Hayek wątpi, czy będą to zasady bardziej sprawiedliwe, czy zdołają zmobilizować jednostki do równie wielkiego wysiłku, czy dla długofalowych celów społecznych okażą się korzystniejsze, na pewno jednak będą zabójcze dla wolności w demokracji. „Społeczeństwo handlowe” zostanie zastąpione przez „społeczeństwo wojskowe”. Demokracja parlamentarna okaże się nieskuteczna

jako organizacja indywidualnych interesów zgodnie z centralnym planem: zrodzi się żądanie silnej władzy, która nareszcie wprowadzi ład. Ład twardej ręki, scentralizowanej władzy, ład, w którym wolność jednostkowych decyzji zostanie przekreślona.

Do władzy zaś dojdą najgorsi, jednostki bezwzględne. Czy tak być musi? Może dotychczasowe wzory rządów autorytarnych są tylko złymi przykładami, tylko wypaczeniem skądinąd pięknych zasad przez złych ludzi? Jeżeli dostrzegamy w świecie ewolucję ku centralizacji, ku silnej władzy, to może lepiej dopuścić od razu ludzi stanowczych i uczciwych, aby uniknąć dotychczasowych błędów? Odpowiedź Hayeka jest negatywna. Za lordem Actonem powtarza, że władza często deprawuje, a władza absolutna deprawuje absolutnie. W nieuniknioności centralizacji nie wierzy, jest jednak przekonany o negatywnych skutkach tego procesu. W społeczeństwach scentralizowanych decydować będzie nie większość, lecz grupa najbardziej zwarta, najlepiej zorganizowana, najbezwzględniejsza, grupa, która stworzy najlepiej funkcjonujący aparat przemocy i kontroli, która rzuci hasła najbardziej chwytliwe, najmocniej spajające (a takimi zazwyczaj bywa program negatywny, wynierzony przeciw wspólnemu wrogowi).

Liberałowie przywiązują tak wielkie znaczenie do gwarantowanej przez system wolnej konkurencji wolności wyboru, do gwarantowanej przez liberalną prasę wolności myśli – a może jest to tylko wolność pozorna, odpowiadają przeciwnicy, może (jeżeli kiedykolwiek istniała) dawno już zanikła, może to tylko wolność dla *happy few*, dla garstki wyzyskiwaczy? Czy poglądy mas nie są kształtowane przez wulgarną propagandę, czy nie dzieje się tak zawsze, jeżeli społeczeństwo zostawione jest samo sobie, czy nie lepiej więc otwarcie zaopiekować się nim i kształtować jego poglądy we właściwym kierunku? Zapewne większość rzadko rozumie i działa zupełnie samodzielnie, odpowiada Hayek, zapewne problem wolności myśli jest istotny dla wąskich grup, nie oznacza to jednak, aby komukolwiek wolno było te grupy z góry wyznaczać. Z faktu, że nie wszyscy są całkowicie wolni, nie należy wnioskować, że wolność intelektualna ma nikielne znaczenie. Jej społeczna rola nie polega na tym, że każdy może wszystko pomyśleć bądź powiedzieć, lecz na tym, że każda sprawa może znaleźć swojego rzecznika. Prawo do odmiennych poglądów gwarantuje, że wiedza będzie się posuwała naprzód. W tej dziedzinie widać doskonale ograniczenia dogmatycznego planowania: nie można „planować” twórczych badań naukowych, nie można planować poznawania nieznanego, można tylko wyznaczać kierunki, stwarzać bodźce, organizować formalne ramy. Tu tkwi tragiczny paradoks dogmatu kolektywistycznego: choć czyni z rozumu bożyszcze, w rezultacie niszczy rozum, bo zapoznaje procesy, którymi kieruje się ludzka myśl. Kolektywizm prowadził do tego, że procesy społeczne zostają arbitralnie wyznaczone przez jednostkowe decyzje; indywidualizm uznaje ponadindywidualne trendy, które decydują o rozwoju społecznym.

Planowanie, jeżeli likwiduje mechanizm rynkowy, pozbawia się formalnych zasad, które regulowały życie społeczne. Centralny Ośrodek Kierowniczy bierze na siebie obowiązek rozwiązywania codziennych problemów: ile potrzeba autobusów w mieście, ile świń powinna hodować dana wieś, ile i jakich kandydatów należy przyjąć na wyższe studia itd., itd. Choć celem było (przynajmniej tak głosiły

niektóre kolektywistyczne programy) wyeliminowane niesprawiedliwości i bezdusznego formalizmu. Ktoś jednak zdecydował w każdej z tych kwestii, bądź stworzył się ersatz rynku, bądź kadra gospodarczych (a przez to i politycznych) dyktatorów. Zapobiega temu ograniczenie prerogatyw władzy, najlepszym ograniczeniem jest istnienie formalnych praw, które stanowią obiektywny regulator. Różnica między liberalnymi zasadami formalnymi a substancjalnymi zasadami totalizmu jest podobna do różnicy między narzucaniem ludziom kodeksu drogowego (sposobu zachowywania się na wybranej przez nich trasie) a narzucaniem określonego kierunku, określonej drogi – będzie to właśnie droga do niewolnictwa.

Reguły formalne są w zamierzeniu instrumentalną wskazówką: są przeznaczone dla nieznanych ludzi, którzy wykorzystują je dla własnych celów. Nieokreśloność, formalność tych reguł jest w oczach liberałów największą zaletą, dzięki której mogą one stanowić skuteczną obronę przeciw totalitarnym zakusom. Państwo wyznacza jedynie ramy ekonomicznego działania: konkretne decyzje w tych ramach podejmowane są swobodnie przez zainteresowane jednostki zależnie od zmiennych okoliczności, od okoliczności, których centralny planifikator znać nie może. Jeżeli zaś państwo likwiduje mechanizm rynkowy, wówczas musi planować działanie poszczególnych jednostek – odbiera im w ten sposób nie tylko wolność ekonomiczną, lecz i polityczną. Prawodawca przestaje być bezstronnym twórcą formalnych przepisów, staje się twórcą konkretnego ładu, każda jego decyzja wybija piętno na społecznej rzeczywistości. „Państwo przestaje być mechanizmem mającym na celu pomoc obywatelom w możliwie pełnym rozwinięciu ich osobowości, a staje się instytucją „moralną” – „moralna” nie jest tu przeciwieństwem niemoralnej, lecz określa instytucję, która narzuca swym członkom poglądy we wszystkich moralnych kwestiach (poglądy te inogą być moralne, bądź skrajnie niemoralne). W tym sensie nazistowski czy jakiegokolwiek inne totalitarne państwo jest „moralne”, zaś liberalne nie jest”.

Wyróżnikiem systemu liberalnego jest więc powszechność formalnych praw i nieokreśloność konkretnych rezultatów ich odliczania. Idea Rządów Prawa (*The Rule of Law*) wyznacza granice prawodawstwu: sprowadza je do ogólnych zasad określanych jako prawo formalne; wyklucza prawa skierowane przeciw konkretnym ludziom, zezwala państwu na stosowanie przymusu tylko w z góry określonych przypadkach i w wyznaczony przepisami sposób; zapewnia jednostce sferę prywatności, której nienaruszalność przez władzę i przez inne jednostki jest gwarantowana. Przeciw tak rozumianej idei prawa występowano z dwu pozycji: atakowano czysty formalizm, wskazywano na rodzącą się w blasku praw nierówność – a także doprowadzano formalizm do skrajności, twierdzono, że praworządne jest każde państwo, które postępuje zgodnie z deklarowanymi przez siebie prawami, a działalność legislatorska państwa nie ma żadnych ograniczeń. Zwolennicy pierwszego zarzutu postulowali prawo „substancjalne”, które określałoby wyraźnie, co się komu należy. Dlatego Carl Schmitt przeciwstawiał liberalnemu Rechtsstaat (państwu prawa) gerechte Staat (państwo sprawiedliwe) – tak rozumiane „sprawiedliwe” państwo zakłada jednak dyskryminację obywateli. Postulat, aby ludzie (z natury różni) w wyniku działania praw stawali się równi prowadzi do narzucania przemocą jednego wzoru, jest przeciwieństwem równości wobec prawa (równość

szans): równość rozumiana substancjalnie jest oczywiście sprzeczna z postulatem wolności.

Zgodność działania władzy z literą prawa nie oznacza jeszcze Rządów Prawa. Rządy Prawa głoszą, że działanie władzy jest ograniczone naturalnymi prawami człowieka, których nie wolno przekraczać żadnemu legislatorowi. Pozytywistyczna szkoła prawna głosiła zaś, że państwo praworządne to państwo działające zgodnie z obowiązującymi tam przepisami, choćby były one sprzeczne z tym, co określają liberałowie) „fundamentalnymi swobodami jednostki”. Wszelkie działanie państwowe, byleby tylko znalazło potwierdzenie w legislaturze, jest praworządne. Prawem jest więc to, co jakiś autorytet uzna za prawo. Oznacza to całkowite utożsamienie porządku prawnego z państwem – nawet tyrania staje się państwem prawnym, byle tyran zatroszczył się o sformułowanie odpowiednich formuł. Jest to oczywiście diametralnie przeciwieństwo liberalnego punktu widzenia, gdzie tak rozumiane prawa są tylko rozkazami władzy, zaś prawami mogą się stać tylko wówczas, gdy spełniają poprzednio wspomniane postulaty ogólności i jasności (jednoznaczności) oraz gdy zgodne są z naturalnymi prawami człowieka. To jest podwójna gwarancja, dzięki której Rządy Prawa bronią się przed niebezpieczeństwem zagubienia wolności.

Konstytucja wolności

Czym jednak są prawa naturalne, gdzie je odczytać i jak je sformułować? Kto określa księgę Rządów Prawa, kto decyduje w przypadkach spornych? Powstają tu niekiedy trudności filozoficzne, historyczne, prawne. Kto zamyka się w czystej spekulacji, bądź kto ogranicza się do historycznej narracji, ten łatwo zapląca się w znane aporie liberalnego myślenia. A jednak przypomnienie tych fundamentalnych zasad jest konieczne, jeżeli się szuka wyjścia z kryzysu, jeżeli chce się przezwyciężyć tradycję totalitarną. Wydaje się, że Hayek obrał słuszną drogę przypominając fundamentalne zasady cywilizacji zachodniej w oparciu o przemysłenia jej teoretyków. W *Konstytucji wolności* zastanawia się, po pierwsze, czym jest wolność (jak on ją rozumie i jak rozumieli ją inni) oraz do czego wolność służy – w tej części jego wywody mają przede wszystkim charakter teoretyczno-filozoficzny, po drugie, jakie instytucje wytworzył Zachód dla utrwalenia indywidualnej wolności – są to głównie wywody prawnohistoryczne; po trzecie, zastosowanie przemysłu i dwóch poprzednich części do współczesnych problemów – zwłaszcza w dziedzinie ekonomii i socjologii. Interesować mnie będzie ta problematyka z dwóch pierwszych części, która dotyczy zakresu i roli wolności jednostki w życiu społecznym, tak bronić się przed zagrożeniem wolności, jak ją umacniać, jak odbudowywać – jaka jest droga do wolności?

Wolność, o której mówi Hayek, to wolność „jednostkowa” lub „osobista”, to taka społeczna kondycja człowieka, w której przymus stosowany przez pewne jednostki wobec innych jest maksymalnie ograniczony. Wolność to niezawisłość od arbitralnych poczynań innych członków społeczności. Tak ujmowana wolność odnosi się jedynie do stosunków międzyludzkich i jedynie ludzie mogą ją naruszyć. To są zastrzeżenia i różnice czasem drobne, ale ważne, jeżeli pannać

o konkretnych szkodach spowodowanych przez spekulacje wokół tego pojęcia.

Wolność tak rozumiana różni się od „wolności politycznej”, od uczestniczenia w wyborze rządu, w decyzjach legislacyjnych, w administracyjnej kontroli. Społeczeństwo, w którym istnieją swobody polityczne, to niekoniecznie społeczeństwo ludzi wolnych – przykładem akceptacja nazistowskiego porządku w ramach parlamentarnych mechanizmów. Uczestnictwo w politycznych swobodach nie jest warunkiem wystarczającym bycia wolnym, czy nie jest jednak warunkiem koniecznym możliwość takiego uczestnictwa? Odpowiedź Hayeka w tym punkcie jest mglista – podaje przykłady marginalne (dzieci, uchodźcy, etc.), a jednak jest to problem, który wymagałby dokładniejszego naświetlenia.

„Wolność osobista” różni się także od „wolności narodowej”, są to pojęcia analogiczne, lecz nie identyczne. Postulat wolności narodowej prowadzić może do opowiedzenia się raczej za „swoim” despotą niż za liberalnym rządem większości danego państwa. (Tu również analiza Hayeka nie sęga chyba wystarczająco daleko, a powinna, jeżeli celem książki było przypomnienie zasad, jakie stały u podstaw zachodniej formacji politycznej. Prawo do współdecydowania o losach wspólnoty, prawo do samorealizacji przez uczestnictwo w zorganizowanych formach społecznych – wśród nich autonomiczna państwowość zajmuje poczesne miejsce – jest chyba warunkiem koniecznym bycia obywatelem, człowiekiem wolnym).

Następne odmienne znaczenie wolności to wolność „metafizyczna”, „wewnętrzna”, „podmiotowa”. Jest to pytanie o stopień zależności naszych czynków raczej od naszej woli, rozumu, trwałych przekonań, niż od chwilowego impulsu lub zbiegu okoliczności. Czy potrafimy dokonać inteligentnego wyboru i czy zdołamy utrzymać się przy naszych przekonaniach -- to jednak odmienne zagadnienie niż pytanie o stopień przymusu wywierany na nas przez innych ludzi. Rozróżnienie tych kwestii jest istotne ze względu na nieokreśloność i dyskusyjność terminu „wolna wola” używanego w tym kontekście. Przekonanie, jakoby naukowo uzasadniony determinizm podważał sens naszej odpowiedzialności społecznej, wywołało znaczne spustoszenie w myśli politycznej i przyczyniło się do lekceważenia roli przypisywanej wolności. Filozoficzny determinizm prowadził do determinizmu społecznego: jeżeli jednostkowa wolność jest metafizycznym złudzeniem (co się zakłada), jest również społeczną iluzją (co się realizuje)

Bardziej niebezpieczne jest utożsamianie wolności z możliwością zaspokojenia wszelkich swoich pragnień. Wolność jest tu rozumiana jako władza – często jako władza projektowana w przyszłość, jako władza *in potentia*. To stwarza pole dla poważnych nadużyć: likwiduje się aktualną wolność jednostki obiecując potencjalną „wolność zbiorową”, czyli władzę, jaka przypadnie zbiorowości. Jest to jedna z najbardziej skutecznych technik perswazyjnych totalitaryzmu.

Wolność osobista różni się od osobistych swobód (przywilejów), choć historycznie droga do wolności prowadziła przez zyskiwanie konkretnych swobód. Wolność jest jedna, jest pewnym warunkiem określającym życie jednostki w zbiorowości, warunkiem – jeżeli ktoś chce go tak nazwać – negatywnym (brak przymusu), staje się treścią pozytywną w konkretnych zastosowaniach wolności, w użytku, jaki z niej czynimy. Różnica między wolnością a swobodami, to różnica między

sytuacją, w której wszystko jest dozwolone, co nie jest zakazane przez ogólne prawo, a sytuacją, w której wszystko jest zakazane, co nie jest dozwolone przez specjalne przywileje.

Havek na poparcie swych wywodów przytacza podstawowe różnice, jakie dzieliły w Grecji człowieka wolnego od niewolnika. Wyzwolenicowi zapewniano, po pierwsze, „status prawny otoczonego opieką członka wspólnoty”, po drugie, „ochronę przed bezprawnym zatrzymaniem”, po trzecie, „możliwość podjęcia wszelkiej pracy”, oraz po czwarte, „prawo dowolnego wyboru miejsca pobytu”. Dziś także uważamy te prawa za warunek wolności osobistej (prawo własności przysługiwało w znacznej mierze nawet niewolnikom). A więc wyzwolenie wiązało się nie z bogactwem, nie z wygodami, nie z władzą nad innymi ludźmi bądź nad otaczającą naturą, lecz oznaczało podległość tym samym prawom co współobywatele, ochronę przed arbitralnym uwięzieniem, swobodny wybór pracy i miejsca zamieszkania, posiadanie majątku.

Wolność jednostkowa ma znaczenie nie tylko dla jednostki. Była – i nadal pozostaje – koniecznym warunkiem rozwoju cywilizacji, skutecznego działania człowieka i skutecznego funkcjonowania społeczeństwa. Rozwinięte formy współżycia zwane cywilizacją opierają się na tym, że jednostka korzysta z zasobu wiedzy dużo szerszego niż jej własny. Ze wzrostem wiedzy odsłania się też sfera uświadomionej niewiedzy, zjawisk nie w pełni wytłumaczonych. Ponieważ nie potrafimy przewidzieć wszystkiego, ponieważ przyszłość pozostaje dla nas zagadką, wolność nadal jest warunkiem korzystnych osiągnięć. Wszystkie teorie polityczne zakładają aktualne branie ludzkiej niewiedzy i niedoskonałości. Liberalowie tym różnią się od innych, że do niedoskonałych zaliczają również siebie, również elitę polityczną, również najprężniejszych. Liberalne instytucje społeczne opierają się o założenie ulomności człowieka; jest to również istotny argument na rzecz tolerancji w życiu politycznym, społecznym, naukowym; nigdy nie mamy pewności, która droga jest słuszną, możemy mówić jedynie o prawdopodobieństwie. Jeżeli rozwój cywilizacji zależy od zakresu możliwości, jakie otwiera ona przed ludźmi, jeżeli nie możemy z góry określić, które przypadki okażą się płodne, pozostaje jedynie stawić czoła, że wolność (rozszerzenie zakresu możliwości stojących przed jednostką) jest korzystna a jej ograniczanie szkodliwe.

Spółczesność ludzi wolnych dlatego jest twórcza, że ułatwia liczne zastosowania wiedzy, których nie zdołałyby zaplanować nawet najmądrzejszy władca. Wolność to stworzenie nieznanym jednostkom nieznanymi jeszcze możliwości myślenia i działania. Dlatego wolność przyznawana tylko wówczas, gdy jej zastosowanie uznane zostanie za korzystne, nie jest wolnością w pełni twórczą; jeżeli znalazłbyśmy wyniki oddziaływania wolności, przestałaby ona być potrzebna. Nieporozumieniem jest również uzależnianie przyznania wolności od tego, czy dana osoba (bądź grupa) jest obecnie w stanie z tej wolności korzystać. Wolność, z której zdoła skorzystać tylko jeden człowiek, może dla społeczeństwa okazać się bardziej produktywna od innych. Właśnie najbardziej niespodziewane zastosowania wolności są – jak w przypadku wynalazków – najcenniejsze, najtrudniej bowiem zastąpić je przez odgórne planowanie.

Z wolności korzystają nie tylko wolni, nie tylko moja własna wolność jest dla

mnie ważna. Owoce wolności, jakie spożywamy, są najczęściej rezultatem swobodnego działania innych ludzi, naszych poprzedników, naszego otoczenia. Nie tylko prywatne zamiłowanie powinno skłaniać nas ku wolności, nie tylko osobista niechęć do przymusu – zakres wolności powinien być wyznaczony nie wedle pragnień jakiejś jednostki (choćby moich własnych), lecz ze względu na umożliwienie twórczej pracy nieznanym osobom. A to jest możliwe tylko wówczas, gdy przyznamy wolność wszystkim. Społeczeństwa pozbawione swobody czerpią z dorobku społeczeństw wolnych. W przeszłości pozbawiona wolności większość korzystała z trudu swobodnej mniejszości. Znaczenie wolności nie zależy od ilości osób, które jej pragną, ale pragnienie wolności jest warunkiem bycia wolnym, a rozszerzanie się liczby ludzi wolnych zwiększa twórcze siły danej zbiorowości.

Rola wolności w sferze badań intelektualnych jest najłatwiej uchwytna. Należy jednak pamiętać, że wolność badań, przekonań, wolność dyskutowania jest zwiększeniem innych wolności, które stanowią całość. Ograniczyć ich stosowanie, poddać je pod dyscyplinę jednego umysłu, jednej teorii, to zahamować rozwój ludzkiej myśli. Argumentacja za wolnością nie jest argumentacją przeciw organizacji (organizacja życia społecznego jest przeciwieństwem jedną z najwspanialszych manifestacji umysłu człowieka), jest argumentacją przeciw organizacji uprzywilejowanej, monopolistycznej, używającej przymusu w celu uniemożliwienia innym lepszemu działaniu. Niektóre fundamentalne odkrycia przeszłości zawdzięczamy temu, że nie poddać życia społecznego całkowitej kontroli. Dzisiaj, kiedy możliwość kontroli jest o tyle większa, rozwój cywilizacji związany jest ze świadomym ograniczeniem stosowania tej kontroli, ze stworzeniem barier, które ocalą działania spontanicznych sił.

Wolność i wytworzone dla jej utrwalenia instytucje uformowały się podczas rozwoju cywilizacji. Nie powstały zgodnie z jakimś z góry podjętym planem, dla osiągnięcia od razu widocznych zysków. Kiedy jednak się pojawiły, ludzie zaczęli doceniać ich zalety, analizować ich działanie, ulepszać je. Powstały teorie wolności – można wśród nich wyróżnić dwa prądy, rozwijające się przede wszystkim w dwóch krajach, w Anglii i we Francji. Do dzisiaj widać kontynuację obu nurtów: jeden empiryczny, drugi spekulacyjny. Dzieląca je różnica związana jest z faktem trywialnym, ale o fundamentalnym znaczeniu dla refleksji politycznej: Anglii znana wolne instytucje, Francja nie. Anglicy zajmowali się więc badaniem konkretnych, swobodnie rozwijających się instytucji, działających w konkretnych, złożonych, nigdy do końca nie znanych warunkach, Francuzi budowali *ex nihilo* doskonałe utopie, niezależnie od społecznego konkretnego, które później bezskutecznie starano się wcielić w życie. Podziały na tradycję „angielską” i „francuską” nie należy oczywiście traktować dogmatycznie, deterministycznie, lecz – liberalnie. Do tradycji angielskiej zaliczyć trzeba przede wszystkim takich szkockich filozofów jak Hume, Adam Smith czy Adam Ferguson – a także wielkich liberałów francuskich: Monteskiusza, Tocqueville’a, Constanta (którzy nie kryli podziwu dla angielskich instytucji i uznawali je za własnej ojczyzny za anglosamonów). Do tradycji francuskiej *avant la lettre* należy Hobbes, należy Paine i inni entuzjastami rewolucji. Nurt „francuski”, oparty na spekulacji, mało związany ze znajomością politycznego konkretnego, zyskał jednak szeroki wpływ. Obydwa nurty łączyły się z odmienną-

mł koncepcjami życia społecznego. Nie trzeba chyba dodawać, że dla liberała, jakim jest Hayek, nurt francuski jest nie tylko mniej ciekawy, lecz socjologicznie głęboko błędny i niebezpieczny.

„Anglikańska teoria wolności” (jak nazywano ją jeszcze w XIX wieku) różni się zasadniczo od „gallikańskiej”. Francuzi szukają wolności pytając, kto rządzi, i zdaniem Anglików szukają jej w niewłaściwym miejscu. W nurcie tradycji „anglikańskiej” ważne jest nie tyle, jak się nazywa rząd, ile to, w jakim stopniu poczynań rządzonych są kontrolowane i ograniczane, choćby rządzonymi była większość społeczeństwa. Nie w genialnym akcie jednego legislatora, nie w szlachetnych intencjach jednej grupy ludzi widzieli „anglikanie” źródło dobrych instytucji, nie w wymyślonej od zera umowie społecznej, lecz w doświadczeniu zdobywanym przez lata, w swobodnej konkurencji postulatów, w przetrwaniu form najlepiej dostosowanych. Dla postawy empirycznej, angielskiej, charakterystyczny jest szacunek wobec tradycji, lecz nie ślepa wobec niej uległość. Wolne społeczeństwo to społeczeństwo cenzące i pielęgnujące cieżar tradycji, a zarazem społeczeństwo oparte na nieskrępowanym rozwoju. Paradoks jest jedynie pozorny. Szacunek wobec tradycji wypytywa nie z przekonania, że ludzie dawniejszych epok byli mądrzejsi i wiedzieli więcej (co byłoby uogólnieniem fałszywym), lecz z przekonania, że doświadczenia wielu generacji mogą nas nauczyć rzeczy, których najwybitniejsza nawet jednostka sama nie osiągnie.

Dlatego w wolnościowym nurcie kultury zachodniej tradycja zachowuje znacznie drogową kazu. Powinniśmy stale dążyć do ulepszania instytucji politycznych, jednak skłama wartości, w oparciu o którą dokonujemy tych zabiegów, nie jest tylko naszą własnością i nie może być jedynie naszym wymysłem, aprioryczną konstrukcją. Nawet zgodna większości nie jest wystarczającą legitymacją dla wprowadzenia danej innowacji w życie społeczne. Wymagana jest jeszcze zgodność z fundamentalnymi zasadami, które wytworzyły się bardzo powoli w społecznym działaniu. Za najważniejszą spośród tego rodzaju zasad liberałowie uznają zasadę Indywidualnej wolności. Zasady tej nie wolno naruszać, grozi to bowiem poważnym podważeniem całego systemu. W poszczególnych przypadkach łatwo bowiem wskazać na konkretne korzyści taktyczne płynące z ograniczenia wolności, zaś korzyści płynące z jej szanowania pozostają zawsze nieznanne i dopiero *ex post* można o nich z pewnym prawdopodobieństwem orzekać.

Idea Rządów Prawa

Wolność w stosunkach międzyludzkich gwarantowana jest przez prawo — ogólne, wszystkich obejmujące, wyraźnie sformułowane reguły wyznaczające ramy działania, zostawiające wszakże jednostce swobodę decyzji. W społeczeństwach pierwotnych panowały nakazy szczegółowe, wyznaczające konkretne zachowania, dotyczące pojedynczych osób bądź grup. W społeczeństwach despocytycznych wola jednego (czy jednej grupy) określa każdorazowy status pozostałej ludności. Reguły kierujące społeczeństwami praworządnymi wyznaczają nie określony *s t a t u s*, lecz stwarzają ramy dla formalnego *k o n t r a k t u* między ludźmi, kontraktu gwarantowanego przez powszechne Rządy Prawa. Prawo należy do wielkich ludzkich

formalnych wynalazków (podobnie jak język czy pieniądz), na których opiera się życie społeczne, a ich rola jest tak fundamentalna, że nie bardzo zdajemy sobie z niej sprawę — ponieważ uznajemy te formalne regulatory za oczywiste i z góry założony warunek wszelkiego społecznego działania. Regulatory te nie zostały wynalezione nagle, przez jednego człowieka, lecz zostały ukształtowane w długim procesie. Znajomość historii formowania się Idealu Rządów Prawa pozwoli nam lepiej zrozumieć istotę tego ideału, jego rolę w życiu społecznym. Droga ku Rządowi Prawa to droga ku wolności, to historia precyzowania się liberalnej świadomości prawnej oraz Instytucji politycznych strzegących Indywidualnej wolności w życiu społecznym.

Spółeczną historię Indywidualnej wolności w czasach nowożytnych zaczyna się zazwyczaj w siedemnastowiecznej Anglii, tam bowiem postulat ten został sformułowany w sposób wyraźny. A jednak już w klasycznej tradycji można wyróżnić podobne dążenie. Często mówi się, że kultura starożytna nie znała pojęcia osobistej wolności w nowoczesnym sensie. Hayek stanowczo przeczy tak kategorycznej tezie, dając też przekonywujące cytaty świadczące, że w Atenach Paryklesa, w Rzymie okresu świetności cesarów pojęcia prawne były bliskie zachodniej tradycji liberalnej. Dla Herodota „najpiękniejszym wyrazem politycznego porządku” jest nie tyle demokracja (rządy ludu) co izonomia (równość wobec prawa, rządy prawa). Arystoteles twierdził w *Polityce*, że „bardziej właściwe są rządy prawa niż rządy któregośkolwiek z obywateli”.

Na europejską świadomość prawną większy wpływ wywarli pisarze rzymscy. Cyceeron został uznany za ojca nowoczesnego liberalizmu. U niego znaleźć można pojęcie ogólnych zasad, *leges legum*, które warunkują legislaturę, od niego wyprowadzić można twierdzenie, że słuchamy się praw, aby zachować wolność, on głosił, że sędzia powinien być tylko narzędziem, przez które przemawia prawo. W okresie rozkwitu Rzymu rozumiano, że między prawem a wolnością nie ma konfliktu, że wolność zależy od pewnych atrybutów prawa, od jego ogólności i precyzyjności, od ograniczeń, jakie nakłada ono na samowolę rządzących. Był to również okres całkowitej wolności ekonomicznej (zaznacza nie bez wldocznej satysfakcji Hayek). W okresie późnego cesarstwa państwo poddało życie ekonomiczne ściślejszej kontroli, wola władcy stanęła ponad prawem. Justynian utrwalił ten stan w kodeksie. Odtąd na tysiąc lat uległa zatraceniu idea, że zadaniem prawodawstwa jest ochrona jednostki.

W elżbietańskiej Anglii zainteresowanie autorami klasycznymi umożliwiło inną drogę rozwoju. Postulat równości wszystkich obywateli wobec prawa stał się główną bronią parlamentu przeciw królowi. To wówczas zwrócono się ku średniowiecznym tradycjom Magna Charta, nadano im pełniejszą treść. Występowano przeciw przywilejom, przeciw monopolom ekonomicznym (kiedy Karol I chciał dokonać „upamiętnienia” przemysłu węglowego, zagrożono buntem). To wówczas zarysowano ideał, jakim są Rządy Prawa. Starano się ograniczyć arbitralne działanie rządzących — arbitralność danego posunięcia nie zależała od autorytetu który je sankcjonował (arbitralnie mógł poczynić nie tylko król, lecz i parlament), lecz od zgodności danej decyzji z uprzednio istniejącymi ogólnymi zasadami prawa. Nie wolno karać, jeżeli nie istniało uprzednio odpowiednie prawo; ustawy nie mogą

działać wstecz; swoboda decyzji urzędników powinna być dokładnie wyznaczona przepisami. Najwyższą władzą musi być nie wola króla, lecz litera praw: królem jest prawo — *Rex, Lex*.

Gwarancję utrzymania i rozszerzenia tych zdobyczy widziano w idei konstytucji i rozdziału władz. Wyraził to Locke w *Drugim traktacie*, kiedy twierdził, że wolność zależy od istnienia wyraźnych, ogólnych, powszechnych praw; cokolwiek nie jest jasno zakazane przez te prawa, jest dozwolone; zmienne poglądy i pragnienia władców nie mogą wpływać na zakres obywatelskich swobód. Legislatura i sądownictwo powinny być rozłączone, postulował William Paley, jeżeli bowiem są w rękach tych samych osób czy tego samego ugrupowania, wówczas szczególne prawa tworzone są dla szczególnych przypadków, ginie obiektywizm prawodawcy, ważyć zaczynają prywatne interesy — jeżeli zaś władze te są rozdzielone, wówczas powstają ogólne prawa, które mają zastosowanie do wszystkich.

Kiedy parlament zdobył już w Anglii szerokie prerogatywy, nieraz zapomniał o głoszonej wcześniej przez siebie tezie, że wszelka (także i jego) władza ograniczona jest przez Rządzącego. Przeciwnie wszechwładzy parlamentu zbuntowały się kolonie amerykańskie, gdzie świadomość prawna była szczególnie wysoko rozwinięta. Zrodziła się potrzeba wyraźnego ograniczenia arbitralności władzy, zrodziła się idea konstytucji jako Karty Praw Człowieka. Tak rozumiana konstytucja nie tylko określa sposoby delegowania władzy, lecz również ogólne zasady, którymi kierować się będzie ciało ustawodawcze w swoim działaniu — idea konstytucji zakłada więc nie tylko ideę hierarchii władzy, ale także ideę hierarchii praw: prawa bardziej ogólne warunkują brzmienie praw szczególnych. Konstytucja wykreśla granice ustawodawstwa, podobnie jak kodeks wykreśla granicę sądom; decyzję sądu uznajemy jako zasadną wówczas, gdy jest zgodna z literą prawa, decyzję prawodawców uznajemy jako zasadną wówczas, gdy jest zgodna z konstytucją. W obu wypadkach chodzi o zapobieżenie temu, by chwilowe, jednostkowe interesy nie przeważały nad zasadami ogólnymi.

System konstytucyjny oznacza podporządkowanie celów bezpośrednich celom bardziej dalekosiężnym. Chwilowa większość jest w ten sposób ograniczona w swoich decyzjach przez dawniej podjętą generalną decyzję Innej większości; godzimy się podporządkować rządowi chwilowej większości pod warunkiem, że ona zgodzi się podporządkować owoi bardziej ogólnym zasadom. Konstytucjonalizm łączony jest z przekonaniem, że legislatura musi szanować fundamentalne zasady ludzkiego współżycia wykształcone w procesie cywilizacyjnego rozwoju. Władza prawodawcza jest ograniczona. Nikt nie może dowolnie tworzyć praw (jak zakładał Hobbes i jak twierdzą dziś zwolennicy pozytywizmu prawnego) Konstytucjonalizm oznacza, że wszelka władza będzie sprawowana zgodnie z powszechnie przyjętymi zasadami; powierzenie władzy związane jest z przeświadczeniem, że dana osoba będzie ją prawdopodobnie sprawowała w sposób właściwy, nie zaś że wszystko, co ta osoba uczyni, będzie właściwe. Wolne społeczeństwo może zachować wolność, jeżeli zakres władzy rządzących pozostaje wyraźnie określony. Konstytucja amerykańska wyznaczała teoretyczne granice poczynań władzy, a stworzone dla jej spełnienia instytucje — zwłaszcza sądy apelacyjne — stanowiły konkretne narzędzie kontroli społecznej nad aparatem władzy.

Sukces amerykańskiej konstytucji nie powtórzył się równie łatwo w Europie, gdzie istniała silna machina biurokratyczna. Rewolucja francuska wyburzyła w imię walki o Rządy Prawa, tak też została zrozumiana w Europie – jako obalenie systemu przywilejów (*privileges*), a wprowadzenie powszechnych praw (*leges*). Rewolucja stanowiła jednak – zwłaszcza w okresie jakobińskim – drastyczne podważenie jednostkowych praw. Stało się tak przede wszystkim dlatego, że uznano władzę ludu jako wystarczającą gwarancję wolności; kontrola tej władzy uznana była nie tylko za zbędną, lecz za godzącą w suwerenność woli powszechnej, za wrogą działalność. Choć w wielu dziedzinach widoczny był wpływ rewolucji amerykańskiej, Francuzom nie udało się to, co powiodło się za oceanem – wypracowanie konstytucji, która ograniczałaby poczynania władzy ustawodawczej. Dążenie do *egalite de fait* przekreślało – a często przekreślało – dążenie do równości wobec prawa, *egalite de droit*. Tocqueville wykazał, że rola władzy administracyjnej nie tylko nie została przez Rewolucję uszczuplona, ale stała się dominującą cechą politycznego życia Francji, zagrożeniem indywidualnej wolności. Okres napoleoński jeszcze uwydatnił ten proces. Poszukiwano wszakże środków zaradczych *Conseil d'Etat* powoli przejęła rolę, jaką pełnią trybunały konstytucyjne czy inne organy kontroli władzy ustawodawczej i orzeczeń administracyjnych.

Liberalne instytucje zachodnie realizowały różnymi sposobami wspólną zasadę fundamentalną: ochronę indywidualnej wolności. Instytucje zmieniały się za i przez nie byli kształtowani). Przyswicał tym zamierzeniom wspólny ideał, wprowadzenie Rządów Prawa. Ideał Rządów Prawa narzuca ograniczenia wszelkiej władzy, także władzy prawodawczej; jest to mianowicie doktryna, która powiada, że władza może stosować przymus wobec jednostki tylko wówczas, gdy jednostka ta naruszy jakieś znane prawa. Jest to doktryna mówiąca o tym, czym prawo powinno być, jakie ogólne atrybuty powinny znamięnować szczegółowe prawa. Legalizm jest tu warunkiem koniecznym, ale nie wystarczającym: jeżeli jakaś władza wydałaby prawo zezwalające jej na dowolne działanie, wszelkie poczynania tej władzy można (w ramach owego systemu) uznać za legalne, nie jest to jednak realizacja Rządów Prawa, które zakładają zgodność wszystkich praw z pewnymi zasadami. Ideał Rządów Prawa jest więc doktryną meta-prawną, przeświadczeniem będącym fundamentem ustawodawczej działalności. Jest pierwszym artykułem konstytucji wolności.

Rządy Prawa mogą być skuteczne wówczas, gdy stanowią moralny ideał danej społeczności, gdy związana z nimi tradycja polityczna nadal jest żywa. Choć „wybicie się na wolność” nie zależy jedynie od woli wolności, to brak woli wolności prowadzić może łatwo do zagubienia wolności, do wejścia na drogę ku niewolnictwu. Powrócić z tej drogi nie jest łatwo, instytucje wolnościowe to – jak widzieliśmy – skompromitowany, wypracowany długowieczną pracą mechanizmu politycznej równowagi i formalnych reguł prawnych. Dlatego istotne jest przypominanie konstytucji wolności, ogólnych zasad, na jakich opierał się dotychczasowy rozwój społeczności woliwych jednostek. Dlatego potrzebne jest wychowywanie do wolności, szkoła niezawisłości, samodzielnego spojrzenia. Zwłaszcza w czasach duchowego zglajszaldowania potrzebne jest istnienie ludzi niezawisłych od zorganiz-

wanej hierarchii społecznej, od popularności wypowiedzianych przez nich opinii – istnienie elit niezależnych od mechanizmu władzy lecz rozumiejących jego działanie. Tę funkcję wypełniała niegdyś arystokracja bądź rodziny patrycjuszowskie. Otóż bez garstki ludzi, którzy mogli swobodnie poświęcić życie wybranym przez siebie wartościom (nie zdając rachunków przełożonym czy klientom), bez ludzi jak Monteskiusz, jak ziemianie Wirginii, jak Tocqueville, bez takich ludzi pewne drogi ewolucji społecznej, które okazały się korzystne, pozostałyby zapewne na zawsze zamknięte. Najważniejsze jednak jest nauczanie możliwe szerokokich rzesz poczucia odpowiedzialności za wolność własną i za wolność innych. To jest chyba najskuteczniejsza zapora przed rezygnacją z wolności, przed totalizmem autorytarnym czy demokratycznym.

Liberałowie wszystkich stronnictw, łąćcie się!

W koncepcjach Hayeka, jak już wspominałem, brak mi powiązania wolności jednostkowej z wolnością polityczną. Rozumiem potrzebę rozróżnienia tych pojęć, lecz należało chyba wskazać na współzależności bardziej dokładnie. Rządy Prawa to rządy ogólnych zasad formalnych, ich warunkiem jest uznanie przez daną społeczność indywidualnej wolności jako wartości fundamentalnej. Jeżeli nawet pragnienie wolności jest powszechnym ludzkim uczuciem, to społecznej realizacji tego postulatów można się najlepiej nauczyć biorąc na siebie odpowiedzialność za pewien fragment wspólnego życia. Formowanie się spontanicznych zrzeszeń, mających na celu konkretne, zrozumiałe dla każdego sprawy, jest chyba najlepszą szkołą odpowiedzialności; będzie także najlepszą szkołą wolności, gdy przy rozwiązywaniu tych konkretnych, bliskich im spraw, ludzie kierować się będą nie tylko bieżącym interesem, lecz również fundamentalną zasadą wolności. Jest rzeczą oczywistą, że wychować do wolności można tylko dając ludziom szansę wolnego działania. Kto twierdzi, pisał Macaulay, że społeczeństwu można nadać tylko wówczas swobodę polityczną, gdy ono do wolności doświadczyło, przypomina tego szaleńca, który mawiał, że wejdzie do wody dopiero wówczas, gdy nauczy się pływać.

A jednak ludzie z wolności korzystają rozmaicie. Czasem ograniczają jej zakres nie tylko dla zdobycia przywilejów, lecz również dla realizacji innych ideałów. Dążenie do wolności występuje równolegle z dążeniem do równości i dążeniem do efektywności. Pytanie o związek między liberalizmem, demokracją i centralizmem jest przedmiotem niewyczerpanej dyskusji, wypowiadali się w tej materii najważniejsi myśliciele polityczni. Nikt nie da odpowiedzi ostatecznej, bo jest to pytanie o wizję ładu społecznego, o koncepcję wartości. Jest to wszakże kluczowa problematyka. Połączenie demokracji i centralizmu przy pominięciu postulatów indywidualnej wolności stwarza warunki dla pojawienia się tyranii totalitarnej. Jeżeli połączyć postawę klasycznie liberalną z postawą demokratyczną, wynikiem może być mała efektywność tego systemu, jego nietrwałość i wewnętrzne skłócenie. W społeczeństwie masowym potrzebna jest pewna organizacja demokratycznych instytucji ograniczająca nieraz wolność jednostki. Jakie są dopuszczalne dla rządu granice kompromisu?

Demokracja i liberalizm – zauważył to Ortega y Gasset – są odpowiedzią na odmienne pytania. Demokracja odpowiada na pytanie, kto sprawuje władzę: my wszyscy, społeczeństwo jako całość jest suwerenem. Nie zajmuje się kwestią, jaki jest przedmiot władzy publicznej. Liberalizm zaś odpowiada na pytanie, jakie granice wyznaczone są władzy, ktokolwiek ją sprawuje – władza ta, sprawowana przez lud czy przez autokratę, nie może być absolutna: jednostka ma niezbywalne prawa, niezależne od działania państwa. Jaki jednak zachodzi związek między odpowiedziami na oba pytania, jak te odpowiedzi wpływają na wizję społecznego ładu i jak kształtują polityczną rzeczywistość? W koncepcji Hayeka cały nacisk położony jest na analizę postawy liberalnej, związki między liberalizmem a demokracją są tylko pochodną tego fundamentalnego problemu: zostały częściowo naszkicowane, częściowo można je odtworzyć, wiele jest punktów dyskusyjnych. Ta słabość stanowi jednak o sile wywodów Hayeka: jego książki są przede wszystkim przypomnieniem fundamentalnych liberalnych zasad, w oparciu o które budowano europejską cywilizację. Działanie takie podejście należy do rzadkości – nie tylko dlatego, że wymaga głębi spojrzenia, precyzji analizy, szerokiej wiedzy. Wymaga też wiary w ideały, które przyświecały przy tworzeniu tej cywilizacji.

Czy „jednak określenie partii wolności jako partii liberalnej jest słuszne? Wokół politycznych etykietek splątane jest dziś tyle nieporozumień. Ludzie określający się jako konserwatyści protestują przeciw interwencji państwa w sprawy ekonomiczne, bronią indywidualnej wolności, ludzie określający się jako liberalowie (zwłaszcza w Ameryce) opowiadają się za zwiększeniem sektora państwowego. Ponieważ postawa klasyczna liberalna należy dziś (przede wszystkim w Ameryce) do tradycji politycznych kraju, może więc obrona tradycji jest równoznaczna z obroną wolności, z liberalizmem? Może rozróżnienie między konserwatyzmem i liberalizmem straciło już sens, a zwolennicy obu stronnictw powinni razem stanąć do walki ze wspólnym zagrożeniem przez totalizm? Hayek odpowiada, że choć wiele tendencji współczesnego konserwatyzmu jest mu bliskich, nie zamierza jednak zacierać różnic i przyjąć konserwatywnego ujmowania zjawisk społecznych – a to dlatego, że konserwatyzm nie jest w stanie ofiarować prawdziwej alternatywy dla kierunku, w którym zmierzają kolektywiści. Konserwatyści jedynie opóźniają marsz, a przeciw istotnym problemom jest przede wszystkim nie „jak szybko się idzie”, lecz „dokąd się zmierza”. Można w tym miejscu podjąć polemikę, że wywody Hayeka godzą raczej w reakcjonistów niż w konserwatystów. Będzie to zarzut słuszny, jeżeli za konserwatystów uznać Burke'a, Tocqueville'a, Actona. To wyliczenie właśnie, odpowiedziałby Hayek, jest dowodem wrodzonej konserwatyzmowi nieproduktywności, wtórności w szerszym ujęciu problemów społecznych: jako dzisiejszych patronów- przyjmuje ludzi, którzy uważali się w swojej epoce za liberalów.

Nie ważne są jednak spory o etykietę, istotna jest dyskusja wokół principów: Hayek wskazuje na te elementy tradycji konserwatywnej, które są obce postawie liberalnej, pozostają w sprzeczności z fundamentalną zasadą indywidualnej wolności. Akceptacja tych elementów prowadzi do zagubienia drogi do wolności. Konserwatyści są nieufni wobec nowości, boją się procesów społecznych. Nie tylko

lękają się zbyt szybkich zmian (co bywa nieraz uzasadnione), uciekają się często do interwencji władzy, która ma zahamować tempo ewolucji. Ta niewiara w działanie mechanizmów autoregulacyjnych może doprowadzić do sparaliżowania tych mechanizmów. Wtórny rolą w życiu społecznym jest zdaniem liberałów fundamentalna. Konserwatystów znamionuje wiara w autorytet, w siłę władzę. Byle rządy sprawowali ludzie mądrzy i stateczni, ich działanie nie powinno być ograniczone zbyt krępującymi regulami. Konserwatystów (podobnie jak kolektywistów) bardziej interesuje, kto rządzi, niż jak prerogatywy władzy powinny być kontrolowane.

Konserwatystów łączy ponadto z „kolektywistycznymi radykałami” przekonanie o tym, że mogą nauczać innym własne wartości. Obu tym postawom brak politycznych zasad umożliwiających współpracę ludzi o różnych przekonaniach moralnych na rzecz politycznego ładu, w którym każdy mógłby pozostać wierny własnym przekonaniom. Posiadanie takiej zasady pozwala budować porządek społeczny przy użyciu minimum siły. Taką zasadę posiadają liberałowie; jest nią idea Rządów Prawa. Umożliwia ona tolerowanie - i włączenie do współpracy - ludzi o odmiennych przekonaniach. Dla liberałów moralne lub religijne poglądy obywateli nie mogą stanowić przedmiotu presji. To zasadnicza różnica między liberalizmem a konserwatyzmem i „radykalnym socjalizmem”: nie wolno wywierać presji na przekonania moralne, które nie dotyczą zachowań godzących bezpośrednio w objętą sferę innych jednostek. Ktoś zapyta: jak określić tę „sferę pod ochroną”? To oczywiście przedmiot dyskusji, lecz ogólnie przesłanki wyłożone zostały poprzednio, gdy mowa była o konstytucji wolności i o Rządach Prawa. Ktoś powie: ale dzisiaj wszyscy (no, prawie wszyscy) głoszą tolerancję i poszanowanie wolności. Jest to zapewne wpływ idei liberalnych, pozostaje jednak sprawą otwartą, czy wszyscy to samo przez wolność rozumieją i czy gotowi są stworzyć klimat dla instytucji, które by strzegły jednostkowej wolności.

Konserwatyści uznają się za protektorów elity, kolektywiści głoszą likwidację przywilejów, liberałowie opowiadają się za wolnym rynkiem umysłów. W konsekwencji konserwatyści chronią elitę wczorajszą, kolektywiści zaś uznają za elitę dzisiejszych władców. Liberałowie doceniają rolę elit, uważają jednak, że ani chwalebne sprawowanie władzy, ani odziedziczony autorytet nie stanowią wystarczającej legitymacji. Elita musi wywalczyć swoje stanowisko wedle zasad wspólnych dla wszystkich. Rządy Prawa wyznaczają system, w którym żli ludzie mogą uczynić możliwie mało szkody. Właściwe działanie systemu nie zależy od wyszukania nadzwyczajnych władców. ani od tego, by wszyscy ludzie stali się nagle doskonałi.

Liberałowi różni od konserwatystów stosunek do wiedzy. Konserwatysta obawia się nowych prądów, nowych badań, nowych idei. Ustawia się przez to z góry na pozycjach obronnych, na słabszych pozycjach: oddaje korzyści płynące z wiedzy awywn przeciwnikom. Choć liberał daleki jest od uważania wszelkiej zmiany za postęp, widzi jednak w rozwoju wiedzy jeden z podstawowych celów ludzkich wysiłków i spodziewa się stamtąd rozwiązań tych problemów, które dają się rozwiązać. Liberał cem jednostkowy rozum, dostrzega jednak jego ograniczenia: obcy mu jest zarówno racjonalizm dogmatycznych socjalistów, którzy zamierzają

przebudować świat zgodnie ze spekulacjami jednostkowego rozumu, jak irracjonalizm, w który często uchylają się konserwatyści uciekając przed niewygodną rzeczywistością. Poszukuje racjonalnych odpowiedzi, wie jednak, że nigdy nie znajdzie odpowiedzi na wszystkie pytania, że odpowiedzi, które znalazł, nie muszą być słuszne.

Czy jest to jednak liberalizm, czy należy używać nazwy stronnictwa, które dziś w wielu punktach oddaliło się od tego wzoru i zamiast stwarzać warunki dla wewnętrznego rozwoju usiłuje narzucić społeczeństwu wykonywany schemat? Jeżeli nawet liberałowie wbrew swojej nazwie przestali być stronnictwem wolności, to nazwa ta nadal określa tradycję Rządów Prawa, tradycję wolności. Etykety dzisiejszych partii małe mają znaczenie – zwłaszcza dla myśliciela politycznego patrzącego dalej, poza zlepkę haseł, z których układa się efektowne mozaiki programów politycznych. Istotniejszy jest wybór żywej tradycji. Jeżeli, powiada Hayek, za lordem Actonem uznać Burke'a, Macaulaya'a, Gladstone'a za trzech najwybitniejszych liberałów, jeżeli za Haroldem Laskim uznać Tocqueville'a i lorda Actona za czołowych liberałów dziewiętnastego wieku, wówczas z dumą podpisuję się pod tą nazwą. Jeżeli, dodam od siebie, za wywodami Friedricha Hayeka uznać liberalizm za określenie tradycji jednostkowej wolności rozwijanej pod ochroną i w majestacie Rządów Prawa, to gotów byłbym wzniesić okrzyk „liberałowie wszystkich stronnictw, łączcie się!” i opowiedzieć się za tak ujętą konstytucją wolności.

sylwetki

Adam Ciołkosz

KAZIMIERZ PUŻAK

W chwili, gdy umierał w więzieniu w Rawliczu, Kazimierz Pużak miał za sobą 68 lat życia. Z tego 48 lat spędził w służbie sprawy robotniczej, socjalizmu polskiego i polskiej niepodległości. Rodzice jego byli Ukraińcami, on sam o swym ukraińskim, czy na pół ukraińskim pochodzeniu zawsze pamiętał, nie tylko się go nie wypierał, nawet je podkreślał, ale sam był Polakiem. Nie był robotnikiem, ukończył studia prawnicze we Lwowie, ale odrzucił możliwości jakie mu dawało wykształcenie uniwersyteckie, poświęcił całe życie sprawie wyzwolenia klasy robotniczej z ustroju kapitalistycznego. Urodził się i wychował w zaborze austriackim, mógł być czynny w ruchu socjalistycznym ówczesnej Galicji, ale odrzucił te możliwości, wybrał drogę walki rewolucyjnej z caratem. Nie uznamy jednak tej jego linii życiowej za kaprys i nie powiemy, że przetykana była paradoksami. On sam sobie tę trudną drogę wybierał, świadomie i celowo.

Nie było w jego życiu ani husarskich skrzydeł, ani pawich piór. Było poczucie obowiązku, skondensowane, stężone, wypowiadające się nie słowami, bo to był człowiek w słowa oszczędny, ale postawą, która w najtrudniejszych okresach jego życia sprowadzała się do postawy trwania i wytrwania do końca. Jeśli bowiem wolność w ostatecznej analizie zawsze sprowadza się do możliwości dokonania wyboru spośród ograniczonej liczby ewentualności, jakie życie przynosi, to są momenty, kiedy możliwość dokonania wyboru znika, pozostaje tylko jedna możliwość, gorzka jak piołun — i trzeba ją przyjąć i wziąć na swoje ramiona bez żadnej dla siebie samej nadziei, po to tylko, aby w bliższej czy dalszej przyszłości otworzyć dla pokoleń następnym na nowo źródło wiary. Szukając słów na określenie najistotniejszych cech życia Pużaka, znajduję je w podniesionym do najwyższej potęgę poczuciu odpowiedzialności — za własne czyny, za sprawę, z którą związał życie, za posterunki życia publicznego, które mu powierzone zostały.

Trzy takie posterunki należy wymienić: przewodniczący Centralnego Wydziału Organizacyjnego PPS — od roku 1907, sekretarza generalnego PPS — od roku 1921, przewodniczącą Rady Jedności Narodowej — od roku 1944.

Najpierw o tym pierwszynie posterunku. Pużak był wychowankiem organizacji młodzieży „Promień”. Powinna go ona była zaprowadzić do PPSD Galicji i Śląska, a zaprowadziła go do PPS zaboru rosyjskiego, do której wstąpił w roku 1903. W

okresie sychlikowym rewolucji wszedł do Centralnego Wydziału Organizacyjnego PPS. Szeregi przeredzały się coraz bardziej, tak dalece, że wreszcie Pużak pozostał w Wydziale sam jeden, ale działalność swą dalej prowadził, bo takie to były czasy, że i Centralny Komitet Robotniczy musiał swe decyzje pobierać w składzie jednej osoby. Ujęty przez żandarmerię carską w Łodzi w kwietniu 1911, postawiony przed sądem w Piotrkowie, skazany został Pużak na 8 lat więzienia, a po ich odciernieniu na dożywotnie zesłanie na Sybir. Osadzony został w najstraszliwym więzieniu carskiej Rosji, w Szliselburgu, w pojedynczej celi, w nieustannym półmroku, skuty w kajdany. Pobyt w więzieniu, w takim więzieniu, przez tyle lat, pozostawia niezatarty ślad na człowieku. Człowiek uczy się patrzeć w siebie i widzieć naprzód. Tak też było z Pużakiem.

W marcu 1917 roku rewolucja w Rosji przywróciła mu wolność. Wraz z innymi towarzyszami z PPS przystąpił do organizowania robotników polskich, których wydarzenia wojenne wyгнаły w głąb Rosji. Wydawał tygodnik „Głos Robotnika i Żołnierza”. Członkowie SDKPiL oraz PPS-Lewicy wstąpili do Rosyjskiej Partii Komunistycznej, uznali rewolucję bolszewicką za swoją rewolucję. Pużak i inni pespocwy postanowili powrócić do Polski, do własnej, polskiej, rodzącej się już rewolucji. IV zjazd PPS w Moskwie w sierpniu 1918 roku rzucił hasło: do kraju. W październiku 1918 Pużak był w Warszawie, wkrótce potem wybrany został członkiem Centralnego Komitetu Wykonawczego. Czterokrotnie wybierany był posłem na Sejm z okręgu częstochowskiego. W roku 1921 objął stanowisko sekretarza CKW PPS, po Sochackim, który zdradził i przeszedł do komunistów. Pełnił te obowiązki jawnie czy potajemnie przez 25 lat.

Wszystkie nici życia organizacyjnego PPS zbiegały się w rękę tego człowieka, wszystkie zwycięstwa i wszystkie klęski, wszystkie nadzieje i wszystkie zawody proletariatu polskiego przechodziły przez ten pokój przy ulicy Wareckiej 7, w którym urzędował sekretarz generalny partii. Z najtrudniejszych momentów tego okresu wymienię cztery: zamordowanie prezydenta Narutowicza, przewrót majowy, Brześć i wybory brzeskie, wybuch wojny w 1939 roku. Wymienię też dwie szczególne troski Pużaka w tym okresie: jedna, to troska o los więźniów, zwłaszcza więźniów politycznych; był sprawozdawcą komisji sejmowej dla zbadania stanu więziennictwa w roku 1921, był referentem wielkiej ustawy amnestyjnej w roku 1928.

Druga jego troska, to troska o ubojowienie klasy robotniczej, o zabezpieczenie jej organizacji przed terrorem faszystowskim i komunistycznym oraz o zabezpieczenie kraju przed obcym najazdem. Był więc przewodniczącym Związku Robotniczych Stowarzyszeń Sportowych. Był inicjatorem Akcji Socjalistycznej (AS), która zastąpiła dawne dorywcze milicje PPS. Z jego też inicjatywy organizacje młodzieży socjalistycznej, z czerwonymi sztandarami na czele, wzięły udział w wojskowych defiladach święta niepodległości w 20-lecie jej odzyskania. Jeszcze na ławie szkolnej Pużak wpatrzony był w postać Mierosławskiego, teraz zaś — kiedy od strony Niemiec hitlerowskich coraz wyraźniej i coraz straszliwiej rysowało się zagrożenie Polski, najpewniejszą gwarancję siły i obronności kraju widział w masach ludowych, świadomych, że stawką w tym zmaganiu jest prawo do przysłej wolności i do rządów ludu we własnym niepodległym państwie. Z jego inicjatywy powstała

pod okupacją niemiecką Gwardia Ludowa PPS, przeobrażona później w Organizację Wojskową PPS, z organem prasowym „Do Czynu”. Jej komendantem był Pużak. Weszła ona na prawach autonomicznych w skład Armii Krajowej, biorąc udział we wszystkich jej bojach, a przede wszystkim w powstaniu warszawskim.

Dwie myśli należy zapisać w okresie okupacji na rachunek Pużaka.

Przed wszystkim myśl o powstaniu narodowym, które w końcowym stadium wojny zada ostateczny cios niemieckim armiom okupacyjnym. Ta myśl, ukształtowana na samym początku okupacji, była koniecznością psychologiczną w kraju, który w tak krótkim czasie uległ lawinie niemieckiego żelaza i stali i jeszcze nie wiedział, że inni ulegną jeszcze szybciej i który potem był zagrożony całkowitą zagładą. Powstanie narodowe miało zarazem przywrócić Polsce pełne znaczenie wśród sprzymierzonych narodów i dać jej należny głos w powojennym urządzeniu Europy.

Druga myśl Pużaka, to szeroka koalicja narodowa, dla dania oparcia żołnierzowi podziemia i dla wydobycia z najszerzych mas narodu wartości demokratycznych, niezbędnych w powojennym urządzeniu Polski. Ani jednak to wojsko podziemne nie miało być odcięte od życia narodu i od jego tęsknot przyszłościowych, ani też koalicja stronnictw nie miała być mechanicznym zlepkiem, lecz koalicją programową, o wyraźnych wytycznych demokracji politycznej, gospodarczej, społecznej i kulturalnej. Miała ona — wedle słów pamiętnej deklaracji z dnia 15 sierpnia 1943 roku — przetrwać co najmniej do czasu ogłoszenia wyborów sejmowych. Nie przekreślając różnic i nie likwidując odrębności poszczególnych stronnictw, ukazywała im cele nadrzędne i łączyła siły w okresie — chyba najtrudniejszym w całym tysiącletnim przebiegu polskiej historii. Stąd było rzeczą naturalną, że Pużak jedynomyślnie wybrany został przewodniczącym podziemnej Rady Jedności Narodowej.

Dodajmy jeszcze trzecią myśl Pużaka: że kierownictwo narodowe znajduje się w kraju, na emigracji są jedynie rzecznicy interesów i ideałów narodowych, faktycznie podlegli czynnikom krajowym, bez względu na to, jak mogłyby opiewać tytuły formalne.

Tutaj pora, by wspomnieć o tym uporeczywym trzymaniu się ziemi własnej przez Pużaka. Z przymusowego pobytu w Rosji śpieszno mu było do kraju w 1918 roku. Nie chciał opuścić kraju w roku 1939, ba, nie chciał nawet wyjść z Warszawy. Wiosną 1944 roku otrzymał od prezydenta Raczkiewicza list osobisty, proponujący mu przyjazd do Londynu i objęcie stanowiska następcy Prezydenta Rzeczypospolitej. Odmówił. A potem nie chciał opuścić Polski po zwolnieniu z więzienia w Mokotowie w listopadzie 1945 roku. Kiedy dziś nas pouczają nieproszeni nauczyciele, że Polska leży nad Wisłą a nie nad Tamizą, myślimy o Pużaku, który nie chciał odejść znad Wisły. I myślimy o tym, że Polska jest najoczywiej nad Wisłą, tylko że dla jednych są tam pałace — stare i nowe — a dla drugich więzien: na krata.

Dwa razy znalazł się Pużak w komunistycznych więzieniach i dwa razy był sądzony przez komunistów, po raz pierwszy, w sprawie szesnastu, 18—21 czerwca 1945 roku w Moskwie, po raz drugi w procesie WRN w Warszawie, 5—19 listopada 1948 roku. W obu wypadkach był uosobieniem godności osobistej i narodowej, w obu wypadkach on oskarżony górował nad trybunałem sądowym. Przeczytajmy

w oficjalnym sowieckim protokole rozprawy dialog, jaki się toczył między Pużakiem a prokuratorem Rudenką, który chciał wywnioskować z oskarżonego przyznanie, iż Rada Jedności Narodowej wiedziała o ukryciu przez AK zapasów broni i amunicji. Pużak przyznał tylko, tylko, że dowiedział się o ukryciu broni na rozkaz Izby de londyńskiego od spotkanego przypadkiem znajomego. Rudenko mówił nie chce pan wymienić tę prywatną osobę, od której pan to słyszał? Pużak zapytuje: a jeśli wymienię, to co z tego wynika? i nie powiedział. W procesie WRN na wszystkie zapytania odpowiadał: „Odmawiam zeznań, wasz sąd nie może mnie zabić”. W ostatnim słowie powiedział: „W chwili, gdy stoję nad grobem, byłoby nie do uwierzenia, gdybym zmienił poglądy”. Nic dziwnego, że przy ocenie rzekomej winy Pużaka sąd nie dopatrywał się żadnych okoliczności łagodzących. Wymerzył mu karę 10 lat więzienia umniejszoną po zastosowaniu amnestii do lat 5. Przedtem jeszcze akt oskarżenia zarzucił Pużakowi, że w jego osobie znajduje wyraz ciągłość polityczna, organizacyjna i personalna WRN z przedwojenną PPS, ciągłość tradycji PPS. Nie mogli mu komunistyczne oskarżyciele wystawić bardziej chwalebno go świadectwa.

Był w Londynie człowiek, który przebywał z Pużakiem w więzieniu w Rawczu i na którego łąkach skonał Pużak, wedle tej teorii opowiadał w celach więziennej o całym swym życiu, o swych rodzicach w Tarnopolu, o początkach działalności PPS, o przeżyciach w więzieniu w Sztetynie i w Sztetynie, o swych poszukiwaniach śladów po Walerianie Łukasimskim w szlisselburskiej twierdzy, o swej rozmowie z Leninem po rewolucji bolszewickiej, o powrocie do Polski w roku 1918. Miał wielki talent narratorski. Bardzo lubił młodych i wiele z nimi w celach rozmawiał. Lubiał śpiewy, prosił zwłaszcza o pieśni Armii Krajowej. Miał w sobie dużą wyrozumiałość, pogodę ducha i opanowanie. Odezwany od bieżącego życia politycznego, pozostał jednak wierny swym przekonaniom socjalistycznym. Jako człowiek był zjawiskiem nadzwyczajnym. Był pod każdym względem wielkim człowiekiem. To wiązało z nim innych ludzi. Zmarł w dniu 30 kwietnia 1980 roku. Do obrotu czuł się doskonale. Nasz przyjaciel czytał mu na głos „Jana Krzysztofa” Rouana Rollanda, rozdział pod tytułem „Krzak eotajacy”. W pewnej chwili Pużak zaczął wołać: „Ogień, ogień”. Na uspokajającą uwagę, że ogień nie może nie walać, niecierpliwie powtórzył: „Ogień” i dodał: „Człowiek umiera”. O godzinie 4 tej po południu skonał. Sekcja stwierdziła pęknięcie aorty. Rodzina pozwoliła przysłać trumnę. Trumna nadeszła po dwóch dniach, po złożeniu w niej zwłok załutowano ją. Pogrzeb odbył się 5 maja w Warszawie. Nie pozwolono rozkładać na miejscu klepsydry, nie pozwolono umieścić ogłoszeń o pogrzebie w gazetach. Grob nie jest jednak zapomniany.

Wszelkie porównania historyczne są zawołane i niebezpieczne, więc z tym zastrzeżeniem chcę zamknąć swe uwagi następującym porównaniem. Pużak na ławie szkolnej wparczył w postać Mierosławskiego, bohatera „wiosny ludów” i powstania styczniowego. Ale życie nie pozwoliło mu pójść śladami Mierosławskiego. Swoją wytrwałością i niepokornym dla sprawy polskiej przywiązaniem raczej Traugutta. W roku 1937 prowadził Pużak pięćdziesiątą młodzież robotniczą z całego kraju na stoki Cytańskich, tam gdzie na szczytach zawisł Traugutt i rząd niemieckich, kumkci i proletariaty cy i robotnicy PPS, Okrzeja, Biron, Montwiłł, Młotki. A po-

tem przyszły takie czasy, że zbladły wobec nich wspomnienia carskiego terroru Pużak wytrwał na swoim posterunku do końca, do samego ostatka. Dzisiaj w myślach i uczuciach Polaków jest sam jednym z tego wielkiego szeregu bohaterów.

TADEUSZ WOJCIECHOWSKI / Dwa lata i jedna zima w Bukareszcie

Dwa i pół roku – od lipca 1979 do grudnia 1981 – spędziłem w Bukareszcie, pracując tam jako korespondent Polskiego Radia i TV. Po wybuchu wojny polsko-jaruzelskiej, nie mogąc się zgodzić na kolaborację z obecnymi władzami, wybrałem wraz z rodziną emigrację.

Niemniej cały historyczny okres, między początkiem lata 1980 i początkiem zimy 1981, spędziłem w Rumunii, obserwując z bukareszteńskiej perspektywy narodziły się Solidarności, pierwsze strajki, podpisanie umów społecznych i ich zerwanie przez władze w grudniu 1981 r.

Rumunia, a właściwie rumuński jedynowładca Nicolae Ceausescu, miał od samego początku własne spożycie na sprawy polskie. Własne, nie znaczy wcale – przyjazne, wobec tego co działo się w naszym kraju, wobec walki polskich robotników o wolność i godność. Rumunie jest krajem o ortodoksyjnej doktrynie komunistycznej, o poziomie „swobód” zbliżonym do sowieckiego modelu i poziomie życia obywateli najniższym chyba (jeśli nie brać pod uwagę obecnej sytuacji w Polsce) wśród wszystkich „demokracji ludowych”. Jeśli dodać do tego, że kult jednostki osiągnął tam takie rozmiary, że przy nim polska propaganda sukcesu, to niemal „gorzki żal” – jasnym się stanie, że w Bukareszcie bacznie obserwowano wszystko co działo się w kraju nad Wisłą i Odrą. Jedni obserwowali to jak nadzieję, inni jak ... zarazę! Podobno Nicolae Ceausescu zaczynał dzień od wystuchania najnowszego meldunku swego ambasadora w Warszawie. Uważni obserwatorzy transmisji telewizyjnej w dniu 23 sierpnia (rumuńskie święto państwowe) dostrzegli, że nawet w czasie odbierania dorocznego hołdu na trybunie honorowej Ceausescu otrzymywał co godzina krótki ustny meldunek. Podobno również o sytuacji w Polsce!

W początkowym okresie, gdzieś do połowy sierpnia 1980, rumuńskie środki przekazu w ogóle się Polskę nie zajmowały, sprawa polska dla prasy, radia i TV nie istniała. Dopiero pod koniec sierpnia, kiedy Polskie Radio na dobre już oswoiło się ze słowem strajk, bukareszteńska „Scinteia” napomknęła po raz pierwszy o „nieplanowanych przerwach w pracy”, które miały miejsce w kilku fabrykach w Polsce. Szerzej natomiast pisano o zaniedbaniach gospodarczych, o nadużywaniu władzy, o „nietrafionych” inwestycjach. O tych ostatnich nie za dużo, bo takich „ślepych strzałów inwestycyjnych” jest i w Rumunii bez liku. Informowano też o wszystkich decyzjach, także personalnych, podejmowanych przez partię w Polsce.

Każda publikacja kwitowana była w rumuńskiej prasie odpowiednim cytatem Ceausescu, który nieodmiennie uważał, że każdy kraj – a więc i Polska – ma prawo do własnych rozwiązań, a polska partia ma dość „sił i umiejętności”, aby uporać się z własnymi sprawami.

Być może już wtedy Ceausescu wiedział (lub domyślał się) jakimi to „siłami” rozwiązywane będą polskie sprawy, ale nie domyślał się tego Polacy. Dla polskiej kolonii w Bukareszcie takie „neutralne” stanowisko Rumunii było przyjemnym zaskoczeniem, bo docierały tam przecie odgłosy obelg z Pragi i Berlina, a potem coraz groźniejsze pomruki sowieckiego niedźwiedzia. W takiej a nie innej posta-

aw. Rakonitzu my, Polacy, chcieliśmy w czasie kontynuacji tamtej polityki Rumunii z roku 1966, kiedy to jedyni Rumuni z Europy nie posiadali żadnej pomocy z braterską pomocą. W trudnym roku 1960-1962, była nawet wśród zagranicznych dziennikarzy i dyplomatów w Bukareszcie plotka, że Leicausca w czasie wizyty w Moskwie sprzeciwił się Breżniewowi i miał powiedzieć: nie byliśmy Fiedys w Pradze i nie wyjeżdżamy się: trzasz de Warszawy.

Tech nawet nieprawdziwe to sympatyczne myślenie.

W każdym razie zasadą obowiązującą w Rumunii, zarówno wewnątrz kraju jak i „na wynos”, było mianowanie się w polskie sprawy, co odpowiadało nie tylko nam, ale przede wszystkim samym Rumunom. Bo jakkolwiek ze swej prasy, radia i telewizji niewiele się mogło Polsce dowiedzieć, to jednak wielu miało kontakty z Polakami, a na przede wszystkim dostęga informacyjna Rumunów przez Radio Wolna Europa, Głos Ameryki, bibl. jest po pierwsze rzetelna, a po drugie wolna od zagłuszenia (kryzys energetyczny!) — tak więc każdy kogo to interesowało, wiedział ze szczegółami, co się w Polsce dzieje. A ponieważ działo się to, czego większość Rumunów i dla siebie pragnęła — stąd objawy otwartej sympatii dla Polski i Polaków. „Klimat” był taki, że oficjalnie nie potępiano (ale i nie aprobowano) Solidarności. W tej sytuacji nawet wśród osób należących do rumuńskiego aparatu władzy można było doszłoc objawy zyczeńwego zainteresowania „polskim eksperymentem”. Natomiast tak zwany szary obywatel był Polską po prostu zachwycony i wdychał: żeby to tak u nas... Nie tylko zresztą ten „szary” Paniełtam, za trzymała mnie kiedyś miodcja drogową. Seiki i na li. zniku w miesiące to za dużo, nawet dla uprzeczzonej wobec cudzoziemców i ukroczonkiej służby ruchu.

O! Polonezul! — Mowi i usmie. ta się tankjonantuz.

- Polonezul - potwierdzam i też su. ze zęby, bo i co rubie w takiej sytuacji...

Polonia, Solidaritate, Walenzia! — mopi up. się moliłpari i dalej szczerzy

Unisler: i wtedy dwa palce w góre, robiąc z nich literę „V”. Przygasił trochę, ale się obejrzał wokół, zrobił tu samo prawą ręką a lewą oddał mi spowrotem dokumenty!

La revedere, Polonezul!

La revedere...

Inne nacje - różne. Częsi przeważnie dawali do zrozumienia, że myślą odtobinę inaczej niż pisze „Rudé Právo”, a korespondent CJK w Bukareszcie mówił nawet, że Lipavskiego (korespondent tej samej agencji w Warszawie) wprowadzić zna, ale piva by z nim nie wypić, a ze mną chętnie... Najlepiej o niego albo u mnie w domu - bo ja co onaj widzice Ci z Moskwy i ten z Berlina.

Ten z Berlina mówił całemu czytelnik z „Neues Deutschland”, własnych opatrzeń na tematy polskie - ani cienia Ordnung muss sein! Natomiast Ci z Moskwy... Zastanawiałem się czasem, po co ich tyłu w Bukareszcie? Na przykład dziennikarze, korespondenci Czechosłowacja, Bułgaria, Węgry, NRD, Kuba - te kraje przysłały do Bukaresztu po jedajim, Polaków było dwóch! teraz też tylko jeden pozostał... dwóch też było Czechosłowaków. Nie przypominam sobie natomiast choćby najkrótszego okresu, aby „radzieckich” było mniej niż dziesięciu! Po co, skoro sowieckie, „organa informacyjne” prawie nie dostreżęły istnienia Rumunów? Zięzta, -z wzajemnością. A jednak sowieccy dziennikarze w Rumuniu bywali prze-

ważnie bardzo zaptacowani. Czym? I łatwo, i trudno się tego domyśleć...

Jeśli idzie o to, co działo się w Polsce, to „radzieccy ludzie” w Rumunii początkowo nie wypowiadali się w ogóle, bardzo uważnie natomiast słuchali, co inni (zwłaszcza Polacy) mają na ten temat do powiedzenia. Później zaś wszyscy jak na komendę, na jesieni 1981 r., stali się raptem rozmowni. I od razu nie mieli wątpliwości: błędy – błędami, Gierki – Gierkami, a „profsojuzy” powinny być mocno trzymane za twarz. Kiedy wyrażałem wątpliwość, czy to potrzebne i czy możliwe; wobec 10 milionów ludzi w tych związkach, odpowiadali że nawet bardzo potrzebne. A czy wykonalne? Pożyjesz – zobaczysz...

A działo się to, przypomnę, latem 1981 roku, kiedy w Polsce mówiło się jeszcze o współpracy, porozumieniu narodowym, że Polak z Polakiem, że władzę można się podzielić. „Radzieccy” usmiechali się tylko... Paziwiom – uwidim... Widać władzeli swoje...

Co bardziej ciekawe to fakt, że również „chińscy” też „władzeli swoje” – Rosja prędzej czy później zdławi tę całą polską odnowę. Chińscy dyplomaci i dziennikarze w Bukareszcie byli doskonale i niemal z dnia na dzień poinformowani o tym, co działo się w Polsce, a przy tym zawsze pełni byli sympatii dla Polaków. Właśnie dla Polaków – co podkreślali – a nie dla polskiej partii, czy władzy lub Kościoła, nie mówiąc o Solidarności. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że Chińczycy już późną wiosną 1981 roku domyślali się, że Moskwa zdławi polskie dążenia wolnościowe rękami samych Polaków – kolaborantów. Bo jakże inaczej wytłumaczyć skierowane już wtedy do mnie pytanie kolegi-dziennikarza agencji Sin-Hua: „...a po czyjej staniez stronie, jeśli w Twoim kraju znajdują się ludzie, znajdują się siły, zdolne do rozprawy ze związkami”? „Nie ma takich sił”, odpowiedziałem. „Nie ma, ale będą! I pamiętaj, Chińczycy mają wczesny (tak się wyraził) wzrok”. I rzeczywiście...

Reakcje przedstawicieli wolnego świata oscyliwały od kompletnego dyletanctwu w polskich sprawach aż po pewność, że zbrojna ingerencja Moskwy to kwestia dwóch lub trzech tygodni. Nie przypominam sobie bodaj ani jednej osoby z Zachodu, która by potwierdziła chińskie domysły. No ale skoro i w Polsce mało kto w to wierzył... Zachodnich dyptomatów i dziennikarzy od początku fascynował (ujemnie!) wyłączne gospodarczy aspekt polskiej sprawy, czyli to, że produkcja i kooperacja zanikają, a Polacy nie tylko chcą wolnych sobót. I w ogóle „jak można” w takiej sytuacji żądać tylu zmian na raz. Zachód owszem, bardzo ceni Polaków pęd do wolności ale – na Boga – najpiarw chleb, a potem igrzyska. Nie na odwrót, ani nawet nie równocześnie, wszystko w swoim czasie. A Ci Polacy tacy narwani i wszystkiego chcą na raz, choć próżnowali, kiedy Zachód swój raj budował. Niemniej trzeba im pomóc, bo szkoda, żeby taki sympatyczny naród chodził głodno spać, ale niechże nie skaczą za wysoko, bo jak sowiecki niedźwiedź zbyt mocno buchnie łapą w polskie błoto to odpryski, nie daj Boże, mogą pochłapać tę czystą kulką puchową koldrę, tak miło i ciepłutko otulającą Zachód.

I tak to miały dni, tygodnie i miesiące w Bukareszcie, a w kraju naród upajał się coraz to nowymi smakami wolności. I tylko gdzieś tam w sztabach i tajnych kancelariach opracowywano w tajemnicy „wariant B”, czyli to, co miało nadejść tamtej grudniowej nocy z 12-tego na 13-ty.

Ale wcześniej było 16 miesięcy nadziei.

W Bukareszcie i kilku innych rumuńskich miastach przebywa stale około dwustu polskich obywateli. Personel Ambasady, Radcostwo Handlowe (BRH), stali rezydenci polskich central handlu zagranicznego, fachowcy nadzorujący montaż polskich cukrowni i papierni, spora grupa robotników budowlanych wnoszących wkład i szpital – polskie „dary” przyrządzone kiedyś po trzęsieniu ziemi, ale dopiero teraz realizowane. I dziennikarze – dawniej dwóch, a po „wybuchu wojny” już tylko jeden, z PAP. Napisałem, że w Rumunii stale przebywa około dwustu Polaków, ale jeśli miałbym powiedzieć ilu Poleków w Rumunii pracuje odpowiedź musiałaby brzmieć: nie więcej niż 50 procent... No tak, bo skoro w przedstawicielstwie handlowym (BRH) jest ponad 20-tu urzędników, to co tam robią jeszcze tak zwani „delegaci” (ponad 30 osób) central takich jak „Cięch”, „Polimex”, Cekop, „Stalimport”, „PZL”, „Budimex”, „Warimex” i jeszcze kilka innych „Imexów”? Wszyscy na dobrych etatach dyrektorskich, często gęsto otoczeni personelem, sekretarkami, tłumaczami. Mają służbowe auta i służbowe mieszkania, fundusze reprezentacyjne i diety, jeżdżą po Rumunii i do warszawskiej centrali. Po co to wszystko, skoro nie mają oni żadnych uprawnień, skoro nie wolno im podpisać najmniejszego nawet kontraktu, ponieważ w tym celu przyjeżdża zawsze osobna delegacja z Warszawy? Do pilnowania terminowości dostaw w zupełności, a nawet z nawiązką mógłby wystarczyć nie tak młody w końcu personel BRH. Młędzy innymi dlatego odpowiedź na pytanie, ilu Polaków pracuje w Rumunii, brzmi: nie więcej jak 50 procent. Reszta robi pozory ruchu w interesie, lub zgoła bierze pieniądze za utrudnianie życia „przeciwnikowi”, w nieustającym meczu BRH contra Delegatury, i jeśli teraz wziąć pod uwagę, że nie ma powodów aby Bukareszt był jakimś wyjątkiem w strukturze polskiego handlu zagranicznego, otrzymamy jeden z powodów „ośniewających” rezultatów naszej handlowej wymiany, lub międzynarodowego „podziału pracy”, jak się to uczenie (a przy tym idiotycznie) określa. Dużo by na ten temat pisać, ale nie czas tu na to ani miejsce. Powróćmy do opisu stosunku polskiej kolonii w Bukareszcie do tego, co działo się w ciągu tych 16-tu miesięcy w kraju.

Ten stosunek był ściśle uzależniony od miejsca zajmowanego, w hierarchii zagranicznej służby. Im bliżej szczytu tej drabinki, tym dalej od pragnień Polaków, czyli nic nowego – to samo co w kraju.

Robotnicy budowlani z „Budimexu” chcieli na przykład co prędzej założyć komórkę „Solidarności”, ale im stanowczo (choć pokrętnie) wytłumaczono, że żadne polskie organizacje nie mają debitu (czyli zezwolenia) na działalność w Rumunii. Bzdura, bo zbierali się choćby harcerze, młodzież, działały stare związki, a partia nawet składki pobierała w lejach. Więc na jednym błędnym robotnicy, a na drugim tak zwane ściśle kierownictwo Ambasady, czyli szef placówki, radcy, sekretarz partii.

Ambasadorem PRL w Rumunii był w chwili powstania Solidarności Jerzy Kusłak, dawny (jeszcze z lat 50-tych) UB-owski naganiacz do kolchozów w poznańskim, który potem „położył zasługi” jeszcze na kilku innych polach w PRL, takich jak na przykład drobna wytwórczość, rzemiosło, ochrona środowiska. Te

zastugi tam do dziś leżą i odciskają piętno, nie dziw więc, że w tych dziedzinach jest – jak jest... Kusiak o Gierku miał zdanie jak najgorsze, to ten „przegnał” go był z kraju na dyplomatyczną banicję, co wszak nie przeszkodziło mu jeszcze na 22 lipca 1980 roku wygłosić przemówienia, w którym lata 70-te, nazwał okresem o historycznej doniosłości, okresem bezprzykładnego rozkwitu Polski, dokonał wykonań i takich tam różnych jeszcze... Pojawienie się Solidarności Pan Ambasador skwitował krótko: to nowy pomysł tego cholernego Kuronia, coś trzeba będzie z tym zrobić. Z „tym” – czyli z Solidarnością...

Kiedy do władzy w Polsce doszedł Kania, Kusiaka wezwano do Warszawy i włączyć już do Bukaresztu nie wrócił. Ale nie było to odwołanie, co to to nie! Kusiak, jako doświadczony towarzysz, a przy tym przyjaciel Kani, powołany został do naprawy Rzeczypospolitej w tej części, która jest województwem poznańskim. Chwilowo, bo przeznaczony był podobno do znaczenie wyższych celów, miał wykonywać prace naprawcze ze znacznie wyższego stopnia partyjnej i rządowej drabiny. Na szczęście jednak niczego „naprawić” nie zdążył – przepadł z kretemesem w czasie jedynej jak dotąd w miarę demokratycznej kampanii wyborczej przed IX-tym, nadzwyczajnym zjazdem partii, a na ambasadorski fotel już powrotu nie było. Tak więc w stosunkowo krótkim czasie Jerzy Kusiak zniknął najpierw ze sceny politycznej w Bukareszcie, a potem i w kraju. Miałeś... Towarzyszu... złoty róg... mawiano czas jakiś, ale potem nawet i żartów nie stało.

Vacat na posiedzenie ambasadora PRL w Bukareszcie trwał długo, kilka miesięcy. Przymierzano do tego fotela różnych, mniej lub bardziej zasłużonych promientów z niedawno odeszłej ekipy. Była więc mowa przez jakiś czas o Zdzisławie Grudniu, potem Janie Szydłaku, lecz w końcu z grona pretendentów przebił się Boteśław Koperski – wioletołni, partyjny wielkorządca Łodzi. Podobno „wy-czuł pismo nosem” i sam zrezygnował z tego urzędu, zanim upomniały się o to łódzkie włóknarki. Koperskiego po kilku miesiącach wahania „rzucano” więc „na Bukareszt”. Trudno powiedzieć, że w nagrodę, ale i trudno przyjąć, że za karę. Do pracy też nie, bo pojęcia o Rumunii nie miał żadnego – więc pozostaje tylko jedno: na przechowanie...

Jeśli więc idzie o „ściśle kierownictwo” placówki i jego stosunek do wydarzeń w kraju, to pozostał on (ten stosunek) niezmienny, mimo że zmienił się sam ambasador. Koperski również uważał, że „coś” z tą Solidarnością trzeba będzie zrobić, a nawet chyba wiedział co, chociaż nie poinformowano go zapewne, kto to zrobi. Ze sposobu, w jaki „wyjaśniał” polskie sprawy „towarzyszom rumuńskim” przy różnych okazjach, a także wobec wiernopoddańczej postawy zajmowanej wobec „towarzyszy radzieckich”, wolno mi przypuszczać, że ambasador PRL w Bukareszcie rozstrzygnięcia spraw polskich upatrywał bezpośrednio ze Wschodu!

Przedstawiciel Wojska Polskiego, ludowego zresztą, czyli *attaché* (lądowy, powietrzny, tudzież morski) mówił i to publicznie, bez tenady: nie ma innego wyjścia, trzeba będzie trochę krwi upuścić. Mielśmy Go wte dy jesienią za matolka, za zupaka, który tylko tyle potrafi wynysić, ale widać wiedział co mówi...

Szeregowi urzędnicy ambasady, radcostwa handlowego, delegaci, zachowywali się rozmaicie. Uogólniając można powiedzieć, że im miejsce w hierarchii wyższe, tym więcej wrogości wobec Solidarności i całego ruchu odnowy. Trzeba bowiem

pamiętać, że tyci ludzi wysyłała na cieżkie zagraniczne posadki właśnie ta gierkowska ekipa, która oto brała teraz w kraju ciężki, głównie za sprawą Solidarności. Taka zagraniczna posada to przecież nie lada gratka. Wysoka pensja, służbowy samochód, niewiele pracy i jeszcze mniej odpowiedzialności, sposobność do tak zwanego „zahandlowania” w dyplomatycznym lub służbowym bagażu. Tę ostatnią możliwość wykorzystywano tym intensywniej, im sytuacja zaopatrzeniowa kraju stawała się cięższa. Sama Rumunia nie oferowała wprawdzie w nadmiarze atrakcyjnych towarów, ale w drodze do kraju można było to i owo kupić w Czechostowacji, a zwłaszcza na Węgrzech. Tak więc tak zwany szary pracownik polskiej służby zagranicznej siedział cicho, śpiewał tak jak grała ambasadzka „góra”, chociaż w głębi duszy prawie każdy chciał, aby wreszcie w kraju był „porządek”. A już byłoby zgoda cudownie, aby ten porządek zrobiono możliwie szybko, najlepiej w tym czasie, kiedy Oni pełnią odpowiedzialną służbę z daleka. Jak to dobrze będzie – myślał niejedyn wrócić do kraju, w którym masło i mięso w sklepach nraz są jeszcze wszystkie wolne soboty. Nie ma natomiast kolejek, Gierka i propagandy sukcesu. Więc niły dobrze, że ci robotnicy strajkują, skoro inaczej nie można, ale jeszcze tydzień lub dwa i koniec! Gierek z Jaroszewiczem do pudła, strażacy do sikawek, studenci na wykłady, a górnicy i stoczniowcy do roboty – bo co za duzo to niezdrowo!

Niewielki popełnił błąd jeśli powiem, że trzy czwarte pracowników polskich służb zagranicznych taką posiadało filozofię. No, może w nie tak uproszczonej formie jak tu przed chwilą opisałem, ale w gruncie rzeczy do tego się ta filozofia sprowadzała.

I jeszcze kilka zdań opisu ostatnich dni przed 13-tym grudnia w Bukareszcie i tych kilku dni, które przeżyłem tam jeszcze po wybuchu polsko-jaruzelskiej wojny.

Z zachowania się tak zwanego „ściślego kierownictwa” można wnioskować, że mniej więcej na tydzień przed ogłoszeniem stanu wojennego ambasador PRL w Bukareszcie został poinformowany, że coś takiego nastąpi w najbliższym czasie. Dość układny do tej pory, pozujący na „fajnego chłopca”, niepewny swego nowego stołka (a nuż się łudzkie włóknarki upominą...) stał się Pan Ambasador raptem pewny siebie. Znowu pełen życia i animuszu, już nie prosił ale żądał, stał się bardzo aktywny, do wszystkiego chciał mieć wgląd, wszędzie go było pełno.

Na dwa dni przed wybuchem tej wojny, w plątek, zrobiono w ambasadzie posiedzenie, na które wezwano (dawnej do ambasady proszono) wszystkie osoby pełniące jakieś kierownicze funkcje, a także studentów i dziennikarzy. Miała to być informacja o sytuacji w kraju, a w rzeczywistości był prowokacyjny atak na Solidarność, z zastosowaniem wszystkich tych demagogicznych oskarżeń, które się miały dopiero za dwa dni pojawić w kraju. Było to tak niespodziewane, że nawet ludzie tam będący – którzy z niejednego pieca chleb jedli – patrzyli jeden na drugiego nie bardzo wiedząc, co o tym myśleć. Roszanie weszli? Gierek wrócił do władzy?

Następnie ambasador „otworzył dyskusję” mówiąc, że takie jest zdanie aktywnu i kierownictwa ambasady, ale przecież „ambasada może się mylić”, więc słuchamy.

Przeważnie jednak zgadzano się z wywodami ambasadora, chociaż ten nie na klakierów czekał tym razem. Okazało się to bardzo szybko, kiedy kilka osób nie

wytrzymało i „wygarnęliśmy” ostrą, co na ten temat myśliśmy. Przypuszczam że jeszcze tego samego dnia odpowiednia „iskrówka” poszła do Warszawy.

Przykro stwierdzić, lecz fakt jest faktem. ogłoszenie stanu wojennego w niedzielę 13 grudnia przytłaczająca większość polskiej kolonii w Bukareszcie przyjęła jeśli nie z zadowoleniem, to z aprobatą nareszcie będąc spokojny. Ale właściwie trudno się dziwić, znając to środowisko. Przecież ludzie zatrudnieni w polskich placówkach zagranicznych to w sporej części społecznie „odrzuty”, wysłane w świat w nagrodę, za karę lub na przechowanie. Dla nich stan wojenny był „dobrym wyjściem” z sytuacji, bo nie odbierając na obczyźnie żadnych swobód, pozwolił równocześnie zachować przywileje i zakonserwować niemalże nieraz majątek.

Jedni mówili: „No, wreszcie zacznie się normalne życie i praca”, inni byli zdania, że „ta Solidarność już stanowczo za dużo sobie pozwalała”, jeszcze inni konstatawali: „Tak, to się musiało tak skończyć”...

Attaché wojskowy (lądowy, powietrzny i morski...) chodził jak paw po dobrym obiedzie, szyfrant miał godziny nadliczbowe, a ambasador wyglądał na człowieka, któremu wielki i ciężki kamień spadł z piersi.

Wiadomość o śmierci górników w kopalni „Wujek” skwitował krótko: „Nic wielkiego, na drogach ginie co miesiąc więcej ludzi”...

Kiedy zapytał, czy podpiszę deklarację lojalności, odrzekłem: „Nie, to nie dla mnie...” Niemniej coś jednak winien jestem tamtej władzy: wystawiła służbowe paszporty, a z takimi można się było dostać do Austrii bez wizy, nawet po wybuchu wojny.

ROZMOWA PO 22 LATACH WIĘZIENIA (wywiad z Armando Valladaresem)

Gdzie był Pan w r. 1959, kiedy Castro obalił dyktaturę Bástisty?

VALLADARES: Miałem wtedy 22 lata i pracowałem jako urzędnik w Ministerstwie Obrony. Moja praca polegała na przeprowadzaniu *interviews* z kandydatami, którzy chcieli wstąpić do Narodowych Sił Policyjnych. Kiedy zwyciężyła rewolucja musiałem, podobnie jak wszyscy inni urzędnicy, stawić się przed specjalną komisją „do spraw czystki”. Zaproponowali mi dalszą pracę w ministerstwie, ale jako policjant, z pistoletem, w mundurze i z całą resztą akcesoriów. Odmówiłem, więc przenieśli mnie do Ministerstwa Komunikacji, gdzie pracowałem ponad rok, aż do chwili aresztowania.

Dlaczego został Pan aresztowany?

Myślę, że powodem były moje antykomunistyczne wystąpienia na zebraniach w ministerstwie. Moje wychowanie religijne i Idealistyczna koncepcja świata popchnęły mnie do krytyki doktryny komunistycznej. Przyszł po mnie do domu w nocy, kiedy spałem. Przeszukali wszystko, ale nie znaleźli żadnych papierów, broni, materiałów wybuchowych, niczego, co mogłoby świadczyć przeciwko mnie. Zabrali mnie do siedziby policji politycznej, a po kilku przesłuchaniach powiedzieli mi, że chociaż nie znaleźli żadnych konkretnych dowodów przeciwko mnie, to są przekonani, że jestem potencjalnym wrogiem Rewolucji. Było to 28 grudnia 1960, *«el día de los Santos Inocentes»* (dnia „świętych niewinnych młodzianków”) i z początku myślałem, że to żart. Nie był to jednak żart.

Jak mogli Pana skazać bez żadnych dowodów, bez żadnych świadków?

Wówczas można było jeszcze wynająć adwokata, co też zrobili. W odpowiedzi na argumenty mojego obrońcy (bardzo dobrego), prokurator nie przedstawił choćby najmniejszego dowodu. Po prostu oświadczył, że, jego zdaniem, jestem konspiratorem. Kiedy proces dobiegł końca, byłem przekonany, że zostanę uwolniony, pomimo tego, że sąd składał się z wojskowych, a nie sędziów. (Pamiętam, że przewodniczący sądu trzymał przez cały czas rozprawy swoje wojskowe buty na stole i czytał komiksy.) Zaprowadzili mnie z powrotem do więzienia, a po kilku miesiącach powiedzieli, że zostałem skazany na 30 lat. Tak więc, od chwili aresztowania aż do teraz, nie opuściłem ani na chwilę więzienia, oprócz krótkiej, 3-dniowej ucieczki z Isla del Pinos.

W jaki sposób zdołał Pan uciec?

W styczniu 1961, w kilka dni po moim aresztowaniu, zabrali mnie do więzienia na Wyspie Sosen; tego samego roku, w październiku, udało mi się uciec wraz z trzema kolegami. Był to nadzwyczajny wyczyn, ponieważ Wyspa Sosen była uważana za jedno z najlepiej strzeżonych więzień na świecie. Przebraliśmy się za żołnierzy, używając ubrań, które dotarły do nas z zewnątrz, a które poфарbowaliśmy. Po wymknięciu się z więzienia, dotarliśmy aż na południe wyspy, ale ludzie, którzy mieli nas tam spotkać, nie było na umówionym miejscu. Prawdopodobnie myśleli, że ucieczka jest zupełnym nieprawdopodobieństwem, i nawet się nie zjawili, choć udało się nam tam dotrzeć. Policja przechwytywała całą wyspę przez trzy dni i złapała nas, po czym zamknęła w celach karnych.

Jak one wyglądały?

Dach takiej celi zrobiony był z siatki, a nad nami przechadzały się patrole policyjne. Wtedy to poznałem smak ekstremitów: codziennie wylewano na nas wiadra z nieczystościami. W zimie wylewali też na nas wiadra lodowatej wody, co było bardzo surową

karę, jako że byliśmy nadzy w tej celi. Na domiar tego mogłem poruszać się tylko na pośladkach, jako że zламаłem podczas ucieczki stopę w kilku miejscach, a byliśmy pozbawieni jakiegokolwiek opieki lekarskiej. Znajdowałem się w takiej sytuacji przez ponad rok. Później, w więzieniu Boniato, spędziłem około siedmiu lat w celach karnych, ale na Wyspie Sosen spędziłem w nich tylko rok. Wypuścili nas do zwykłych cel, ponieważ rozpoczęliśmy strajk głodowy.

Czy wywarło to jakieś wrażenie na waszych strażnikach?

Nasz pierwszy strajk głodowy całkowicie ich zaskoczył. Głód był jedną z ich broni i nie byli przyzwyczajeni do tego, że można go wykorzystać także przeciwko nim. Nasz drugi strajk głodowy został brutalnie złamany; użyli czołgów, psów, pistoletów. Ale pierwszy się udał; wyszliśmy z cel karnych i potem posłali nas do pracy przymusowej w środku wyspy, do prac w kamieniołomach, osuszania bagien, fcinania trawy za pomocą maczet. Nazywali to „el plan de trabajo”, „programem pracy”. Budził nas o czwartej lub piątej rano i musieliśmy pracować do szóstej wieczorem. Strażnicy dawali nam dwa posiłki dziennie: na śniadanie gorącą wodę z cukrem, a na obiad kukurydzę i jedno jajko. Jeśli ktoś nie pracował, bili go maczetami. W ten sposób mieli nadzieję, że zaakceptujemy ich „program rehabilitacji” po to, aby uciec od przymusowej pracy.

Na czym polegał „program rehabilitacji”?

Jeśli ktoś zgodził się w nim uczestniczyć, najpierw zmieniano mu odzież; potem trzeba było uczestniczyć w rozmowach i wykładach na temat marksizmu. Nasz strój był koloru żółtawego khaki z literami «Ps» wymalowanymi na czarno, na jednym ramieniu i na obu nogach. «Ps» według nich miało oznaczać po prostu więźnia, ale my mówiliśmy, że oznacza to „presu por principios”, „uwięzionego za pryncypia”. Odzież do „programu rehabilitacji” była niebieska, taka sama jak zwykłych więźniów. Żaden z więźniów politycznych nie zgodził się na uczestnictwo w „programie rehabilitacji”. Wszystko potoczyło się odwrotnie niż to sobie wyobrażali. Przemoc dopomogła w zbudowaniu wspólnego frontu, grupy zjednoczonej w opozycji przeciwko represjom. Dla nas uczestnictwo w „programie rehabilitacji”, nawet samo włożenie na siebie odzieży zwykłego więźnia oznaczało poddanie się, przyznanie im słuszności. Oni myśleli, że każdy będzie chciał uniknąć ciężkiej pracy. Z początku nawet ogłosili, że będą wręczać medale tym, którzy to wytrzymają. W końcu musieli przestać, bo okazało się, że prawie wszyscy wytrzymują.

Czy otrzymywał Pan wieści od rodziny, wiadomości ze świata zewnętrznego?

Do więzienia docierały tylko oficjalne gazety partyjne, ale kilku więźniom udało się skonstruować radio. Nie wiem, jak to zrobili, w każdym bądź razie strażnicy nigdy go nie wykryli. Jeśli chodzi o wizyty, to miałem jedną w 1961 roku, jedną w 1962, a potem żadnej przez 25 miesięcy, ponieważ je zawieszono. Był to pierwszy dłuższy okres, podczas którego nie miałem jakiegokolwiek wizyty.

Kiedy zakończono „program pracy”, rozrzucono nas po wszystkich więzieniach na Kubie, ponieważ myśleli, że wówczas łatwiej się poddamy. Przeniesiono mnie najpierw do więzienia Los Cabaña, razem z 800 lub 900 więźniami politycznymi. Dali nam odzież w kolorze niebieskim (jaką noszą zwykli więźniowie), na co odmówiliśmy włożenia. Oni zaś odmówili oddania nam z powrotem naszych żółtych „mundurów”, więc zostaliśmy w samych slipach, a niektórzy z nas zupełnie nacy, np. w więzieniu Pinar del Rio. Byłem jednym z „el grupo de los calzoncillos”, grupy „slipowców”, i taki był mój strój od 1967 aż do chwili mego uwolnienia.

Czy strój był dla Pana tak ważny?

Byliśmy więźniami politycznymi, a nie kryminalistami. Noszenie ich stroju oznaczało

przyznanie im racji.

Czy próbowali wszelkich sposobów, aby zmusić was do noszenia „ich” odzieży?

Tak. Z więzienia Los Cabaña przenieśli mnie do więzienia Boniato, położonego w dżungli. Jeszcze bardziej porozbijali wszystkie grupy więźniów politycznych i przemieszczały nas z tysiącami zwykłych więźniów, tak że w roku 1967 oficjalna gazeta opublikowała raport, według którego więźniowie polityczni przestali właściwie istnieć. I od tej chwili represje zaostrzyły się.

W jaki sposób?

Przed wszystkim – bicie. W Boniato, kiedy znaleźliśmy się tam po raz pierwszy, w 1967, bo potem przenosili nas ciągle z więzienia do więzienia, strażnicy przychodzili codziennie do cel i bili nas węzami do polewania, łańcuchami, kablami, czym popadło. Trwało to przez kilka tygodni, dopóki nie zrozumieli, że nigdy nie włożymy niebieskich ubrań. Potem, w La Cabaña, bicie było rzadsze, co pięć lub dziesięć dni, w zależności od ich ochoty. Kiedy wróciliśmy do Boniato, okazało się, że zbudowali specjalny blok dla nas. W każdej celi było 25 lub 30 więźniów. Nie bardzo mieliśmy się, musieliśmy spać po kolei. Drzwi i okna były zasłonięte specjalną warstwą stali i powietrze wchodziło tylko przez mały otwór. Cella, tak jak wszystkie cele na Kubie, pełna była szczurów. Blizny, jakie widzi Pan na mojej prawej ręce, to pamiętka po tych szczurach.

Skąd brał Pan siłę, aby znieść to wszystko?

Dawala mi ją moja wiera chrześcijańska, pomoc moich towarzyszy więziennych, przekonanie o własnej słuszności, miłość mojej rodziny i miłość Marty (mojej narzeczonej, którą poślubiłem w 1969, będąc oczywiście w więzieniu). Poznałem Martę w 1961 roku. Przejechała na Wyspę Sosen, aby odwiedzić swego ojca, który również był tam uwięziony. Po tej wizycie zaczęliśmy do siebie pisać, a do chwili naszego ślubu w 1969 widzieliśmy się 13 razy, nigdy jednak dłużej niż dwie godziny za każdym razem. Marta, jak zawsze bardzo czynna, przyłączyła się do grupy naszych krewnych i żon, aby protestować przeciwko naszej sytuacji, kiedy zaczęliśmy strajk głodowy w La Cabaña. Aresztowano wówczas całą grupę. Marta „poupadła”, i dowiedziałem się, że wydano rozkaz, aby ją uwięzić w razie gdy zostanie ponownie aresztowana. Przekonałem ją wtedy, aby opuściła Kubę, ale jako moja żona. Wzięliśmy ślub w więzieniu. Podpisaliśmy oficjalne papiery w obecności strażników, którzy dali nam piętnaście minut na rozmowę (ciągle w ich obecności), a potem kazali się pożegnać. Zabrali Martę do kamieniołomów marmuru, gdzie pracowała przez kilka lat – taki był wówczas obowiązek dla kobiet, które chciały wyjechać z kraju.

Czy pisał Pan już wtedy wiersze?

Tak, pisałem, ale prawdziwa potrzeba pisania pojawiła się wraz z moją chorobą w 1974 roku. Nazwa, jak ją określili, brzmi *polineuropatia carenciał*, paraliż spowodowany niedożywieniem. Trzymali nas bez jedzenia przez 46 dni, aby zmusić nas do noszenia „ich” odzieży, do wstawania na widok żołnierzy i do robienia innych rzeczy, na które więźniów politycznych nigdy nie może się zgodzić. Wielu z moich współtowarzyszy zachorowało wówczas; niektórzy są chorzy do dziś.

Parska pierwsza książka nosiła tytuł Z mojego wózka. Jak zdobył ją Pan opublikować?

Nauczyłem się całosci na pamięć i przepisałem w 25 kopiach na bibułce papierosowej lub innym cienkim papierze, ze zdobyciem którego nie mieliśmy trudności. Nie mogę zdradzić, jak to się odbyło, żeby nie narazić moich kolegów. Ze wszystkich tych kopii tylko jedna dotarła do Marty; reszta została skonfiskowana, zaginęła lub po prostu zniknęła.

W swojej pierwszej książce, oprócz wierszy poświęconych miłości i nadziei, pisał Pan o morderstwach, o mordach, jakie miały miejsce w 1975 r., kiedy otworzono ogień karabinowy do więźniów w kilku blokach. Czy bał się Pan o swoje życie?

Cały czas się bałem, ale starałem się, żeby tego nie zauważyli. Nie bałem się śmierci, ponieważ moja wiara mówi mi, że istnieje życie po śmierci, ale bałem się sam nie wiem czego — pchnięcia bagnietem, tego, że rozplatają mi głowę.

Po opublikowaniu książki warunki nieco się zmieniły. Kiedy w 1977 zwalniano w ramach amnestii 3000 więźniów, przeniesiono mnie do cywilnej kliniki rehabilitacyjnej, gdzie stan mego zdrowia uległ poprawie. Ale wywierali naciski, abym odwołał to, co napisałem w książce — oczywiście odmówiłem. Przerwali wtedy leczenie i przenieśli mnie do celi-izolátky w więzieniu w Hawanie. Byłem tam do stycznia 1981, a potem zamknęli mnie w więzieniu karnym. Po kilku miesiącach, w nowym miejscu, zostałem umieszczony w celi bez okien i z innym tego rodzaju „rehabilitacyjnym” ekwipunktem. Przez cały ten czas, aż do dnia mojego uwolnienia, widziałem tylko strażnika, który przynosił mi jedzenie.

I wtedy nastąpiła niespodzianka...

Nie wierzyłem i nawet teraz nie mogę jeszcze w to uwierzyć. Najpierw przewieźli mnie do szpitala, żebym mógł na nowo nauczyć się chodzić, ponieważ, chociaż moje nogi już nieco się wzmocniły (dzięki gimnastyce), ciągle upadałem przy chodzeniu, gdyż przez tyle lat nie widziałem niczego poza ciałą i to zakłóciło mój zmysł równowagi.

Ilu więźniów politycznych jest jeszcze na Kubie? Czy wie Pan coś na ten temat?

Licząc od dnia tego historycznego uwieszenia, około 20 lat temu, jest nas, tzn. jest ich prawie 300, porozrzucanych po kilkunastu więzieniach. Ilu jest nowych, tych aresztowanych za nalepianie plakatów, za protestowanie lub za „przestępstwa przeciwko ludowej gospodarce”, nie wiem, nie znam dokładnej liczby, alew samej tylko Hawanie jest ich więcej, nawet według oficjalnych danych, niż w całej Hiszpanii.

Jeśli złapą kogoś z puszką kielbasy, z 3 kilogramami mięsa, z mydłem itp., aresztują za zbrodnię, którą określają jako *acaparamiento*, „chomikowanie”. Musi Pao pamiętać, że racja wynosi pół kilo kielbasy na osobę na rok; dwa kilo mięsa na osobę, też na rok, i to wszystko. Ale aresztują za cokolwiek. Czy słyszał Pan o sprawie Granadosa? Granados był jednym z kolegów uniwersyteckich Fidela Castro. Pewnego dnia Castro przechodził obok Granadosa, którego potem aresztowano i skazano na 10 lat, ponieważ „no le había mirado con el afecto que sesuponia debía profesarle” („nie popatrzył na niego z przyjaznym uczuciem, jakie powinien był wyrazić”). Tam takie sprawy to prawie „normalka”. Kogoś innego aresztowano, ponieważ opowiedział swojej żonie, że miał sen o zabicciu Fidela Castro. Jego żona wspomniała o tym stojąc w kolejce, wieść się rozeszła i skazano go na 12 lat...

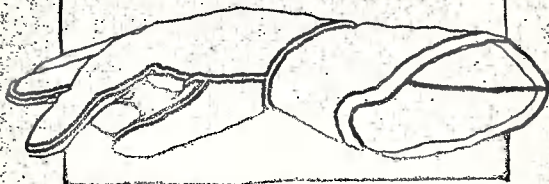
Co zamierza Pan teraz robić? Jak będzie Pan żył?

To jeszcze jedna rzecz, której nie wiem.

«Encounters», czerwiec 1983

Armando Valladares — poeta kubański, więzień polityczny. Zwolniony po 22 latach z więzienia na osobistą interwencję prezydenta Mittermanna. Współprzewodniczący (wraz z Włodzimierzem Bukowskim) «Międzynarodówki Oporu».

POJEDYŃKI



TRZY STRONY MEDALU/Krzysztof Zawrat

1.

Trudno znaleźć faceta bardziej zawiedzionego na polskiej inteligencji niż wicepremier M.F.Rakowski. W odróżnieniu od innych ludzi oceniających jego postępowanie — ja mu wierzę. Więcej nawet — twierdzą, że wicepremier miał prawo poczuć się zawiedziony. A to co najmniej z dwóch powodów. Po pierwsze — moźolnie, przez lata całe starał się wokół siebie skupić tzw. postępową inteligencję dając raz po raz upust jej kwasom i szumom w organie „Polityka”. Dopieszcząc ją liberalizmem i otwartością. Po drugie — po eksperymencie bydgoskim (czytaj: po prowokacji) mógł dojść do przekonania, że ma do czynienia nie z narwańcami, ale z poważnymi ludźmi, serio traktującymi polityczne konieczności: dowodem tego miała być tzw. ugoda zmontowana wspólnie z zasadami komunistycznej polityki gabinetowej, a więc z pogwałceniem zasadniczej dewizy ruchu „Solidarność”, czyli jawności rokowań. Po „ugodzie warszawskiej” można bowiem było podjąć konkretne kroki zmierzające do izolowania i zneutralizowania tzw. „sił antysocjalistycznych” w Związku, a więc do wprowadzenia stanu wojennego, w wyniku którego „Solidarność” zostałaby oczyszczona z plugawego elementu i jakoś wmontowana w system komunistyczny. Wszak — rozumował zapewne M.F.R. — są w tym ruchu ludzie, którzy rozumieją zasady gry, można więc liczyć na jakiś kompromis i serio myśleć o pewnych modernizacjach realnego socjalizmu. Tym ludziom, co parokrotnie podkreślał, dano w internatach i więzieniach czas na ochłonięcie, a tym samym szansę na podjęcie „gry politycznej”.

A tu nic z tego. Pełna kłapa na całej linii, by rzecz określić w poetyce Machejka.

Zdrowe elementy okazały się robaczywe i nacechowane wrogim ekstremizmem politycznej głupoty. W tej sytuacji wicepremier zdecydowanym krokiem wyważył drzwi i delegalizując „Solidarność”, wypłynął na równe wody racji stanu socjalistycznej ojczyzny, nie bacząc na podbijanie wrażeń bębna do muzyki Reagana, której zza krat towarzyszyło zajadle podgryzanie dyrygującej podziemiem jezuitko-korowskiej nagonki.

2.

Żarty na bok. Dostałem ostatnio do zrecenzowania trzy tomy pióra „Internacjonalnej” Inteligencji – chodzi o książki Mazowieckiego, Kuczyńskiego i Szczypiorskiego. Nie mam na taką recenzję, nawet z biorczą, specjalnej ochoty. Ich strona literacka (tu bez wątpienia najbardziej interesujący jest Szczypiorski, zwłaszcza jego analizy dotyczące stosunku do religii) nie ma niemal żadnej wartości. Jako dokumenty wartość mają: są przerażającym dowodem paraliżu myślenia politycznego u ludzi, którzy przez cały okres jawnego działania „Solidarność” właśnie myślenie w kategoriach politycznych zdawali się wysuwać na plan pierwszy. Ten typ myślenia (nie kleruje tego do żadnego z wymienionych autorów osobście) leżał u podstaw tzw. „ugody warszawskiej”, ten sam także w przyjęciu (wbram postanowieniom Zjazdu „Solidarność”) kompromisowej wersji sejmowej ustawy o samorządach.

Czas dany solidarnościowym politykom na myślenie zaowocował, jak widać, dość marnie. Oto refleksja Mazowieckiego: „Podobały mi się te rozmowy i dyskusje, zwłaszcza z młodymi, przedtem wydawało się najbardziej radykalnymi kolegami. Te rozmowy jakby przemodelowały ich radykalizm, zostawał on nadal i nie się nie stępiał, ale jakby pogłębiał się, dojrzewał”. Co to znaczy? Na czym ten „radykalizm” polega? Przedziwna ta ogólnikowość wypowiedzi. Żadnej próby rzeczowej analizy tego, co się stało. Opisy zupek w Jaworzu, oraz – może to najciekawszy fragment książki – podróży do „docentów” (jak nazywano wówczas ten „ośrodek i osobnienią”). Przyczyny tego stanu rzeczy usiłuje pochwyć Kuczyński: „Obrachunku z przeszłością na razie nikt nie ma ochoty robić głośno. Może w ten sposób chcemy przytrzymać ten miniony okres i sami się oszukać, może odstręcza nas od obrachunku jadowita kampania antysolidarnościowa (...), a może po prostu dlatego, że spór o przeszłość w naszej sytuacji nie może mieć żadnego praktycznego znaczenia ani dla nas, ani dla tych na zewnątrz”. Rzecz w tym, iż Kuczyński nie tylko głośno, ale nawet po cichu nie robi tego obrachunku. I rzeczy w tym, iż taki obrachunek ma jednak pewne „praktyczne znaczenie”. Rzecz intelektualisty jest znalezienie właściwego klucza do opisu zjawiska. Nikt za niego tego nie zrobi. A bez próby uporządkowania i nazwania zachodzących procesów wszelkie dalsze działania jest zawieszono w próżni.

Jeszcze inaczej widzi rzecz Szczypiorski: „Moje skołowanie duchowe sprawia, że nie poświęcam ani jednej chwili poważnym myślom politycznej natury. Gadamy dużo o polityce, ja też gadam, ale to do żadnych wniosków nie prowadzi. (...) Polityka jest nieodłącznie związana ze społecznym działaniem. Jeśli nie można politycznie działać, polityka przestaje istnieć. (...) Wszyscy jesteśmy tutaj jak wyładowane akumulatory”.

Otoż - wypada te wszystkie myślatka skomentować. Otóż wydaje mi się, że owa „polityka”, o której pisze Szczypiorski, jest zredukowana do doraźnych zachowań i posunięć. Jest sprowadzona do odruchów, dlatego może istnieć tylko w bezpośred-

POJEDYNKI

nim działaniu. Jest to gra zgodnie z regułami narzuconymi przez przeciwnika — nie ponadto. Taki styl „politycznego działania” zdominował nasz świat w XX stuleciu. Na szczęście nie jest to jedyny typ politycznego działania. Ów „polityczny realizm”, jakże żalostny i ubogi, pozbawiony jest głębszej refleksji, dotyczącej jego własnego sensu. Te odruchy polityczne są w swej istocie działaniami bez rozleglejszego programu, bez zdania sobie sprawy z możliwości przekształcania się nie tylko wewnętrznej, polskiej sytuacji, lecz także sytuacji w szerszym kręgu. Ba — nawet brak to choćby pobieżnej analizy tego układu politycznego, w jakim przyszło nam funkcjonować. O ileż więcej politycznej wyobraźni wykazali autorzy posłania „Solidarności” do ludzi pracy Europy wschodniej! Stąd też — przy braku jakiegokolwiek wizji — wyrzucenie z pola gry powoduje „wyłączenie skumników”. Że tak być nie musi, dowodzą liczne w historii przykłady tworzenia w „miejscach odosobnienia” programów i myśli „mających praktyczne znaczenie” zarówno dla aresztowanych, jak dla „tych na zewnątrz”. Dowodzi tego zresztą — by pozostać przy chwili obecnej — twórczość Adama Michnika, reprezentowana w *Listach z Białołęki* czy w *Rozmowie w Cytadeli*. Ale twórczość Michnika — można się z nią nie zgadzać, to osobny problem — wsparta jest o pewną wizję społeczno-polityczną; jej wartość intelektualna nie podlega wątpliwości — już obecnie kształtuje ludzkie postawy. A powstaje w warunkach trudniejszych niż kałki, o których tu mowa.

3.

Jeśli więc nie recenzja, to co? Może choć próba — obok tych tekstów — napisania tego, czego w nich nie ma. Namawia ostatnio Kisielewski w „Kontaktach” do uprawiania fantastyki politycznej. Może warto zastosować się do jego rady? Spróbujmy.

Zacząć wypadnie od rekonstrukcji tego, co było, a następnie przejść do sformułowania jakichś mniej lub bardziej praktycznych wniosków. Rekonstrukcja, oczywiście, będzie tylko moją prywatną wersją wypadków, z którymi mieliśmy w Polsce do czynienia w ciągu lat ostatnich. Byłoby dobrze, gdyby można ją było skonfrontować z kilkoma innymi.

A zacząć trzeba od prehistorii...

Jest grudzień 1970. Upadek Gomułki. Na jego miejsce, po aresztowaniu w Hotelu Oficerskim w Warszawie marszałka Spychalskiego, generał Jaruzelski prowadzi z Katowic Gierka. Jak mówią, na plenum mającym obracać nowego pierwszego sekretarza, wysuwa się kandydaturę Jaruzelskiego, generał jednak odmawia powładając, że to nie Ameryka Południowa. „Polityka” Rakowskiego wita nowego szefa bardzo ciepło. Potrzeba nam pragmatyków, a Gierka, owiany śląską legendą dobrego gospodarza, wydaje się właściwym człowiekiem na właściwym miejscu.

Jest sierpień 1980. Upadek Gierka. Na jego miejsce Jaruzelski obsadza Kanłę rezygnując ponownie z oferowanego mu stanowiska. Jednocześnie Rakowski występuje z programem reform, który jeszcze niedawno przyjeździłby przez całe społeczeństwo jako objawienie. Ale już za późno. Teraz program ten odebrany jest jako dążenie do zredukowania społecznych aspiracji.

I tutaj formująca się „nowa ekipa” zaczyna płacić za polityczne technokratstwo. Wystartowała zbyt późno. Trzeba było zacząć działać przynajmniej w lipcu 1980, po strajku lubelskim. Wtedy istniała szansa uchwycenia społecznego ruchu w swoje ręce — powinien był o tym wiedzieć przynajmniej Rakowski, uczestnik pierwszego

zebrania Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”.

Zaczyna się próba odzyskania straconych pozycji – Jaruzelski powoła zaczyna skupiać w swym ręku wszystkie istotne funkcje partyjne i państwowe. Towarzyszy mu Rakowski, który jednak, na akutek arogancji i niepełnego rozpoznania sytuacji, traci kontakt z grupą intelektualistów, gotowych służyć mu radą – z DiP-ami (nawiasem mówiąc, ponowił próbę nawiązania z nimi kontaktu w czerwcu 1982, zamawiając kolejny raport, lecz po otrzymaniu wyników niezbyt mu odpowiadających wziął się i „obrazil”). Wydarzenia biegają zbyt szybko, by można było działać w pełni świadomie. Tym bardziej, że rośnie nacisk Moskwy – list KC KPZR do KC PZPR odgrywa tu dość doniosłą rolę (tu też nawiasem: o ile mi coś o tym wiadomo, jedynym, który na ten list odpowiedział, był Józef Kuśmierk – w każdym razie nie słyszałem o liście KC PZPR do KC KPZR, co dowodzi daleko posuniętej dezorientacji „nowej ekipy”). Zapada decyzja o wprowadzeniu stanu wojennego – termin wybrany zostaje wyjątkowo niefortunnie: przerwanie Kongresu Kultury Polskiej odcina władze od jakiegokolwiek kontaktu z intelektualistami, choć próby takie od początku są podejmowane. Błędem okazują się też rachuby o „przechwylenie” „Solidarności” – rachuby oparte o wyniki „eksperymentu bydgoskiego”.

I oto – rzecz paradoksalna: ekipa sprawująca władzę w Polsce znajduje się w sytuacji grupki dysydentów z roku 1978. Praktycznie izolowana społecznie ma jednak tę przewagę, iż dysponując siłą może próbować wymusić realizację swego programu. I tu warto przywołać interesującą też Zygmunta Baumaną: „Jeśli z doświadczenia pierwszych siedemnastu miesięcy rządów generałów wyciera jakaś linia ciągła, to jest to stawka na pozyskanie współpracy narodu podporządkowanej zadaniom efektywności aparatu państwowego przy równoczesnym wytuszczeniu różnic politycznych i osłabieniu nacisku na uniformizację ideologiczną. Innymi słowy i w uproszczeniu – wszystko to lub niemal wszystko, co naród chciał realizować pod egidą 'Solidarności'. Z jednym, ale jakże istotnym wyjątkiem: realizacja nie ma być czynem samorządnym narodu. Ma się ona dokonać w ramach zrestaurowanego układu tradycyjnej asymetrii władzy”. O tyle wydaje się to prawdopodobne, że z takim właśnie mniej więcej programem wystąpił we wrześniu 1980 (na zebraniu POP przy Oddziale Warszawskim ZLP) M.F. Rakowski.

4.

To był opis jednej strony medalu. Warto może opisać drugą. Tutaj jednak do prehistorii sięgać nie będę, poza jednym może tylko stwierdzeniem: od roku 1956 (a przedtem również na emigracji) polski ruch oporu wytworzył formy dość specyficzne – ześrodkowywał się nie wokół organizacji politycznych (jak np. partie), lecz przede wszystkim wokół inicjatyw społecznych, takich jak kluby (np. Klub Krzywego Koła, Kluby Inteligencji Katolickiej), komitety obywatelskie (KOR, ROPCio, komitety chłopskie i studenckie, komitety obrony praw ludzi wierzących, komitety założycielskie wolnych związków zawodowych) czy redakcje („Kultura”, „Więź”, „Aneks”, „Głos”, „Res Publica”, „Krytyka”, pisma literackie), a także inicjatywy samokształceniowe. Z tej też tradycji wyrosła „Solidarność” – bez zwrócenia uwagi na ten fakt trudno zrozumieć istotę tego ruchu społecznego (warto podkreślić, że w przedzjazdowej dyskusji, a także w toku samego Zjazdu „Solidarności” formuła ruchu społecznego zyskała olbrzymią przewagę nad formułą związku zawodowego). Polski ruch oporu wychował więc przede wszystkim działaczy

społecznych, lecz nie polityków. Ten fakt zdaje się mieć pierwszorzędne znaczenie w próbie opisu przemian społecznych zachodzących w Polsce w ciągu lat ostatnich.

Stan z okresu początków 1979 r. najtrafniej bodaj opisał Tadeusz Konwicki w *Małej apokalipsie* będącej jakby dalszym ciągiem gomułkowskiej „małej stabilizacji”. Ukazał on jakąś zawieszłą żupę (wcześniej ten obraz pojawia się w *Nic albo nic*), powoli stygnącą, kleistą, nie pozwalającą nikomu – ani władzy, ani opozycji – na wykonanie jakiegось sensownego ruchu. I nagle w czerwcu 1979 struktura tej żupy gwałtownie, z dnia na dzień, została przeobrażona, jakby poddana gwałtownemu procesowi chemicznemu. Zmienił się rodzaj więzi międzyludzkich. Chodzi, oczywiście, o pierwszą pielgrzymkę Jana Pawła II. We wszystkich relacjach o przebiegu wypadków w Polsce ten właśnie moment uznany został za przełomowy. Pytaniem otwartym jest kwestia, na czym ta gwałtowna przemiana polegała. W odpowiedzi na to pytanie pomocna może stać się lektura wydanej w 1977 r. (a więc jeszcze przed wyborem kardynała Wojtyły na papieża) książki Adama Michnika *Kościół, lewica, dialog*. Odczytuje się ją na ogół w kontekście „politycznej gry” polskiej opozycji, jest ona jednak przede wszystkim zdaniem przez sutura sprawy z drogi życiowej części generacji, którą – wraz z jej młodszymi braćmi – obarczono później mianem „pokolenia 'Solidarności’”. To, co w niej wydaje się najistotniejsze, tu nie sprawa zbliżenia ludzi wywodzących się z tradycji lewicowej ku i n a t y t u ć j i Kościoła, lecz nazywanie ich sfery duchowej odczuciem sacrum. Nie jest tu sprawa religijności w wąskim rozumieniu tego słowa, lecz sprawa poczucia realności tego systemu wartości, który niesie Ewangelia. To właśnie poczucie realnego istnienia owego systemu wartości stało się źródłem przemiany duchowej struktury polskiego społeczeństwa w wyniku pielgrzymki Jana Pawła II – połączyło ono, co zgodnie podkreślają wszyscy komentatorzy tego wydarzenia, ludzi wierzących i niewierzących w Polsce. A fakt ten oznacza przede wszystkim jedno: oznacza – świadomie lub nieświadomie – uznanie nieredukowalnej wartości osoby ludzkiej, a tym samym obudzenie podmiotowości społecznej. Sierpień 1980 i powstanie „Solidarności” były po prostu ucieleśnieniem tej duchowej przemiany społeczeństwa.

W tej sferze zaszły zmiany nieodwracalne. Ich zasięg i skala są trudne do uchwycenia. Zapewne: pełna ich interpretacja nie jest jeszcze dzisiaj możliwa, lecz jedno nie ulega wątpliwości – społeczeństwo polskie wytworzyło nowy typ więzi międzyludzkich. Zwraca zresztą na to uwagę Tadeusz Mazowiecki w opublikowanym na łamach „Kultury”: wywiadzie, to samo – bardziej szczegółowo – opłuje ks. Józef Tischner. W *Rozmowach niekontrolowanych* charakterystyczna wydaje się wypowiedź Gammy: „Widzę wszystkie pozytywne, jakie wyniknęły, wynikają i jeszcze będą wynikać z tego, że 'Solidarność’ istniała i w jakichś formach dalej istnieje. Natomiast nie widzę żadnych – jakby to powiedzieć – strat, jakie z powodu istnienia 'Solidarności’ ten naród poniósł czy mógłby ponieść. Przeciwnie, wszystko co jest związane z 'Solidarnością’ jest dla tego narodu korzystne. I wszystko co było związane z 'Solidarnością’, w perspektywie historycznej, okazało się korzystne. (...) Polska jako pewna wartość duchowa, wartość niezniszczalna, została jeszcze raz potwierdzona przez 'Solidarność’. (...) Powstały jeszcze dla nas niejasne (o tym można będzie mówić za kilka, a może nawet kilkanaście lat) nowe formy życia polskiego. Jakież nowe formy związków między ludźmi, ale powiadam, to jest niejasne”.

Już z konstatacji tych faktów zdaje się wynikać pewna wskazówka, dotycząca

przyszłej działalności społeczno-politycznej, mającej na eslu dalszą emancypację społeczeństwa. Przede wszystkim — wydadą się trafne intuicje ludzi skupionych wokół Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”: intuicje nakazujące nawiązanie do istotnych tradycji ruchu społecznego w Polsce, mianowicie do koncepcji Edwarda Abramowskiego. To, okazuje się, tradycja wciąż bardzo żywa. To samo dotyczy nawiązania do tradycji polskiego ruchu ludowego, głównie do dziedzictwa Solańskich. Wydaje się, że jedną z najistotniejszych cech tego, co stało się w Polsce w ostatnich latach, było skumulowanie naszych doświadczeń historycznych. Z tego trzeba wyciągać wnioski. I najdalej, jak się wydaje, poszło w tym kierunku środowisko KOR-u. Koncepcja Klubów Samorządnej Rzeczypospolitej — klubów własnie, a nie jakichś struktur politycznych — była jakby wypadkową istniejących w społeczeństwie tendencji, była artykulacją nie w pełni uświadomianych sobie prądów społecznych.

5.

W cytowanym już artykule Baumana „Bez precedensu” znajdujemy również i takie spostrzeżenie: „Nie sądzę (...), by grudniowy zamach stanu można było jednoznacznie określić jako operację podjętą 'na rozkaz Moskwy'. (...) Czy rządy generalnie pójdą drogą od redukcjonizmu totalizmu do dyktatury zależeć będzie chyba w części od sukcesu bądź niepowodzenia ich koncepcji strategicznej”. Koncepcję tę wywodzi Bauman w cytowanym poprzednio fragmencie. Nie bardzo jednak ma ona szansę realizacji — społeczeństwo nie chce jakoś zgodzić się na współpracę z reżymem wychodząc z szlachetnego założenia, iż to nie my ich, ale oni nas potrzebują dla realizacji ich, a nie naszych interesów. Dlatego też napisałem, że nie ma chyba w Polsce faceta bardziej zawiedzionego niż Rakowski; nie wiedzieć dlaczego — myśleli on zapewne — mimo oznak wskazujących przedtem na taką możliwość, inteligencja polska nie poszła na ten numer. A mogło być przecież tak fajnie!

Jakby potwierdzeniem słuszności tych oczekiwań są też następujące słowa Kuczyńskiego: „Fakt, że stan wojenny wprowadził Jaruzelski, a nie jakaś inna ekipa (Olszowski, Grabski, Kociołek), przyjmuję z pewną ulgą. (...) We wprowadzeniu stanu wojennego przez Jaruzelskiego, a nie przeciw niemu, widzę szansę na większą łagodność konfrontacji i na uratowanie niektórych przynajmniej zdobytych okresów posierpniowego”. Dalej idzie Szczygiorski: „Bo cóż stąd, że się obrócimy plecami do władzy, że jej nie zechcemy uznawać, jeśli to my sami musimy zadbać o nasz chleb powszedni na dziś, jutro i pojutrze? Ociągając się, emigrując wewnętrznie, świecąc nieobecnością — nie przykładamy ręki do własnego życia, uchylamy się od rozwiązywania własnych spraw, bez czego dalsza egzystencja okaże się po prostu niemożliwa! (...) Myślę, że władze także jakoś dojrzała do nowej rzeczywistości. Krach starych struktur był przecież o krok, wszystko wisiło na włosku i wcale nie z powodu 'imperialistycznych spisków', ale z przyczyny świętego gniewu ludu”. I dopełnienie (przynajmniej, że jak dla mnie dobyte kontrowersyjne — bardziej nawet niż poprzednie wyrażenia): „Każdy protest ma swój czas, swoją sytuację. Dziś 'Polityka', a nawet 'Trybuna Ludu' drukują teksty, przy których najsmielsze herezje 'Zapisu' wyglądają jak prorządowe merdanie ogonem. Od 78 roku zrobiliśmy kawał drogi”.

Ostatnie zdanie jest prawdziwe (nawet przy uznaniu zasadności utożsamienia się Szczygiorskiego z „Trybuną Ludu”, co, przyznam, nieco mnie smieszy). Prawdziwe

dlatego, iż punktem odniesienia nie powinien być dla nas „czas „Solidarności”, lecz wiadomo ów rok 78. To jest jedyna rozsądna perspektywa, z której można patrzeć na przemiany w Polsce. Od roku 1978 do wprowadzenia stanu wojennego (a także po nim) opór przeciw totalitaryzmowi w Pnisco przestał być udziałem grupki „dydydentów” i przerozdził się w olbrzymi ruch społeczny. To można już było stwierdzić w początkach 1981 roku: szybkość, z jaką wzrastała ilość członków „Solidarności” była wymownym tego wyrazem. To ciśnienie społeczne musiało, oczywiście, wyrażać się również w przemianach komunistycznej nowomowy – nie znaczy to jednak (jak to zdaje się sugerować Szczypiorski), iż należy podejmować współpracę z reżymem. Powtórzmy: to nie oni nam są potrzebni, lecz my im – jeśli chcą współpracy, muszą dać jakieś gwarancje.

Ma rację Bauman, gdy z całym naciskiem podkreśla nieporównywalność wydarzeń w Polsce z wydarzeniami w Czechosłowacji czy na Węgrzech. Stąd też wydaje się, że pojęcie „normalizacji” jest w opisie tego, co się w Polsce dzieje, nieprzydatne. Jedynym terminem, który może się w tej chwili wydać sensowny, jest pojęcie kompromisu społecznego. By jednak ów kompromis mógł dojść do skutku, muszą istnieć dwie strony mogące ów kompromis wypracować. Obie też strony istnieją – patrząc z tego punktu widzenia trudno powiedzieć, że społeczeństwo (czy raczej jego reprezentacja, jaką jest „Solidarność”) nie dostrzega władzy i odwraca się do niej plecami. Trudno nazwać odwracaniem się plecami demonstracje, w których giną ludzie, w których są ranni i pobici, w których bez przerwy dokonuje się aresztowań. Od chwili wprowadzenia stanu wojennego wysuwa społeczeństwo pod adresem rządzących nie tylko żądania, ale również propozycje rokowań. Stało się natomiast tak, iż ta władza, która wedle Szczypiorskiego „jakoś dojrzała do nowej rzeczywistości”, postanowiła nie dostrzegać społeczeństwa i – biorąc chyba serio postulat Brechta – przystąpiła do wybierania sobie nowego. Czy wybierze – pokaże czas.

Decyzja uznania Wałęsy za „osobę prywatną” jest jednym z najbardziej horrendalnych błędów politycznych, jakie zostały w Polsce popełnione po wojnie (II światowej). Bodaj czy nie największym. Znalazła tu wyraz tak charakterystyczna dla władz komunistycznych arogancja w traktowaniu społeczeństwa. Autorem tego idiotyzmu jest najprawdopodobniej Jerzy Urban; po wypowiedzeniu przez niego tych słów sprawa „uznania” Wałęsy stała się dla reżymu sprawą prestiżową. Sprawą intelektualistów jest doprowadzenie do przełamania tej bariery. Mogą to robić jedynie skupiając się wokół niego. Będą w tym niewątpliwie mieli za sobą większość społeczeństwa. I trudno tu się zgodzić z Andrzejem Kijowskim, który w wywiadzie wydrukowanym w „Kulturze” skazał polskich intelektualistów na bezrobocie. Właśnie przed nimi stoi teraz olbrzymia praca. Po pierwsze – winni oni się skupić na próbie ogarnięcia myśłą tego, co stało się i nadal się dzieje w Polsce. Po drugie – muszą próbować wypracować formułę kompromisu z władzami taką, by była ona możliwa do przyjęcia przez obie strony. Nie będzie to łatwe, ale jest to konieczne.

Pytanie: czy jest to możliwe?

6.

Jeśli to niemożliwe, wówczas lepiej od razu się powiesić. Nim się jednak o tym przekonamy, obowiązkiem jest podjęcie przynajmniej próby działania. Działania społecznego – obejmuje ono również działania polityczne, ale nie pozwala na ich wyabsolutnienie, nadaje im ludzki sens. Dyskusja o tym, czy działać społecz-

nie, czy politycznie jest jednym z największych absurdów ostatniego czasu, Rozumie to doskonale Kościół nie dopuszczając nigdy do redukcji swych poczynań do polityki.

Ową próbą działania, podjętą z niebywałym wyczuciem, jest stworzenie od pierwszych dni stanu wojennego frontu odmowy. Nie oznacza on niedostrzegania władzy. To nie jest bojkot – to odmowa poparcia jej dążeń do likwidacji społecznej podmiotowości. Inną próbą działania jest tworzenie zrębów podziemnego społeczeństwa – olbrzymiej sieci informacyjno-wydawniczej oraz samokształceniowej. Nie trzeba udowadniać, że w tworzeniu tych struktur czynny udział biorą polscy intelektualści. Nie trzeba też udowadniać, że działalność ta, obok innych zagadnień, koncentruje się na obronie ukształtowanego w ostatnich latach języka społecznego dialogu (a czymże, jak nie rezygnacją z tego języka jest powtarzanie przez Szczypiorskiego narzuconych schematów nowo-nowomowy w rodzaju „emigracja wewnętrzna”, „świecenie nieobecnością”?)

Dla kontynuacji działań społecznych trzeba jednak przyjąć jakieś założenia, które są w stanie nadać tym działaniom jakiś sens. Podstawowym założeniem musi być przyjęcie tezy, że kompromis z obecną ekipą władzy jest możliwy. I jest to założenie, które – jak się zdaje – przyjęli zarówno Wałęsa jak TKK, Bratkowski i DIP. Dlaczego je przyjęł? Dlatego, że jego odrzucenie oznacza, iż wszelka dalsza działalność pozbawiona jest sensu. A przecież nikt z tych ludzi nie ma zamiaru się wlezać: działa tu po prostu instynkt samozachowawczy.

Intelektualiści nie mogą jednak w obecnej sytuacji ograniczać się do roli pośrednika – to jest rola Kościoła jako instytucji nie religijnej lecz społecznej: rolę tę Kościół od pierwszych dni stanu wojennego – z mniejszym lub większym wyczuciem i powodzeniem – podjął. Rolą intelektualistów jest natomiast, jak wspominałem, skupienie się wokół Wałęsy: podtrzymywanie i podnoszenie jego autorytetu zarówno w kraju jak za granicą. Jak to zrobić? Cóż – to już sprawa indywidualnych wyborów i decyzji, odwagi i przemyślności. Być może np. byłoby dziś wskazane powołanie komitetu obywatelskiego, złożonego z ludzi o uznanym autorytecie społecznym i zawodowym, komitetu, który podjąłby działalność odciażającą podziemną TKK w artykulacji analiz i ocen społecznych? Prędzej czy później trzeba moim zdaniem pomyśleć o reaktywowaniu znanych przed Sierpnia jawnych sposobów funkcjonowania opozycji. Nie namawiam, broń Boże, do ujawniania składów podziemnych redakcji i komitetów wydawniczych. Myślę jednak, że taki komitet mógłby w pewnym sensie podjąć rolę pośrednika między społeczeństwem i władzą (właśnie w tym kierunku) nie angażując się bezpośrednio we współpracę z reżymem. Skoro coraz częściej mówi się o celowości powoływania partii politycznych, to czemu nie pomówić i o inicjatywach obywatelskich mających szerszy zakres działania?

Jest to pomysł konstruktywnej jawnej opozycji ludzi pozostających „na powierzchni”. Nie można bowiem zmieniać Wałęsę z przewodniczącego zdelegalizowanego Związku w instytucję społeczną. Tylko podjęcie takiej próby może stać się sprawdzianem dość gołosłownej jak na razie tezy Szczypiorskiego, że ta władza „jakoś dojrzała do nowej rzeczywistości”. Takie działanie związane jest, oczywiście, z pewnym – być może nawet dużym – ryzykiem. Ale też stwarza szansę przełamania obecnej patowej sytuacji.

grudzień 1983

* Waldemar Kuczyński, *Obóz*, Aneks, Londyn 1983, str.120; Tadeusz Mazowiecki, *Interno-
wanie*, Krag-Aneks, Warszawa-Londyn 1983, str.68; Andrzej Szczypiorski, *Z notatnika stanu
wojennego*, Polonia Book Fund, Londyn 1983, str.140.

GRAM Z ALBANIA/Antoni Pawlak

1.

O Romanie Bratnym pisałem dwa razy. Najpierw z okazji kuriozalnej pozycji wydawniczej *Pamiętnik moich książek* („Puls”), potem zaś o powieści *Dzieci Świętej* („Bratniak”). I postanowiłem dać sobie spokój. W końcu ile można zajmować się Bratnym?

Ale oto Bratny zajął się mną. W drugim tomie *Pamiętnika moich książek* zbeztętał mnie za recenzję z pierwszego tomu (str. 132). Co prawda zmienił mi imię, wypaczył jeden z zarzutów, ale nic. I tak nie miałem ochoty o tej książce pisać. Lecz dwie strony dalej znów o mnie: „Czekam na ponowny występ pana Jana P. na temat drugiego tomu *Pamiętnika*...”

Bóg mi świadkiem – nie zamierzałem. Ale, „sam tego chciałeś, Grzegorz Dynało...”

2.

Nie będzie to recenzja literacka. Napisanie tego rodzaju tekstu o produkcjach Bratnego jest niemożliwe. Jest to bowiem pisarz w dość szczególny sposób fascynujący.

Jeśli ktoś pozbawiony talentu z uporem przez lata pisze i wydaje książki, to można się spodziewać, że kolejne utwory będą lepsze. Chociażby ze względu na rutynę. U Bratnego odwrotnie. Od *Kolumbów* pisze coraz gorzej. Kolejne książki są coraz słabsze literacko, płytsze intelektualnie, coraz gorszą pisane polszczyzną.

Wydawca reklamuje książkę na „skrzydełku” jako utrzymaną w konwencji „bezpśredniej rozmowy z czytelnikiem”. No to pogadajmy.

3.

Bratny jest także symptomatycznym zjawiskiem społecznym. Był mianowicie żołnierzem Armii Krajowej. Dziś wydaje się być ideologiem stosunkowo licznego odłamu kombatantów tej organizacji. Odłamu, który jest przekonany, że z racji swej okopacyjnej chwały oraz faktu, iż wykreślono im (nie wszystkim – Bratnego to nie dotyczy!) z życiorysu lata 1946-55, są moralnie czystszy. Bez względu na to, co robili potem, co robią dziś. Nie nowa to myśl pośród myślatek Bratnego i jego kolegów osiadłych na mieliznie konformizmu. Gdy im ów konformizm wytknąć, z oburzeniem powołują się na wczorajsze cierpienia i przedwczorajsze błizny.

Odcinanie kuponów od niegdyśszych zasług wydaje mi się moralnie sprężne. Ale czy to zrozumie Roman Bratny?

4.

Przed rozmową o scenariuszu serialu telewizyjnego na podstawie *Losów Kon-*

wicki powiedział Bratnemu:

„Co robisz taką ważną minę, jakbyś miał mecz z Brazylią. Gramy z Turkami. Pamiętaj.” (str. 72)

Pisząc o *Pamiętniku*... dobrze wiem, że nie gram z Brazylią. Co najwyżej z Albanią. Taka świadomość zniechęca. Ale trudno – gra się tak, jak przeciwnik pozwala.

5.

Pierwszy tom *Pamiętnika*... był w jakiś sposób lekturą interesującą. Przede wszystkim jako zapis duchowego eksperymentu. Autor odkrywał przed zdumionym czytelnikiem kompleksy, pociąg do taniego efekciarstwa, cynizm i służalstwo. W tym kontekście drugi tom rozczarowuje. Na dobrą sprawę jest tylko niesmacznym świadectwem niewiarygodnej megalomanii autora.

6.

Książka liczy 147 stron druku. Z tego pięćdziesiąt stron to cytaty. W większości o Bratnym. Poza jednym czy dwoma wyjątkami utrzymane w tonie zachwytu.

Pięćdziesiąt stron to przeszło jedna trzecia. Wypadałoby więc wymienić mimo-wolnych współautorów dzieła. Bratny o tej grzeczności zapominał, więc go wyręczę. W kolejności chronologicznej są to: Kisieliwski, Głogowski, Kosiński, Gązda, KET, Lisiecka, Nasierowski, Koźniewski, Andrzejewski, Szaruga...

7.

Bratny jaki jest, każdy widzi. Pozostaje tylko zadać pytanie: dlaczego? Dlaczego mimo wielkich ambicji i chęci nigdy tak naprawdę nie został pisarzem?

Powody są proste. Przede wszystkim ta obezwładniająca „potrzeba wszechobecności” (str. 63). Książki trzeba wydawać. Dużo i szybko. Bez względu na cenzorskie ingerencje. Nawet wtedy, gdy metody walki o druk są uwłaczające. Ale najważniejsze aby błyszczeć. Bratny bowiem kocha wielki świat. O ile oczywiście w PRL-u można mówić o wielkim świecie. W każdym razie – order, nakłady, telewizja, gabinety, przejażdżki konne! nade wszystko, polowania.

Ale nasz wielki świat to przede wszystkim władza. Trzeba się trzymać jej jak najbliżej. Za nic nie można jej podpaść.

Na str. 6 spotkanie ze „zdetronizowanym” już Władysławem Gomułą.

„Ależ towarzyszu – powiedziałem zdejmując czapkę, jak pańszczyźniany chłop przed dziedzicem”.

To charakterystyczne. Przy władzy, nawet byłej, pisarz i powinien stać „pańszczyźniany chłop przed dziedzicem”. Z czapką w dłoni, w kornym p-łkonie.

8.

Bratny jednak czasami się buntuje. W 1971 s., po „aferze z Redlińskim”, pisarz postanawia na znak protestu odejść z redakcji „Kultury”.

„(...) nie zależy mi na rozróbie i w żadnym razie nie chciałbym szkodzić 'Kulturze'. Toteż moje wycofanie się ma humorystyczną gradację. Rezygnuję z funkcji zastępcy redaktora naczelnego, równocześnie praktycznie znikam z redakcji. Po paru miesiącach wycofuję nazwisko ze 'stopki', ale równocześnie daję 'Kulturze' na odcinek moją najnowszą 'pogrudniową' powieść *He jest żyła*.” (str. 34)

I to ma być „humorystyczna gradacja”? Zbuntować się? Owszem, ale tak, aby nikt tego nie zauważył, aby mi to nie zaszkodziło. To już nawet nie jest bunt „chłopa pańszczyźnianego”, bo ten jak już się zbuntował to rznął i palił, aby zapomnieć o niedawnej, upadającej pokorze. Bunt Bratnego to gest człowieka ubezwłasnowol-

nionego. To gest tchórza, który gniewnie zaciska pięści w kieszeni.

9.

To może dziwne, ale Bratny nie jest pupilem władzy. Wręcz przeciwnie. Władza jest niewdzięczna dla swego barda. Rzuci mu kłody pod nogi, prześladowa. Pisarz opowiada o tym na str. 95: „Ukazało się (...) nicomal 'konspiracyjnie' (podkreślenie moje - A.P.), bo ograniczenie do 10.000 nakładu (...)”.

Chyłę czoła przed prawdziwą martyrologią!

10.

Bratnego nie lubi upiorne środowisko. Autor nie ma pojęcia, dlaczego. Przecież jest dla tego środowiska czymś w rodzaju dobrej wróżki rodem z bajki o Kopciuszku „Ale obok szansa, że jednym telefonem można odblokować jakąś nonsensowną decyzję o wstrzymaniu komuś paszportu, innym odwojować skonfiskowane na cle wydawnicze 'prohibity', potrzebne komuś do pracy nad jakąś pozycją z dziejów najnowszych” (str. 48-49).

Nie mam zamiaru podważać prawdziwości przytoczonych faktów. Być może Bratny rzeczywiście biega po Krakowskim Przedmieściu wymacując na lewo i prawo czarodziejską różdżką. Fakt, że go nigdy nie widziałem o niczym nie świadczy. Ale przyjrzyjmy się zacytowanemu zdaniu od strony literackiej: jakąś, komuś, komuś, jakąś...

11.

Co najbardziej zdenerwowało Kolumba w mojej recenzji z pierwszego tomu *Pamiętnika...*? Otóż jedno tylko zdanie - „Zresztą, bez względu na to, że winy Bratnego są w dużym stopniu mniejsze, jednak staje on w jednym rzędzie z płk. Różańskim i jego podkomendnymi. Dzieli ich nie stosunek do odpowiedzialności, a tej odpowiedzialności stopień.”

Przypomnę - chodziło mi o wyczyny pisarza z lat pięćdziesiątych. Bratny jest przekonany (str. 132), iż to stwierdzenie jest dowodem mojej „dziecinnej naiwności” czy wręcz „perfidii”.

Dlatego też z niemałym zdumieniem przeczytałem (na str. 14) takie oto zdanie dotyczące tego samego okresu: „Oficer śledczy gwałcący prawdę i aktor kreujący 'prawdziwą' postać są kolegami”.

Precyzyjny, celny strzał. Ale w języku sportowym nazywa się to bramką samobójczą.

12.

Bodaj w połowie października 1983 roku mój ulubiony pisarz pojawił się w telewizji z okazji przystąpienia do Związku Lojalnych Pisarzy (ZLP). Mówił dużo o sobie (dobrze) i trochę o kolegach (źle). W pewnym momencie stwierdził, że niektórzy jego koledzy kontestują władzę, ponieważ nie mają książek. Ja mam książki - przypomniał skwapliwie.

Ma książki, więc nie musi. W porządku. Tylko powiedzmy wreszcie otwarcie - cóż znaczy kilka kilogramów książek Romana Bratnego w porównaniu z jednym tylko wierszem Zbigniewa Herberta; cóż znaczy ten stos kombatanckiej makulatury wobec jednej książki Juliana Strykowskiego...

Odpowiedź nie będzie. Odpowiedź można by streścić w jednym słowie. Ale słowo tego nie powinno się wypowiadać przy kobietach.

RECENZJE

WYOBRAŻNIA I RZECZYWISTOŚĆ

Janina Katz-Hewetson

Adam Zagajewski debiutował w roku 1972 zbiorem zatytułowanym *Komunikat*, z którego pochodził wiersz „Prawda”, z tak często niedawno cytowaną strofą:

„Wyjdź z tego kokonu rozgarnij te błony / zaczerpnij najbliższe warstwy powietrza / i powoli panlęając o regułach składni / powiedz prawdę do tego słyszysz w lewej ręce / trzymasz miłość a w prawej nienawiść”

Cokolwiek by się sądziło o poetach generacji nazwanej „pokolenie 68”, jakie kolwiek zastrzeżenia miało by się do tego pobrzękującego Ewangelią i Herbertem, ale niepozobawionego pychy postulatu, należy pamiętać, że było to pierwsze pokolenie poetów w powojennej Polsce, które grupowo i głośno odmówiło państwowej służby, biorąc na siebie obowiązek, który w szczęśliwszych ustrojach politycznych spełniają dziennikarze i politycy partii opozycyjnych. Poezja „pokolenia 68” miała zastąpić oficjalną gazetę, miała stać się antygazetą socjalizmu. Nielatwo powiedzieć, czy jego reprezentaci chętnie, czy z oporami rezygnowali z prawa do większej prywatności i większej urody poezji. Z wejściem w dojrzałość kończy się pokoleniowa wspólnota i tylko ci, którym nie tylko wyostrowiona świadomość polityczna i oburzenie moralne uczyniło na chwilę poetami, pozostają nimi w wieku dojrzałym. O genezie pierwszego okresu pisze Zagajewski w 2-gim numerze „Zeszytów Literackich”, w artykule zatytułowanym *Prąd wstępujący*, tłumacząc polityczno-realistyczną postawę swojej generacji faktem, iż po Październiku 56 pozwolono sztuce na całkowitą swobodę wyobraźni, pod warunkiem, że nie będzie zignorowała się rzeczywistością społeczną. I konkluduje: „(...) A wyobraźnia jest bardzo tajemniczą istotą. (...) jest tak rozkapryszona, że do swoich przywilejów zalicza także prawo rezygnacji z wolności (...) Zaczęła się więc buntować, marzyć o ciemnym chlebie, podobna w tym do dziecka zamożnych rodziców, które tak bardzo chciało by się przejechać autobusem lub metrem”.

Artystycznej oceny tego okresu dokonuje Zagajewski pośrednio, oceniając – jako analogiczny do początków lat siedemdziesiątych – stan polskiej literatury po wprowadzeniu stanu wojennego: „(...) Stan wojenny stał się więc tematem czy motywnym obrazów, pieśni, wierszy, opowiadań (...) – a jednocześnie wielu ludzi myśl

lących jest zdania, że nie warto uwieczniać epoki Jaruzelskiego. Jest bowiem coś takiego w naturze wydarzeń ostatniego roku, że, chociaż politycznie istotne, nie mają one nic do powiedzenia, nic nowego, są ponowieniem komunistycznego gestu siły, jeszcze jedną brutalnością (...). Dlatego sądzę, że przetrwają te obrazy czy książki, które nie zadowolą się zwykłym opisem brutalnego gestu, lecz spróbują skonstruować nurt życia wewnętrzznego, bogato unerwiają wyobraźnię, z czyniś. co ja kaleczy, przerywa, co jej zagroza, ze światem generałów”.

Pisarze zawsze mieli i będą mieć wątpliwości, jaka ma być literatura w okresach przewrotów społecznych czy narodowych katastrof. Z wyjątkiem tych nielicznych, którym natura ich talentu i związana z nią – ale związana w sposób, w którym nleżatwo jest odróżnić skutek od przyczyny – postawa etyczna nigdy nie pozwalała pisać inaczej niż chcieli i zarazem musieli. Dyskusja na ten temat toczyła się na łamach „Zajęsu” jeszcze przed wprowadzeniem stanu wojennego. Zagajewski opowiada się za wyobraźnią, ale nie, przeciw realizmowi. Za zaangażowaniem literatury w życie i cierpienia jednostki i narodu, ale przeciw „odpisywaniu z rzeczywistości”. Problem tylko, czy ten program wypływa w sposób naturalny z jego poetyckiego rozumienia i w ten sposób może być narzuć.

W „Dziennikowej „Kulturze” Zagajewski opublikował piękny esej pt. *Wyobraźnia – ważny kontinent*, w którym opowiada o Józefie Czechowiczu, poecie z uboższymi i prowincyjnymi, z obrzeża grup literackich. Zajmuje się wypowiedziami teoretycznymi autora *Auty człowieczej*, w których analizował on stosunek filozofii do poezji i związki między wyobraźnią a światem realnym w poezji i poetyckim. Podkreśla zarazem, jak mało z teoretycznych rozważań Czechowicza przeszło do jego wierszy. *Wyobraźnia – pisze – była dla Czechowicza „wchłakiem wolności, (...) miała go bronić przed szalenstwem epoki, przed jej modami, mnianiem, kolektywizmacją.”* Że w praktyce poetyckiej, w wierszach, sąadowała tylko z różnymi rejonami „realnego czy duchowego świata”. „Sądować – pisze Zagajewski – to znaczy być ścianą, tuż tuż, przez ścianę, ale zarazem odróżniać się, być zupełnie gdzieś innej. Ściany mogą być grube lub cienkie, może nawet dochodzić do osmozy, ale zawsze jednokierunkowej. To wyobraźnia formułę się światem”.

W tym miejscu powinniśmy napisać – taki jest właśnie esej – o tym poezji Zagajewskiego. Ale tego właśnie napisać nie mogę, choć są w tym zbiorze, szczególnie w części i w części „Dla do wlecia” i w części „Nowe wiersze” wszystkie elementy poetyckiej i duchowej postawy, które Zagajewski wyczytał nie tylko z teoretycznych prac Czechowicza, lecz także z jego wierszy. Postawy – ale nie poetyckiej postawy. Jakże są te wiersze wybrane z dwudziestu lat poetyckiej twórczości? I jaki jest Zagajewski po ideał własnej, dojrzałej poezji?

W wielu wierszach – a nie tylko z pierwszego czasu – słychać głosy innych poetów. Bezskutecznie bierzą na wydobycie konceptualizm, który ma być jego własnością, a barwą jego kolorem z „układami”. Krytykował Baryczka. W paru wierszach – odwołuje się fragmenty, dla których warto je przytoczyć w całości. W innych czytelnie, po prostu krótko, uosyp wyobraźnia autora. Jeżeli w innych niekonsekwentnie, jakby przypadkiem, w innych wewnętrznie poga szlachetny, a jest budowany na drugim, doznany z łona – tytuł wiersza.

Dziś Zagajewski pisał wszystkie te, by portretu polskiego i autoportretu autora. W wierszu „Dziś młodość a z dawnych lat” czytamy „Po raz pierwszy

plakać im po śmierci Stalina (...) Jestem krótkowidzem mogłem zostać tylko inteligentem (...) Kłóczyłem ale coraz gorzej słyszałem swój głos / W wieku lat dwudziestu straciłem wiarę / ale udało mi się to ukryć / Oto jest moje życie / wypchany ptak który uczy się latać" Zagajewski, inaczej niż jego rówieśnicy, nie obnosi z dumą swoich czystych rąk. Przeciwnie, porzuca się – aż do mimoderyi – do wątpliwości z tymi, którzy je zaburdzili. Jest bowiem wątpliwe, czy – urodzony w roku 1945 – w wieku lat osiemnastu przed śmiercią Stalina, i nie jest pewne, czy nie czuł się za wypchanego ptaka, który dopiero niedawno zaczął uczyć się latać. Podobnie w wierszu „(Znasz znowu zaczął płynąć”: „Opaleni maturyzują, oto kim byllimny i Błyszczące czerwone krawaty / jak obietnica lepszego świata / I co powiemy tłumacząc się przed nimi / powiadał na pewno zapytają / nas z niechęcią ale jak mogliście / w ten sposób żyć” Zagajewski często pisze wiersze przesłonięte, wiersze -napomnienia, jakby ciągle obawiał się pułapki znieuwolnienia własnego umysłu. Jego autokrityka wyśladuje się często celnie samym w sobie, trochę narcyzyzma, namiaryczna, na wyrost. Lekarstwo bowiem leży zawsze pod ręką. Na przykład w wierszu „Tylko wątplenie”: „Tylko wątplenie / niespokojny przeczezy ruch głowy / zawieszony w pytaniu głos / mogą ocalić / iskierkę nieskończoności / tęcza się w skonczonym ziarnie prochu”.

Jedną z sympatyczniejszych cech poezji Zagajewskiego jest to, że nie używa on iż sposób, w jaki chciałby pisać poezję jest także sposobem na kształtowanie własnej osobowości. W pięknym wierszu pt. „W encyklopedii znowu zabrakło miejsca dla Osipa Mendelstama” pojawia się zapowiedź owego ściany, przez którą – i – idą ze sobą wyobraźnia i świat realny, bezpartyjność i zaangażowanie, potrzeba samotności, troska o własną duchową suwerenność i poczucie braterstwa, wspólnoty. („...) Zamykaś książkę huk wystrzału i biały / powietrzu kurz Łaskas, że w nos jest wleczół / łaciński pada śnieg niż już nie przyjdzie dziś / pora snu lecz gły zapoka do twych drzwi / otwórz mi”.

W sąsiedztwie wiersza „Tylko wątplenie” znalazł się wiersz bez tytułu, następująca nastroj, nie prowadzący do żadnej moralno-intelektualnej sentencji. Zaczyna się od słów: „Jak na cmentarzu jak we śnie / w różowym blasku ciepłych ścieżek...”, a kończy „...jak w lesie, wśród chropowatych spokojnych / puł, jak wleczonem, kiedy skąpe światło / więcej chce ukryć niż ofiarować”. Jest to próba zmotowania momentu, bez nazywania go. Wiersz oparty na jednym tylko elemencie porównania i na braku, na nieobecności drugiego. Podobny wiersz opublikował Zagajewski niedawno w 18-tych numerze „Pulsu”, daje mu tytuł „Bez kształtu”. Pierwszy wiersz dźwiga słowo „jak”, drugi – „jeżeli”. W pierwszym brakuje członu, który powinien zaczynać się od słowa „tak”. W drugim – od słowa „to”. Jak w owym znanym przykładzie „Jeżeli A to B...” Te dwa wiersze są dla mnie prawdziwszymi „odmami do wleczół” niż tytułowe poematy. Refleksje, lub może raczej nastroje filozoficzne sprowadzą w nich z konkretnym se...tem, niewyrażalac z nazwanym. Pierwszy jest opisem różnorodnych elementów świata, składających się na jedno przeżycie, na moment spokojnego odsłonięcia istnienia i akceptacji świata. W drugim wypowiedziany został łęk przed ciemnym światem i własną bezpostaciowością. Jakk w dawnych wierszach Rozewicza z cyklu *Głos Aucunna*, w których wszystko istnieje obok siebie, zwołane lecz niepoowinnywalne („...) tyle rzeczy mi wypowiedziały / i kobryty kłone muszą żyć w tej / epoce ręk. raz nie prosily o to / i kraie, nie-

gdym wolne, teraz / obrane ze skór, jak jabłko / i pogoda, taka zmienna, i ja, dojrzaly / bez kształtu".

Ale za najlepsze w tym zbiorze uchodzą wiersze: „Gorączka”, „Wiersze o Polsce”, „Rozmawiałem z Francuzem”, „Włony, p.włony”, „Taniec” i „Schopenhauer płacze”. Są to wiersze niepodobne do siebie, bardzo różne w formie i tematach. Ale to, co jest w nich pragnieniem ułobnego życia, osobowości, poezji, istnieje w nich jakby przypadkowo; niewysłone, niewykoncepowane, jakby nie szukane a znalezione od razu. Pozyory mogą mylić, ale ważny jest tu rezultat: wrażliwie ograniczonej jedności i swobodnego wykładania z siebie elementów wiersza. Wiersz „Wiersze o Polsce” pisany jest w formie spokojnej, oparowanej relacji. Ironiczny, ale nie przesadnie, zbudowany został na piękny, niebanalnym i obrazowym porównaniu; cechy, których często brak podwójniom Zagajewskiego: „Czytam wiersze o Polsce pisane / przez obcych poetów Niemcy i Rosjanie / mają nie tylko katabiny, lecz także / atrament, pióra, trochę słońca i dużo / wyobraźni. Polska w ich wierszach / przypomina zachwalone jednorozca / który żywił się wełną gobelinów, jest / piękna, słaba i nierozważna. Nie wiem, / na czym polega mechanizm złudzenia, / ale i mnie, trzeźwego czytelnika, / zachwyca ten / niewy, bezbronny kraj, / którym żywią się czarne orły, głady / co w, Trzeci Rzecz i Tzeci Rzym”.

Mały wiersz „Włony, gawrony” – bezinteresowny i bezdrogowy – jest rzadkością w poezji Zagajewskiego. Jest to doskonale czysty, wyrazisty w barwach obraz wieczny, z płakantem jako nieuchronnym centrum przyjaźni. Przyznajmy, że ten typ wierszy, odległy od uprawianej przez Zagajewskiego retoryki politycznej, moralnej i czysto intelektualnej wzbudza moją największą ciekawość. Zagajewski nie tylko realizuje w nich swoją prostą postępcy, w nich także jest najbardziej poetą. Na całość zbioru – różnorodną, włączając na wiele możliwości, z których jedna z wcześniejszych nie została porzucona, a nowe krytykują się powoli – składają się owe retoryczne, niepubliczne wertykalne sądy i znanych obrazów wiersze, i te rzadkie a piękne okazy, świadczące o autentycznych możliwościach wyobraźni, którym sztuka retoryki wcale nie szkodziła. Jak na razie za dużo wierszy / budowanych na zawziętej trochę wyobraźni, trochę rzeczywistości, trochę maści, trochę świata. W niektórych wierszach to dwa światy – wyobraźnia i świat realny – przedstawione są sobie tak blisko, jakby Zagajewski dokonywał w nich wyboru; jakby się nawzajem wyłączały, i wbrew teorii, nie mogły sądzić ze sobą.

W pierwszym z tym wierszu „Schopenhauer płacze” po raz pierwszy pojawia się określenie „szlachetny kontynent”. Ból, jakim dążyć o sobie znać świat realny, zostaje przedstawiony wyobraźni i woli: „(...) Nie się nie zbryliło, / bo nie się nie zdacza, tylko powie / dziecko, bacher, nieco podobne do / pewnej kobiety, którą znał w młodości / i dlatego nie istnieje, / uśmiechnęło się / do niego niepotrzebnie, będąc / agentem natury. (...) Wiara do siebie, chyla bierze / się na klucza, przed sobą. Jak gładki / pracuje zamek, chyba bierze / udział w episku. Płacz. Drobnie tylko wlewno / filozofa, śródami kontynent, drży”.

NASZE PRZYGODY Z BRANDYSEM / Tadeusz Dumin

Powinniśmy być wdzięczni rozmaitym towarzyszom cenzorom i redaktorom, którzy przyczynili się do tego, że Marian Brandys postanowił uniezależnić się od „miotającej się w politycznych konwulsjach współczesnej rzeczywistości” i stał się pisarzem historycznym. Gdyby nie oni, być może nie powstałby „Kozietulski” i „Koniec świata szwoleżców”, a Brandys miałby kłopoty tylko z cenzurą a nie z panią Walewską. W najnowszej książce Brandysa historia miesza się z rzeczywistością współczesną, przekładają się one i wzajemnie uzupełniają, tworząc przetrzoną historyczną, w której to, co numioner jest nadal żywe, a chwila bieżąca odryga i staje się historią. Brandys opowiada o swoich trzech przygodach, z których dwie są jego własnymi, a w trzeciej uczestniczy pośrednio będąc świadkiem cudzej pań i głębokiego przejęcia się losami historycznej postaci.

Historia wkręczyła w życie autora wcześniej – pierwiza z opisywanych w tym tomie przygód miała miejsce w roku 1920, kiedy Brandys miał lat 8. Do Łódzkiego mieszkania jego rodziców zawitał egzotyczny gość z egzotycznego kręgu nabożeństwa z Ochotniczej Dywizji Białoruskiej gen. Bułaka Bałachowicz i walczącej przy boku armii polskiej, marzący wraz ze swymi poddanymi – współtowarzyszami – o wywalczeniu niepodległego „Królestwa Białorusi”. Bardzo przyjemną jest ta opowieść o osamotnionych rycerzach dobrej sprawy, których nadzieje zostały zawiedzione, marzenia niespełnione, a oprzyła w wyniku Traktatu Ryskiego przegrodzona i rozdzielona pomiędzy Polskę i Związek Sowiecki. Po Królestwie Białorusi została tylko podarta mapa, Izzy nabożeństwo pisma znicka Szapana Sawickiego i cungracyjna pominięta jego kolegów. Dobrze jednak, że przy pominięciu nam o tych dalekich, w czasach kiedy przeciętny mieszkaniec PRL, czyści wie więcej historii odległych krajów niż o sprawach i losach swoich najbliższych sąsiadów i to pomimo kilku wieków wspólnej historii w ramach wielonarodowej Rzeczypospolitej, pomimo Kołtuski, Mickiewicza i Sygorkomli. I może niekiedy przy pominięciu sobie, że i w obecnej PRL są jeszcze enklawy „Królestwa Białorusi”, które czyni się

wszystko aby je zniszczyć. W 1971 zlikwidowano popularny w Białostocczyźnie zespół piosenki i tańca „Lajonciela”, w połowie lat siedemdziesiątych zlikwidowano Białostockie Muzeum Etnograficzne w Białowieży, w wyniku manipulacji administracyjnych liczba uczniów w szkołach podstawowych z językiem białoruskim spadła w ostatnich latach z 11 tysięcy do 3400.

Drugi szkiełczy się z postaciami ostatniego monarchy dawnej Rzeczypospolitej, Stanisława Augusta Poniatowskiego. Niby to odległa przeszłość, ale posłuchajmy: „Najjaśniejsza Imperatorowa Jejność, zadajęć czynięć chęciom i zaufaniu przyjacieliskiemu Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, gwarantuje jej uroczyście mocą tego traktatu na wieczne czasy jej konstytucję, formę rządu, wolność i prawa, z przyrzeczeniem i obowiązkiem za siebie i sukcesorów swoich na tron Imperii całej Rosji, utrzymywać, zachowywać i zasłaniać Najjaśniejszą Rzeczpospolitą Polską przy nieustraszonej jej całości”. Skąd my to znamy?

A król odzywa się w te słowa: „Ja i wszyscy dobrycy obywatle polscy jesteśmy i winniśmy być własnę z pobudek patriotycznych przyjacielim Rosji, jesteśmy bowiem przeciwni, że w prawdziwym interesie Rosji leży nie czynienie nam więcej zła...”. I to już wybitnych Polaków próbowało od czasów Stanisława Augusta w podobny sposób uświadamiać Rosjanom ich „prawdziwe interesy”...

Wokół postaci króla i jego panowania ogólnieją się spory o orientację polityczną i o ocenę tego, co można było zrobić i osiągnąć w ówczesnych warunkach. Król ma zarówno zajadłych wrogów jak i licznych wielbicieli i apologetów, do których zaliczał się bohater Brandysowej opowieści Józef Charyton. Z nieznaną dotąd pasją zabiegał on o sprowadzenie zwłok swojego bohatera z Wołczyzna, dokąd trafiły decyzją przedwojennych władz polskich, które uważały, że król ten nie jest godny wiecznego spoczynku na Wawelu. No i teraz, kto wie, „oddano” nam tradycję akowską, Inhaba, Zamek w Warszawie, a ostatnio, *après la guerre*, rogatywkę, to może i czas na sprowadzenie zwłok Stanisława Augusta, z myślą o honorowej prezesurze Towarzystwa Przyjaciół Polsko-Radzieckiej.

I wreszcie obrazki z epoki późnego Gierka, kiedy to wysłannicy Historii w postaci bupokaczy i autorów anonimowych listów i telefonów wdarli się w życie codzienne Mariana Brandysa i jego żony Hanny Mikołajskiej. Tak było to niedawno, a teraz czyta się te zapisywane na gorąco relacje z lat 1977-78 jakby *rzeczywiście* były „przed wojną”. I wszystkie polityczne szyskany i niekmania w potównaniu z tym, co ci sami ludzie przeżywali od 13ego grudnia i przeżywają teraz, wydają się być wspomnieniem z bezpowrotnie minionych dobrych czasów. Późny wnuk, który za kilkadziesiąt lat sięgnie po tę relację, nie tylko dowie się jakimi drogami kroczyła polska myśl polityczna, ale będzie też mógł namalować z wyobraźni portrety niektórych bohaterów. Dowie się na przykład, że według Brandysa Mirosław Chojcecki „wyglądał jak wycięty z obrazu Grottgera. Ale podobny jest także do Chyńskiego, tylko jakby zuchwalszy”. Oto jak na naszych oczach powstają współczesne żywoy świętych, w tym wypadku korowski.

• Marian Brandys, „Moje przygody z historią”. Nakładem NOW-iej (Biblioteka „Puls”) i P.I.L.S. Publications.

Anka Kowalska

GRAŻYNA KURONIOWA

Istnieje mnóstwo osób znaczące bardziej ode mnie powołanych do opłszania wspomnień o Grażynie. Człowiek ma prawo, aby świadectwa o jego życiu, postępie, sposobie istnienia składał przed światem najbliżsi mu przyjaciele, a mnie na myśl w ogóle nie przychodzi drugi taki dom jak Kuroniów, który by tyle ludzi przez tyle lat uważało po prostu za własny. Są dziećmi przeważnie w kraju, niektórzy w więzieniu. Nierzadko gorsi muszą zastępować lepszych. Zrobię to jak potrafię.

Stały kontakt utrzymywałyśmy latami przez telefon, rzekazime kilka razy dziennie, ale treści nieraz i długich naszych rozmów stanowiła wymiana informacji przekazywanych z różnych miast do słuchawek Jacka, jej męża, i mojej. Te info-macje byliśmy zobowiązani przekazywać od siebie, a ja temu, zapisać i przechować oprócz koniecznego „podaj dalej”, ale popołudniana i wieczorna Kuronia w domu najczęściej nie było i to Gajka właśnie po powrocie z pracy udzyskawa się w telefonie, znakomicie i rzeczowo zastępując Jacka. Kiedy co jakiś czas przychodziłam do niego, aby posprawdzac, pouzupełniać i ujednolicić nasz zapis wiadomości i nadsyłanych z obszaru całego kraju, w grubej kładce Jacka na jego biurku czy tel-ne pismo Grażyny przeważało (na szczęście) nad gryzmołami Kuronia, których on sam często nie potrafił odczytać. W ogóle w mojej pracy, stanowiącej częśćkę za-dani KOR-u, Gajka pomogła mi wiele, a jestem pewna, że inni moi koledzy, zajęci całkiem innymi pracami, mogą powiedzieć o Grażynie to samo: miała absolutny talent „bycia potrzebna” i ten rodzaj trzeźwości, spokoju i energii zaradczą, który czyni autorytet z człowieka skromnego i nie pchającego się nigdy do pierwszych miejsc.

Podziwiałam ją, jak chyba wszyscy. Często mówiłam o niej z ludźmi przy pióro-m. Był to powtarzający się motyw: jak to się w tej Grażynie, i jak to być może, żeby żyć tak pogodnie, ciepłwie, wytrwale, z usmiechem tak zwrócić, tak promiennie w tej otoczce od rana do nocy, w tym miłym, który Jack uczył z ich domu, z ich w ogóle istnienia. A wyglądał i przy tym wszystkim jak i „za”, jak samo zdrowie. Czterdzieści piąty „dzień” tegoż dnia w jej domu otrzymał od niej tak

seklankę herbaty podobną tak samo promiennie jak pierwszy. Samemu mieszkaniu służącemu za biurko, sąły kuchenkę, hotel, centralę telefoniczną, tłuźną kawiarnię i herbaciarnię - w kółka miały potrafiła przywozić charakter domu, ciepła rodzinności. Ta, i, kameralny nastrój.

Sama ten dom pełen był i tak stałych mieszkańców. Matka i ojciec Kuroma dożył tam osiemnaście lat, tam różnił od dzieciństwa i mieszkał później na stałe młodzieńcy brat C. u, pięć lat starszy od syna Grażyny i Jacka. Nie bardzo wiem, jak się to wszystko miało w tej kotłowni, przetrwałej raz po raz przez policję. Ale był to - dom całą gębą rodzinny, zadbany, świetnie zorganizowany i, czego wytknąć się nie da, w ogóle nie dał promiennie spokoju. Czy ktoś jest głodny? Czy ktoś chce herbaty? I ktoś zawsze był głodny, ktoś zawsze był spragniony. Jeśli nie można było przewieźć rozmowy czy pracy, dla której się do Kuronów przyszło, dostawało się tę herbatę, pyszną, tę kanapkę z serem czy kiełbasą do pokoju. Jeśli mało się trochę czasu, wędrowało się do jasnej, miłej kuchienki i gospodarowało się samemu: tu jest chleb, Aniu, Basiu, Sewku, Joasiu, Mišku - mówiła Gajka - a w lodówce są plandony. I muzy nie było, żeby w jej głosie, w jej uśmiechu, w otulającym sprężeniu kiedykolwiek dał się odczuć cień zmęczenia, rozdrażnienia, niechęci.

Wszystkie żony i matki mieszkańców i zatrzymanych, uzgadniały z nią każdy swój rachunek, ze sam Jack także prawie zawsze wtedy był przecież zatrzymany czy stał się wreszcie, to rozumiało się samo przez się, a, jak się niedawno dowiedziałam, kiedy Gajka, młodzieńca jeszcze, z małym Mackiem u kolan odziedziczyła paroletnie więzienie Jacka, ludzie nie odwieźdali jej wtedy, żeby ją pocieszyć, tylko żeby zostać pocieszonym. Chciałabym, aby ktoś kiedyś mógł podobną rzecz powiedzieć o mnie.

Życie organizowała wspólnie i jak gdyby bez tytułu, a wszystko w nim pod kątem Jacka, jego autorealizacji, jego wygody, pracy, pasji, własnej po prostu do niego miłości. Była tak aprobowana przez kobiety, jak aprobowała męża Grażyna, to się w ogóle nie zdarza. W opowieści „Od dzwonka do dzwonka” Marian Brandys celnie to zjawisko opisuje siękając do wspomnianej formuły rzymskich ślubów małżeńskich *ubi tu, Galus, ibi ego Gaius* - gdzie ty, Gajuszu, tam ja, Gajo. Nic lepszego nie przychodzi mi do głowy, aby opisać stosunek Gajki do męża. Tak istotnie stanowiła spójno w jego intensywnym i wariackim życiu, że teraz, po jej śmierci, wciąż nie dojącej się przycięd do wiadomości, bardzo się o niego biję. Wielką była mu siłą.

Przedsiedziałyśmy się razem w obozach internowanych kobiet od około 10 stycznia (bo nie pamiętam, kiedy przyszedł do Gołdapi transport z warszawskiego więzienia, który mnie zastał już na miejscu) do końca maja 82. Wypuszczono nas wtedy na przepustkę do szpitali, od niedługo wpisane na sprowadzone przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż listy ciężko chorych - o których zwolnienie lub przynajmniej leczenie szczególnie zabiegano. Wychodziłyśmy z Działówka, dokąd nas kanię z Gołdapi trzy miesiące przedtem przewieziono. Przed jej śmiercią i moim wyjazdem do Francji na ciężką operację widzieliśmy się raz w Warszawie - przyszła na spotkanie kwitnąca i szczęśliwa: była na widzeniu z Jackiem w Białołęce.

DRUGI BRZEG

Przez cały czas Internowania Gajka zachowywała spokój, pogodę, zwykłą dla siebie uczynność. Bardzo była lubiana. Strasznie chciała przetrwać w dobrej formie, ćwiczyła, biegala, spacerowała, ale tylko nam dozwolano. Szykanowano ją podobnie jak mnie — między innymi zatrzymywaniem listów od internowanych w Białolecie męża i syna. Ze spoźnionymi o miesiąc, dwa zabazgianyymi przez Jacka kartkami przychodziła do Halny Mikołajskiej, do mnie, promieniująca, z czuymi łzami w oczach. Docierały do nas jakoweś gypsy artykuły, rzucaliśmy się na nie w polenikaczkę i pretensjach. Ale nie ona. Nawet od niego oddarta, stała przy nim, jakby go trzymała za rękę. Włóczył jak gdyby była jego częścią nie dającą się od mego oddzielić.

I myślę, że naprawdę nią była

ARCHIWUM EMIGRACYJNE

Aleksander Janta LINIA ROZDARCIA: LECHOŃ ZRYWA Z TUWIMEM

Dwa listy poetów Skamandra, jakie ogłosiłem po raz pierwszy w londyńskich „Wiadomościach”, przenoszą nas w okres pełnego nasilenia wojny i jej okrucieństw na ziemiach Polski.

Z napięć wywołanych odmiennymi interpretacjami dziejących się tam okropności, razem z wizją czy może tylko wyrachowaniem, na powojenną „lepszą” przyszłość, wykrocił się ten osobisty, odstępnięty tutaj bez ogródek i zahamowań konflikt, a w jego wyniku zerwanie wieloletniej zażyłej, najserdeczniejszej przyjaźni dwóch wybitnych postaci wojennej emigracji polskiej w Stanach Zjednoczonych, i, co istotniejsze, gwiazdy polskiej literatury.

Tuwim pisze do Władysława Bestermiana, ówczesnego attaché prasowego Ambasady RP w Waszyngtonie, wytrawnego dziennikarza politycznego w okresie dwudziestolecia, i który podobnie jak Tuwim wywodzi się z miasta Łódź. Jemu zawdzięczam dziś uzyskanie obu listów, więc także listu Lechońa w odbitce fotostatycznej, o czym wspomina Tuwim. Reakcja Tuwima na to wymówienie przyjaźni wydaje się nieco bezradna, jak gdyby szukająca wytłumaczenia, jak gdyby licząca na wyrozumiałość czy choćby tylko zrozumienie przyjaciół. Nie pochwala się oczywiście d winy. Jest dotknięty i żalony, nie rozstrzygnięty i nie pójnięty, jak mu to łatwo wytknąć na podstawie niejednych późniejszych wypowiedzi. Rosji Puszkina od Rosji Stalina, którą uważać chce za szlachetną odwrotność niemieckiego bestialstwa. Daje list Lechońa do Bestermiana na początek, komentarz Tuwima w liście do Bestermiana jako przypis do tej deklaracji zerwania. Obie teksty służą mogą za dokumenty politycznych i psychologicznych rozróżnień, które wstrząsnęły wtedy niektórymi sumieniami.

LECHON I TUWINA*

29 maj 1942 New York

Moj drogi!

Ostatnia nasza rozmowa telefoniczna dopełniając miary Twoich niezliczonych odezwań się pełnych ślepej miłości do bolszewików, katów i morderców narodu polskiego, przekonała mnie że nie uda mi się dłużej oddzielić Twoich poglądów politycznych od Twojej osoby i że będąc ona między nami też na zawsze ostatnią.

Robiłem dotąd to można aby zachować tę naszą tyloletnią pełną wzajemniej przyjaźni i oddzielić mój głęboki i niezmierzony zachęt dla Twojej poezji od najgłębszej niechęci i niechęci, jakie budziło we mnie i w bardzo wielu ludziach, z którymi się stykaasz, Twoje postępowanie, nieliczące się z uczuciami można to śmiało powiedzieć całego narodu polskiego, postępowanie którego nie można jeśli chodzi o dopóty człowieka i pasterza Twojej miary usprawiedliwić i to dzieć zwłaszcza lekomyślnością

Nie chodzi tu oczywiście o radykalne poglądy społeczne, których bezwzględność byłaby zresztą u Ciebie, przyjeźdźcy „samocynnych” ministrów i wojewodów, nowością. Nie mam Cię też za tak naiwnego abyś myślał że mniej od Ciebie piągnę najlepszej w Polsce Jolii dla chłopów i robotników.

Mogę i muszę Cię jednak zapewnić, ponieważ Twoje informacje polityczne pochodzą najwyraźniej ze złych źródeł, że jeśli istnieje między Polakami różnice zdań co do polityki polska rosyjskiej i taktyki jaką w niej należy zastosować -- to nie ma Polaka czy będzie nim Gen. Sikorski, Matuszewski, Ciołkosz, Stańczyk, Muhlstein, X. Kaczyński, Grabski czy Pragier, który by nie uważał że bolszewicy postąpili wobec Polaków jak mordercy i zbrodniarze, godni swoich niedawnych sprzymierzeńców, zbrojów hitlerowskich.

Tylko ktoś bardzo złą wólkę powodowany mógł urządzić się tak jak Ty aby nie dowiedzieć się o tem o czem prof. Kot szeroko donosił, o czem Stańczyk i X. Kaczyński mówili tu otwarcie, że 2 miliony Polaków w Rosji poddane były katuszom materialnym i fizycznym, niewinnym tylko niezdarnej stosowanym niż te które niszczą nas Niemcy, że w arnii polskiej w Rosji niema ani jednego bolszewika i że najradykalniejsi Polacy są już wyleczeni ze swoich złażeń względem Sowietów.

Tylko prości ludzie, oddaleni od wszelkich źródeł informacji i otumanieni przez propagandę sowiecką i tylko agenci bolszewicy mają ten stosunek do Sowietów który Ty wyrażasz; to też Twoje poglądy tylko Twoim stanem nerwów można usprawiedliwić. Mogę Cię zapewnić że to jest najczystszy ale też i najgłodniejszy sąd jaki ludzie w tej sprawie o Tobie mają.

Co do mnie to nieludzką własnie Twojego stosunku do bolszewickich nieczemności i spieniona nienawiść do tych którzy braли rany za Polskę gdyż Ty za rabił ciężkie pieniądze, bawiąc się w świętymi zresztą piosenkami „Krwopijców i wrogów ludu” odbiera mi wszelki smak przyjaźni z Tobą, pielęgnowanej przezemnie tyle lat i będącej dla mnie bardzo cennym uczuciem.

* Zachowałem piórną Lechonia i Tuwina.

Decyzję moją, bardzo dla mnie ciężką, powziąłem po głębokim namyśle, przekonany że jak argumenty Wittlina, tak i inne również nie zdołają Cię sprowadzić z tej drogi, na której nigdy się nie spotkamy i na której oby Cię nie czekały rozczarowania zbyt ciężkie dla Twojej w gnuncie rzeczy zupełnie nieodpowiedzialnej natury.

Zechciej przyjąć zapewnienie mego żalu że wbrew mej woli tak kończy się nasza wiekoletnia przyjaźń.

Jan Lechoń

TUJIM DO BESTERMANA

White Plains, 12 VI 1942

Kochany Panie Władku! Wiedząc że kolekcjonuje Pan ciekawe i cenne „dokumenty historyczne” składam Panu w darze załączony fotostat listu, utrzymanego tydzień temu. Nie mam żadnych zastrzeżeń co do pokazywania go, rozpowszechniania i innych sposobów zaznajamiania „szerokich kół” z jego treścią. Zależy mi bowiem na tem aby społeczeństwo dowiedziało się nareszcie kim jestem, a mianowicie: warjatem, ślepo zakochanym w katach i mordercach narodu polskiego.

Geneza listu jest następująca. Jego autor telefonował do mnie codziennie, nawet po parę razy dziennie, przez cały czas swego pobytu w New Yorku. Rozmowy nasze polegały na rozkosznej wymianie żartów, bzdur i czarniactwych wspomnień. Przyjaźń była nlezmącona i, jak wiekowi przystoi (25 lat!), mocna i trwała.

Tematów politycznych nigdy się nie poruszało. Cierpliwy dzban nosił wodę naszych rozmów aż do dnia, kiedy autor listu zatelefonował do mnie, aby podzielić się swym smutkiem z powodu męczeńskiej śmierci Boya.

Rozmowa trwała nie dłużej niż trzy minuty, a to dlatego że gdy oświadczyłem iż Boy jest ofiarą faszyzmu, autor listu zaprzeczył się i odrzekł mi, że „faszyzm nie ma z tym nic wspólnego bo bolszewicy robią to samo”, a gdy ja ośmieliłem się zauważyć, że u bolszewików Boy był profesorem uniwersytetu, autor listu krzyknął: „Jeżeli tak, to nie będę z tobą wogóle rozmawiał i odkładam słuchawkę”. Co też uczynił. Po kilku dniach nadszedł list.

Dziękuję Panu za przesłany wiersz Hemara.* Jest dobry, ale z jakims przycuciem starych warszawskich plotek i śmiertelnie stęchłych „komezaży”. Peco się zajmować tą całą padliną? Strasznie musi być w tym polskim Londynie... Mam do Pana prośbę: wech Pan będzie łaskaw przycynąć kogo należy i spowodować regularne wypłacanie „stypendjuszom” Funduszu Kultury ich poborów. Już po łowu czerwea, a myśmy jeszcze za maj nie dostali. Myślę że urzędnikom wypłaca się regularnie. To lekceważenie pisarzy jest rewoltujące. Byłdc ostatnio w konsulacie

* Nie udało mi się ustalić który to wiersz.

słyszałem, że to „Waszyngton przetrzymuje”. Jestem bez centa i z tygodnia na tydzień muszę po parę dolarów pożyczać. Czy nie sądzi Pan, że Pan Ambasador powinien okazać większe zainteresowanie losem paru poetów, którzy tylek conajmniej „znaczą”, co inni urzędnicy?

Będzie Panu też niezmiernie wdzięczny za informacje (zakulisowe), dotyczące spraw polskich w związku z wizytą Mołotowa (w Waszyngtonie).

Czy wibuje się Pan z Ireną Wilej?*

Proszę ją serdecznie pozdrowić. U nas pięknie, cicho, zielono, ptasło i wiewiórczo.

Obydwoje pozdrawiamy i całujemy was Jak się nlewa The Great Crazy? **

Very truly yours
Julian Tuwim

Dalzy rozwój wydarzeń i zupełnego związania się Tuwima ze stalinizmem, jako jedyną w jego poczuciu alternatywą na niemieckie barbarzyństwa w Polsce, jest znany. Zaślepiiony w swoich entuzjazmach, brnął w usprawiedliwianie ich wbrew rzeczywistości i na przekór faktom. Przyjmował beztrzesko wersję że Alter i Ehrlich byli agentami niemieckimi, zasługującymi na śmierć, albo że Katyń był zbrodnią Niemców podsuwaną przez diabelską propagandę Goebbelsa Bogu ducha winnym Rosjanom.

Nie mogąc znaleźć sensu, miejsca ani spokoju w Ameryce, krótko po zakończeniu wojny wrócił demonstracyjnie do Polski, przyjmowany i fetowany przez czynniki rządzące, którym za przywileje egzystencji świadczone szczerze i szeroko, rewanżował się jak umiał najlepiej.

Zostawił m.in. z okazji powszechnego bicia czołem na siedemdziesięciolecie Stalina, któremu Chruszczow w ogłoszonych dopiero on pamiętnikach w sposób autorytatywny wystawił świadectwo zbrodniarza, paranoika i antysemity, żenującego pan-guyka, dostarczony prasie najwyraźniej w poczuciu że się do ówczesnego chóru chwalebnych przyczynić musi piórem i nazwiskiem on, pierwszy, w swoim poczuciu poeta i za biskupa uważany oficjalnie. Przepisuję z któregoś tygodnika wychodzącego w Polsce. Rok był 1952.

* Żona ambasadora Johna Wileya, warszawianka, rzeźbiarka, przyjaciółka portów Skamandra, z domu Baruch. Zmarła w Waszyngtonie wiosną 1972 r.

** Bestiażon przytoczył 17 września 1939 gwałtownie jęknącą razem z Tuwimem i razem z nim pojęciem dotarli w dwa tygodnie później do Paryża. W tym czasie jego 34-letni wówczas syn ze łkwywał się naczelnym i Tuwim byłował go jako „amerykańskiego szlenda” i „właśnie w Warszawie” Poltów. Wnauka odległa w dotykaniu „Wyborze wiozsy” wydany przez powowski Ry w r. 1943 Tuwim napisał w liście „Moim to jakowa Wł. Bestiażonowi z parła wamni i dla Ktiki i Międzykontynentalnego Stalina Karda, czegodny i coważna i do-ko-żanip”

Julian Tuwim

O STALINIE

*Rozefrzyjmy się po wielkim czasie w jakim żyjemy, a przekonamy się, że dar-
remnie byśmy szukali drugiego człowieka, który by na swych barkach i w swym
sercu dźwigał tyle historii, tyle walki, tyle ludzkości i człowieczeństwa. Rozef-
rzyjmy się nie tylko po naszym czasie ale i po minionym. Kiedy i komu — w dzie-
jach sprawdzalnych — przypadło takie uniwersalne przewodnictwo takiej uniw-
ersalnej idei?*

*Markszizm — to było ziarno posiane w głębi historii. Leninizm wyhodował —
w jakiej burzy! w jakich wicherach! — pierwsze pędy i pąki. Stalin — mądry, spo-
kojny i nieugięty, więc zwycięski, sprawił rozkwit i owocowanie. I odtąd — wciąż
nowe ziarna tych owoców będą już zawsze zapładniać ziemię. Wydaje mi się, że
genjusz Stalina, to m.in. cudowna umiejętność do prowadzenia i utrzymywania
rewolucji w procesie ciągłej organicznej żywotności Stalin — to suma tych ele-
mentów, które rewolucjonizują całą naszą epokę, niosciellek przyszłość.*

*To, że imperialistyczny kapitalizm skazany jest na nieuchronną zagładę, to, że
już tylko krótkie lata pozostały mu do zdychania i obłąkanego wierzenia; to, że
99proc. ludzkości wyzwolił się mreszcie spod panowania 1 proc. krwiożerczych
chciwców i drapieżników — ta wiekoponna zasługa zapisana będzie na karcie dzie-
jów, której nagłówek brzmi: „Józef Stalin, wódz i nauczyciel narodów Związku Ra-
dzieckiego, wódz i przyjaciel wszystkich cierpiących i ucierpięzonych ludzi na ziemi”
Bo ten genialny człowiek nie tylko walczył o zwycięstwo największej i najgłębszej
w historii rewolucji socjalistycznej, ale ją UTRWAŁIŁ — i szczytowe wydarzenie
wieku XX na barkach swoich przenosił w przyszłość.*

*Epoka nasza jest epoką Jego imienia. Bo nazwisko STALIN jest symbolem i
skrótom, wyrażającym dwie potężne wygrane, które o losach tej epoki zdecydow-
wały: zwycięskiej Rewolucji Październikowej i zwycięskiej wojny z faszystowską
mi ludobójcami. Tylko genialny realizator i koordynator tej pierwszej mógł wygrać
tę drugą. Bohaterska Armia Radziecka dlatego mogła w maju roku 1945 rzucać
pod stopy swego Generalissimusa pługawe sztandary ze swastyką, że od roku 1917
powiewają na Kremiu czerwone sztandary z sierpem i młotem. One to, te płamie
nie rewolucji, sprawiły, że narody radzieckie stały się olbrzymią potęgą — nie tyl-
ko fizyczną, lecz przede wszystkim moralną; a w historii znaczy to: patriotyczną.*

*Rewolucja — pamiętajmy — nie jest czynem tanim, co „wybu ha” i żyje potęgą
siłą tego wybuchu. Rewolucja — to coś, co trzeba mądrze i systematycznie wy-
chowować. Wielki wychowawca wielkiej rewolucji — oto Stalin.*

*Przytoczone powyżej słowa napisał człowiek mający w swoim domku taki oto
poetycki fragment, który wyliczam z pisanych w Brujlin i w Stanach Zjednoczo-
nych „Kwiatów polskich”.*

*W pijaną młodość noc zimową
Słyszałem w Łodzi za ulicy
Krzyk rozpamiętanej uliczki;*

„Gerradawoj! Jezusie święty!”
Potem nóg tupot, odzew, świstek
Biegłeś na pomoc. Jezu Chryste.

Oszołomlony, wniebowzięty,
Słuchałem w rzymskiej Bazylice
Mszy wstrząsająco niepojętej,
Gdy kameowe, smagłolice
Marquesy wykrótkowłose
Wziosły trzy zapląkane,
I w jej krw. przyjmując tajemnicę.

W Rio, na szczycie Corcovado,
Siwisz kamiennym wirkołudem
Z ramiony rozkrzyżowanemi;
W dzień Jęseń krzyżem, w nocy – cudem:
Bóg. krzyżo-Człowiek świecił ziemi
Jasnowidzą fosforycznie białą.

Z Brazylii płynąc na Manhattan,
Byłem na groźnym widowisku:
Na statku mszę odprawiał szatan
(W dzieciństwie bies o takim pysku
Wyłamał się z sennego czadu...),
A to był czarny arcybiskup
Z Conadycznego Trindadu.
Wotał: „O Lamb of God! Redecmer!
O Lord!” A potem – Twoje imię,
I co wymówił je – przykleknie.

Ale co więcej i co piękniej:
W oczyma nie – samym „pochwałony”
Mawiał Cię co dzień miliony!
Więc bezziennie, żeś WIADOMY
Imieniem podrazumiewanem!
I jak! „Na wieki wieków amen!”

Znajdujemy w „Kwiatach” echo podróży do Brazylii z Lechoniem trzecią klasą na statku Angola, gdzie...

... pełen jak gwiazd nad głowa
Myrtaś mi nadam w noc lipcową
Tam szefem kuchni jest Belzebub,
Tam na pokładzie strażcy... Przebieg!
To ja, ten upiór w białej płachcie.

*Noc w noc, a było ich piętnaście
Tłukłem się chwiejnie po okręcie,
Nurzony w gwiazd i fal odcięcie...
Pięść własna była mi poduszką
A kołdrą futro Niedźwiedziicy
I piłem mleko Niedźwiedziicy
Lub whisky z Leszkiem i Sanguszką*

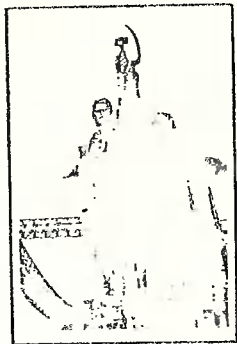
Pod datą 19 stycznia 1950 w „Dzienniku” Lechonia, niby postscriptum do ogłoszonych tu tekstów, zapis treści następującej:

„Kiedy przed wielu, wielu laty po napisaniu wiersza „Spotkanie” przeczytałem go Tuwimowi, powiedział mi: „Ach! jak ja ci zazdroszczę, że ty piszesz takie rzeczy: „Pod nieba wyiskrzoną kopułą dostojną”. A ja właśnie napisałem coś o jakichś koniach, cyrkach, diabeł wie o czym”.

„To nie były żadne komplementy, tylko tak czuliśmy te rzeczy, zazdroszcząc sobie nawzajem nie sukcesów, ale wierszy. Wszystko między mną a Tuwimem zerwane na zawsze oprócz poezji. W niej będzie jego ula kawiente”.

Żyli jeszcze obaj. Ale Tuwim tych słów Lechonia już nie przeczytał.

Tekst pochodzi z książki Aleksandra Janty „Przyjemnie zapoznać”, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1972.



między ruchu rewolucyjnego

STEFAN JĘDRYCHOWSKI

JAK POZNAWALIŚMY ARMIE CZERWONĄ

Burżuazjno-obszarnicza Polska usiłowała odgrodzić — przy pracujących od wszystkiego, co radzieckie, nieprzenikniętą barierą. Antyradziecka propaganda starała się w świadomość pracujących wciśnąć fałszywe i oszczerze wiadomości o życiu w Związku Radzieckim. Jad tej propagandy, sączony codziennie przez różnych Wragów, Otmarów i Czapińskich, przez całą hałastę burżuazyjnych dziennikarzy, mimo i nawet czasem wbrew woli słuchaczy i czytelników zostawał w ich pojęciach pewien osad. W wyobraźni poszczególnych jednostek utrwalał się pewien obraz rzeczywistości radzieckiej, może nie zawsze taki, jaki chciałaby widzieć urzędowa propaganda, może załamany stosownie do oporu psychicznego, na jaki napotykał, ale zawsze obraz fałszywy, zniekształcony, stanowiący w mniejszym lub większym stopniu karykaturę lub będący wręcz produktem oszczerzej fantazji. Szeroko rozpowszechnione były pewne standardy wyobrażeń o poszczególnych dziedzinach życia radzieckiego. Jednym z takich najbardziej reklamowanych przez burżuazję i obszarników polskich tematów, był temat Czerwonej Armii. Stopień stałszowania tego obrazu był oczywiście różny w zależności od klasy społecznej, pozycji zajmowanej w aparacie państwowym, stopnia świadomości klasowej i ogólnego wykształcenia lub inteligencji.

Stosunkowo łatwy dostęp do faktów rzeczywistości radzieckiej mieli zawzięci wrogowie Związku Radzieckiego, ci, którzy kierowali przygotowaniem do wojny interwencyjnej, którzy świadomie dążyli do przekształcenia własnego kraju

w forpoczcie antyradzieckiej wyprawy, a własnego ludu w partyotłoków międzynarodowego imperializmu. Ci ludzie, siedzący w głównym sztabie armii i na innych kierowniczych stanowiskach burżuazyjno-obszarniczego państwa, dyplomatów, a także czelowi przedstawieli wielkokapitałistycznej oligarchii, mieli najlepsze techniczne możliwości zapoznania się z faktami dotyczącymi potęgi obronnej socjalistycznego państwa. Oni też dla celów wrogich Związkowi Radzieckiemu i własnemu ludowi zgromadzili największą ilość takich faktów. Niewątpliwie wiedzieli oni, że Związek Radziecki rozporządza potężną, wykwapowaną według ostatniego słowa techniki, zdyscyplinowaną, politycznie świadomą i kulturalną Armią Czerwoną i że ta armia, wraz z innymi czynnikami, stanowi o wadze państwa radzieckiego w polityce światowej. Jednak nienawiść klasowa i tym lu dziom nakładła białmo na oczy, nie pozwalała im zrozumieć głębszego historycznego sensu wzrostu mocy wojennej Związku Radzieckiego. Patrzyli oni na Związek Radziecki oczyma szpiegów i dywersantów, nieradnymi do wysledzenia głębszej prawdy. Rzadko kiedy głos bardziej trzeźwego specjalisty wojskowego przedierał się przez zasłonę tej półświadomej obskurancji. Całkowita niezdolność kierowniczych kół byłego państwa polskiego do prowadzenia realnej polityki wyjawila się w ich haniebnym bankructwie we wrześniu 1939 r.

W sferach średniej i drobnej burżuazji, obszarników, wśród większości warstwy urzędniczej kursowało inne, bardziej jeszcze fałszywe pojęcie o Czerwonej Armii i jej żołnierzach. Urabiał je strach przed rewolucją, nienawiść do klasy robotniczej i pracującego chłopstwa. „Bolszewik” (jak nazywano czerwonoarmistę) był czymś w rodzaju ludzkiego potwora. Obdarty, brudny, zgłodniały, jednocześnie groźny i okrutny. Obraz ten był odmalowany takimi barwami, aby wywoływał strach i obrzydzenie. Nienawiści klasowej przychodził tu z pomocą kościół, podsuwając gotowy, ukształtowany w ciągu wieków, obraz diabła.

Taki obraz czerwonoarmisty i obraz Czerwonej Armii, jako dzięki hordy propagowała burżuazja na użytek własny, a przede wszystkim na użytek mas drobno-mieszczańskich i inteligentkich. Starala się też ten obraz zaszczerpić masom pracującym.

O ile idzie o robotników i pracujące chłopstwo, oraz o postępową część inteligencji, nie udawało się to już tak gładko. Klasowy instynkt kazał im demaskować burżuazyjny fałsz, wpał im sympatię do nieznaney, dalekiej, choć terytorjalnie tak bliskiej Czerwonej Armii. Przejawy komunistycznej propagandy, urywkowe wiadomości z radia radzieckiego, przeslizgujące się od czasu do czasu przez filtr cenzury dzieła radzieckiej literatury pięknej lub poczęte przez cenzurę fragmenty radzieckich filmów pomagały w utrwaleniu pozytywnego i pełnego entuzjazmu stosunku do robotniczo-chłopskiej Armii Czerwonej i jej wodzów. Ludzie pracy w kapitalistyczno-obszarniczej Polsce widzieli w Czerwonej Armii swoją przyszłą oswobodzicielkę. Uciskani przez polskich obszarników i urzędników, ukraińscy i białoruscy chłopcy szukali w niej gwarancji swego bliskiego wyzwolenia społecznego i narodowego. Radziecka piosenka o czerwonych żołnierzach, o tankistach, o Pierwszej Konnej i Dalekowschodniej Armii dość szeroko rozpowszechnila się zwłaszcza wśród młodzieży Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi.

Ale, mimo wszystko, obraz, który wytwarzał się w umysłach, nie odpowiadał

czekawie ze zwiastował. Wyobraźnia okazała się za słaba, nie ubrała całego rozmachu radzieckiego życia, wszystkich osiągnięć okresu odbudowy i okresu stałobolszewickich pięcioletek. Mimo że wiedziała się o samolotach i tankach, że niektórzy mieli świadomość zmian w strukturze społecznej i w życiu Związku Radzieckiego, w pamięci lub w wyobraźni żyła raczej Czerwona Armia z okresu wojny domowej, zwycięska, bohaterska, lecz często wynędzana, zmęczona, przetrzedzona w bojach i słabo uzbrojona.

Takie wyobrażenie przeważało wśród elementów postępowych, którym Czerwona Armia była bliska. Elementy zacofane, jeżeli im to kiedy przychodziło na myśl, wyobrażały sobie zapewne Armię Czerwoną podobną do każdej innej, ośladanej kiedykolwiek armii.

Dla wszystkich kategorii mieszkańców było prawdziwą nowością zapoznanie się z bliską z Czerwoną Armią, gdy we wrześniu 1919 roku przekazyła ona granice nieistniejącej już burżuazyjnej Polski, aby przynieść wyzwolenie bractwu narodom ukraińskiemu i białoruskiemu i wszystkim pracującym Zachodnią Ukrainę, Zachodnią Białosini i Wileńszczyznę. Dla jednych — obywateli i urzędników, dotychczasowych panów i wyzyskiwaczy — była to nowość groźna i złowieszcza, dla innych — robotników, chłopów, pracującej inteligencji — była to nowość radośna i przynajmniej entuzjastyczna. Ten historyczny marsz oswobodzenia nie był podobny do żadnej wyprawy notowań i w kronikach burżuazyjnej historii Witana przez łud kwiatami, mufingami i piśmiotami. Armia Czerwona wkraczała jako oswobodzicielka i dla pracujących od razu powstał w niej coś sobie bliskiego i drogiego, armię prawniawie ludową — robotniczo-chłopską.

Nie zawsze były ani ciemni obcowi pomiędzy armią a ludem, obecność, tak właściwej armii burżuazyjnego państwa. W państwie burżuazyjnym dowództwo sztucznie zaszczerpa robotnikom i chłopom przywołanym do armii obecność wobec oczekujących ich braci klasowych. Prace szent, poborowych do odległych terenów państwa nie służą tam wzajemności poznaniu się i zbrataniu ludności różnych okolic, ale ma na celu wywołanie sztucznego odosobnienia żołnierzy od niepojawej ludności. Dotyczy to zwłaszcza terenów nadodowo etnicznych lub obszarów ostrzejszej walki klasowej. Tę w państwie burżuazyjnym istniejącej wzajemna nieufność między armią a ludem. W stosunku Armii Czerwonej ani śladu takiej nie było, i już w pierwszych dniach jej pobytu nastąpiło zbratanie i oswobodzenie i ludność. Przy koczowaniu na terenach niezapoznanych obywateli wzięcia i przez jeńców 1919 r., które przyjechały w Wilnie, kiedy to w sobotę punktu miarza stały gromadził hotel, zgrupowanie dobiła oswobodzenia i dolegające maleniście nuty z partii punktem porządku dziennego — życie w Związku Radzieckim. W tych dniach serce cię oswobodzenia i dolegające już je walczyli wielką partię i zwyciężyli. Każdy uśmiech czerwonoarmiejski — żołnierz, a za razem surowy i przym, znaczący i argument na rzecz swoich słów. Jednocześnie zostały następnym punktem by — oswobodzenia Czerwonej Armii i pracującą ludnością Wilna mały głęboki związek oparte już nie tylko na legendarie, ale również na bliższym poznaniu.

Jakże odległa od armii kapitałistycznej pozostał wywrot kultury i obywateli i żołnierzy Armii Czerwonej? Zauważ, niestety, że — zmuszając —

nością cywilną nadętych i zarozumiałych oficerów dawnej armii, ludność spotkała się z towarzyskim, z czynnym, braterskim zachowaniem czerwonych bojowników. Czuło się, że są to ludzie swoi, ubrani w mundury robotnicy, chłopci, inteligenci, z całą świadomością spełniający swój obowiązek obrony socjalistycznej ojczyzny. Wysoki poziom inteligencji i politycznej wiedzy, który ujawniali czerwonoarmieści, dawał miarę osiągnięciom socjalizmu w dziedzinie oświaty i kultury. Rozmowy z czerwonoarmistami wzbudzały w pracujących Wilna ochotę stać się takimi, jak oni, w młodzieży chęć jak najprędzszego dostania się do szeregów Czerwonej Armii, która nie tylko przygotowuje ją do obrony kraju, ale również uczy i wychowuje.

Człowiekowi, który przyzwyczaił się do tego, że nieodłączną cechą wojskowych jest łajanie różnego rodzaju ordynarnymi wyrazami, wydawało się nawet rzeczą dziwną, że oto widzi ludzi w mundurach, rozmawiających normalnie, bez używania na każdym kroku przekleństw i nieprzyzwoitych wyrazów.

Zjednywała i napawała podziwem wsparta postawa i niezrównana dyscyplina, nie dyscyplina pałki, ale świadoma dyscyplina budowniczych socjalistycznego społeczeństwa. Armia burżuazyjnego państwa, oparta na dyscyplinie pałki, zamieniała się w bezładną, zanadtlizowaną bandę, skoro tylko pałka przestała działać.

Nie jeden rozsądniejszy sztabowiec kapitalistycznej armii bezradziejnie zazdrościł Armii Czerwonej tego, że miała ona swych bojowników wychować w świadomej dyscyplinie, dyscyplinie opierającej się głównie na świadomości celu.

Wymagana przez współczesną technikę wojenną konieczność wyrabiania w żołnierzach niegatywy, inteligencji i świadomości, a jednocześnie konieczność utrzymania ich w nieświadomości prawdziwych celów wojny imperialistycznej — stanowi nierozwiązalny dylemat każdej kapitalistycznej armii. Tkwi on korzeniami w podstawowych sprzecznościach ustroju kapitalistycznego i dlatego może być rozwiązany tylko po rozwiązaniu tych sprzeczności, to jest — po obaleniu kapitalizmu. Dlatego też żadna kapitalistyczna armia nie mogła i nie może poszczycić się podobną świadomością polityczną swych żołnierzy. Świadomy żołnierz armii kapitalistycznego państwa — to żołnierz zbuntowany przeciwko swojemu dowództwu, żołnierz uprawiający propagandę antywojenną, gotowy w każdej chwili przekształcić wojnę imperialistyczną w wojnę domową, zwrócić broń przeciw swojemu wrogowi wewnętrznemu — burżuazji.

Świadomy szeregowiec armii socjalistycznego państwa — to jego najlepszy obrońca, odważny i pełen zaparcia się, gotowy do ofiarowania swego życia za jasną przyszłość swego narodu i całej ludzkości, za komunizm, za Stalina.

Ta głęboka prawda stała się oczywista masom pracującym, wyzwolonym z jarzma kapitalizmu pod wpływem bliskiego zetknięcia się z bohaterami bojownikami Czerwonej Armii. Jednocześnie głęboki podziw i entuzjazm wzbudziła techniczna potęga Czerwonej Armii. Poczuciem niesłychanego bezpieczeństwa napełnił mieszkańców wyzwolonych ziem ukraińskich, białoruskich i Wileńszczyzny warkot motorów silnych bombowców, zwiniętych samolotów myśliwskich oraz stukot niezliczonych cięższych i lżejszych czołgów. Ludzie, nad którymi jeszcze niedawno wisiła grza bomb, niebezpieczeństwo wciągnięcia w

ukrop wojny imperialistycznej, odetchnęł szerzej, swobodniej. Wyciągnęła się w ich obronie uzbrojona ręka socjalistycznego państwa. Po raz pierwszy w historii odczuli pracujący potęgę militarną, która zagraża nie im, lecz ich wrogom, którzy niesie wyzwolenie im i ich eksploatowanym braciom klasowym.

Takie były rezultaty osobistego zapoznania się szerokich mas b. kapitalistycznej i obszarnej Polski z Czerwoną Armią. Pracujący Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi mieli to szczęście, że włączyli się od razu w proces socjalistycznego budownictwa, który dał im poznać to wrzące, pełne walki, pełne pokonywania wyłaniających się trudności, ale też pełne niesłuchanego twórczego rozmachu życie wolnych ludów, na którego straży stoi Czerwona Armia. Pracującym w Wilnie i Wileńszczyźnie przypadło w udziale przeżycie w burżuazyjnej Litwie jeszcze półrocznego okresu wyczekiwania, zanim się doczekali włączenia w budownictwo socjalistyczne. Ołtraz bezkrwawej socjalistycznej rewolucji w Nadbałtyce, okres pierwszych kroków planowej gospodarki socjalistycznej, budownictwa socjalistycznego i współzawodnictwa socjalistycznego zacieśnił jeszcze mocniej więzy przyjaźni i zaufania, łączące pracujących zarówno Litewskiej SRR, jak też innych nowych republik i obwodów radzieckich, z Armią Czerwoną. Z każdym dniem w miarę naszego zrastania się z całą naszą wielonarodową ojczyzną, Czerwona Armia staje się nam coraz bliższa, coraz bardziej swoja i droga. Rosną bowiem coraz bardziej te wartości, których musimy bronić, a w twórczej pracy nad zbudowaniem i u nas socjalistycznego społeczeństwa i dognaniem w rozwoju starszych republik związkowych spotykamy się ze współpracą i braterską pomocą naszych towarzyszy z Czerwonej Armii.

W dalszych wysiłkach nad wzmoczeniem wydajności pracy, planowym rozwojem gospodarki i kultury, w kolejnych kampaniach politycznych, masy pracujące nowych republik radzieckich i nowych obwodów USRR i BSRR będą coraz bardziej zacieśniały swoje więzy z bratnią robotniczo-chłopską Armią Czerwoną. Już obecnie najdzielniejsi młodzi ludzie naszej republiki kształcą się na czerwonych dowódców. W szeregach Armii Czerwonej wlewa się pierwszy potok czerwonoarmistów z nowych młodych obywateli państwa socjalistycznego, a jeśli będzie tego wymagała obrona naszej socjalistycznej ojczyzny, związek ten stanie się prawdziwym związkiem krwi.

W dzień Czerwonej Armii 23 lutego b. r. masy ludowe postanowią pracować jeszcze wydajniej, aby zabezpieczyć swej oswobodzicielce wszystko, co jest jej potrzebne, aby ze wszystkich sił utrwalać moc i potęgę Związku Radzieckiego, ojczyzny wszystkich pracujących, zapewnić mu dalszy zwycięski rozkwit pod kierownictwem towarzysza Stalina, pod ochroną niezwyciężonej, bolszewickiej Czerwonej Armii.

„Nowe Widnokrepi” nr 2, Moskwa, luty 1941.



SOW SHOW

POZNAĆ I ZROZUMIEĆ

Dziennikarz „Trybuny Robotniczej” Tomasz Lewandowski spędził prawie cały dzień w koszarach Zmotoryzowanego Odwołu Milicji Obywatelskiej w Katowicach. A oto niektóre z jego wrażeń i refleksji: „Presja różnego rodzaju opinii, nacechowanych najczęściej wrogością i programową nieufnością do charakteru funkcji, jakie ci ludzie pełnią, wywołuje zrozumiałe urazy: czy może być coś dotkliwszego niż poczucie izolacji w środowisku, w którym się żyje?...

— Ludzie nic o nas właściwie nie wiedzą — usłyszałem.

— Znani jesteśmy przede wszystkim z niektórych działań rozprasających, które z natury rzeczy ustawiają nas w jednostronnie negatywnym świetle. Ci, którzy atakują się z nami na co dzień w warunkach normalnego życia, jakie prowadzimy, przekonują się często ze zdumieniem, że jesteśmy tacy sami jak inni — po prostu ludzie. Przeżywamy swoje wątpliwości i rozczarowania, cieszymy się tym, co przynosi każdy zwykły dzień, mamy swoje pasje, zainteresowania i namiętności. Ten, kto sądzi, iż potrafimy się wyżywać tylko poprzez przemoc stosowaną wobec innych, krzywdzi nas i obraża. Na ulicę wychodzimy grupowo wyłącznie w ostateczności — nie ma nic bardziej przykrego jak uczestniczenie w akcjach porządkowych...

— Ktoś tego może nie rozumieć — powiedział jeden z opróżwiających mnie po terenie koszar oficerów, ale poczucie ładu jest tym chłopcom po prostu naturalnie bliskie: przejawia się ono szczególnie w zdyscyplinowaniu podczas służby, w sposobie bycia na co dzień, wreszcie w przekonaniu, iż to co robią jest słuszne i potrzebne.

... Często między sobą dyskutują i zadają sobie pytania, dlaczego pewna część społeczeństwa odnosi się do nich niechętnie? Jaka to jest jednak część społeczeństwa? Z całą pewnością nie ta zdyscyplinowana, pracowita i odpowiedzialna za swoje postępowanie – raczej tylko ten odłam, skłonny do wywoływania awantur oraz wrogo nastawiony do zasad i ideałów, jakie wyznacza istniejący ustrojowy porządek. Mówi się o nich, że są tępi i bezmyślni – czy naprawdę takie sprawiają wrażenie? Czy aby wydobyć (jak się o nich ironizuje w kawałach) ogórek ze stoika muszą do niego zaraz wkładać całą głowę? Tak, mają poczucie humoru, ale ma ono swoje granice: jakże często to co o sobie słyszą, jest brutalne, krzywdzące – wcale im wtedy nie do śmiechu. Plotka idzie w świat i niełatwo ją zdementować, a przecież nie żyją w próżni społecznej – mają rodziny, dzieci, sympatie – pragną egzystować bez obciążeń psychicznych i w zgodzie z otoczeniem, które nawet jeżeli żywi do charakteru ich służby odruchową niechęć, niech przynajmniej nie przemienia jej bezpodstawnie w nienawiść.

Nie są bynajmniej uosobieniem łagodności i delikatności – w sytuacjach zagrożenia nie można bawić się w ceremonialność: o tym, jak wysoką płacą nieraz cenę za wypełnianie swej powinności, najlepiej wiedzą chłurrdzy ich jednostek. Nie, nie domagają się, aby byli lubiani i tolerowani na jakichś tam wyjątkowych prawach: – Niech nas niektórzy ludzie zaczną traktować wreszcie bez uprzedzeń – mówią. – Niech spróbują nas poznać i zrozumieć”.

„Życie Warszawy”, 15 X 1982

Politytuły POLPRASY

Zwrot musiał nastąpić
Patrole ludzi dobrej woli
Andrzej Słowik: Łódzki wampir
Cztery lata więzienia za czynne znieważenie patrolu wojskowego
Resort przechodzi do działań
Kariera Pszczołki Mai
Uzbekistan odznaczony Orderem Lenina
Jamniki szczerką za 10 tysięcy
Konsument w szyku bojowym
76ta rocznica urodzin Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego
Olej zda majonezowy egzamin
CIA odżywał
Burdnica mniszka i wiatrolomy
Płyną dary od irackich studentów
Wojskowe patenty do wzięcia od zaraz
Nie ma kto boksować, gdy stawką jest pietruszka
31 miliardów lirów wyniósł deficyt Watykanu
Obrona zdobywcy rewolucji sandinowskiej
Zamach stanu w Gwatemali
Świat wciąż komentuje propozycje L. Breżniewa
Co wśród intelektualistów chińskich?
Podstęp w siedzibie belgijskiego związku zawodowego
Trudna sytuacja polskich emigrantów w Grecji
ZSRR kredytytuje nam ujemne saldo
Zlikwidowano trzy oddziały kontrrewolucjonistów afgańskich
Bangladesz — potrzebny partner
Buty z ZSRR, Bułgarii, Czechosłowacji i Wietnamu dla Polski
Żołnierska wymiana doświadczeń
Wojciech Jaruzelski odwiedził Władysława Gomułkę
Brylantowy żołądek
Od jutra haftujemy
Hubert Wagner miał rację
Efekty milicyjnej akcji BIZON
W lokalach weselej
Dzwon pożyczniczy ułatwia rodzenie
Interesujące imprezy w Bułgarskim Ośrodku Kultury i Informacji

Mnożą się szczepienia przeciw wściekliwości
Czy można polubić Radę Narodową?
Zagraniczne wczasy idą jak ciepłe bułeczki
Jak poskromić lęk przed ustną wypowiedzią
Jak z tego wyjść?
Jaki marksizm?
Las Kabacki zalany kloaką
Błł, aż zabił
Bez kitu nie będzie domów
Pomyśleli i zrobili
Hrabina z katalanem w ręku za krakani więziennymi
Bażanty na wolności
Ręka nu pulse
Czym przykleić podszewę?
Mortadela kontra schab
Rząd obraduje
Sejm pracujący
Porój i odbręzenie gwarancją praw człowieka
Najłatwiej nie myśleć
Sąsiedzki zastępek witamin na surowo i w konserwie
Narodowe własności drogi do socjalizmu
Przetasowanie w Wolnej Europie
Milicja likwiduje prywatne arsenały
Z piasku kabla nie ukręci
Rozkruszek załgał się w kraśnickiej mące
Stanowcze „nie” dla balonów
Krótka kołdra starczy na śpioszki
Przeciwdziałanie profilaktyczne prokuratury
Brak benzyny i pomysłu
Pilnujemy dokumentów
Powiększają się rojiny dzików, Iosi i saren
Pamiętnik Bolesława Bieruta
Do „Bacutilu” nie przywożą już kawioru
Na bazarze pusto i cicho
Dziwy w górach
Na dolarowej smyczy
Co się dzieje w gminie Gruta
Komitet Otalenia Narodowego w Puszczy Marińskiej
Korupcja i kłótnie wśród działaczy Komunistycznej Partii Chin
Słońce padło koron na przysakkę
Od dziś jaja tańsze
Manudzą już tylko mernowleta
Gadają do lampy

SPIS TREŚCI NUMERÓW 14-20

NR 14

Szymon Askenazy, *O woli narodowej*; Sławomir Mrożek, *Trzy tysiące dziewięćset siedem*; Krzywousty, *Normalizacja?*; Bolesław Sulik, *Śladem noża*; Miklos Haraszti, *Kadaryzm*; Głosy pisarzy brytyjskich; Poezja czasu wojny; PULS Bi, *List Jana Nowaka*; Fotografia, *Redakcja "PULSU"*; Henryk Grynberg, *Życie jako dezintegracja*; Jerzy Horzelski, *Dwa oblicza rzeczywistości*; Arthur Koestler, *Wieża kontrolna*; Sylwetki, *Walery Sławek*; Archiwum emigracyjne; *Drugi brzeg*, *Łudwik Cohn*; Wywiad PULSu, *Agnieszka Holland*; Recenzje; Grafika, *Rysunki Jana Saw*; Politytuły polprasy; Z frontu

NR 15-16

David Thoreau, *Obywatelskie nieposłuszeństwo*; Jacek Bierezin, *Do czytelników i przyjaciół*; T.M., *Cztery pierwsze dni*; A.A., *Powiedzcie, że się nie poddałem*; Janusz Anderman, *Trzy opowiadania*; Krzywousty, *Strajkować czy nie strajkować?*; Milan Kundera, *Księga śmiechu i niepamięci*; Wojciech Karpiński, *Droga do wolności*; Samuel Beckett, *Katastrofa*; Jan Kott, *Monenco albo śmierć w ciąży*; Josif Brodski, *24 grudnia 1971 roku*; Stanisław Barańczak, *Wpływ Josefa Brodskiego na literaturę polską*; Alicja Iwańska, *Miasto "W"*; Bolesław Sulik, *Edek*; Tadeusz Korzeniewski, *List za siebie*; Pojedynki; Fotografia, *Józef Czapski*, *Konstanty A. Jeleński*, *Sławomir Mrożek*, *Jan Lebenstein*; Sylwetki, *Kazimierz Pułak*; *Czarna księga cenzury, r.1853*; Archiwum emigracyjne; *Drugi brzeg*, *Zygmunt Bohusz-Szyszko*; Grafika, *Rysunki Sławomira Mrożka*; Muzeum ruchu rewolucyjnego; *Sow Show*; Politytuły polprasy; Z frontu

NR 17

Zygmunt Krasieński, *List do Henryka Reeve*;

Anka Kowalska, *Z grypsów do kraju*; Janusz Anderman, *Choroba więzienna*; Jacek Bierezin, *Wierze*; Sławomir Mrożek, *Do dyrekcji Muzeum Łówr, zagranicą*; Włodzimierz Odojewski, *Co słychać w ojczyźnie?*; Małgorzata Grześ, *Wierze*; Bronisław Wildstein, *Czekanie*; PULS roku 82; Stanley Dembowski, *Banki, tanki i wolność*; W oczach Rosjan; Tomasz Mianowicz, *O nowy model*; Josef Skvorecky, *Red music*; Witold Sułkowski, *Notatki amerykańskie*; Jan Kott, *Polska diaspora*; Dwugłos o o Adamie Ważyku, *Stanisław Barańczak, Włodzimierz Odojewski*; Recenzje; *Drugi brzeg, Grażyna Kuron*; Archiwum emigracyjne, *Adam Pragier/Marx o Polsce*; Grafika, *Rysunki Michała Hudaka*; Muzeum ruchu rewolucyjnego, *Stefan Jędrzychowski/Jak poznawaliśmy Armię Czerwoną*; Sow Show; Politytuły polprasy; *Żyła, Niezależny organ Jacka Bierezina*; *Z frontu*

NR 18

Henryk Elzenberg, *Naród i ojczyzna*, Adam Zagajewski, *Wiernze*; Kazimierz Orłoś, *Wojna w górach*; Anonim, *Z cyklu: Kopalnia "Wujek"*; Aleksander Wit, *Donos na Fenelę*; *Ostatni wiersz Grzegorza Przemyska*; Maciej Kiersnowski, *Dyktatura rozsądku*; Wacław Grzybowski, *Spotkanie z rewolucjonistą*; Wacław Solski, *Urocz*; Ola Watowa, *Wspomnienie*; Władimir Wysocki, *Drażliwe garnitury*; Aleksander Zinowiew, *Homage*; Władimir Wojnowicz, *Pięknie małżeństwo*; Grafika, *Ilustracje Michaiła Szemiakina do "Archipelagu Gułag" Aleksandra Solżenitsyna*; Józ Aleszkowski, *Ostatnie słowo oskarżonego Maenkina*; Fotografia, *Josif Brodski, Bułat Okudźawa, Aleksander Solżenitsyn, Aleksander Zinowiew*; Daniel Olbrychski, *Wiersz*; Tomasz Mianowicz, *O "Biankiej Mysii"*; Tamara Karen, *Wieb 1983*; Natan Gross, *Wiersz, który chodził różnymi drogami*; Michał Liniewski, *Album rodzinny*; Sławomir Mrożek, *Antropocentryzm*; Janina Katz-Hewetson, *Leżnie Marka Buczackiego*; Bolesław Sulik, *Wojna*; Przegląd kulturalny i niekulturalny; Recenzje; Archiwum emigracyjne, *Kawery Pruszyński/Dwój ludzie*; Muzeum ruchu rewolucyj-

nego; Sow Show; Poltytuły polprasy; Polpot na ob-
czyźnie; Z frontu, "Mały konspirator" WyJawnictwa CDN

NR 19

Anonim, *Kto powątpi choć na chwilę...*; Janusz Anderman, *Krajobrazy*; Jan Krzysztof Kelus, *Picsenki*; Marek Nowakowski, *Życie hordy*; Kartka z frontu; Włodzimierz Odojewski, *Pomiędzy tak i nie*; Tomasz Mianowicz, *To pielgrzymce*; Grafika, *Czymza dzieci*; Jacek Kaczmarski, *Piosenki i wiersze*; Wiktor Grotowicz, *Stan wskazujący*; Maciej Rybiński, *Mój skromny głos w dyskusji nad ustawą psychiatryczną*; Roman Michał Lonc, *Fakleta*; Sławomir Mrozek, *Doncys!*; Henryk Siewierski, *Cyta z Mawida*; Krzysztof Pomian, *Kryzys przysziści*; Jan Przybor, *Wymiary polskiej apokalipsy*; Jacek Erzeziński, *O Henryku Grynbergu*; Przegląd kulturalny i niekulturalny; Recenzje; Muzeum ruchu rewolucyjnego; Archiwum emigracyjne, *Aleksander Janta/Linia rozdarcia: Lechoń zrywa z Izwinem*; Sow Show; Poltytuły polprasy; Z frontu, *Wybór z miesięcznika politycznego "Niepodległość"*

NR 20

Edward Abramowski, *Etyka a rewolucja*; Stephen Vincent Benet, *Litanie za ofiary dyktatur*; Marek Nowakowski, *Ludzie*; Jan Polkowski, *Wiersze*; Adam Zagajewski, *Jaśmin*; Maciej Piotr Prus, *Wiersze*; Stanisław Bieniasz, *Spowiedź*; Janusz Szpotański, *W jama pińska*; Fotografia, *Dzieci wiejskie 83*; Edward Zyman, *Wiersze*; Dwa głosy z kraju, *Ke.Jerzy Popietusko/A. Erzanik*; Timothy Garton Ash, *Znaczenie Solidarności*; Grafika, *Rysunki Andrzeja Krauzego*; W piętnastą rocznicę pras-
skiej wiosny; Sławomir Mrozek, *Do inteligenta postę-
powego*; Adam Czerniawski, *Pętla*; Dwugłos o Adamie Czerniawskim, *Andrzej Busza/Bogdan Czaykowski*; Roman Zimand, *Wojna i spokój*; Rok 1863; Obwieszczenie carskie; Portrety, *Lidia Ciołkoczowa/Edward Haczyński/Kazimierz Iwanek-Osmecki*; Przegląd kulturalny i nie-
kulturalny; Pojedynki, *Krzysztof Zawrat: Trzy strony medalu, Antoni Pawlak: Gram z Allanii*; Recenzje; Drugi

brzeg, Wiktor Sukiennicki/Jerzy Lipman; Archiwum emigra-
cyjne, Andrzej Bobkowski; Listu do Andrzeja Chciuka;
Muzeum ruchu rewolucyjnego; Sow Show; Poltytuły
polprasy; Polpot na obczyźnie; Z frontu, Lech
Dymarski: Notatki s lektur; Poczta

**NIEZALEŻNA
OFICyna
WYDAWNICZA**

pragnie przełamywać państwowy
monopol wydawniczo-informa-
cyjny.

**NIEZALEŻNA
OFICyna
WYDAWNICZA**

nie reprezentuje żadnego kie-
runku politycznego.
chce służyć różnorodnym ini-
cjatywom twórczym.

**NIEZALEŻNA
OFICyna
WYDAWNICZA**

spełni swoje zadania, jeśli
społeczeństwo udzieli jej po-
parcia;
jej powodzenie zależy od
dostarczanych nam tekstów,
pomocy w kolportażu,
zdobywaniu sprzętu i mate-
riałów poligraficznych,
pomocy finansowej.

**OD NAS SAMYCH
ZALEŻY LOS WOLNEGO SŁOWA W POLSCE!**

cena 270 zł